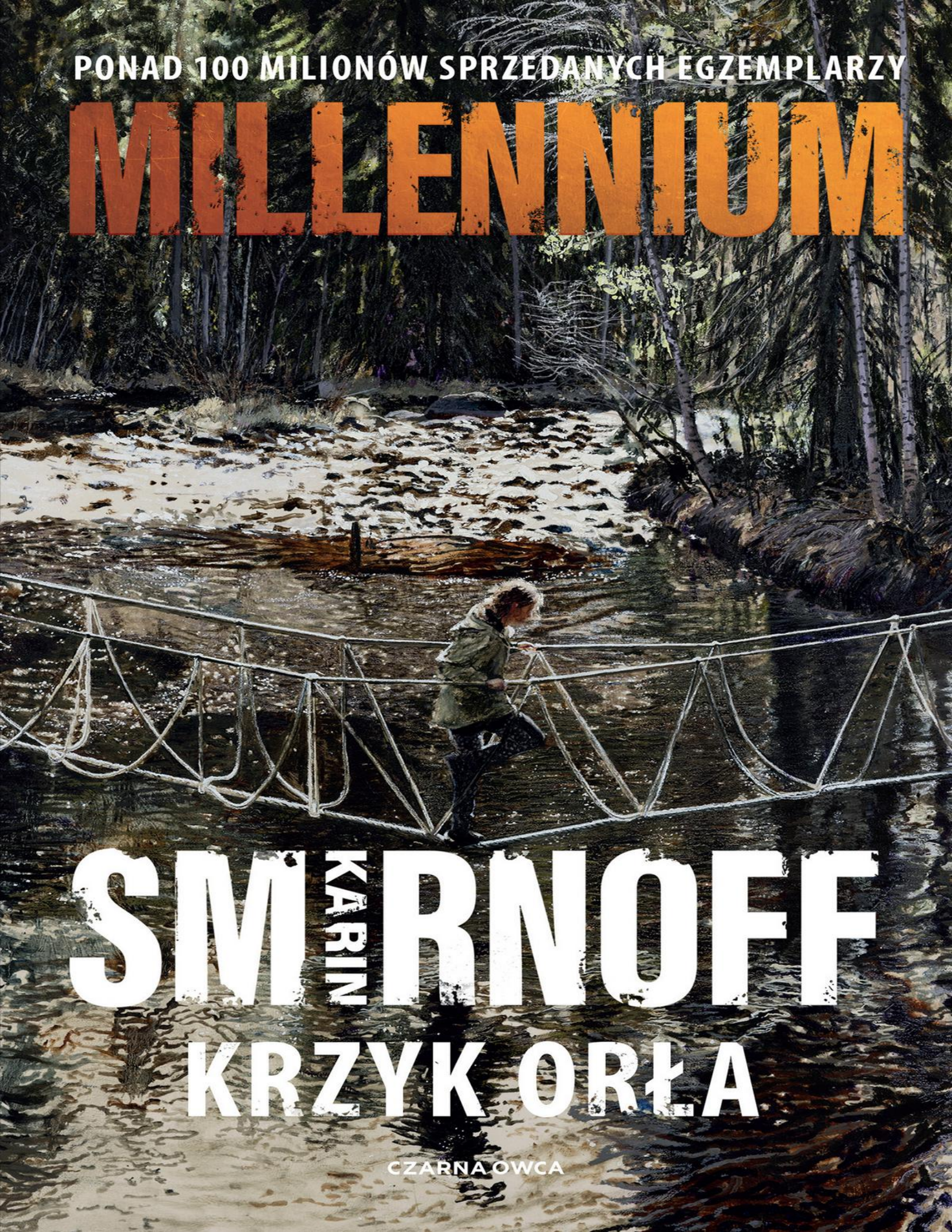


PONAD 100 MILIONÓW SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY

MILLENNIUM

A person wearing a green jacket and dark pants is crossing a rope bridge over a river. The bridge is made of ropes and wooden planks. The river is dark and reflects the surrounding forest. The background is a dense forest with tall trees and a rocky bank. The overall scene is dramatic and atmospheric.

SM
KARIN
RNOFF
KRZYK ORŁA

CZARNA OWCA

MILLENNIUM

SM**KARIN****RNOFF**

KRZYK ORŁA

Przełożyła INGA SAWICKA

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)
[28](#)
[29](#)
[30](#)
[31](#)
[32](#)
[33](#)
[34](#)
[35](#)
[36](#)
[37](#)
[38](#)
[39](#)
[40](#)
[41](#)
[42](#)
[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)
[55](#)
[56](#)
[57](#)
[58](#)
[59](#)
[60](#)
[61](#)
[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[73](#)

[74](#)

[75](#)

[76](#)

[77](#)

[78](#)

[79](#)

[80](#)

[81](#)

[82](#)

[83](#)

[84](#)

[85](#)

[86](#)

[Przypisy końcowe](#)

Tytuł oryginału: *Havsörnens skrik*

Copyright © 2022 Karin Smirnoff & Moggliden AB. Copyright © for the Polish translation by Inga Sawicka 2023 Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023

Redakcja: Wojciech Adamski Obraz na okładce: Sara-Vide Ericson, The Passenger Projekt okładki: Miroslav Sokcic Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka Zdjęcie autorki: Thron Ullberg Korekta: Beata Wójcik, Maciej Korbaśiński, Alicja Laskowska

Cytat z piosenki *Där gäddan simmar* duetu Hooja i Mårdhund w tłumaczeniu Ingi Sawickiej

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 9788382525502

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czarnaowca.pl

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Widzisz jak ziemia
na nowo się z morza podnosi.
Opadają wody,
bujający orzeł
z górzystych wyżyn
porywa ryby.
Woli badanie
Edda starsza

1

SPRZĄTACZ PATRZY NA ZEGAREK. Od wyłożenia kawałeczków mięsa do pojawienia się pierwszego orła, samicy, upływa czterdzieści jeden sekund.

Nigdy nie wiadomo dokładnie, skąd przyleci. Mogła siedzieć na którymś z pobliskich drzew. Albo też szybować na wysokości paru tysięcy metrów. Z takim wzrokiem, dwieście razy ostrzejszym niż u człowieka, potrafi dostrzec zdobycz z odległości wielu kilometrów. Tymczasem on, dobrze schowany około pięćdziesięciu metrów od przynęty, obserwuje jej posiłek przez lornetkę.

Padlina na siedem liter. Ścierwo. Czulość, jaką mężczyzna żywi dla tych ptaków, nie jest – o ile wie – miłością ojcowską. A jednak nie potrafi postrzegać ich inaczej jak swoje dzieci.

Myśli o nich przed zaśnięciem. I zaraz po przebudzeniu. Podczas wszelkich niezbędnych czynności, jak rąbanie drewna, gotowanie albo palenie pod kuchnią, ciągle o nich myśli. Czy dobrały się w pary? Czy młode przeżyją? Czy znajdą dość pożywienia? Czy przetrwają zimę? Owszem. Przy jego pomocy i odpowiedniej obfitości karczowników przeżyją.

Przeciera oczy pięścią. Słońce stoi teraz wyżej i grzeje go w plecy. Pewnie ostatni raz tej jesieni. Nieważne. On ma swój dom w miejscu na ziemi zapomnianym przez ludzi. No, dom to może przesada. To raczej sklecona z desek buda, która stała pusta od czasu, jak ostatni robotnicy leśni zniknęli na początku lat sześćdziesiątych i cały obszar został zaklasyfikowany jako rezerwat.

Obszar jest trudno dostępny, to pierwotny las o nieregularnej strukturze, z jeziorkami, mokradłami i skałami. Nie prowadzi tu również żadna prawdziwa droga. Poza ścieżkami, po których poruszają się zwierzęta, został jedynie ledwo widoczny ślad po starej przesiece, którą teraz odzyskuje

przyroda. Można się tam dostać tylko piechotą albo quadem, ale też trzeba wiedzieć, jak trafić.

Od najbliższej szosy jest przeszło dziesięć kilometrów. Mężczyzna porusza się w promieniu maksymalnie kilku kilometrów od chaty. Z początku oznaczał kierunki gałazkami, żeby nie zabłądzić. Teraz ma potok, w którym łowi ryby, wiatrołomy, z których bierze drewno, i odpowiednie polanki, gdzie czatuje na ptaki i drobną zwierzynę.

Chata jest jego azylem. Z jedynym udogodnieniem w postaci generatora prądotwórczego, z którego korzysta do ładowania swojej komórki. Tutaj jest nikim. Człowiekiem bez imienia, bez przeszłości i przyszłości. Po prostu jest. Żyje z dnia na dzień. Chodzi wcześniej spać. Budzi się o świcie. Robi, co musi, i nie zastanawia się, czy to słuszne, czy nie.

Na ścianach chaty są wyryte daty. I nazwiska. Wiadomości dla przyszłych pokoleń od innych samotnych mężczyzn. Olof Persson 1881. Lars Persson 1890. Sven-Erik Eskola 1910. I tak dalej. Jednak samotność to rzecz względna. Mogą mijać całe miesiące, gdy mężczyzna mówi tylko do siebie, ptaków, drzew czy nawet kamieni. A mimo to czuje się mniej samotny niż kiedykolwiek przedtem. Jakby dogoniło go dzieciństwo. Jest z każdym dniem coraz bliżej tego chłopca szukającego schronienia w lesie. Znieruchomiały, uczy się świata, obserwując wiosną toki cietrzewi. Albo lisicę troszczącą się o swoje coraz większe szczenięta, ruchy mrówek w mrowisku albo drogę kornika drążącego świerk.

Chłopiec ma ojca. Rosłego drania o ramionach, które sięgają wszędzie. Chłopiec ma matkę. Nikt się z nią nie liczy. Chłopiec ma brata. Leć, mówi brat, kiedy ojciec wraca do domu, i chłopiec wtedy biegnie do lasu.

Łapie padalca. Gdy ten gubi ogon, łapie go jeszcze raz. Wyciąga nóż z pochwy, odcina łeb od tułowia i robi się cisza. To on jest ciszą.

Chłopiec kładzie jaszczurkę na kamieniu. Opiera się o pień świerka i wyciera ostrze noża o nogawkę. Przesuwa nim po paznokciu. Wzdłuż ostrza jest wolność. Tej wolności nikt mu nie odbierze.

Nadlatuje jeszcze jeden orzeł. To młody samiec. Nie ma białych piór na brzuchu ani żółtego dzioba, przynależnych osobnikowi dojrzałemu płciowo. Zapewne roczniak, najwyżej dwulatek, notuje mężczyzna w zeszycie. Jest to niezwykle, ale czasem się zdarza. Píše również, że młode zostają w miejscu urodzenia, zamiast odlecieć na południe. Ewentualny defekt albo choroba. Znak zapytania. Trzeba obserwować. Wykrzyknik.

Samica jest tak zajęta, że nie przejmuje się młodym, który najpierw krąży nad mięsem, a wreszcie odważa się usiąść. W tym momencie zostały już głównie kosteczki. Samica mu nie przeszkadza. Oboje szarpią aż do puszczenia powięzi i wtedy ścięgnią znikają im w gardzielach jak spaghetti.

Mija kilka minut i już jest po głównej atrakcji dnia. Mężczyzna chowa do plecaka zeszyt i termos. Przewiesza strzelbę przez ramię i wypęła ze swego ukrycia. Prawa noga jak zwykle nie nadaża. Musi ją odwrócić w stronę drogi do domu, biegnącej szlakiem tutejszej zwierzyny. Brzozy, olchy i iwy już zgubiły liście. Mężczyzna sięga po garść borówek i krzywi się od ich kwaśnej goryczy. Słodko-gorzki jest również zapach resztek przynęty w plastikowej beczce z pokrywą. Dobrze ukrytej pod świerkiem, ale jednak. Powinien rzucić naraz całą przynętę, ale nie może się na to zdobyć. Chwila z orłami jest dla niego wszystkim. Dla niej oddycha, je, śpi, sra. Jutro znów tam przyjdzie. Kiedy zadzwoni komórka. Tylko jedna osoba ma jego numer. Sam również dzwoni tylko do jednej.

– Tak – mówi. – Dobrze. Jutro przed południem. Okej.

Rankiem jest zimniej niż zwykle. Mężczyzna dorzuca kilka dodatkowych drew i grzeje dłonie, obejmując nimi kubek. Jeśli ma zdążyć na szosę, powinien wkrótce wyruszyć. Po drodze może się wiele zdarzyć. Quad może się zepsuć. Ziemia może okazać się za bardzo rozmokła.

Pierwsze kilometry pokonuje, idąc do kryjówki, w której trzyma quada. Ze względów bezpieczeństwa. Gdyby wbrew przypuszczeniom ktoś znalazł pojazd, nie da się go przypisać ani do niego, ani do chaty.

Idąc, ciągle wypatruje orłów. W tej stronie jest jedno gniazdo, ale nie widać żadnego ptaka. Szkoda. Byłoby fajnie. Nie żeby się denerwował, ale jednak. Orzeł bielik to znak. Dobry.

Dotarłszy do maszyny, strąca z niej gałązki i igły, do pudła z przodu wrzuca plecak i jedzie na miejsce spotkania.

Ziemia trzyma, wszystko przebiega zgodnie z planem. Mając dziesięcominutowy zapas, mężczyzna najpierw czeka w ukryciu, zanim podjedzie do szlabanu i zawróci quada.

Samochód już tam stoi. Z dostawą przyjeżdża zawsze ten sam człowiek. Dla sprzątacza jest po prostu dostawcą. Tamten jego zna jako sprzątacza. Poza tym nic o sobie nie wiedzą. Zamieniają ze sobą tylko kilka słów.

– Od kogo przyjmujesz rozkazy? – pyta.

Odpowiedź go uspokaja. Im krótszy łańcuch, tym mniej ogniw.

Tym razem prosił tylko o kilka artykułów pierwszej potrzeby. Spożywczych i o butelkę whisky. I jak zwykle o gazety. Pakuje je do pudła i wraca do samochodu.

Dostawca wyciąga ciało z tylnego siedzenia.

Kobieta, to niezwykle. Ręce związane z tyłu, na głowie kaptur. Wydawane dźwięki bez słów każą sądzić, że ma zaklejone usta. Bardzo dobrze. Przynajmniej go nie zagada na śmierć.

– Możesz z nią zrobić, co chcesz – mówi dostawca – masz wolną rękę.

Co chce, dopóki robi swoje.

Ludzie, którzy wejdą mu w drogę, zasługują na swój los. W tym sensie jego sumienie pozostaje czyste. Nie jest mordercą seksualnym ani psychopatą, chociaż przez świat byłby zapewne postrzegany jako osoba mordująca dla przyjemności.

Mają deal. Dopóki oni dotrzymują swoich zobowiązań, dopóty on dotrzymuje swoich.

– A co ona zrobiła? – pyta w drodze wyjątku. Może dlatego, że to kobieta. A może dlatego, że dostawca jest pierwszym od dłuższego czasu człowiekiem, z którym rozmawia.

– To co zwykle – odpowiada dostawca. – Nie wiem nic więcej. – Sprzątać mu wierzy.

Wsiada na quada, tamten pomaga mu umieścić przed sobą ciało. Ciało brzmi lepiej niż kobieta.

– Przytroczyć ją pasem – mówi. – Prawda, moja śliczna? Nie chcemy, żebyś spadła.

Podnosi dłoń na pożegnanie i odjeżdża w stronę chaty.

Podczas maskowania maszyny ciało stoi przywiązane do drzewa. Nie jest tak do końca milczące. Jakby miauczało lekko niczym chory kot. Chore koty należy likwidować. Nadal nie widać żadnego orła.

– Idziemy – mówi, popychając ją przed sobą. Kondycja ciała nie jest tak dobra jak u niego. Na ostatnim odcinku drogi kopie je po łydkach, żeby ruszało nogami.

Nigdy nie zabiera ciał do chaty. Tym razem robi wyjątek. Popycha je na łóżko i sam siada na krześle.

– Najpierw przyjemność, potem robota, tak będzie dobrze? – zwraca się do ciała. – I może jeszcze napalimy, co powiesz? Zimno?

Miauknięcie. Mężczyzna czuje, że mu stwardniał. Kobieta to kobieta.

Ściąga jej spodnie i majtki. Zawsze jest ciekawie, kiedy można zobaczyć, co się kryje pod spodem. To dość młode ciało. Ze dwadzieścia pięć lat. Najwyżej czterdzieści. Wiek nie gra roli.

Najpierw postanawia działać powoli, ciesząc się widokiem, by tak powiedzieć, ale pożądanie bierze górę nad cierpliwością. Odrywa kawałek plastikowej folii, bo cholera wie, co ona może mieć w środku, owija nią penisa i układa ciało tak, by leżało idealnie do penetracji.

– Mogłabyś tu zostać przez kilka dni, będzie fajnie – mówi, macając niezdarnie jak prawiczek na obozie harcerskim. I szczytuje, zanim jej jeszcze zdążył włożyć.

Kiedy już uspokoił oddech, a pożądanie opadło, widzi, że ciało się posi-kało.

W jego łóżku, co przesądza sprawę.

– Koniec tego dobrego – oznajmia, zapina spodnie i szykuje ciało do odjazdu.

Ciało ledwo idzie. Chce mu się mdleć, dlatego mężczyzna nie odchodzi tak daleko, jak zamierzał. Po raz drugi tego dnia przywiązuje ciało do drzewa i rozwiązuje sznurek woreczka, w którym przechowuje broń.

Spogląda na piękny przedmiot. Przykręca tłumik i bierze pistolet w obie ręce, jakby uświęcał swój czyn.

Miau. Kotek nie będzie już musiał cierpieć.

2

OD GODZINY TKWIĄ W wyziębionym aucie, czekając na oznakę, że dom jest pusty.

Auto stoi na bocznej drodze prowadzącej w dół do rzeki. Od strony domu osłania je stodoła. Jednocześnie widać stąd, kto wjeżdża albo wyjeżdża. Najpierw z domu wyjechała kobieta z dzieckiem na tylnym siedzeniu, a teraz jedzie również on.

Nie pierwszy raz tak siedzą.

Kiedy wracają do miasta, nie załatwiwszy sprawy, Svala oddycha z ulgą, mimo że musi wysiąść spory kawałek za Gasskas i do domu iść piechotą. Do Mamamärty. Do domu przy Tjädervägen, gdzie na miejsce zaginionej Mamamärty wprowadziła się babcia.

Nie ma w tym właściwie nic złego. Babcia robi takie rzeczy, których Mamamärta nie robi nigdy. Gotuje, sprząta i jeszcze wypełnia mieszkanie luźnymi rozmowami. Taki jest ustalony porządek dnia. Mamamärta co pewien czas znika i potem wraca, nie mówiąc, gdzie była, ale tym razem jest inaczej. Niedługo będzie miesiąc, jak przewiesiła torebkę przez ramię, pocałowała Svalę w głowę i powiedziała: „Zaraz wracam, idę tylko po papierosy”.

Svala poprosiła babcię, żeby niczego nie ruszała w jej pokoju. Nie sprzątała ani nie zbierała brudnych ciuchów, kiedy jest w szkole. Ten pokój jest jedynym nienaruszonym miejscem. Kiedy kładzie się na narzucie pasiastej jak zebra, ma wrażenie, że Mamamärta znów tu jest. Siedzi na jej krześle przed biurkiem i udaje, że poprawia jej lekcje. Głaszcze po głowie i mówi: „Jak dostanę pensję, to zrobimy razem coś fajnego”.

To fajne to może być wyprawa na jarmark w Jokkmokk i kupowanie tam kolorowych skarpet i słodczy.

Jednak najczęściej coś fajnego oznacza pójście na pizzę do Buongiorno. Mają piekarza prosto z Neapolu. Mamamärta jest gotowa się założyć, że przyjechał z Syrii.

– Wszystko jedno – odpowiada Svala. – Ja poproszę vegetarianę.

Ser jest gorący. Parzy podniebienie. Svala dostaje dodatkową colę, a Mamamärta dodatkowy kieliszek wina. Mama jest najfajniejsza po pierwszym kieliszku i jeszcze paru łykach. Żartuje na temat ludzi siedzących obok. Opowiada o rzeczach, które się wydarzyły dawno temu. O Laponczyku, który przychodzi do restauracji i zamawia pardwę. Wtyka palec w jej kuper i twierdzi, że wie, gdzie ptak został zastrzelony. Może w Arvidsjaur. Nie pamięta. I gniewa się, gdy Svala się wtrąca. Oczy zwężają jej się bardziej niż zwykle, łapie dłoń Svali i ścisną mocno:

– Ty też jesteś Saamką. Nie jakąś zasraną Laponką. Nie zapominaj o tym. Masz być dumna ze swojego pochodzenia.

To znaczy jakiego? Zaginiona mama, nieżyjący tata. Babcia z dławicą piersiową. Żadnego rodzeństwa ani bliskich krewnych. Przynajmniej takich, którzy by się do niej przyznawali.

– Poza Lisbeth – mówi babcia.

– A kto to jest Lisbeth?

– Lisbeth Salander. Przyrodnia siostra twojego ojca.

– Nikt mi nigdy o niej nie mówił.

– Twoja mama nie chciała mieć nic wspólnego z rodziną Niedermannów – mówi babcia. – To dość zrozumiałe.

– Dlaczego? – pyta Svala, ale nie dostaje odpowiedzi.

– Dawne dzieje, nie ma o czym mówić – stwierdza babcia, kończąc rozmowę. Zamiast tego przesuwając palcem po liniach na dłoni Svali. – Będiesz miała długie życie – mówi. – Co najmniej trójkę dzieci. W którymś momencie nastąpi przerwa. A potem wszystko będzie dobrze.

Co najmniej trójka dzieci. Miałyby sprowadzić na ten świat kolejne Jaskółki? ¹ Gdyby to od niej zależało, to jednak nie. A co do tej przerwy... Svala ma wrażenie, że przerwa już jest. Jesień się rozplomieniła. Svala chciałaby namalować płomienie. Okiem można rozróżnić dziesięć milionów odcieni. Chciałyby ułożyć je jako maźnięcia pędzlem wokół liścia.

Nie wie, jak nazywają się te typki na przednim siedzeniu. Jednak domyśla się, kto za tym wszystkim stoi: Plastpeder. Jej nieklawy ojczym.

Chociaż od roku z nimi nie mieszka, przyczaja się jak wygłodzony szczupak w sitowiu. Zwłaszcza ostatnio, odkąd Mamamärta zaginęła.

Baba z opieki społecznej powiedziała Svali, żeby się przygotowała na to, że mama mogła umrzeć.

- Na co? – pyta Svala.
- No przecież mama miała różne problemy.
- Moja mama nie zaginęła z własnej woli.
- Czasami nie wiemy wszystkiego o swoich rodzicach.
- To może pani nie wie.

Trzaśnięcie przednich drzwi, otwierają się tylne. Dziewczynka ma towarzystwo.

- Boisz się? – pyta on.
- Nie.
- Boli? – pyta, wykręcając jej rękę.
- Nie – powtarza dziewczynka.

On się przysuwa bliżej, obejmuje ją ramieniem i przyciąga do siebie.

– Szkoda, że mamy za mało czasu, czuję, że jesteś dobra, i to w niejednym. Tylko trochę chuda – mówi, uciskając jej bark – ale całkiem ładniutka.

Drugą ręką łapie ją za podbródek i odwraca jej twarz ku sobie. Dziewczynka robi wszystko, żeby nie spojrzeć mu w oczy.

– Wiesz, co będzie, jeśli ci się nie uda – mówi on i robi ruch, jakby podrzynał jej gardło. Dziewczynka stara się nie nabierać powietrza, żeby nie czuć jego oddechu. Jak wszystkim obrzydliwym kumplom Pedera jedzie mu z gęby od niemytych zębów, cuchnie potem i papierosami.

Serce tyka. W ustach ma suchość, a wargi spierzchły od zimna. Może i jest bezsilna, ale ma dwie zalety. Druga jest taka, że nic jej nie boli. Mogą ją bić albo parzyć, jak chcą. Złamać rękę albo nogę, a ona się nawet nie skrzywi. Nawet gdyby ją dusili.

A pierwszej i najważniejszej zalety nie umie wyjaśnić, po prostu ją ma. Polega ona na tym, że Svala zna odpowiedź, zanim jeszcze padnie pytanie.

– Nie dostałaś oczu po to, żeby widzieć – mówi Mamamärta – ale dlatego, że widzisz.

Wizyty w Buongiorno nie zawsze sprowadzały się do podwójnej coli. Na te skrawki pizzy napracowała się równie mocno, co ta wysoka Laponka w wesołym miasteczku.

Patrzcie tylko, Christina już ma dwa metry osiemnaście i wciąż rośnie.

Patrzcie tylko, spróbujcie pobić Svalę w układaniu kostki Rubika, a wygracie tysiąka.

Buongiorno nie wygląda jak inne pizzerie z gipsowymi łukami i brzęczącymi chłodziarkami na napoje gazowane. W Buongiorno tematem przewodnim jest amerykański świat mafii. Na ścianach wiszą ramki, a w nich Al Capone, Johnny Torrio, Lucky Luciano, Joe Masseria i inni gangsterzy, zdjęcia z filmów, ciuchy i broń z zaczopowaną lufą.

W kącie stoi szafa pancerna, ale zamiast pieniędzy i brylantów trzyma się w niej talerze i sztucce.

To Plastpeder wpadł na ten pomysł. Jedyne prezent, jaki kiedykolwiek dał Svali, to właśnie kasa pancerna. Nieduża, ale ciężka. A przede wszystkim zamknięta.

– Nie wiem, co w niej jest – mówi – ale jeśli uda ci się rozgryźć szyfr, będziesz mogła to sobie zatrzymać.

Svala ma dziesięć lat i wie, że Plastpeder kłamie, ale nie może się oprzeć, żeby nie spróbować. Ma coś takiego w palcach i w mózgu. Cyfry przelatują w głowie jak kule w tomboli. Tak to widzi. Albo czuje. Potrzebuje kilku prób do uporządkowania sobie informacji. Plastpeder stoi obok i aż tupie ze zniecierpliwienia.

Kiedy Svala czuje, że już opanowała szyfr, odwraca się do Plastpedera i mówi, że nie, nie da się. Nie wie, jak to zrobić.

Teraz może zdarzyć się cokolwiek. On może się zezłościć i wydrzeć na nią, jak bywa najczęściej. Może ją uderzyć. Chociaż teraz robi to rzadko. Albo może tak trzasnąć drzwiami, że od ruchu powietrza zabuja lampą.

Svala siedzi przez chwilę i nasłuchuje. Kiedy już się upewniła, że Plastpeder rzeczywiście wyszedł z mieszkania, uchyla drzwi kasy pancernejszej.

W środku są pieniądze. Więcej, niż kiedykolwiek widziała. I kiedy siedzi sobie, przeliczając pięćsetki, nagle on staje obok.

Wie, że przemoc fizyczna jej nie dotyka. Nie boli wystarczająco mocno. Tym mocniej za to boli Mamamärte.

– Chyba rozumiesz, że muszę cię ukarać – mówi. – I nic ci nie pomoże, że zatkasz uszy.

Na fajny pomysł z kasą pancerną z pizzerii Plastpeder wpada parę lat później.

Goście wybierają sobie szyfr, a Svala go łamie. Czasem dostaje jakiś pieniążek do kieszeni. Albo napiwek, który umknie chciwym oczom Plastpedera. Przechowuje te pieniądze w kudłatej małpce, która siedzi na jej łóżku. Pruje szew, wydłubuje z niej trochę gąbki i znów zaszywa.

3

A CZEGO SIĘ, KURDE, spodziewał. Po trzecim komunikacie, że pociąg do Sundsvall, Umeå, Luleå i Kiruny z godziny 18.11 jest opóźniony, a nowy termin odjazdu to 19.34, Mikael Blomkvist postanawia iść na piwo w restauracji Luzette.

W normalnych warunkach taka chwila na sztokholmskim Centralen byłaby dla niego momentem odprężenia. Siedzi się w swojej bańce i obserwuje przepływający obok tłum. Jednak nie dziś. Jest za bardzo zmęczony, żeby interesować się otoczeniem. Zmęczony z wielu powodów, z których większość jest dobrze znana. Za dużo pracy. Za dużo zawracania głowy w redakcji. Siedzenie po nocy, za mało snu i deadline, który rzeczywiście jest śmiertelny.

Ciągle ta gazeta. „Millennium”. Dama ponad innymi damami. Która ciągle wygrywa z rodziną, przyjaciółmi i partnerkami. Teraz, po jej śmierci, musi zapytać sam siebie, czy było warto? Tak. Bez wahania. „Millennium” jest powietrzem, którym oddycha. Krwią, która płynie w jego żyłach. Przecież nie wszyscy mogą być idealnymi mężami i ojcami rodzin. Ktoś, między innymi on, musi opowiadać tym idealnym mężom i ojcom rodzin, jak się rzeczy mają poza wygracowanymi ścieżkami do ich willi.

I właśnie dlatego to takie niepojęte, że już jest po wszystkim. Zło, niesprawiedliwości, całe to gówno, a jakoś nikt nie ma siły się tym przejmować. Ludzie wracają do domu po dniu spędzonym w biurze, nalewają sobie szklaneczkę whisky, sprawdzają maile, jedzą kolację, grają w padla i idą spać. W takiej cholernej bańce żyje większość znanych mu osób. Zestresowani życiem, przejmują się tylko swoimi najbliższymi, jeśli w ogóle. Służenie sprawiedliwości to przeżytek.

Skroluje listę połączeń. Wciąż ani słowa od Eriki Berger. Albo od kogoś innego z redakcji.

Mikael Blomkvist nie jest samotny. Jednak czuje się osamotniony. A to jest coś nowego.

Wypiwszy piwo, idzie do kiosku z gazetami, gdzie kupuje sobie kubek kawy i „Morning Star”. Jego uwagę przykuwa artykuł o brytyjskiej firmie wydobywczej, która próbuje się zainstalować w Norrbotten. Dopiero po chwili reaguje na głos.

– Mikael, halo, Mikael.

Podnosi wzrok. Siostra. Annika.

– A ty co tu robisz? Nie jesteś w Åre?

– Byłam, ale w pracy coś się stało i musiałam wracać. Właśnie przyjechałam. A ty? Czekasz na kogoś?

– Pociąg mi się spóźnia – odpowiada. – Chciałem pojechać trochę wcześniej. Chyba przyjedziecie na wesele?

– W każdym razie pozostała *la famiglia* – mówi Annika. – Ja przyjadę trochę później. Przecież nawet nie znam narzeczonego Pernilli.

– Chyba jak wszyscy. Stało się coś szczególnego?

– Nie – odpowiada Annika. – Chociaż tak. Jednak nie mogę o tym rozmawiać.

– No weź, coś tam byś mogła.

– E tam. Jeden polityk naknocił i tyle.

Mikael czeka na dalszy ciąg, który nie następuje. A ponieważ zna swoją siostrę, to wie, że nic jej nie skłoni do mówienia, skoro postanowiła milczeć.

– Nadawałabyś się na szpiega – odzywa się.

– Tak? – śmieje się Annika. – Dlaczego akurat na szpiega?

– Bo nawet na torturach nie puściłabyś pary.

W milczeniu obserwują przechodzącego mężczyznę pchającego wózek ze swoimi rzeczami. Coś mu się stało w plecy. Wózek to jednocześnie rolator.

– Wiedziałaś, że ochrona co noc wyrzuca na godzinę wszystkich śpiących na ławkach, kiedy odbywa się tutaj sprzątanie? – odzywa się Annika. – Wyobraź sobie, jak im się musi dłużyć ta godzina. Paskudna rzecz, że też państwo nie może załatwić mieszkań bezdomnym – ciągnie. – Niektórzy tkwią tu tylko dlatego, że zalegają z opłatami. Podczas gdy inni oczywiście...

– O którego polityka chodzi? – przerywa jej.
– Daj spokój – odpowiada, obejmując go. – Pewnie dowiesz się z gazet. Pozdrów Pernillę. – Nagle zaczyna jej się spieszyć.

Do odjazdu zostało zaledwie parę minut, gdy udaje mu się wtaszczyć walizkę do przedziału, i od razu żałuje, że szkoda mu było wydać na bilet w pierwszej klasie albo wagonie sypialnym. Kiedy w przedziale powstaje chaos, bo sześciu facetów jednocześnie rozściela prześcieradła, Mikael wrzuca walizkę na środkową pryczę, zabiera swoją torbę na ramię i przez kolebiące się wagony idzie do restauracyjnego. Kupuje piwo i kanapkę, po czym kieruje się do upatrzonego miejsca siedzącego, które ktoś mu właśnie zajmuje.

– Cholera jasna – mówi głośno i wtedy jakaś dłoń ciągnie go za rękaw.
– Zmieści się pan tutaj. Jedziemy w tym samym przedziale – odzywa się mężczyzna. Mikael go rozpoznaje. Wcześniej częstował wódką i Mikael mu odmówił. Niepotrzebnie szorstko, żeby trzymać dystans.

– IB – mówi tamten i podaje mu rękę.
– MB – odpowiada Mikael. Ściągając plastikowe opakowanie z kanapki, zastanawia się, jak daleko jedzie IB. Oby się okazało, że wysiądzie już w Gävle.

– Boden – mówi tamten i podnosi szklanę. – A ty?
Cholera, co za nazwa, nie sposób zapamiętać: Norrbyn, Sköbyn, Storbyn – Älvsbyn.

– Älvsbyn. Córka wychodzi za mąż. Za gościa z Gasskas. Mężczyznę z Gasskas – poprawia się. Określenie gość nie pasuje do Henry’ego Salo.

– Jeśli jedziesz do Gasskas, to też powinieneś wysiąść w Boden – mówi IB. – Tak jest najbliżej. Odchodzi stamtąd bezpośredni szynobus.

– Będę miał podwózkę z Älvsbyn – odpowiada Mikael, nagle bardzo zajęty swoją komórką.

Na temat jego przyszłego zięcia Henry’ego Salo sporo już napisano. Burmistrz gminy Gasskas. Od dość niedawna. Taki, co to na każdym zdjęciu jest uśmiechnięty i wydaje się lubiany. Cóż, takiego sobie wybrała. Na pewno jest w porządku. Przystojny. Może nawet za bardzo. Nie żeby z Pernillą było coś nie tak, przeciwnie, zresztą u Salo przeszkadza mu nie tyle twarz, ile jego mina albo raczej mowa ciała. Na zdjęciach lokuje się zawsze w centrum, niezależnie, czy gratuluje jakiejś młodej osobie otrzymania stypendium, czy uroczyście otwiera park.

„Jest dobry dla Lucasa”. Córka mówi to za każdym razem, kiedy rozmawiają ze sobą. A on zawsze odpowiada: „Wierzę ci”. Jednak po odłożeniu słuchawki ma zupełnie przeciwne odczucie. Chłopiec. Jego wnuk. Mikael go prawie nie widywał, odkąd się urodził. Aż do ostatniego lata.

Najpierw jej odmawia, nie ma czasu opiekować się dzieckiem, ale Pernilla się upiera.

– Prawie nigdy cię o nic nie prosiłam – mówi.

To prawda. Nigdy się specjalnie nie zajmował córką. Zawsze mu coś w tym przeszkodziło. Zwykle było to „Millennium”. A więc gdy Pernilla prosi go o zajęcie się chłopcem przez parę tygodni, bo ona musi pojechać na kurs w Skanii, podczas gdy Salo będzie na konferencji w Helsinkach, Mikael od razu odpowiada odmownie. Niemożliwe. Nie ma czasu. W następny czwartek ukazuje się kolejny numer pisma. Zresztą nie umie zajmować się dzieckiem.

Mimo to Lukas zostaje wysadzony na brzeg w Sandhamn, a Pernilla wraca do miasta tym samym statkiem.

Dwa tygodnie później Mikael ściska chłopczyka, który najchętniej by u niego został. A może to on chciałby dziecko zatrzymać. Będzie pusto bez niego. Lukas wypełnił jakieś miejsce, wypierając uporczywy smutek, który od wielu miesięcy tkwił w nim jak grypa. Wystarczyło, że było dziecko, które realizuje swoje natychmiastowe potrzeby, takie jak choćby wstać wcześniej, bo dzień oferuje całe mnóstwo możliwości. *Radość życia, Blomkvist. Przydałoby ci się więcej tego towaru.*

– Niedługo się zobaczymy – mówi do chłopca, a potem: – Czeka! – Ściąga z szyi łańcuszek, który dawno temu sam dostał od dziadka i od tamtej pory zawsze nosił; jest na nim krzyżyk, kotwica i serduszko. Mikael zakłada go na szyję Lukasowi.

– Teraz jest twój – mówi. – Będzie cię osłaniał przed złem.

Wciąż brzmi mu w uszach odpowiedź chłopca:

– Ale nie przed całym złem.

Mikael skroluje wiadomości na stronie „Gaskassen”. Też mi nazwa gazety, myśli sobie i na widok tytułów na czołówce uśmiecha się. PRZEDSZKOLE ÄLGEN SPRZEDAJE KORALIKOWE PRASOWANKI. DOCHÓD PRZEKAZUJE UKRAINIE. PRZEGRANA Z BJÖRKLÖVEN. BRAM-

KARZ USUNIĘTY Z BOISKA. Salo patrzy ponuro, siedząc w łoży dla VIP-ów razem z innymi facetami, którzy mają takie same miny. Gminne szychy. Czy tak się jeszcze mówi? O mężczyznach, którzy mają na względzie dobro gminy i własne.

A potem zatrzymuje się na tytule dopiero co przeczytanym. Chociaż nie w „Gaskassen”, tylko wcześniej: MIMER MINING BLISKI OTRZYMANIA KONCESJI NA WYDOBYCIE.

Na mniejszym zdjęciu widać wesołą buźkę Salo. Na większym demonstrantów z plakatami.

– Słyszałeś o tym? – pyta Mikael, podsuwając tamtemu zdjęcia.

– Oczywiście – odpowiada IB. – Mój stary pracował w kopalni, jak większość mężczyzn w Gasskas. Miała być nowa Kirunavaara, ale ruda skończyła się już w latach siedemdziesiątych i zalali kopalnię wodą. Nawet sobie nie zawracali głowy wyciągnięciem maszyn.

– To dlaczego znów chcą ją otwierać?

– Nie chodzi o otwieranie starej kopalni. Anglicy robią próbne odwierty w rejonie położonym kilka kilometrów dalej, gdzie zamierzają zrobić odkrywkę. Na razie zarząd prowincji się nie zgadza, co zupełnie zrozumiałe. Odkrywka doprowadziłaby do zagłady jezior, naraziłaby na niebezpieczeństwo zatrucia wody pitnej w pobliskiej Gasskasälven, a hodowcy renów zostaliby jak zwykle z niczym. Ale gdy w grę wchodzi duże pieniądze, nie przyjmuje się odmowy. Ponoć w zarządzie prowincji zrobili przezebrowanie i Mimer otrzymał wstępną zgodę.

– Tak po prostu – odzywa się Mikael.

– Gdybyś nie wiedział, to powiem ci, że Gasskas jest siedliskiem gangsterów – mówi IB. – A właściwie gmina Gasskas. – Wypija kilka łyków piwa, ściera pianę z brody i znów pije. – To szambo w sam raz dla oszustów – dodaje, beka parę razy, opróżnia do reszty butelkę i otwiera następną. – Gmina zgadza się na prawie wszystko, a kopalnia to niejedyna sprawa na tapecie. Następny projekt to największa farma wiatrowa w Europie, cholera wie, jak by to miało wyglądać. Powstałby teren przemysłowy o promieniu kilkudziesięciu kilometrów.

Mikael Blomkvist się uśmiecha. Malmö to szambo. Sztokholm też. W porównaniu z nimi licząca ze dwadzieścia tysięcy mieszkańców gmina Gasskas to raczej zagroda dla jagniątek.

– Dlaczego akurat Gasskas? – pyta Mikael.

– Dobre zaopatrzenie w energię – odpowiada IB. – Gdybyś nie wiedział, to gminy mające stabilną i taną energię rządzą światowym rynkiem. Lista zagranicznych firm, które chciałyby działać w gminie, jest długa.

– No tak, ale dla Norrlandii to chyba dobrze, że ludzie będą mieli pracę.

– Od razu można poznać, że jesteś z południa. Wy wciąż żyjecie mitem, że ludzie z Norrlandii muszą się stamtąd wyprowadzać za pracę. Tymczasem pracy jest całkiem sporo. W niektórych miejscowościach więcej niż ludzi do pracy. W dodatku na otwarciu kopalni w Gasskas nie skorzystaliby miejscowi, tylko kiepsko opłacani robotnicy ze wschodu i dojeżdżający do pracy mieszkańcy Sztokholmu, którzy nigdy nie meldują się na miejscu – burczy IB i kieruje wzrok na mijany krajobraz.

Mikael korzysta z okazji i wyciąga maca, jego ekran stanowi wystarczającą barierę między nimi.

Właśnie ukazał się ostatni numer „Millennium”, nie tylko w sensie aktualny, ale naprawdę ostatni. Mikael otwiera PDF i patrzy na czarno-białą czołówkę pozbawioną zarówno zdjęć, jak i blurbów. Wygląda jak pierwsza strona gazety z trzydziestego dziewiątego roku i taki był zamiar. Tylko trochę tekstu i jeden jedyny tytuł: KONIEC EPOKI, ALE WOJNA TRWA.

Trzydzieści jeden lat w służbie dziennikarstwa śledczego, ale dłużej się już nie dało. Musiał to przyjąć do wiadomości nawet Mikael Blomkvist.

Papierowa gazeta idzie do ziemi i powstaje z niej w formie podcastu. Podcastu! Tego nie da się wypowiedzieć, nie sycząc. Słowo pisane jest przeżytkiem. Teraz wszyscy mają się nawzajem przekrzykiwać, on też. Męczące to mało powiedziane.

„Zestarzałeś się, Mikaelu”, tak się wyraziła Erika Berger. „Stary i uparty jak osioł. To będą nie tylko podcasty. Będziemy również prowadzić blogi i vlogi”.

I co jej odpowiedział? Że ona, stara klempa, powinna rozumieć, że media społecznościowe nigdy nie będą mogły zastąpić prawdziwego dziennikarstwa. „Co ty sobie, kurde, myślisz? Nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś żalosna. Podcasty są dla dzieciaków. Egocentrycznych dwudziestolatków gadających o kosmetykach i zaburzeniach odżywiania”.

Od tamtej pory się nie kontaktowali. Na pewno nie odezwie się pierwszy, Erika może być tego pewna.

– Proszę – mówi IB. Przyniósł dwie butelki piwa, jedną podaje Mikaelowi. – Napij się, to będziesz lepiej spał.

– Cholera z tym zasięgiem – klnie Mikael, wałąc palcem w klawisz.

– Wybacz, ale jesteś w pociągu jadącym do Norrlandii – podkreśla IB. Mikael chowa laptopa i chce wstać, kiedy tamten znów otwiera usta.

– W Gasskas dzieją się dziwne rzeczy – mówi. – Ludzie znikają. Mężczyźni wychodzą po gazetę i już nie wracają do domu. Chłopcy idą do szkoły i... – Nie kończy zdania.

– To chyba nie jest takie niezwykle. Dziewięćdziesiąt pięć procent wszystkich zaginięć następuje podobno z własnej woli.

– Może i tak – odpowiada IB – ale co z pozostałymi pięcioma procentami?

Patrzą na siebie znad piwa.

– Nie wiem – odzywa się w końcu Mikael. – A ty co o tym myślisz?

– Pieniądze. Cały czas chodzi o pieniądze. O to, jak je zdobyć. Wydać. Pomnożyć. Ukryć. Zadłużyć się. Zrobić z siebie durnia. Zadłużyć się jeszcze bardziej. Zniknąć.

– Mówisz teraz o dragach? – dopytuje Mikael.

– Nie tylko – odpowiada tamten – chociaż Gasskas zaczyna się upodabniać do Järfälla. Dzieciaki ćpają na śmierć, a policja jest bezradna.

– Smutne to – mówi Mikael, przelatykając ostatnie ciepłe krople piwa.

– I będzie jeszcze gorzej, uwierz mi – ciągnie IB. – Kiedy kapitał przesuwają się na północ, suną za nim ciemne interesy. Już dojechał gang motocyklowy. Import prosto ze Sztokholmu.

– Hells Angels? – pyta Mikael.

– Nie, jakoś inaczej, ale też biblijna nazwa. Abbadon, Gehenna, Hades...

– Svavelsjö? ²

– Właśnie, tak się nazywają.

Do Mikaela dociera, że gość może mieć rację co do Gasskas. Svavelsjö MC, a to dopiero. Powinni już dawno być starci z powierzchni ziemi. Szybko sprawdza rzecz w smartfonie. Ostatnia wiadomość na ich temat pochodzi z ubiegłego lata. NA MOTORACH NA RZECZ DZIECI CHORYCH NA RAKA.

– Sprytnie łobuzy – zauważa IB. – Przejechali kawalkadą przez miasto i kazali sobie płacić za przejazdówki. Do każdej zarobionej przez nich korony gmina dopłaciła podwójnie. Zebrali sto czterdzieści tysięcy i wpłacili na dzieci chore na raka. Ślicznie, co?

– Faktycznie – mówi Mikael, starając się dojrzeć twarze ukryte pod kaskami i za okularami słonecznymi. Prawdopodobnie wszystkich wymie-

nili. Możliwe, że została tylko marka. W każdym razie wolno mieć taką nadzieję.

– A ty czym się zajmujesz? – pyta.

– Niczym, jestem od paru lat emerytem.

– A przedtem?

– Byłem psychologiem. Ostatnie dwadzieścia lat w Säpo ³.

– Co może tam robić psycholog?

– Różne rzeczy – odpowiada ogólnikowo IB. – Głównie profilowanie sprawców.

Mikael wie, jak rozmowni, a raczej nierozmowni bywają ludzie z Säpo. IB nie jest wyjątkiem.

– Po przejściu na emeryturę poznałem kobietę z Uppsali. Można powiedzieć, że jesteśmy parą na odległość.

Potem nie ma już nic do dodania poza życzeniem dobrej nocy, podziękowaniem za towarzystwo i piwo.

To był długi dzień. A następne będą jeszcze dłuższe. Mikael kładzie się w ubraniu. Od razu gasi światło i zamyka oczy. Wprawdzie nie zakłada, że uda mu się zasnąć. A jednak chyba przysnął, kiedy IB z Säpo zasuwa drzwi przedziału i gramoli się na pryczę nad nim.

– Nie śpisz? – pyta.

Mikael nie jest pewien, czy odpowiadać, a jednak mówi:

– Mhm, chyba nie.

– Mam córkę – mówi tamten. – Latem chodzimy razem na ryby, a zimą polujemy na pardwy. Zawsze była córeczką tatusia. Lubi pracować rękami. Miała ledwo piętnaście lat, jak latem zaczęła pracować w stolarni.

– A, to fajnie – odpowiada obojętnie Mikael w nadziei, że zaraz skończy się ten rodzinny narcyzm.

– Tak, syn też jest całkiem w porządku, ale Malin ma w sobie coś szczególnego. Ma, jak by to powiedzieć, dobre serce. Pewnie dała się nakłonić do jakiegoś świństwa tylko przez to, że chciała być miła. Zmieniła się z dnia na dzień. Rzuciła szkołę, chociaż do matury został jej tylko jeden semestr. Przestała spotykać się z przyjaciółmi. Nie chciała powiedzieć, o co chodzi, nawet bratu. Ciągle jeździła do Lule albo Kalix, czasem dzwoniła, żeby po nią przyjechać. Próbowałem być twardy, niech sama wraca, jak taka mądra. A kiedy nie wracała, nie spałem po nocach. Dzwoniłem do niej, zgłaszałem zaginięcie, sam jej szukałem. Odzyskiwałem ją na kilka dni, a potem znów znikła. Po paru tygodniach przyszła kartka ze Sztokholmu.

Wszystko w porządku, pisała. Wrócę, jak będę gotowa. Potem dość długo nie mieliśmy kontaktu, aż tu nagle znów się pojawiła w Gasskas. Zapisła się do szkoły wieczorowej, żeby zrobić tę maturę. Wróciła do gry w hokeja i była taka jak dawniej.

Mężczyzna milknie. Nawet chrapanie pozostałych pasażerów cichnie. Strzała Laponii ryczy jak zwierzę, sunąc przez noc, a Mikael w końcu pyta:

– I co było dalej?

– Zniknęła. To było dwa lata temu. Od tamtej pory nikt nie miał z nią kontaktu. Ani śladu. Do wczoraj. Zadzwoiła policja. Myśliwy znalazł szczątki ludzkie. Sądzą, że to może być Malin. Jadę tam, żeby pobrali ode mnie próbkę DNA.

4

ESEMES PRZYCHODZI RANKIEM. *O 15.30, cmentarz. Przyjdź. Bo inaczej.*

Inaczej – co? Svala nie wie.

Zaczął się zaraz po zniknięciu Mamamärty. Svala otwiera drzwi i do środka wciska się paru typów. Od jakiegoś roku na uniform wkładają skórzaną kamizelkę z logo Svavelsjö MC na plecach. Latem rozjeżdżają się na amerykańskich motorach, ale teraz jest zima. Na ulicy stoi dodge ram, pomrukując na jałowym biegu.

Nie rozumiesz, jaki to zaszczyt być w Svavelsjö. To jest klub z klasą. Zupełnie niezależny od klubów HD⁴. Mają własny wyścig, a motory są dla nich wszystkim.

I jeszcze pracują jako organizatorzy zajęć rekreacyjnych, dopowiada Svala.

Dokładnie, mówi Plastpeder. Zwyczajni przyzwoici robociarze.

Svala nazywa znajomków Plastpedera kolejnymi literami alfabetu. Nie ich prawdziwymi imionami, ale raczej chronologicznie, w takim porządku, w jakim się pojawili w jej życiu.

Z dokładnością sekretarki zapisuje ich w zeszycie. Te dwa egzemplarze siedzące z przodu to znajomi o literach E i F.

Zeszyt liczy sobie co najmniej siedem lat, ale z czasem podlegał zmianom. Z początku notowała w nim takie rzeczy jak „Byłam z E we Frasses” albo „F jest miły, kiedy jesteśmy sami”. Teraz ogranicza się do liter i znaków szczególnych. Na przykład F ma fioletowe znamię na lewej skroni. E nie ma owłosienia i jest okropnie gruby.

E wciska ją w tylną kanapę, siada obok i obejmuje ramieniem, w tym spoconą pachą.

– I jak się masz, mała? – pyta.

– Dobrze – odpowiada dziewczynka, wstrzymując oddech, aż się wyplą-
cze z jego objęcia.

– Widzisz, mamy pewien wspólny problem – mówi E. – Chodzi o twoją
matkę. Märte. Jesteś sprytną dziewczynką, więc przypuszczamy, że wiesz,
gdzie ona jest.

– Nie wiem – odpowiada Svala zgodnie z prawdą. Wieczorami chodzi
z miejsca na miejsce, zaczynając od Buongiorno i kończąc na Statt ⁵, ale
nikt nie widział Mamamärty.

Od pewnego czasu rozszerzyła teren poszukiwań. Prosto po szkole rusza
do miasta i krąży po sklepach, domu towarowym Åhlens, dalej idzie przez
bibliotekę do monopolowego i jeszcze na stację benzynową OK.

Czasem wydaje jej się, że ją dostrzega. Poczucie ulgi rozchodzi się po
całym ciele, podobnie jak potem uczucie zawodu, kiedy widzi, że się pomy-
liła.

– Märta jest nam winna kasę – ciągnie on. – Dużo kasy.

– No i? – mówi Svala. – Co to ma wspólnego ze mną?

E znów przyciąga ją do siebie.

– Pamiętasz, jak byliśmy na sankach w Kåbdalis?

*Pozjeżdżaj sobie, muszę tylko załatwić parę rzeczy. Przyjdę po ciebie
później.*

– Lubię cię, mała, wiesz, że tak jest, ale dług to dług. Dziedziczy się nie
tylko dochody. Skoro twoja mama zniknęła, to ty musisz zapłacić. Chyba to
rozumiesz.

– Ja nie mam pieniędzy – odpowiada Svala. – I nie mam na imię Mała.

– Nie, no jasne. Jesteś już dużą dziewczyną – mówi E i szczypie ją
w policzek. – A duże dziewczyny mają to do siebie, że mogą pracować.
Musisz po prostu przejąć robotę twojej matki. Dopóki się nie pozbędzie
długu.

– To niemożliwe – stwierdza Svala. – Chodzę do szkoły.

– Właśnie – punktuje E. – Podobno cholernie dobrze radzisz sobie
z cyframi, a my mamy dla ciebie robotę. Wykonasz ją, a dług będzie spła-
cony.

No i teraz czekają w samochodzie. Według F w domu nie ma alarmu.

– Czego mam szukać? – pyta Svala.

– A co ludzie trzymają w kasach pancernych, jak myślisz, Mała? Może
cenne przedmioty. Bierz wszystko. Przeszukamy cię milimetr po mili-
metrze, więc nie próbuj cwaniakować. Forsa, biżuteria, cokolwiek.

Svala zamyka tylne drzwi auta możliwie najciszej i sunie pod górę do domu. Za nią podążają z drzewa na drzewo dwa kruki. To dobrze. Ostrzegają ją, jeśli nagle pojawi się jakiś samochód albo człowiek.

Dziewczynka nie wie, kto tu mieszka, ale i dom, i to, co widzi wokół niego, wyglądają na kosztowne. Całkiem inaczej niż zwyczajne chałupy w Gasskas, chlapnięte na czerwono z białymi narożami, otoczone żywopłotem z jarzębiny.

Poniżej domu rzeka zakręca na czarnych skałkach i woda z nich spada. Ogród wygląda bardziej jak park. Wprawdzie to jesień, późny październik, ale tu i ówdzie kwitnie róża.

Svala gładzi zimną głowę lwa, wchodzi na szerokie schody i dzwoni do drzwi. Taki był plan. Zadzwoń. Upewnić się, że nikogo nie ma. Oferować losy na loterię hokejową, gdyby jednak okazało się, że ktoś jest. Włamać się i pójść za ręcznie narysowaną mapką, którą dostała od D.

Nikt nie otwiera. Svala naciska klamkę. Zamknięte. Obchodzi dom i sprawdza drzwi tarasowe. Też zamknięte. Idzie na zachodni szczyt domu, gdzie są drzwi do piwnicy. Również zamknięte. Przesuwa dłońmi po wszystkich szparach i możliwych kryjówkach przy schodach do piwnicy.

Robię to dla ciebie, Mamamärto. Pomóż mi się tam dostać.

Drzwi mają okienko podzielone na małe szybki, ale dostatecznie duże, żeby się zmieściła ręka dziewczynki. Svala chowa dłoń w rękawie i wybija szybkę. Odłamki szkła przebijają materiał, gdy zaczyna macać ręką w poszukiwaniu klamki. Krew lepi się na podszewce. Jest klucz, przekręca go i wchodzi do środka.

Wzrok przyzwyczajają się do ciemności. Dziewczynka wchodzi powoli po schodach. Zatrzymuje się na dłużej przed wewnętrznymi drzwiami, a w końcu wychodzi do mocno rozświetlonego przedpokoju. Po marmurowej podłodze hasają słoneczne zajaczki. Svala zdejmuje buty i wyjmuje mapkę, którą jej dali, czyli kilka kresek na odwrocie nieotwartego listu od komornika.

Pokój znajduje się na piętrze. Wygląda jak wycięty z fotoreportażu o domu pisarza Jana Guillou. Rzędy zwierząt poumieszczanych starannie na ścianach, na podłodze albo na półkach. Spoglądają na nią pustymi oczami. Po raz drugi w tym dniu gładzi łeb lwa.

Kasa pancerna znajduje się w garderobie. Dziewczynka klęka przed nią po rozsunięciu garniturów.

Podobna do tej w pizzerii, jeśli nie liczyć koloru. Żadnych elektronicznych funkcji do złamania. Same cyfry i litery.

Swała przesuwając dłoń po przyciskach. Zamyka oczy i wyobraża sobie, że stoi w środku labiryntu. Patrząc z góry, można by interpretować labirynt jako fałdy kory mózgowej z pokojami i komorami. Większość przejść to ślepe uliczki, inne to kręgi. Tylko nieliczne prowadzą naprzód.

Sukcesywnie wyłączają się u niej wszystkie zmysły; węch, słuch, czucie i ta część wzroku, która patrzy na zewnątrz. Serce bije wolniej, tętno słabnie do minimum.

Gdyby ktoś pytał, powiedziałyby, że to logiczne. Zamiast rozpraszać się równomiernie na zmysły i organy ciała, energia koncentruje się w jednym jedynym miejscu: zdolności oka do spojrzenia wewnątrz.

Pytający zapewne zakwestionowałyby jej teorię, odrzucając ją jako fantazję, jednak pozostaje fakt: to działa. Wzrok do wewnątrz nie potrzebuje kluczy. Żadnych dowodów empirycznych ani zespołów naukowych. Niezależny od wszystkiego, co przyziemne, kierowany jest jedynie przez gospodarza tego oka. W tym przypadku Swałę.

Następuje kliknięcie w drzwiach kasy pancерnej.

Swała siedzi przez chwilę i nasłuchuje. W domu wciąż panuje cisza. Jeśli ktoś przyjdzie, no to przyjdzie. W końcu jest tylko trzynastolatka na włamaniovym objeździe. Najgorsze, co by się mogło zdarzyć, to to, że mogliby ją gdzieś wysłać. Co być może nie byłoby takie złe.

Minuta i już otworzyła drzwi kasy.

Która jest pusta.

Żadnych plików banknotów, brylantowych naszyjników, tiar królewskiego pochodzenia czy sztabek złota. Na wszelki wypadek przesuwając dłoń po wnętrzu. Kasa jest pusta jak puszcza po piwie.

Dziewczynka zamyka drzwi kasy, poprawia wiszące garnitury i przeszukuje kieszenie marynarek. Kilka monet, karteczka z zagranicznym numerem telefonu i pudełko na snus, to wszystko. Chowa je do kieszeni kurtki i przechodzi do biurka. To samo. Nic cennego.

Nie uwierzą jej. Przeciwnie, powiedzą, że schowała pieniądze w lesie, albo coś równie głupiego.

E i F należą do przyjaciół biznesowych Plastpedera, jak ich sam nazywa, chociaż to dość śmieszne. Razem z innymi podobnymi przegrywami tworzą płaskowyż w hierarchii, która zaczyna się od mężczyzn bez nazwisk, a koń-

czy na... tego Svala tak do końca nie wie. Może na takich jak ona albo drobnych dilerach z ledwo wyrosłym wąsikiem.

Widuje ich, odkąd tylko sięga pamięcią. Starła się trzymać z daleka, kiedy na kanapach tłoczyli się pijacy i ćpuni albo nawet gdy był sam Plastpeder. Wyjściem z tego była zawsze ucieczka do wewnątrz. Umiejętność wyłączenia dźwięków i głosów. No i, rzecz jasna, Mamamärta. Jak mur między nimi a nią. Przynajmniej czasami.

Robię to dla ciebie. Kiedy to się skończy, wyjedziemy stąd. Ty zdecydujesz, gdzie zamieszkamy. Tylko nie zapomnij, Svala. Robię to dla ciebie.

Svala nie jest zaciekła, tylko sprawiedliwa. Dziecka nigdy nie wolno nie doceniać. Ono zbiera słowa. Zapisuje je. Tworzy kolumny dat, zdarzeń, nazwisk i miejsc, a potem zaszywa zeszyt w tyłku pluszowej małpki.

Pewnego dnia znajdzie sposób, żeby ich wsadzić. Wsadzić Pedera Sandberga. Nienawiść to słowo niepotrzebnie wartościujące, które człowieka osłabia.

Mówią, że najgorszy z nich wszystkich jest prawdziwy tata Svali. Wręcz legendarny, wspominany tylko dla określenia czegoś naprawdę okropnego. Z każdą opowieścią coraz wyższy i potężniejszy. Mimo to Svali trudno wyobrazić sobie kogoś gorszego od Plastpedera.

Jeszcze nie teraz. Ale wkrótce przyjdzie na ciebie kolej. Ta myśl ją uspokaja.

Wyjść z tego zoologu, przez przedpokój i na dół schodami. Przystaje, nasłuchując. Cholera. Kroki na schodach.

Zawraca szybko do zoologu. Zaciąga drzwi garderoby i wsuwa się między garnitury, gdzie sapie w jakiś rękaw, dopóki jej tętno się nie uspokoi.

Kroki są już wyraźne. Szybkie i zdecydowane, kierują się do garderoby. Dziewczynka kuca, robi się mała, jak coś zgniecione i wciśniętego w głąb.

Mamusiu kochana, pomóż mi ostatni raz. Potem dam ci już spokój, gdziekolwiek jesteś.

Za garniturów dostrzega kogoś, mężczyznę. W tym momencie pojawia się wspomnienie. Znała go kiedyś, chociaż tak dawno, że nie powinna tego pamiętać.

Svala siedzi mu na ramionach. Mamamärta jest taka wesół. Idą na plażę. Dziewczynka dostaje loda. Ktoś woła. Poznaje ten głos. Głos jest

gniewny. Ściąga Svalę na ziemię. Dziewczynka uderza głową o kamień. Czyjaś ręka chwyta ją, niesie tak jak wytrzepany dywan i idzie do samochodu. Dziewczynka krzyczy. Mamamärta biegnie. Samochód odjeżdża.

Svala ma zamknięte oczy, dopóki wspomnienie nie zniknie.

Palce wybierają szyfr, otwierają drzwi kasy pancерnej, potem znów zamykają, kroki odchodzą.

Svala musi wydostać się z domu. Typy w samochodzie niech sobie robią, co chcą. Wyplątuje się z gęstwiny garniturów i krok po kroku zmierza ku schodom. Przystaje. Nasłuchuje. Dom jest pusty, prawie na pewno. Taki pusty i cichy, że...

Nie rób tego. Wracaj do auta. Zabij cię.

Tak, a jeśli ją zabiją, to kto znajdzie jej Mamamärte?

Svala wraca do kasy pancерnej. Wybiera szyfr i modli się o zdobycz. Nadal żadnych plików banknotów. Jedna jedyna koperta. Zaklejona, w środku jest coś twardego, na kopercie jej własne imię i nazwisko: DLA SVALI HIRAK. Rozdziera kopertę. Klucz.

Nie może wrócić z pustymi rękami. Jednak zsuwa majtki i wciska klucz jak najgłębiej. Ryzykuje, bo nie ma gwarancji, że nie będą i tam szukać. Zgniecioną kopertę wsuwa do kieszeni.

Dopiero stojąc w przedpokoju, przypomina sobie: buty. Jej porządnie ustawione adidas, które nie pasują do tego domu. Musiał je zauważyć. *Mężczyźni nie dostrzegają szczegółów. Nigdy nie proś mężczyzny, żeby ci czegoś poszukał. Oni są beznadziejni.*

W oczach Mamamärty są beznadziejni w większości spraw, a jednak wydaje się od nich uzależniona.

Jeśli wyrzucisz Plastpedera, nie będziesz musiała się na niego złościć.

Jesteś za mała, żeby to zrozumieć, odpowiada Mamamärta, i nie mów Plastpeder. Przynajmniej kiedy słyszy.

W dół schodami do piwnicy. Zbite szkło zgrzyta pod butami. Skreca za róg domu. Upewnia się, że na podwórku nikogo nie ma, i biegnie w stronę samochodu. Przy stodole zwalnia, by złapać oddech i zebrać myśli.

Nie ma dobrego wyjścia. Może tylko powiedzieć, jak jest – że kasa pancerna była pusta. Co będzie, to będzie, jest przygotowana.

5

SAMOCHÓD PODJECHAŁ KAWALEK. Jeszcze jej nie dostrzegli. E opuszcza szybę i zapala papierosa.

– Zgadzam się. Dzieciak już za dużo wie.

Swała nie słyszy odpowiedzi F.

– Dobra, ale jednak – mówi znów E. – Zaszczyt przypadnie tobie – ciągnie – ale nie tutaj. Może pojedziemy do Vaukaliden.

Dla mieszkańców Gasskas Vaukaliden znaczy to samo, co dla kogoś ze Sztokholmu stójka w zatoce Nybroviken. Swała przyciska się do ściany stoły, odsuwając się krok po kroku dalej od samochodu. I kiedy został jej może metr, by znaleźć się poza zasięgiem ich wzroku, nagle podjeżdżają bliżej i włączają długie światła.

Pierwszy odruch to osłonić oczy. Następny to biec. Zając ma niezasłużoną opinię tchórza. Za to dobrze mu idzie uciekanie.

Zając odwraca się, przeskakuje rów, potyka się o gałąź, znów się zrywa i pędzi do lasu, w górę na skałę.

Drzwi samochodu trzaskają. Szybkie kroki po szutrowej drodze. Dziewczynka się zatrzymuje. Jeśli się ruszy, odkryje ją. Jeśli się nie ruszy, on ją dogoni.

Zając biegnie. Jeden strzał przelatuje tuż nad barkiem. Kolejny chybia prawą nogę na długość zajęczego omyka.

Przez las jest skrót. Ścieżka. Łącznik między wsiami. Droga do szkoły dla bojącej się ciemności babci, zanim powstały prawdziwe drogi. Kozłek lekarski, dziurawiec, bagno zwyczajne, rumianki. Dawne dzieje. Może z innego życia.

Ciemność osłania, odgłosy zdradzają. Tamten się zbliża. Trzaskają gałązki. Sapanie w kark. Jej płuca też walczą o oddech. Dziewczynka maca

na ziemi. Gałązka i kamień. *To twoja ostatnia szansa, zajączku. Potem zginiesz.* F zwalnia. Nasłuchuje. Dziewczynka czeka.

F robi kilka kroków. Znów nasłuchuje. Zaraz. Zaraz. Dziewczynka decyduje się na gałąź. Kamień kładzie przy stopie. Podnosi się powoli, chwytając gałąź w obie ręce. Jest ciężka. Cięższa, niż myślała.

– Giń, draniu! – krzyczy Svala. – Giń.

Wali go raz, drugi, potem wypuszcza gałąź.

A jeśli nie zginął? Zając rzuca się do ucieczki. Księżyc unosi się nad czubkami drzew. W oddali majaczy sylwetka Björkberget. Kieruje się w stronę góry, biegnie, przewraca się, zrywa. Gałęzie świerków płaczą się wokół nóg. Niedługo powinna być ścieżka. Biegnij, zajączku, jeśli chcesz przeżyć. A chce? Dziewczynka biegnie. Mchy przechodzą w mokradła. Chłupie jej pod butami. Wpada. W bezdennych mokradłach mieszkają duchy. Skrzypy, skalnice, siano, woskownice. Woda sięga już kolan. Svala opada z sił. Chwyta się młodej brzoźki i dzięki niej wydostaje się z wciągającego bagna. Przeskakuje ostatni rów i wychodzi na ścieżkę.

Chowa się za pniem sosny. Pozwala sobie przez kilka sekund nabrać tchu. Nasłuchuje kroków, ale w lesie panuje cisza. Krople deszczu padają na liście i zarośla. Księżyc wędruje po nieboskłonie.

Zajmij czymś głowę, żebyś nie zabłądziła. Zdrap trochę żywicy i zrób sobie gumę do żucia.

Jest za ciemno na szukanie żywicy. Dziewczynka zrywa witkę sosny, smak krwi zamienia na gorycz z igieł i idzie dalej.

Gdzieś tu powinien być dom.

Biedna Marianne, nie miała lekko, mówi babcia.

Dlaczego?, pyta Svala.

Straciła dzieci.

Na parterze się świeci.

– Kto tam?

– Svala. Chciałam wracać do domu skrótem.

– Przez las, wieczorem, w ulewnym deszczu, czyś ty oszalała? Wchodź zaraz.

Kobieta bierze jej kurtkę i wiesza na krześle przed kominkiem. Buty napycha papierem gazetowym i stawia obok.

– Rozbierz się – mówi. – Spodnie też zdejmij.

Kołyszącym krokiem idzie do izby obok i wraca z parą wytartych dzinsów w dziecięcym rozmiarze i wełnianym swetrem ze skórzanymi łatami na

łokciach.

– Te będą na pewno dobre. Może nie najmodniejsze, ale za to będzie ci sucho i ciepło. – Dostrzega coś i pociąga za ramię Svali. – Krew ci leci – mówi, a wtedy Svala też widzi, że rękaw przemókł nie tylko od deszczu. Wraca w myślach do tamtego domu i rozbitej szybki w drzwiach do piwnicy. Pewnie zostawiła za sobą plamy krwi. Cholera. Powinna tam wrócić, zetrzeć je, ale ręce kobiety są suche i ciepłe. Pachnie chlebem, a ten dom jest miły.

– To nie boli? – pyta kobieta, przyglądając się skaleczeniu, które rozchyła się jak filet rozcięty nożem.

– Nie – odpowiada Svala. – Ma pani może plaster?

– Powinno się to zszyć – mówi tamta, grzebiąc w szafce kuchennej. Wraca, niosąc spirytus i bandaż. – Będzie szczypało – ciągnie i psika spirytusem na skaleczenie.

Svala nie mówi, że nie wie, co to znaczy. Pozwala zakleić się chirurgicznym przyklepcem, na to bandaż, prawdopodobnie całkiem niepotrzebnie. Tu jest przytulnie. Dawno nie jadła. A najbardziej chce jej się spać.

– Mieszkasz tu w osiedlu? – pyta kobieta. – Może powinnaś zadzwonić do domu.

– Nie potrzeba – mówi Svala.

– Ach tak, w takim razie czyja ty jesteś?

– Märty Hirak.

– Märty – mówi kobieta, mieszając w jakimś garnku. – Często tu przychodziła, jak była mała. Potem nie wiem, co się z nią stało. Tak czy inaczej, dawne dzieje – zauważa i nie patrząc dziewczynce w oczy, stawia przed nią talerz zupy.

Potem nadziewają na widelec kawałki sera chlebowego i maczają w zupie tak długo, aż ser stanie się łagodny w smaku.

– Sama pani tutaj mieszka? – pyta Svala.

– Tak, nawet się tutaj urodziłam.

– Przytulna ta kuchnia – stwierdza Svala i ziewa.

– Połóż się na trochę na tej kanapie – mówi kobieta, a Svala nie odmawia. Nawet nie zauważa koca, którym zostaje okryta. Ani tego, że kobieta dzwoni do kogoś, a nieco później ktoś puka do drzwi.

Budzi się, kiedy słyszy głosy. Kobieta, Marianne, i druga kobieta siedzą na fotelach, są w okularach i trzymają przed sobą jakieś papiery.

– Ależ Marianne, nie mogą cię zmusić – mówi młodsza z nich, na imię jej chyba Anna-Maja.

– Tacy panowie mogą zrobić znacznie więcej, niż sobie wyobrażasz – odpowiada Marianne.

– Tak, ale jednak nie wszystko. Jak nie chcesz sprzedać, to nie i już.

– Będę tu mieszkać do śmierci – mówi Marianne. – Muszą mnie zastrzeżić, jeśli chcą wcześniej przejąć moją ziemię.

Widzą, że Svala się obudziła, i wtedy milkną. Zbierają papiery i odnoszą filiżanki do zlewu.

– Rozmawiacie o farmie wiatraków? – pyta Svala, siadając.

– To córka Märty Hira – wyjaśnia Marianne, wskazując głową w jej stronę.

– Proszę, proszę – mówi Anna-Maja. – Nie widziałam cię, odkąd byłaś niemowlęciem. Rzeczywiście, rozmawiamy o wiatrakach. Nie mamy nic przeciwko nim. W każdym razie w umiarkowanej liczbie. Jednak ludzi nie powinno się zmuszać, żeby oddali swoją ziemię. Prawda, Marianne?

– Ale jeśli wszyscy odmówią – odpowiada Svala – to co będzie? Jednak energia wiatrowa jest chyba lepsza od jądrowej, prawda?

– Ależ tak – zgadza się Marianne – tylko że las jest wielki. A oni budują w takim miejscu, żeby najwięcej na tym zarobić, a nie tam, gdzie byłoby najlepiej. Zostałam w tym domu dla panującej tu ciszy, no i dla lasu. Oni i tak będą budować, nie zważając na moje zdanie, ale o mojej ziemi decyduję tylko ja. Koniec i kropka.

– To pewne jak amen w pacierzu – stwierdza Anna-Maja. – Dziewczynka może zabrać się ze mną, jeśli chce.

Milczą prawie całą drogę do miasta, w końcu Svala zbiera się na odwagę.

– Pani zna moją mamę?

– Właściwie to nie. Jest parę lat starsza ode mnie, ale oczywiście wiem, kim jest. Słyszałam, że zaginęła, a może wróciła?

– Co nieskradzione, musi się odnaleźć – mówi Svala. Ta myśl prowadzi ją do klucza, który obciera ją między nogami. Klucza, który może być do wszystkiego, ale przecież nikt nie przechowuje klucza w kasie pancерnej, jeśli nie jest ważny. Wkrótce zostanie zaszyty w małpie, jej osobistej kasie pancерnej.

– Uważaj na siebie – mówi kobieta, gdy Svala wyskakuje z samochodu.

– Proszę pozdrowić panią Marianne – mówi Svala. – Chyba jej nie podziękowałam.

Jest po północy, gdy Svala wkłada klucz do zamka w mieszkaniu. Najpierw nie może otworzyć drzwi i musi się przepchnąć przez szparę.

Ciało leży na boku. Spódnica podwinęła się, odsłaniając żyłki. Babcia nie wygląda na ranną ani przerażoną. Svala odwraca ją na plecy i dzwoni na 112. Może tylko zemdląca.

Czy ma puls? Nie wie. Czy oddycha? Nie. Wargi są sinawe. Skóra szara.

– Babciu – mówi Svala, potrząsając ją lekko za ramię, ale babcia już zrywa margerytki wzdłuż wydeptanej ścieżki w lesie.

Kocha, nie kocha.

– Wydaje mi się, że nie żyje – ciągnie Svala. – To znaczy, właściwie jestem pewna. Mojej babci już nie ma w jej ciele. Może byście przyjechali, żeby ją zabrać?

– Za piętnaście minut – mówią w centrali 112.

Piętnaście minut, kwadrans.

Podnosi wzrok na lustro w przedpokoju. Na szafce pod telewizor, gdzie telewizora już nie ma, leży przewrócona monstera. Svala dba o nią i podlewa. Wiosną przesadza ją i użyźnia ziemię. Masz rękę do kwiatów, mówi babcia. Nietrudno o to, skoro mają tylko jedną roślinę doniczkową.

Ktoś tu był. Svala idzie po śladach z pokoju do pokoju. Ubrania wyrzucone na podłogę, drzwi od szafy otwarte na oścież. Większość rzeczy, które były gdzieś poupychane, leży teraz w stertach na podłodze.

Mała siedzi bezpiecznie w swoim kącie. Dziewczynka się uspokaja. Ten cały chaos da się posprzątać. Szukali czegoś, a teraz babcia leży nieżywa na podłodze w przedpokoju.

Svala zmiata ziemię monstery. Filmy DVD i książki, które zostały rozrzucone na całej podłodze, wpycha pod kanapę. Zamyka drzwi do sypialni i sprawdza, co widać z przedpokoju.

Bałagan może ich skłonić do zawiadomienia policji, a to ostatnia rzecz, jakiej jej trzeba. Odwieźliby ją gdzieś, bo przecież jest jeszcze dzieckiem.

Jakim ja tam jestem dzieckiem, prawda, babciu? Głaszcząc jej szpakowate kosmyki nad czołem, poprawia jej ubranie.

Tak niewiele wie o babci. A jeszcze mniej o reszcie rodziny.

– Nie zwracaj sobie nimi głowy – odpowiada Mamamärta, kiedy Svala pyta. – Oni to oni, a my to my.

– Powinnaś nauczyć ją języka – odzywa się babcia.

– A na co?

– Żeby sama mogła wybrać.

Ale Svala nie może rozgryźć, o co chodzi z tym wyborem. I przestaje pytać.

– Mamy zadzwonić po kogoś? – pyta człowiek z karetki pogotowia.

– Nie potrzeba – odpowiada Svala. – Moja ciotka już tu jedzie.

Samotność to szczególne słowo. Brzydkie, a jednocześnie piękne. Svala zamyka się w swoim pokoju i zaciąga komodę przed drzwi. Drugie piętro. W najgorszym razie będzie musiała wyskoczyć.

Noc mija bez żadnych zdarzeń. O świcie Svala ubiera się ciepło, zamyka drzwi na klucz i rusza w stronę Björkberget.

Chowając się między drzewami, mija dom Marianne Lekatt i idzie dalej aż do ścieżki.

Ze swojej kryjówki podrywa się cietrzew. Paprocie pochylają się od przymrozka. Po dojściu do rowu patrzy na mokradła. Skacze z kępki na kępki, gdzie brzoźki czepiają się ziemi, i wchodzi w las.

Idzie na wycucie, z tyłu ma górkę, a słońce na wschodzie. Najpierw widzi obcas buta.

Pamiętasz, jak poszliśmy na sanki w Kåbdalis?

F leży na wznak. Jego głowa to paćka z krwi i połamanych kości. W ręce wciąż trzyma broń. Najpierw zjawi się kruk. Potem lis, rosomak, szczury i ptaki drapieżne. A na końcu robaki. Svala delikatnie uwalnia broń z jego ręki i wraca do domu.

Nie ma śladów bytności kreatur w butach kowbojskich i skórzanych kamizelkach. Svala robi sobie herbatę i szykuje kanapki. Z tyłka mały wyjmuje zeszyt i pod F tworzy nową kolumnę.

Zmarły.

6

POCIĄG MA SPÓŹNIENIE, więc jest już prawie widno, gdy Mikael Blomkvist wysiada w Älvsbyn. Idąc w stronę budynku stacji, rozgląda się za Pernillą.

Córka ma jakiś czerwony samochód, ale żadnego czerwonego tu nie widać.

Na parking wjeżdża coś podobnego do dżipa i zatrzymuje się przed nim. Ma opuszczoną szybę.

– No cześć, teściu – woła kierowca. – Wskakuj.

Mikael wstawia walizkę na tylne siedzenie. Nie ma Lukasa. Jest tylko Henry Salo.

– I tak miałem coś do odebrania w Älvsbyn – mówi Salo. – A Pillan zapomniała, że chłopak ma iść do dentysty. Pozdrawia. Cholernie fajna pogoda jak na październik. Miałeś dobrą podróż? Jadłeś jakieś śniadanie?

– Mówisz na nią Pillan? – pyta Mikael.

– Tak jest, jak na tę narciarkę od slalomu. Podobne są, prawda?

– Nie bardzo – odpowiada Mikael. – Ona jest raczej... – Więcej nie zdąży powiedzieć, bo Salo rozpoczyna prelekcję krajoznawczą, która sięgnie aż do Gasskas, a obejmuje wszystko: od odmian sosny, przez tory testowe dla samochodów, byłe dziewczyny i tereny zjazdowe, aż po łowiska rybne i jagody z mokradeł.

Koło Storforsen zatrzymują się na kawę. Kiedy znów wsiadają do samochodu, wspomina mimochodem, że właśnie tutaj wezmą ślub.

– Kaplica to ten budynek, który widziałeś nad rzeką, chociaż ślub odbędzie się chyba przy bystrzu. W każdym razie, jeśli wolno mi będzie zdecydować. A wesele odbędzie się w barze Raimos. No wiesz, tam gdzie kręcili *Jägarna*. Wynajęliśmy cały lokal. Pillan by pewnie wołała hotel, ale Raimos to miejsce bardziej autentyczne, by tak rzec. Na moim weselu

będziemy jeść, pić i tańczyć. Może chcesz poprowadzić? Dopiero co go odebrałem. Nowiusieńki merc, żaden elektryk. Tamto gównu się u nas nie przyjęło. No tak, chyba że jako służbowe, wtedy nie ma wyboru, jeśli się nie chce ściągnąć sobie na głowę tych ekofaszystów.

– Nie – odpowiada Mikael. – Prowadź ty, znasz drogę.

Salo zerka na niego.

– Chyba masz prawo jazdy? – upewnia się. – Przepraszam, że pytam. No wiesz, jak ktoś jest ze Sztokholmu... – Śmieje się.

Tuż przed Gasskas Salo zwalnia przed renami na drodze. Na parkingu kawałek dalej zebrała się grupa ludzi w kamizelkach odblaskowych.

– Missing People – mówi Mikael. – Czego oni szukają?

– Kto wie, pewnie jakiegoś naćpanego dzieciaka, który się zgubił w lesie.

– Aż tyle jest tutaj dragów?

– To jakby pytać, czy zbieracze jagód srają w lesie! Jak dotąd uniknęliśmy przynajmniej strzelanin gangów. Co to jest, żeby policja nie potrafiła wyłapać tych kilku brodaczy i ich odesłać do kraju talibów.

– Czy ty nie mieszasz przypadkiem dwóch różnych spraw? – odzywa się Mikael.

– A nie, nie mieszam i tylko mi nie mów, że ci, co biegają z nabitą bronią, to szwedzkie dzieciaki.

– Większość z nich urodziła się już w Szwecji – próbuje przekonywać Mikael, ale Salo mu przerywa.

– To jak jakaś cholerna epidemia – mówi. – A policja tylko sterczy, błazny jedne, nic nie rozumieją. Kurde, tych ludzi trzeba po prostu pozamykać, a klucz wyrzucić.

Mikaelowi nawet nie chce się odpowiadać, wtedy Salo znów zmienia temat.

– Chyba powinienem powitać cię serdecznie w Gasskas. Małym miasteczku z wielką wizją.

– To wasz slogan? – pyta Mikael.

– Nie, ale trafiłeś w sedno. Powinniśmy mieć nowy slogan. Może rozpiąć konkurs z fajnymi nagrodami. Jakies darmowe bilety na hokej albo kolacja w hotelu miejskim.

– Małe miasteczko z wielkim burmistrzem – podsuwa Mikael, który już ma dosyć Henry'ego Salo.

– Niezłe – rechocze Salo. – Tutaj jest nowy basen. Otworzyliśmy go tydzień temu. A na lewo nasza świątynia.

– Kościół.

– Siedziba gminy. Tu jest początek wszystkiego. Samo serce miasteczka.

– Masz na myśli siedzibę Sala – dopowiada Mikael i zerka na niego. Chciałoby się zapytać, co Pernilla w nim widzi. Facet wydaje się parodią samego siebie.

– Niezły pomysł – mówi Salo. – Dzięki! W weekend otwieramy halę targową. Jeszcze nie ma nazwy, więc jak myślisz?

– *Salohala* – mówi Mikael.

– Właśnie, beze mnie by jej nie było. E tam, żartuję – dodaje. – W te przedsięwzięcia jest zaangażowanych wiele osób, nie tylko ja.

– Jak w kopalnię? – dopytuje Mikael, a Salo się rozpromienia.

– Właśnie – mówi. – Dokładnie. Domyślam się, że czytałeś o tym. To świetny projekt, który naprawdę mógłby wprowadzić korzystne zmiany dla całej okolicy. Skała macierzysta jest bogata w metale ziem rzadkich. I nie tylko skała macierzysta, bo również hałdy z innych kopalń. Cały świat cierpi na niedostatek tych surowców i chyba lepiej zająć się tym problemem we własnym kraju, niż kupować to gówno w państwach nierozwiniętych, skoro w tamtejszych kopalniach ludzie giną jak muchy. Tak – mówi, odpowiadając na swoje pytanie – trzeba naprawdę mieć nadzieję, że ekofaszyści pójdą po rozum do głowy. Przecież nie możemy tracić miliardów przez wzgląd na kilku nędznych hodowców reniferów.

– Nie, no jak by to wyglądało – zauważa Mikael i wraca myślami do IB. Jeden wydaje za mąż córkę, inny szuka swego zaginionego dziecka.

Zamierzał mu powiedzieć coś rano, ale z przyjściem poranka zrobiło się mało czasu. Podał mu wyświechtaną wizytówkę z logo „Millennium” i zaproponował, żeby któregoś dnia umówić się na piwo. Taka rzecz, jaką się mówi, żeby było miło, chociaż pewnie nic z tego nie wyjdzie.

7

MARCUS BRANCO NIE LUBI ZIMNA, za to lubi mieć widok.

– Otwórz – mówi i drzwi się otwierają. Wyjeżdża na taras i bierze kilka głębokich oddechów.

Poniżej ma przestrzeń jak okiem sięgnąć. W oddali wystają nagie górskie czubki, które stąd wyglądają jak niewinne skałki. Potoczki wiją się, łącząc się w rzekę, płynącą potem leniwie po pełnej zakrętów trasie na wschód.

To nie przypadek, że dom jest położony właśnie tutaj. Szukał, a właściwie szukali długo idealnego miejsca, idealnej góry. Branco wyobraża sobie, że Hitler pewnie myślał tak samo, stojąc na Obersalzbergu, gdzie snuł plany swoich orlich gniazd. Widok miał być niczym niezastąpięty. A podłoże odpowiednie dla budowy bunkrów i podziemnych dróg ucieczki.

Bunkier. Niemal trzy tysiące metrów kwadratowych, podzielonych na cztery hale połączone tunelami, schodami i pewną liczbę bocznych pomieszczeń, oraz ziemia nad nim są jego własnością od kilku lat. Dom mieszkalny, wtopiony pomysłowo w górzysty krajobraz i dla postronnych równie niewidoczny jak bunkier, powstał później.

The Branco Group jest obecnie tak nieskazitelna, jak sugeruje nazwa. On ma za sobą kilka pieskich lat. Zgromadził niezły kapitał, który wkrótce się rozmnoży jak te łososie wędrujące w górę rzeki, w dodatku zupełnie zgodnie z prawem. Chociaż... czasem trudno oprzeć się pokusie śmiesznie łatwego zarobku.

Wjeżdża swoim wózkiem z powrotem do domu. Szybko robi mu się zimno w nogi. Nikomu nie przysłoby nawet do głowy zwrócić mu uwagę, że przecież ich nie ma. Za godzinę i trochę rycerze zbierają się na poranną odprawę. Nie pierwszy raz złoży sprawozdanie ze swoich planów. Tylko

najpierw musi sobie przygotować trochę liczb. Zjeżdża windą do salki konferencyjnej i nastawia wodę na herbatę.

Tu, na sporej głębokości pod ziemią – a wojsko pewnie wie dokładnie, jak sporej – lęki przed Rosją z XX wieku przeobrażą się w charakterystyczny dla XXI wieku *high-tech dream of a green revolution*.

W odróżnieniu od twierdzy Boden, położonej nieco dalej na północny wschód, te skalne pomieszczenia pozostają miejscem nieznanym. Żaden wszędobyłski kustosz muzealny nie tknął tutejszych wrót, żeby wpuścić zwiedzających. Nawet Urząd Zasobów Państwowych nie zadbał o ten zabytek. To zapomniane miejsce. Wykreślone ze sfery zainteresowania wojska i na początku lat pięćdziesiątych sprzedane rolnikowi jako część dóbr leśnych, dwóch tysięcy stu hektarów, którymi ten zarządzał do śmierci.

Obecny właściciel tej nieruchomości, Marcus Branco, siedzi teraz na dokładnej kopii wózka inwalidzkiego Stephena Hawkinga i czuje się życzliwie usposobiony do życia. I to do tego stopnia, że mógłby zafundować sobie jakąś nagrodę.

Ciągnie go w podbrzuszu. Sporo dni minęło, odkąd musiała odejść ta ostatnia. No, może niezupełnie odejść. Teraz pewnie chodzi jeszcze gorzej niż on.

Rycerze gromadzą się kolejno przy półokrągłym stole konferencyjnym. Łagodnie, niby Jezus, przesuwa po nich wzrokiem. To jego ścisły krąg zaufanych osób. Järv, Varg, Björn, Ulf i Lo. Wierna zgraja jego kumpli z tej samej ulicy, Långgatan w Teg.

Branco uwielbia wygłaszać prelekcje. Słowa nabierają życia dopiero wtedy, gdy zostaną wypowiedziane.

– Dawniej smrodziły fabryki masy celulozowej. Dziś zalatuje od spoconych, zestresowanych urzędników gminnych i polityków, którzy mają radzić sobie z ponadnarodowymi megafirmami pukającymi do bram Norrbotten. Ale to nie smród. To woń pieniędzy! W Gasskas i okolicy są warunki do osiągnięcia przez nas takiego sukcesu, na jaki zasługujemy. Na europejskim rynku dzieje się dobrze. Przemysł tyka równo. Jednak pokazały się chmury i wszyscy wiecie, o co chodzi: o zaopatrzenie w energię.

Branco podjeżdża teraz do kołnotatnika i odwija wierzchnią kartkę.

On sam musiał przejść przez pewien wieloletni proces mentalny. Otóż część Szwecji zwana Norrlandią nagle zyskała wyraźniejszą tożsamość,

a Marcus Branco chce wiedzieć dlaczego.

Koniec z ośmieszającymi opowieściami o milczkowatych, samotnych, pracowitych, popijających biber singlach, którzy odmawiają przeprowadzki na południe. W ich miejsce pojawili się rozegzaltowani urzędnicy gminni, obiecujący światu bogactwo i zieloną energię. A świat do nich dołącza. Może początkiem jest powstanie serwerowni Facebooka w Luleå w 2011 roku, zresztą nieważne, dość, że teraz wszyscy tam chcą. Mówi się, że Facebook ma tam prąd niemal za darmo i nagle pochod lemingów zawraca na północ.

W Skellefteå powstaje jedna z największych fabryk baterii na świecie. Mniej więcej w tym samym czasie stalownie i kopalnie zapowiadają, że tradycyjna produkcja stali będzie stopniowo kasowana i zastąpiona tak zwaną zieloną stalą. Do oddzielenia tlenu od żelaza będą stosować wodór zamiast jak dotąd węgiel. Przekonamy się jeszcze, czy dyrektor SSAB będzie gotów wypić wodę, która w tym procesie jest produktem odpadowym.

Branco spogląda na swoich rycerzy.

– Nadążacie? – pyta.

No oczywiście.

– I kiedy dyrektorzy tych różnych firm już się nagadają, jakie to ważne, żeby państwo wspierało przemysł wolny od paliw kopalnych, na co wszyscy mówią „tak jest, amen”, to potem muszą przecież odpowiedzieć na jedno, wciąż to samo pytanie: Jakiej energii należy w tym celu użyć? Bo wszyscy są wielkimi konsumentami energii elektrycznej. I mówimy tu nie o kilku procentach całkowitej produkcji elektryczności, a o potrzebach przekraczających to, co dziś jest uznawane za maksimum. Ta elektryczność ma być w dodatku wytwarzana przez słońce, wiatr albo wodę.

Branco odwija następną kartkę i stuka wskaźnikiem w cyfry. Varg zdusza ziewnięcie. Lo temperuje złamany paznokieć o nogawkę.

– Całkowita produkcja elektryczna Szwecji wynosi sto sześćdziesiąt sześć terawatów, z czego siedemdziesiąt pochodzi z elektrowni wodnych, pięćdziesiąt jeden z siłowni jądrowych, piętnaście z elektrociepłowni, jeden z paneli słonecznych, dwadzieścia siedem z wiatraków plus kilka mniejszych źródeł energii.

Nowy przemysł, tak zwany zielony, wymaga około pięćdziesięciu pięciu terawatów dodatkowo. Pytanie: skąd wziąć tę energię?

Energia jądrowa równa się przeklinaniu w kościele, lepiej o niej zapomnieć.

Elektrownie wodne – system jest nasycony, więc zapomnijcie.

Energia słoneczna w kraju, który... Zapomnijcie.

Zostaje energia wiatrowa. Bo wiać – wieje. Czasami.

Branco wraca do głównego problemu:

– Wielki przemysł, który ma zaopatrzyć świat w baterie i stal konstrukcyjną, musi jeszcze uzyskać pięćdziesiąt pięć terawatów mocy z energii wiatrowej. Czyli mniej więcej dwa razy tyle, ile wynosi całkowita produkcja tej energii w Szwecji.

– Przepraszam – odzywa się Järv – ale jak się to ma do nas? Jeśli energia wiatrowa jest tak niepewna, to dlaczego mielibyśmy na nią stawiać?

– Właśnie miałem do tego przejść – mówi Branco. – Jeśli nie wieje, to nie ma prądu, żeby nie wiem ile powstało farm wiatrowych. A kiedy wieje, prąd trzeba zużywać od razu, bo nie da się go magazynować. – Tu robi sztuczną pauzę. – Za to da się magazynować wodór. A więc gdy wieje – ciągnie – możemy produkować wodór i magazynować go – właśnie – w naszych wspaniałych kawernach.

– Wodór jest jednym z najbardziej łatwopalnych gazów – zauważa Lo. – Zakładam, że skalkulowałeś ryzyko.

Branco odwraca kolejną kartkę i pisze „kalkulacja ryzyka”, opatrując to znakiem zapytania.

– Nikt nie potrafi do końca obliczyć ryzyka, ponieważ nigdzie na świecie nie ma odpowiednika takiego wielkoskalowego magazynu – mówi. – Ale ktoś musi być pierwszy. To nie jest nowa technika, trzeba ją tylko przemnożyć przez kilkaset tysięcy metrów sześciennych.

– Całe Norrbotten szlag trafi, jeśli coś pójdzie nie tak – zauważa Lo.

– Umrzeć można na wiele sposobów – odpowiada Branco. – Śmierć wskutek wybuchu nie byłaby taka najgorsza.

Ziemia, kawerny, sytuacja, czasy, w których żyjemy, zmagając się z kryzysem energetycznym i rosnącymi cenami energii. W tym właśnie Branco upatruje swojej szansy, żeby zostać zaakceptowany w społeczeństwie, które mu jeszcze za to podziękuje.

Zajmie się produkcją elektryczności, i to nie jakiegokolwiek, ale najczystszej i najbardziej zielonej w tej chwili energii wiatrowej, przez co stanie się jeszcze lepszym człowiekiem. Podejmującym się wzięcia odpowiedzialności za innych poprzez inwestowanie w przyszłość własnych zasobów. Wizjonerem, człowiekiem życzliwym, którego świat by podziwiał, gdyby tylko miał tę możliwość.

Jednak aż tak daleko nie jest gotów pójść, bo Branco zaszedł tu, gdzie jest, dzięki temu, że go nie ma, że jest niewidzialny.

Zarówno prąd, jak i wodór będą sprzedawane jak złoto temu, kto da najwięcej. Na stopniach wiodących do Norrbotten świat stoi i czeka. Brzydki, zafajdany i zły jak zawsze, pełen zielonych frazesów, które wysmażyć potrafi byle jaka firma reklamowa.

Zresztą Branco też posiadał dar słowa.

– Szwedzcy politycy na czele z socjaldemokratami i zielonymi stawiali na głowie, żeby zadowolić ruchy klimatyczne. Rozmontować energię jądrową, montować wiatraki. Jednak zanim jeszcze międzynarodowe spółki, które w większości są właścicielkami elektrowni wiatrowych, je zbudowały, to prąd już jest eksportowany za granicę. „Załatwione, zapłacone”, jak się mówi u nas na północy. Na papierze wygląda to ładnie. Fajna mała Szwecja, która dba o zanieczyszczony świat. Z punktu widzenia klimatu to lepiej, że czysta energia produkowana w Szwecji posłuży państwu, które zazwyczaj otrzymują ją ze spalania oleju albo węgla. A to, że Szwedzi zapłacą za tę imprezę poprzez zawyżone ceny za prąd, bo dla nich zostaje go po prostu za mało, jest sprawą drugorzędną.

To, co mówi Branco, nie wynika z jakichś poglądów politycznych. On się tylko złości, że ludzie są tacy durni, również politycy. Jeśli o niego chodzi, każdy kryzys energetyczny jest czymś pozytywnym. W dniu, gdy ukończy budowę swojej farmy wiatrowej, to on będzie ustalał zasady. Zresztą – swojej nie swojej. Wystarczy spytać Henry’ego Salo, czyja ta farma, a Salo odpowie. To dopiero typek. A skoro już o nim mowa, niedługo trzeba się będzie spotkać z nim osobiście.

– Jeśli szlag trafi próbę magazynowania dużej ilości wodoru, to dla nas będzie to bez finansowego znaczenia – mówi Branco. – Nawet jeśli to nie wyjdzie, to są tysiące innych możliwości. Gdybyśmy nie chcieli sprzedawać wielkim spółkom energetycznym losów PPA ⁶, to są jeszcze inne sposoby.

Gminy są otwarte na zagraniczne spółki, które stoją w kolejce, żeby kupić działkę w zamian za nieograniczony dostęp do energii, chociaż niektóre z nich należałoby pewnie wpuszczać przez piwnicę. Albo wcale. W tym właśnie miejscu Marcus Branco cyzeluje swoje argumenty. Przecież The Branco Group jest w gruncie rzeczy spółką zajmującą się bezpieczeństwem. Niewielu ludzi dysponuje taką wiedzą na temat brudów państw i ich obywateli jak Branco i jego rycerze. On sam stałby jako swego rodzaju zie-

lony Święty Piotr u bramy perłowej. Niektórzy po prostu przez nią nie przejdą.

Rzecz jasna, są pewne problemy. Choćby oporni właściciele gospodarstw i konkurencja, ale nie jest to coś, czego nie dałoby się rozwiązać za pomocą kapitału. Branco pomyślał o prawie wszystkim i jest zadowolony, a nawet jeszcze bardziej. Są jeszcze inne części planu, którymi na razie nie chce się dzielić nawet z rycerzami. Myśli uwierają jak wszy. Nie może się ich pozbyć. Nawiązują do czegoś, co tkwi w nim bardzo głęboko, a dotyka części jego życia, nad którą nie panuje, ale którą można streścić jednym słowem: zadośćuczynienie.

Gwiazdy na niebie pozostaną w tym samym miejscu także przy następnej fazie. Oznaki już widać, i to bez jakichkolwiek wątpliwości. Takich, co mają już dość, jest więcej niż sam tylko Branco.

– Okej – odzywa się Ulf. – Plan wygląda na perspektywiczny, ale co robimy z resztą?

– Svavelsjö przejmie całą dystrybucję w północnej Szwecji. Okazali się godni zaufania przy innych okazjach. Można powiedzieć, że mówimy tym samym językiem.

– Tak, wiem – ciągnie Ulf. – Faceci ze Svavelsjö nie stanowią problemu. Co innego Sandberg. On i jego banda nie oponowali przeciwko fuzji, ale z informacji od MC wynika, że facet rządzi samodzielnie we wschodniej części regionu.

– Widać kto ma wiele, chce jeszcze więcej – mówi Branco i ze złością kręci wózkem. Właśnie takich rzeczy chciałby uniknąć i już myślał, że się udało. Gównianych problemów stwarzanych przez gnojników. Pasożytów, którzy niczego nie generują, a wyłącznie konsumują.

– W takim razie trzeba go po prostu sprzątnąć – mówi.

– Chętnie się podejmę tego zadania – odzywa się Varg. – Fajnie byłoby się trochę rozruszać.

– Niestety, ale wciąż go potrzebujemy – oponuje Ulf. – Nie zapominajcie, że u siebie jest królem.

– No to z nim pogadajcie – mówi Branco.

– Już próbowaliśmy. Odniósł się ze zrozumieniem i obiecał włączyć swój były rejon do Svavelsjö, co też zrobił. A jednocześnie zawarł nowe porozumienie z Finami. Być może również z Ruskimi.

Branco jest teraz nie tyle poirytowany, ile zły i musi pomyśleć. W złości powstają jego najlepsze pomysły, albo najgorsze, w zależności od tego, po

której stronie się jest.

– Ma dzieci? – pyta.

– Pasierbicę.

– Są blisko ze sobą?

– Nie wiadomo.

– Kobietę?

– Prawdopodobnie.

– Okej – mówi Branco – dowiedzcie się wszystkiego na temat uroczej rodziny Sandberga, a pewnie sprawa się rozwiąże.

8

– NIEZŁA CHAŁUPKA – zauważa Mikael Blomkvist, patrząc w górę na stary drewniany dom. – Czy to dom rodzinny Sala?

– Ależ skąd – mówi Pernilla. – Henry dorastał w pörte, chacie znajdującej się w lesie. Jego matka zdaje się wciąż tam mieszka. Całkiem niedaleko stąd. – Pokazuje palcem w stronę gęstego lasu iglastego, który powinien być przetrzebiony dawno temu.

– Nie poznałaś jej?

– Nie. Nie utrzymują kontaktu. Chyba była kiepską matką. Nie w tym sensie, w jakim ty byłeś kiepskim ojcem, chodzi bardziej o chorobę psychiczną. Henry nie chce o niej rozmawiać. Więc przestałam pytać.

Mikael wyciera drewnianą ławkę rękawem kurtki i siada. Nie potrafi ocenić, czy w jej słowach jest oskarżenie, czy tylko stwierdzenie faktu. Mógłby się tego uczepić, żeby opowiedzieć tę historię ze swojego punktu widzenia, tylko nie wie, od czego miałyby zacząć.

– A poza tym jak się z tym czujesz? Ze ślubem i tak dalej?

Pernilla zwleka chwilę z odpowiedzią.

– Jeszcze parę tygodni temu czułam się z tym dobrze. – Spogląda na rzekę, zamiast spojrzeć mu w oczy. – Jesteśmy ze sobą od jakiegoś czasu. Henry jest jaki jest, pewnie zauważyłaś, ale ma również zalety. Kiedy się poznaliśmy, byłam w kiepskiej formie. Henry sprawił, że się znów otworzyłam. Bez niego – nie wiem, jak by się to skończyło. Życ mi się nie chciało. A on się mną zaopiekował w taki sposób jak dotąd nikt. Czuję się przy nim bezpieczna.

– To skąd te wątpliwości? – pyta Mikael i w odpowiedzi słyszy westchnienie.

– Właściwie nie wiem. On się dziwnie zachowuje. Wraca do domu późno, jeśli w ogóle. Za dużo pije. Burczy na Lukasa.

– Rozmawialiście o tym? – pyta terapeuta Blomkvist. Król lęku przed konfliktem w relacji i ten, który stara się jak najszybciej opuścić pokój, gdy padają nieprzyjemne pytania.

– Oczywiście. On mówi, że to przez stres, ale ciągle taki jest. Chociaż teraz to nie tylko stres, tylko raczej paranoja. Zadaje dziwne pytania o ludzi, z którymi się stykam w pracy. Sprawdza, czy drzwi są zamknięte na klucz. Wypatruje czegoś przez okno. Sama nie wiem.

– Wygląda na to, że się czegoś boi – mówi Mikael.

– Myślę, że to ma coś wspólnego z jego farmą wiatrową – ciągnie Pernilla. – Idiotyczny projekt, jeśli chcesz znać moje zdanie. Nikt nie chce tej farmy tak blisko miasta, ale udało mu się przeciągnąć na swoją stronę miejscowych polityków. Dla Henry’ego najważniejsze jest wszystko, co związane z gminą. Jakby prowadził własną firmę.

– Rzeczywiście, wydaje się bardzo oddany sprawie. A ty? Jak twoja praca?

– Zależy, o którą pytasz, bo wiosną zmieniłam.

– Więc już nie pracujesz... – Tu zdaje sobie sprawę, że właściwie nie wie, czym się córka zajmuje. Czymś z młodzieżą. A może muzyką.

Bingo, Mikaelu.

– W tym momencie mam zastępstwo w Umo. Zobaczymy, na jak długo.

– Eee...

– To znaczy w przyszłości dla młodzieży.

– No właśnie – odpowiada Mikael.

– Wszystko jedno. Chcesz zobaczyć basen za domem? Zbudowaliśmy go w zeszłym roku i od tamtej pory kąpaliśmy się może ze dwa razy.

Chwyta go pod ramię i pochyla się w jego stronę.

– Fajnie, że jesteś, tato – mówi.

Tacie łyzy napływają do oczu. Zazwyczaj mówi na niego Micke.

Wychodzą z za rogu i Pernilla przystaje. Zarówno na schodkach do piwnicy, jak i na trawniku wyżej leżą kawałki szkła.

– Pewnie jakiś ptak – przypuszcza Pernilla. – Dziwne, że Henry nic nie powiedział.

Mikael podnosi kawałki szkła. Na kilku jest zaschnięta krew, ale nic nie mówi. Może i ptak.

Żurawie lecą na południe. Słońce zmierza ku zachodowi. Powietrze się ochłodziło.

– Słyszysz, przyjechała taksówka ze szkoły.

Chłopczyk nie zdążył poddać się nieśmiałości i ląduje w objęciach Mikaela.

– Cześć, dziadku, pokażę ci coś.

Razem idą skrótem nad wodę.

– Muszę się ciebie trzymać, żeby nie wpaść – mówi Mikael.

Ręka chłopca jest ciepła.

Mikael trzyma ją mocno przez całą drogę nad rzekę.

9

NA DOMOWYM GRUNCIE Salo jest inny niż wtedy, gdy go wiozł ze stacji. Już nie strzela słowami, kiedy oprowadza Mikaela po domu. Pernilla zdążyła pokazać ojcu parter i pokój, w którym będzie spał. Piętro jest podzielone na prywatną część sypialną i gabinet Sala.

– Siadaj – mówi – to spróbujesz najlepszej whisky na świecie. Dostałem ją od znajomego biznesmena. Teraz to nie Szkoci dostają nagrody, tylko Azjaci.

Mikael siada w ciemnozielonym fotelu chesterfield i smakuje napój. Nie przepada za whisky, woli piwo, ale wypija, a Salo dolewa.

– To dopiero pokój – mówi Mikael, zataczając wzrokiem po ścianach. – Wygląda jak w domu u GW⁷. Nie wiedziałem, że jesteś myśliwym.

– A pewnie, psiakrew. Polowanie otwiera drzwi do wielu miejsc. Tylko trzeba polować w odpowiednim towarzystwie.

– Co masz na myśli?

– Polowanie i biznes, biznes i golf. Dobry myśliwy albo zręczny golfista bardzo się liczy. Wszyscy chcą być ze zwycięzcą. Tak po prostu jest, niezależnie od tego, czy chcesz coś kupić, czy sprzedać.

– A ty do której kategorii należysz? – pyta Mikael.

– Jeśli ci chodzi o mnie jako burmistrza, to jest to rynek sprzedającego. Wszyscy chcą się tu dostać. Mam długą listę przedsiębiorstw, które tylko czekają na sygnał. Możemy w zasadzie wybierać i przebierać między ponadnarodowymi, światowymi firmami, które zakręciwszy finansowym globusem, zatrzymały palec na Gasskas.

– Brzmi nieźle. I co, przyciąga ich tutaj twoja charyzma?

Chwalipięta stoi w drzwiach i tylko czeka. Wystarczy go wywołać.

– Wprawdzie jestem przystojny – mówi z uśmiechem jak na przystojniaka przystało – ale w Gasskas dysponujemy jeszcze mocniejszym magnesem na przedsiębiorstwa.

– Kto to taki?

– Pani elektryczność – odpowiada Salo. – Bez naszych nieograniczonych zasobów elektryczności Gasskas byłaby jak każda inna prowincjonalna dziura pozbawiona przemysłu i miejsc pracy. Elektryczność jest w Norrboten tym, czym ropa naftowa dla Norwegów. I teraz, kiedy świat postawił się w sytuacji bez wyjścia w związku z przeludnieniem, a ekofaszyści twierdzą, że nadchodzi koniec świata, Norrlandia stała się nowym Klondike. Wystarczy, że Putin zakręci kurek z gazem, i będziemy mieli pełnię szczęścia. Na świecie prąd kosztuje kupę kasy, ale nie tutaj. Wszyscy chcą się dostać do naszej ziemi obiecanej z energią wodną i wiatrową. Na dodatek mogą jeszcze opatrywać swoje towary metką zrównoważonego produktu.

Mikaelowi nie umknął szalony wzrost cen prądu ani zjawisko greenwashingu, czyli nieuprawnionego udawania zrównoważonej produkcji, ale też nie zagłębiał się w ten temat. Według niego nienadający się na sensacyjny materiał. Cały ruch klimatyczny wydaje się mało sexy. Przemądrzały, prawy i pełen lobbystów.

– Ale że nieograniczone zasoby – mówi – czy to możliwe?

– Absolutnie – zapewnia Salo. – Rzecz jasna, nie bez pewnych inwestycji, jednak, owszem, w zasadzie nieograniczone. Wiele lat temu wygraliśmy na loterii, gdy na rzece powstała zaporą, a wydatek został gminie zrekomensowany przez Vattenfall. Energia wodna jest stabilna, ale, jak wszyscy, potrzebujemy uzupełniać ją energią z innego źródła, z wiatru. Któregoś dnia pojedziemy na teren przyszłej farmy wiatrowej. Jeśli wszystko się uda, zostanie największą na świecie. Zapewniam cię, będziesz pod wrażeniem. Farma Markbygden koło Piteå może się ugryźć...

Na dalszą rozmowę nie ma czasu, bo Pernilla staje na schodach i woła na kolację.

– Idź na dół – mówi Salo. – Załatwię tylko parę telefonów i przyjdę za tobą.

Pernilla nakryła do stołu najlepszą porcelaną i dała prawdziwe serwetki. Krzesła są tapicerowane. Pałą się świeczki, światło kryształowego żyrandola jest przygaszone.

– Jak ładnie to przygotowałaś – mówi Mikael. – Czuję się jak gość we dworze.

– Ja wolę naszą dawną kuchnię – odzywa się Lukas. – Było przytulnie.
– Przytulnie, ale ciasno – odpowiada Pernilla.
– Ale dla nas w sam raz – przekonuje Lukas, nakładając sobie ziemniaki w mundurkach.

– Lukas ma na myśli mieszkanie w Uppsali – wyjaśnia Pernilla. – Przeprowadzka nie przyszła mu łatwo.

– Ja wciąż nie chcę się tu przeprowadzać – dopowiada Lukas.

– Ale teraz mieszkamy tutaj – mówi Pernilla i nalewa wina Mikaelowi.

– Mogę mieszkać u dziadka.

– Mama na pewno by tęskniła za tobą – mówi Mikael, zastanawiając się, czy Pernilla dosłyszała złość w głosie synka.

Sos jest gorący, a mięso kruche. Zdążyli zjeść zarówno przystawkę, jak i pół drugiego dania, nim Salo zasiadł do stołu. Nie chce przystawki, a z drugiego dania zjada tylko kilka kęsów.

– Pyszne – mówi, gdy znów dzwoni jego komórka. – Co za cholerni ludzie, nigdy nie ma spokoju.

Słucha, nie mówiąc nic poza: „Dobrze, dziękuję, czyli postanowione”.

Twarz mu się wygładza, mówi, że zje deser, i całuje w rękę swoją przyszłą żonę.

– Orientowałeś się, że Pillan tak dobrze gotuje? – pyta, a Mikael musi przyznać, że to jeszcze jedna dziura w jego wiedzy na temat córki. Jest jego dzieckiem, zapewne jedynym. A mimo to ma lepsze pojęcie o kobietach wśród jego znajomych.

Kładzie ramię na oparciu jej krzesła. Gdzieś tam głęboko pod pokładami zaniedbań kryje się czułość. Chęć, by poznać ją naprawdę. Jeśli ona zechce, a co do tego Mikael nie ma pewności.

– Zbliża się wielki dzień – mówi. – Znam kogoś spośród gości poza rodziną mojej siostry?

– Znasz mamę – odpowiada Pernilla. – Bo większość gości to znajomi Henry’ego, poza tym trochę moich przyjaciół. Chcieliśmy, żeby impreza nie była za duża.

– Nie powinna być za droga dla teścia. – Salo się uśmiecha, klepiąc go po plecach.

Lukas zsuwa się z krzesła i siada Mikaelowi na kolanach.

– Poczytasz mi? – I Mikael idzie mu poczytać.

Musiał przez chwilę przysnąć u chłopaka i teraz budzą go głosy. Wrzeszczące na siebie. Słowa świszczą jak wymierzane policzki.

– Mam, do cholery, dość twojego marudzenia! – to Salo.
– A może byś się choć trochę nami zainteresował, co? – syczy Pernilla. –
Potrafisz myśleć tylko o swojej pieprzonej farmie wiatrowej.

Trzaśnięcie drzwiami. Potem drugie. Lukas obraca się przez sen. Mikael nasłuchuje.

Gdy w domu zapada cisza, otula wnuka kołdrą i schodzi na dół.

Salo siedzi sam u szczytu stołu w jadalni jak jakiś król, opuszczony przez wszystkich.

– Myślałem, że śpisz – powiedział.

– Gdzie Pernilla?

– Przepraszam, zwykle się nie kłócimy. W każdym razie nie tak, żeby było słyhać. Poszła się przejść. Pewnie potrzebowała odetchnąć świeżym powietrzem.

– Może byście mieli wzgląd na chłopaka? Nie mógł zasnąć. Dzieci nie lubią awantur.

– Nie mów do mnie jak kolejna wstrętna baba – odpowiada Salo i wstaje. – Teraz, kurde, idziemy do sauny.

10

SAUNA STOI NAD ZATOCZKĄ utworzoną przez rzekę. Prowadzi do niej pomost, znajduje się tam łódź wiosłowa, która czeka na zapadnięcie w sen zimowy. Agregat na drewno pracuje już od paru godzin. Gorąco spada na nich w postaci mgły, zderzającej się z zimnym wieczorem rozświetlonym przez księżyc w pełni. Mikael siada na środkowej ławce w saunie. Salo na najwyższej. Otwiera dwa piwa i jedno podaje Mikaelowi.

– Co ci się stało w rękę? – pyta Mikael.

Salo odwraca ją i kręci nią, jakby dopiero odkrył, że brakuje mu dwóch palców.

– Kiedy byłem dzieckiem – mówi – nie mieliśmy w domu ani centralnego ogrzewania, ani bieżącej wody. I wciąż nam brakowało drewna do palenia w piecu. Lasu wprawdzie było dość, ale ze starego był leniwy drań. Był brygadzystą drużyny drwali, jednak dla własnej rodziny nie potrafił załatwić drewna. W tygodniu pracował poza domem. A od piątku do niedzieli chodził pijany. Zaopiekujcie się matką, mówił za każdym razem, gdy wyjeżdżał do pracy. Poza tym nie mówił nic szczególnego, ani złego, ani dobrego. Staraliśmy się z bratem, jak mogliśmy. Ścinałiśmy nieduże brzoźki ręczną piłą i siekierą. Zbieraliśmy patyki, kiedy nie było śniegu, i zebraliśmy o odpadki z tartaku. I tak starczało tego ledwo na część jesieni. Czasem włączało się prąd. Matka nastawiała wtedy grzejnik na maksa, ale najczęściej marzliśmy. Latem, kiedy miałem skończyć dziesięć, a brat dziewięć lat, staremu trafiła się sarta drewna, które zrzucili nam na podwórko. Sam podłapał wtedy robotę dalej na północy, w Ligga, i miał wrócić dopiero, jak na dobre zrobi się jesień. A więc trzeba było ociosać to drewno i podzielić na półmetrowe kawałki. Sąsiad pomógł nam przy ociosywaniu i potem obiecał pomóc przy rozłupywaniu, nawet przyniósł ze sobą łuparkę,

ale się rozchorował. Przez dużą część lata cięliśmy drewno i układaliśmy w obórce. Żeby było szybciej, zdjęliśmy drążek sterowy i już prawie kończyliśmy, kiedy ostrze trafiło na sęk i wciągnęło mi dłoń. Dzięki temu, że brat rzucił się na wyłącznik bezpieczeństwa, nie straciłem całej. Zatrzymał mi krwawienie własną koszulą, a palce włożył do torebki z lodem. Potem pojechaliśmy rowerem do naszej lecznicy, a następnie już karetką do Boden. Tam udało im się przyszyć dwa palce, ale tak się jakoś stało, że opieka społeczna dowiedziała się o sytuacji w naszym lasku. Matkę zawieźli do psychiatryka. Brat i ja trafiliśmy do różnych rodzin zastępczych. Wtedy widziałem go po raz ostatni.

Mikael przesiada się na pierwszą ławkę. Pot spływa mu po udach. Salo siedzi wciąż na górze, gorąco nie robi na nim wrażenia. Zamiast tego okłada się brzozowymi różgami i dziwi się, że ludzie z południa nie umieją korzystać z sauny.

– Masz – mówi, podając mu różgę.

– Dziękuję, nie trzeba.

– No to chociaż mnie osmagaj. – Odwraca się tyłem do Mikaela.

Różgi zostawiają białe ślady na jego rozgrzanej skórze.

– Czyli straciłeś matkę, brata i palce w jednym i tym samym dniu – mówi Mikael. – To musiało być potworne, mam na myśli także wszystko to, co stało się później.

– No i było. Najgorsza okazała się utrata Joara, mojego brata. Tęsknota za nim siedzi we mnie jak ból fantomowy w palcach. Zdarza się, że nadal rwie. Ale – tu nalał czerpakiem wody na kamienie – trafiłem do małżeństwa Salo, gdzie było mi dobrze. Oni nie mieli własnych dzieci. Parę lat później, kiedy mój stary dostał wylewu i umarł, adoptowali mnie, chociaż matka zdążyła już wrócić do domu. Nie wiem, co o tym sądziła. Od tamtego czasu spotkałem ją tylko raz. Wpadliśmy na siebie przed sklepem. Postawiła zakupy na ziemi i spojrzała na mnie jak na śmiecia. „Powinieneś być zaopiekować się lepiej bratem”, powiedziała i poszła. No i dobrze – mówi Salo. – I tak była z niej kiepska matka.

A przecież pamięta, jakby zdarzyło się to wczoraj. Jak biegł przez las i nie zatrzymał się, dopóki nie dotarł do skały nad domem. Stamtąd patrzył, jak matka przyjechała na rowerze. Potem przeszła ostatni odcinek pod górkę z torbą z Konsumu bujającą się na kierownicy roweru.

On wtedy trzymał dłoń na pochewce noża. Wyciągnął go, a następnie, skradając się od drzewa do drzewa, podszedł zupełnie blisko.

Siedziała na schodkach przed domem. Torba się przewróciła. Kilka zielonych jabłek i kiełbasa na grochówkę potoczyły się po stopniach. W tym momencie zobaczył w niej nie swoją matkę, tylko po prostu człowieka. Matka już nie żyła. Powoli schował nóż i pobiegł z powrotem do wsi.

– Pernilla mówi, że ona wciąż żyje – mówi Mikael. – Nigdy nie myślałeś o tym, żeby do niej pójść?

– Nie, nigdy.

– A brat? Wiesz, co się z nim stało?

– Właściwie nie. Trafiał do różnych rodzin zastępczych. Próbowałem go szukać, ale ślad się urwał. Może nie chce zostać odnaleziony. Tak czy inaczej, zostawiłem za sobą dzieciństwo. W każdym razie lata w lesie. Ale wciąż nie mogę się pogodzić z jednym – mówi Salo, dopijając piwo i patrząc na swoje ucięte palce. – Z tym, że nie nacieszyliśmy się ciepłem z tego porąbanego drewna.

– To smutna opowieść – stwierdza Mikael, walcząc z oddechem. Jego skóra nabrała ciemnoczerwonego koloru, niedługo będzie musiał wyjść.

– Mięczak z ciebie – odzywa się Salo już innym głosem. – Tylko dzieci siedzą na dolnej ławce, ale niech tam. Pora na kąpiel.

Na dworze znów nastąpiła zmiana pogody. Światło księżyca zniknęło. Leje. Jak z prysznicą, więc Mikael nie chce się kąpać w rzece. Solo schodzi do niej po schodkach. Parę sekund i zniknął w ciemności.

Pod wodą nie ma żadnej rzeczywistości, ani obecnej, ani przeszłej. Pewnego dnia on sam zniknie bez śladu, jak węgorz wędrujący do Morza Sargassowego. Ale nie dziś. Ma kilka spraw do załatwienia. Robi kilka ruchów pływackich i wynurza się z drugiej strony pomostu.

– O kurde – mówi Mikael – nastraszyłeś mnie. Już myślałem, że... Nie widziałem cię.

– Głupoty – przerywa Salo. – Człowiek zawsze się znajdzie. W najgorszym razie na wiosnę przy przepuście wału.

Mikael aż się trzęsie. Sauna otwiera swoje gorące łono. Teraz już odważa się usiąść na najwyższej ławce i dostaje do ręki kolejne piwo.

– A ty, Mikaelu Blomkvist, kim ty jesteś? Szanowanym dziennikarzem czy chłopcem, który nie chce dorosnąć?

– Może jednym i drugim, a może ani tym, ani tym. Sukcesy zawodowe to artykuł spożywczy, który się szybko psuje. Nikt nie pamięta wczorajszych wiadomości. Nawet „Millennium” już nie ma. Czy też, owszem, ist-

nieje w formie podcastu, ale to już nie to samo. Myślę o tym, żeby robić coś innego.

– Na przykład?

– Nie wiem – odpowiada Mikael zgodnie z prawdą. Poza zdobywaniem informacji niczego innego nie umie. Znajomi zmieniają zawód i zostają ogrodnikami albo sommelierami, programistami albo stolarzami, jednak on nie czuje w sobie żadnego tajemniczego powołania czy szczególnego czymś zainteresowania, które mogłoby poprowadzić go dalej. Nie drzemie w nim nawet autor kryminałów. Jest tylko dziennikarzem. W dodatku cholernie samotnym, musi to przyznać, odkąd jego stała redakcja się rozproszyła i wszyscy zostali wolnymi strzelcami.

Skoro już zaczął wyliczać, jaki jest nic niewart, równie dobrze może to kontynuować.

To, że żyje sam, nie jest jakąś sensacją. On traci głowę, ona się zakochuje. Ona chce czegoś więcej. On chce mniej i potem się to kończy. To samo z przyjaciółmi, rodziną i tak dalej. Otrzymuje tyle drugich szans, ale z nich nie korzysta. Ludzie, których zawodzi. Uczucia, które rani. Nie dlatego, że chce krzywdzić, ale ze względu na wyższy cel, powołanie, które zawsze bierze górę.

Tylko „Millennium” znaczy coś naprawdę. Bez „Millennium” jest nikim. Jest eksem, zagubionym i niezdolnym do działania, odmawiającym poruszania się w rytm współczesności. Negującym postęp. Żałosnym facetem, który wraz z innymi, podobnymi sobie facetami czyta popołudniową gazetę nad szklanką piwa w pubie Loch Ness, żeby czuć się mniej samotny. I nie czuć się zerem.

Nie potrafiłby powiedzieć, czy to sprawa gorąca, czy po prostu chwili. Ale tu i teraz, w saunie, dziewięćset kilometrów od domu, w towarzystwie człowieka, który przechodzi od maczystowskiego gadania do nagiej szczerości, Mikael zaczyna płakać. Najgorsze, że nie potrafi przestać. Płacze, kiedy Salo leje więcej wody na kamienie. Płacze, kiedy przesiada się niżej, na środkową półkę. Płacze tak, że ledwo jest w stanie wypić swoje piwo, i tak długo, że już nie jest w stanie dłużej płakać.

– Dobrze. Wywal z siebie to gówno – mówi Salo i smaga go różgą. – Jak człowiek ma saunę, to nie jest mu potrzebny żaden pieprzony psycholog.

NASTĘPNEGO DNIA Salo budzi się na kanapie w gabinecie. Ubrany. Ktoś, Pernilla, okrył go kocem. Gdyby mogła nie być taka cholernie miła, a bardziej jak on. Żeby istniała jakaś równowaga. Ale skąd. Ona musi chronić każde cierpiące stworzenie. Dobrze gotuje, słucha, nie przerywając, i do wszystkiego podchodzi trzeźwo, jak członek szwedzkiego ruchu trzeźwości do wina mszalnego.

Świnia ze mnie. Świnia wskakuje pod prysznic i usiłuje przypomnieć sobie, co zdarzyło się wczoraj. Poszli do sauny, a potem? Chciał tylko wypić ostatniego kielicha. Potem... cholera... napisał długiego esemesa do Märty Hirak. Nie odpowiedziała, a wtedy napisał jeszcze jednego i znów kolejnego. W końcu zadzwonił na jej wyłączoną komórkę i zostawił wiadomość głosową. Co dokładnie powiedział – nie pamięta. Świnia karze samą siebie zimnym prysznicem, który przynajmniej skutkuje ustąpieniem najgorszego kaca.

Za parę godzin ma się spotkać z trzecim udziałowcem planowanej farmy wiatrowej. To globalna firma mająca szwedzkiego właściciela, niejakiego Marcusa Branco, o którym Salo nie wie zbyt wiele.

Oczywiście zaznajomił się z sytuacją ekonomiczną firmy, przejrzał dane dotyczące działalności, a jej referencje omówił z prawniczką gminy Katariną da Silva, ale kontakty odbywały się do tej pory przez przedstawicieli.

Na świecie jest wielu Marcusów Branco, ale żaden tu nie pasuje, stwierdza Henry Salo po próbie wygooglowania dyrektora firmy. Z otrzymanej przez nich firmowej prezentacji wynika, że to człowiek trzymający się w cieniu, odnoszący sukcesy w wielu branżach, między innymi w nieruchomościach i bezpieczeństwie. Typ, który nie pojawia się na żadnych zdjęciach i nie uprawia marketingu w mediach społecznościowych, co samo

w sobie nie jest niezwykle. Dość dziwne wydaje się to, że nie mógł znaleźć o nim żadnych informacji osobistych.

Salo ubiera się starannie. Zaczesałe włosy do góry jak książkę Daniel ⁸ i schodzi po schodach do kuchni.

– Dzień dobry – mówi, całując w głowę swoją przyszłą żonę.

– Dzień dobry – odpowiada pismak, a chłopiec odwraca wzrok.

– Mógłbym się zabrać z tobą, jeśli jedziesz do miasta? – ciągnie Mikael.

– Pewnie – odpowiada Salo, patrząc na zegarek. – Za pięć minut.

– A więc – mówi Salo, kiedy już wsiedli do auta – zamierzasz zwiedzić Gasskas? W takim razie polecam muzeum kopalni. To dumna część historii Gasskas.

– Chcę tylko zrobić trochę zakupów i pójść do biblioteki.

– Niedaleko pada jabłko... – zauważa Salo. – Pillan pobiła chyba rekord wypożyczeń, w każdym razie jeśli chodzi o kryminały. Ja wolę biografie. Właśnie czytam biografię Elona Muska. Co za facet!

– Zamierzałem raczej przejrzeć gazety.

– Do tego nie musisz chodzić do biblioteki. „Gaskassen” wrzucają nam do skrzynki.

Salo wysadza Mikaela Blomkvista i jedzie do siedziby gminy. Krąży tam między interesantami, powinien przyjrzeć się ich sprawom, ale muszą poczekać. Märta tkwi w nim jak uparty ból głowy albo jakby go piliło do toalety. Rozpuszcza dwie musujące tabletki treo comp i próbuje zebrać myśli przed spotkaniem z Marcusem Branco. Wolałby mieć ze sobą cały zespół zajmujący się projektem albo chociaż Katarinę da Silva, ale Branco zaznaczył wyraźnie: żadnych osób postronnych, tylko oni dwaj.

Lokal Brittas leży w odległości pół godziny jazdy. Na wszelki wypadek zarezerwował w hotelu prywatną salkę i lunch, ale kiedy przyjeżdża na miejsce, okazuje się, że nic z tego. Marcus Branco siedzi na wózku inwalidzkim. Zamiast nóg ma kikuty, których ani nie przedłużył protezami, ani nie ukrywa pod jakimś kocem. Wygląda jak Indianin, tyle że na wózku. Może był adoptowanym dzieckiem. Czy w ogóle mówi po szwedzku? Ten mężczyzna jest w fizycznie gorszej sytuacji i widząc to, Salo czuje, jak jego żołądek się uspokaja.

– Miło poznać – mówi, przepraszając. Nie mógł wiedzieć.

– To oczywiście, zarezerwowałem całe to miejsce – mówi Branco i wjeżdża po rampie dla niepełnosprawnych.

W każdym razie jego szwedzki jest w porządku. Britty jakoś nie widać, chociaż to pora lunchu i zazwyczaj jest tu wtedy pełno. Stolik nakryto dla dwóch osób. Jedzenie czeka pod metalowymi kloszami.

Branco parkuje u szczytu stołu i wyjmuje plik papierów. Mapy, odnotowuje Salo, oraz prospekt. Nie chcąc wyjść na gorzej przygotowanego, Salo wyjmuje skoroszyt, notes i długopis z logo gminy: *W górę, naprzód. Dobra, Henry. W górę i naprzód.*

Branco rozkłada mapę na stole. Nie licząc mniejszego kawałka po zachodniej stronie, jeden rejon zakreskował czerwonym flamastrem.

– Co to jest? – pyta Salo.

– To część, na której będzie budować Branco – odpowiada tamten. – Jak wiesz, większość terenu to majątek należący do spółki leśnej i gminy. Zakładam, że pozostali udziałowcy wyrażą zgodę.

Wiedźma i Lapońce, myśli Salo po raz któryś, odkąd się rano obudził.

Chrząka i otwiera swoją teczkę.

– Na dziś sytuacja wygląda tak, że jesteście jedną z trzech równoprawnych firm, które mogą podzielić się farmą. Przygotowaliśmy propozycję podziału – mówi, przesuwając palcem po mapie. – Wy moglibyście wejść na etapie numer dwa, startując z budową w dwa tysiące dwudziestym piątym roku.

– A my chcemy w to wejść jako generalny wykonawca – mówi Branco, przesuwając z powrotem skoroszyt do Sala.

Salo patrzy za okno. Po szybie spływa śnieg z deszczem. Wiewiórka przeskakuje na inną gałązkę. Na górkę wjeżdża jakaś furgonetka.

Salo czuje się zmęczony. Aż do szpiku. Stara się zebrać myśli, żeby powiedzieć to, co trzeba. Branco dysponuje kapitałem, ale Finowie również. Holendrzy mogliby wykupić całe Norrbotten i nawet nie mrugnęliby okiem. A gdyby ktoś z nich się wycofał, w kolejce stoją już Chińczycy. Będzie musiał grać w otwarte karty. Może nawet lekko udać głupiego.

– Rozumiem – mówi – ale na podstawie opinii naszych ekonomistów rada gminy podjęła decyzję, że ten teren ma być podzielony na trzy części. Wynika to jasno z naszego prospektu. Jeśli firma Branca jest nadal zainteresowana, to możecie dysponować tym rejonem – mówi, zataczając palcem na mapie podziału.

– Masz rodzinę? – pyta Branco.

– Bo co?

– Po prostu pytam. Z czystej uprzejmości. Bo ja nie mam. Branco to moje dzieci, moi rodzice, rodzeństwo i przyjaciele. To ważne, żebyśmy mieli pełne prawa. A skoro już poruszyliśmy tę kwestię, czy wszyscy właściciele tych terenów wyrazili już zgodę?

– Jeszcze nie – odpowiada Salo – ale to tylko kwestia czasu.

– Podpowiedział mi mały ptaszek – mówi Branco.

Spoglądają na siebie znad skoroszytów, map i teczek.

– Podobno na najważniejszej części tego terenu mieszka kobieta, która odmawia udostępnienia swojej nieruchomości. Podobnie jak rodzina Hiraków, właściciele renów.

Salo się poddaje. Nie ma siły udawać.

– Ta baba się ugnie, przysięgam – mówi. – Tylko potrzebujemy trochę czasu.

– A Lapończycy? – pyta Branco.

– Cóż, pewnie potrzebują pieniędzy, jak wszyscy.

– Wydaje się, że to potrwa, ale mam propozycję – mówi Branco, biorąc długopis Sala. – Weźmiemy tę część – ciągnie i wskazuje na w zasadzie cały teren, chociaż całkiem szczerze poszerzył strefę od zachodu. – Pozostali i tak się zmieszczą z co najmniej pięćdziesięcioma wiatrakami na każdego. Jeśli pan się zgodzi, to gmina nie będzie musiała zajmować się ani tą kobietą, ani Lapończykami. Sami załatwimy sprawę. To równie pewne jak fakt, że katolicy księża lubią ministrantów.

Też mi porównanie. Sytuacja zaczyna rozwijać się w kierunku, którego nie przewidział. Gdyby chodziło tylko o Branca, od razu by się zgodził i byłoby po problemie. Nawet nie musiałyby wiedzieć, jak wykupią Hirak i Lekatt.

Osobiście nie obchodzi go, kto będzie stał za wiatrakami, ale Finowie i Holendrzy byli w tym od samego początku. To znane firmy działające w szwedzkiej energetyce już od dawna – w odróżnieniu od Branca, o którym nikt dotąd nie słyszał. Salo ma więcej władzy, niż mogłoby się zamaryć jakiemuś innemu burmistrzowi, jednak obejście polityków jest niemożliwe. Nie zmieniłaby tego nawet w pełni demokratyczna dyskusja na następnym posiedzeniu łoży. I choćby przeciągnął na swoją stronę Olofsona i jego towarzystwo, plan Branca uniemożliwiłyby zasady transparentności, ekofaszyści oraz przepisy o konkurencji i inne złe moce.

– Jest jeszcze jedna rzecz – mówi Marcus Branco i dopisuje coś na kartce.

– Dużo tych zer – zauważa Salo.
– Prosto do kieszeni twoich spodni od Dressmanna.
Salo składa kartkę i chowa do kieszeni marynarki.
– Niezłe, ale tu chyba postawimy kropkę – stwierdza. – Przedyskutuję sprawę z moimi kolegami i odezwę się niedługo.
– Dobrze, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
– Które brzmiało?
– Czy masz rodzinę?
Salo wstaje, chowa skoroszyt do teczki, wsuwa krzesło na miejsce i patrzy na człowieka na wózku.
– Każdy ma rodzinę – mówi.
– To prawda, trzeba uważać na tych, których się ma.
Salo już idzie do drzwi wyjściowych, ale zawraca do mężczyzny na wózku.
– Jeśli to była groźba, to powiem tylko, że mi się to nie podoba. Postaram się podzielić tę ziemię jak najlepiej, ale groźbami nie utworzycie sobie uprzywilejowanej pozycji. Bo jeśli nawet będziecie grozić mnie i mojej rodzinie, to o podziale działek przesądzą decyzje podjęte demokratycznie, a nie moje.
Salo, malutki. Wprawdzie nie mam nóg, ale tym dalej sięgają moje ręce. Gdybyś tylko wiedział, ile potrafi wygrzebać z przeszłości przedsiębiorstwo zajmujące się bezpieczeństwem.
Co mniej więcej odpowiada temu, co myśli również Salo, który nie ma po swojej stronie ani teraźniejszości, ani przeszłości. Wkrótce nie będzie miał po swojej stronie niczego.

Wraca teraz do miasta. Po drodze kupuje sobie hamburgera i zamyka się w swoim gabinecie. Ledwo zdąży ugryźć kęs, gdy Branco znów nawiązuje kontakt. Tym razem przez pełnomocniczkę. Przyjemną, w każdym razie na oko. Świetnie zbudowaną, nieprzyzwoicie wręcz atrakcyjną. Zdecydowanie w jego guście.

– Przepraszam, że przeszkadzam w lunchu – mówi ona – pomyślałam jednak, że przyjdę od razu z dobrymi wiadomościami.

– Dobrze, że to jeszcze raz przemyśleliście – odpowiada Salo. – Przecież jak farma zostanie podzielona między różne firmy, będzie to z korzyścią dla was. Wszystko może się stać. Choćby w związku z wyborami w przyszłym

roku. Albo nagle okaże się, że jest nadprodukcja elektryczności, która spowoduje spadek cen.

– Decyzja jest niezmienna – mówi kobieta. – Dziewięćdziesiąt procent dla The Branco Group i po pięć procent dla tamtych. To i tak szczerze. Mogliśmy zażądać całości.

Kurde, co ona sobie wyobraża, że kim ona jest?

– Więc co to za dobra wiadomość?

– Proszę sprawdzić swoje konto bankowe. Nie będziesz zawiedziony.

– Wpłaciliście mi pieniądze? – Salo sięga po colę. Musi czymś zwilżyć usta.

– Właśnie. Wystarczy na spłatę dawnych długów kartanym razem z parszymi odsetkami i jeszcze trochę zostanie.

– Ale... skąd możecie... – Kręci mu się w głowie. Spod marynarki czuć woń potu.

– Nie martw się, obiecuję, że nic nie powiem Pernilli.

Pernilli.

– Nie, tak nie można. Ja nie przyjmuję łapówek. Nigdy tego nie robiłem i nie zrobię. Chodzi o moją wiarygodność. Moją opinię. – Słowa więzną w gardle, znów ściska go w żołądku.

– Potraktuj to jako dar z przyjaźni – ona na to – choćby policja nie widziała tego w ten sposób. Ani gmina.

– I właśnie do policji się zwrócę – mówi Salo, a żołądek się trochę uspokaja.

– Nie radzę. Nawiasem mówiąc, macie miłego syna. Bardzo dobrze wychowany. Ludzie powinni zwracać większą uwagę na uczenie dzieci oglądy, nie uważasz?

Lukas.

– Czego wy, kurwa, chcecie ode mnie?

– Nic takiego, co byłoby niemożliwe. Jedynie dziewięćdziesięciu procent terenu na tę farmę i zgody wszystkich właścicieli działek.

12

614 305 KORON. SALO gapi się na stronę banku. Bywało, że urzędnik tracił stanowisko za przyjęcie darmowej karty wstępu do klubu golfowego. Może powinien od razu rzucić ręcznik? Przelać forszę na portal gier internetowych, zagrać za całą sumę w nadziei na wygraną, a potem wziąć nogi za pas i zwać za granicę?

Pernilla i Lukas.

Nie da się. Musi znaleźć jakieś rozwiązanie. Problemy są po to, żeby je rozwiązywać. Czyż nie tak mówi zawsze na zebraniach zespołu? Żaden problem nie jest aż tak wielki, żeby nie dało się z nim uporać. Uczymy to kawą i tortem. Potem klepiemy się po plecach, a może i po pupach.

To jest jednak coś innego. *Masz rodzinę?* Trzeba iść na policję. Na policję i do zarządu gminy.

Masz na to siedem dni. Zegar tyka.

Z da Silvą spotyka się jutro. *So far, so good*, czyli na razie jest dobrze. Ona jest sprytna. Trzyma język za zębami. Na pewno zaproponuje jakieś rozwiązanie. A jeśli nie będzie milczała? Przecież jest prawniczką gminy, nie jego osobiście.

Nie. Tak się nie da. Salo jest sam jak mucha pływająca w zupie. Powstanie i upadek burmistrza. Nie sprawi pismakowi tej radochy. Salo jest człowiekiem czynu. Pominąwszy pecha, jakiego miał w loterii genetycznej, co zresztą dotyczy większości ludzi, szło mu naprawdę świetnie i zamierza to kontynuować. Do gminy wpadają z rozgłosem miliardowe projekty. A on dowozi je do portu, sterując pewną ręką. Czasem wbrew niechętniej postawie polityków, którzy prędzej czy później stają jednak po jego stronie. *If you're not in, you're out*. Zawieranie kompromisów to alfa i omega polityki. Hala do gry w padla zamiast krytej ujeżdżalni, kolejne sztuczne lodo-

wisko w miejsce domu kultury, osiemnaście dołków golfowych na polu z zabytkami z epoki brązu w zamian za halę targową. I to jest nic w porównaniu z tym, co za rogiem. A przynajmniej jeśli Salo postawi na swoim.

Plany związane z kopalnią to jeszcze sprawa przyszłości. Czas mu sprzyja, a potrzeba go na to, żeby opinia publiczna przeszła na jego stronę. Rosnąca inflacja, wzrost odsetek od kredytów i galopujące ceny mieszkań to nie jest raczej polityczna viagra, ale im bardziej ludzie boją się o swoje miejsca pracy, tym bliżej do realizacji jego wspaniałych planów. Kopalnia to miejsca pracy. Przynajmniej na papierze. A nie jego wina, że na końcu jest to najczęściej importowana siła robocza. Jeśli związki nie będą potrafiły dostosować swoich oczekiwań płacowych do rzeczywistości, to w całym przemyśle językiem oficjalnym stanie się angielski ze wschodnioeuropejskim akcentem. To już nie jego problem. Problem związany z kopalnią stanowi to, o co zawsze chodzi tu na północy: renifery i ekofaszyści.

Nalewa sobie jeszcze odrobinę whisky. Kostka lodu pobrzękuje o kryształ.

Powrót do rzeczywistości. Należy myśleć jasno. Skupianie się na przyszłości zamiast na teraźniejszości jest pociągające, ale prowadzi na manowce. Politycy to jedno, podobnie urzędnicy. Żadnych kontraktów jeszcze nie podpisano. Dadzą się przekonać jego argumentom i zgodzą się, żeby The Branco Group dostała to, co chce. Powinien podszlifować te argumenty. Pozostają właściciele ziemi pod przyszłą farmę. Wiedźma i Lapońce.

Uchylone okno jakby symbolicznie zamyka się teraz z trzaskiem. Deszcz bębni o szybę. Wiatr się wzmaga.

To zły pomysł. Nawet bardzo zły, skoro pił alkohol, ale jedyny, jaki przychodzi mu do głowy.

Wskakuje do auta i parę kilometrów za Gaupaudden skręca w lewo.

Tuż pod domem zwalnia i opuszcza szybę. Na mokradłach opuściły sypułki wełnianki, a na polu tu i ówdzie sterczą suche kępy traw jak głowy trolli. Stodoła się zapadła. Na skraju poletka została kosiarka, o zmroku wygląda jak szkielet.

Dostrzega jakiś ruch w oknie. Salo wchodzi po schodkach i dzwoni do drzwi. Wydaje się, że dzwonek nie działa. A więc puka i cofa się o parę kroków.

Gdy kobieta otwiera, stoją chwilę w milczeniu.

– I czego chce tu ktoś taki jak ty – mówi ona.

- Tylko chwilę pogadać.
- No to wchodź, żeby ciepło nie uciekało.

Nalewa wodę do imbryka. Sypie kilka łyżek kawy i przy ostatniej zmianie zdanie, jakby nie chciała jej marnować na tego obcego.

– Niech zgadnę – odzywa się, zanim on zdąży cokolwiek powiedzieć. – Chcesz mnie przekonać, żebym udostępniła moją ziemię pod farmę wiatrową, ale ja tego nie zrobię. Choćby to miała być ostatnia rzecz w moim życiu.

Co jest bardzo prawdopodobne.

– Przyjemnie tu u ciebie – mówi Salo, rozglądając się po starej kuchni z piecem i skrzynią na drwa. Na podłodze z desek leżą szmaciane chodniczki. W oknach tłoczą się pelargonie. *Nagle staje w drzwiach on. Dopiero co rozbudzony. Skacowany. Twarz poczerwieniała, wytrzeszczone oczy przesuwają się po nich. Na kogo wypadnie, na tego bęc. Jeśli teraz uciekną, ona zostanie z nim sama. Jeśli nie uciekną, on złapie wszystkich.*

Kobieta z trzaskiem stawia filiżankę na stole, karton mleka i cukiernicę. Łyżeczka brzęczy na spodku.

– Nie mam nic do kawy – mówi. – Biedaemeryci muszą oszczędnie gospodarować słodyczami. Ale pewnie nie masz o tym pojęcia, bo ty wolisz wydawać pieniądze na sztuczne lodowiska i kopalnie.

– O tym decydują politycy, a nie ja – odpowiada Salo, usiłując przedstawić się w korzystniejszym świetle.

Kobieta rzuca mu spojrzenie. Mówi ono: nie przychodź tutaj, żeby mi opowiadać głupoty. Już ja wiem swoje.

– Dziwię się, że się wcześniej nie zjawiłeś – odzywa się. – Przecież mieszkasz ledwie rzut kamieniem stąd.

– Na Gaupaudden – odpowiada Salo. – Od jakiegoś roku. Moja żona – przysłała – zawsze marzyła, żeby mieszkać na wsi. Ona jest z Uppsali. Syn ma dziewięć lat i lubi łowić ryby, więc fajnie jest mieszkać nad rzeką.

Nawija o rodzinie. Zwierza się. Czy nie tego chcą kobiety?

– Mówiłeś, że przyjechałeś w sprawie ziemi? – Nie potrzeba tu żadnych pogawędek.

– Owszem – odpowiada Salo. – Wszystko przygotowane do rozpoczęcia budowy największej farmy wiatrowej w Europie. Będzie mnóstwo miejsc pracy. Pieniądzy, które popłyną do gminy. Nieograniczony dostęp do elektryczności.

– I tak dalej – mówi Marianne Lekatt.

– I tak dalej, gdyby nie to, że wydziwiasz.

– Nie wydziwiam – odpowiada Marianne – nie chcę mieszkać na terenie przemysłowym. Chcę słyszeć szum wiatru w gałęziach drzew i wody w rzece. A nie szum tysiąca stu wiatraków. Mam pełne prawo o tym decydować. I nie obchodzi mnie, że chcesz budować tę farmę, żeby wyjść na ważniaka. Mieszkam tu. I zamierzam tak mieszkać do śmierci. A na mojej ziemi nie będzie żadnej farmy wiatrowej.

– I tak będziesz słyszała wiatraki – przekonuje Salo. – Przecież jesteś właścicielką tylko niewielkiej części tej całości.

– Ale nie tylko ja odmawiam, na pewno o tym wiesz – mówi Marianne.

– Czyli ty i Hirak przeciwko reszcie świata. Sama słyszysz, jak to brzmi. Ze swojej części mogłabyś wyciągnąć co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy koron rocznie, a może i więcej. Pomyśl tylko, co mogłabyś zrobić za te pieniądze. Sama wspomniałaś, jak trudno wyżyć z emerytury.

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Pewnych rzeczy nie da się zamienić na pieniądze. Zresztą uważam, że powinieneś sobie już iść. Chyba że jest jeszcze coś.

Takie by to było łatwe. Para dłoni na jej pomarszczonej szyi. Ciało do bagażnika. A potem, jak tylko się ściemni, wrzucić do rzeki. Nie. Jeszcze lepiej. Przyłożyć polanem w głowę. Potem do rzeki. A w dniu, kiedy wypłynie, nie będzie żadnego podejrzenia morderstwa, zwykły wypadek.

Ale co z Hirakami? Troje rodzeństwa, dzielących gospodarstwo. Märta. Ich miały też zabić?

– W takim razie dziękuję za kawę. Mam nadzieję, że się jednak nad tym zastanowisz. Wiem, ile znaczy ziemia, ale przynajmniej pomyśl o przyszłości i dzieciach dorastających w zmieniającym się klimacie, do czego my się przyczyniamy. Zrób to dla nich, jeśli nie z innych przyczyn.

13

– JAK SIĘ NAZYWASZ?

– Że co proszę?

– Po prostu byłem ciekaw, miło się rozmawiało. Może się kiedyś spotkamy? – Kładzie dłoń na jej rękę, którą ona natychmiast cofa.

– Nie sądzę – mówi Lisbeth Salander i wstaje, gdy tylko gaśnie napis nakazujący zapiąć pasy. Przepycha się obok rodziny z dziećmi i podąża za strumieniem ludzi idących do bramki wyjściowej.

Ma mały bagaż. Kilka rzeczy na zmianę wcisnęła do plecaka. Resztę miejsca zajmuje laptop z różnymi kabelkami, strój do ćwiczeń i trampki ze splekanej skóry, z gładką podeszwą. W najgorszym razie kupi coś po drodze. Na twarz padają jej niezwykajnie ciepłe promienie październikowego słońca. Wyż. Dobrze się oddycha.

Po zameldowaniu się w hotelu podłącza się do intranetu Milton Security. Odpowiada na kilka niepotrzebnych maili od wyjątkowo tępej współpracownicy. No cóż, zatrudnili ją, żeby utrzymywała porządek w papierach. Dołącza życzenia miłego weekendu i przypuszcza, że dla Cariny Jönsson będzie on równie nudny jak zwykle.

Pogawędki nigdy nie były mocną stroną Lisbeth. Odkąd jednak została współwłaścicielką firmy, wzrosły wymagania dotyczące jej kompetencji społecznych. Zwłaszcza jeśli w jakiś poniedziałek musi się tam pojawić. Kolejne osoby z personelu wpadają, nalewają sobie kawę i opowiadają mniej więcej to samo, co tydzień wcześniej.

Wydaje się, że dla Cariny Jönsson życie sprowadza się do tego, żeby być pracowitą i normalną. Zbierać grzyby, zrobić wielkie sprzątanía, pójść do teatru, przygotowywać znakomite śniadanie i pojechać do Ikei. Chętnie używa zwrotu „pozwolić sobie”. Pozwoliłam sobie na nową sukienkę.

Trzeba sobie pozwolić czasem jadać poza domem. Chodzi o to, żeby pozwolić sobie na trochę przyjemności w życiu.

– Co ty możesz wiedzieć o życiu? Jak ja się urodziłam, to już byłam starsza niż ty teraz – mruczy pod nosem Lisbeth.

Lisbeth nie potrafi wnieść niczego do poweekendowych rozmów ani z Cariną, ani z pozostałymi nerdami. Jest samotniczką i dobrze jej z tym. Według pracowników firmy sama jest sobie winna. Już jej nie proponują, żeby dołączyła do *Władcy Pierścieni* na żywo albo przyszła na spotkanie fanów techniki w Hiltonie. Lisbeth odmawia, ale nie dlatego, że chce być nieuprzejma. Rozkodowanie czynnika ludzkiego to nie to samo co zhakowanie danych. Do tego trzeba czegoś jeszcze. Może umiejętności czytania między wierszami.

Relacje z innymi ludźmi – z nielicznymi wyjątkami – kosztują za dużo energii. Większość tych, którzy cokolwiek dają, oczekuje czegoś w zamian.

Wszystkie dni wyglądają u niej podobnie. Pracuje, a kiedy nie pracuje, to ćwiczy albo śpi. Nie ma partnera. Żadnych dzieci. Zwierząt. Nawet roślin. A więc nie sili się na nic. Nie udziela niepotrzebnych informacji o sobie poza tym, że pracuje i ćwiczy.

– Chodzisz wciąż na ten box-kicking? – pyta Carina uprzejmie, a więc Lisbeth musi odpowiedzieć równie uprzejmie:

– To się nazywa kick-boxing. – Ale już jej się nie chce dodawać, że obecnie ćwiczy karate, a wszystko przez tego cholernego Paolo Roberta. Wprawdzie nie obchodzi jej, z kim facet sypia, ale żeby najpierw zostać bohaterem w aferze handlu ludźmi, a potem latać na kurwy, to jak dla niej trochę za dużo.

W ten weekend będzie jednak robiła coś zupełnie innego. I w stu procentach nie wynika to z jej własnej woli.

Lisbeth sprawdza minibar. Żadnej coli. A więc otwiera sobie piwo i wypija je aż do końca. W głowie kręci jej się przyjemnie, jak dzieje się tylko po wypiciu jednym ciągiem całego piwa.

W stu procentach nie z własnej woli? Nawet jeśli wyliczy wszystkie emocjonalne i logiczne powody, żeby nie chcieć wsiąść do samolotu lecącego do jakiejś dziury w Norrbotten, faktem jednak jest, że się tutaj znalazła. Nie została do tego zmuszona. Nikt nie przytknął jej pistoletu do głowy ani nie kusił sutą nagrodą. Czyli ma w sobie coś, co tak nią pokierowało.

Czy to nie tego właśnie nie znosi u innych? Decyzji podejmowanych pod wpływem emocji. Braku logiki.

Nie ma to jak matematyka, nie tylko daje efekt przeciwlękowy, i to ileś razy lepszy od diazepamu, ale jeszcze może wypełnić niespokojny umysł prostymi z pozoru tezami, których rozgryzienie zabrałoby pojedynczemu człowiekowi tysiące lat.

Zafrapowało ją brakujące ogniwo w hipotezie Goldbacha. Jego założenie, że każda liczba parzysta większa od dwóch stanowi sumę dwóch liczb pierwszych, być może jest prawdziwe, bo nikomu nie udało się udowodnić, że tak nie jest. Ale może również być fałszywe. Wtedy odpowiedź powinna się znajdować w przypuszczalnie nieskończonym ciągu liczb pierwszych, a nie w kapryśnej psychice jednego człowieka.

Dlatego Lisbeth szuka jakiegoś wzoru. Spędza noce, czasem również dnie z liczbami, które dają jej poczucie bezpieczeństwa. Nie po to, by dojść do jakiejś antytezy i koniecznie mieć rację. Nie – znaczenie ma sama możliwość, że Goldbach mógł się mylić. I gdyby ta możliwość wbrew przypuszczeniom się ziściła, to jest absolutnie czysta. Wolna od ludzkiego uważania i subiektywizmu. Prawda to bezpieczny ciąg liczb, które ustawiają się kolejno w szeregu aż do momentu, gdy jedna wypada.

To wina tego cholernego psychoterapeuty, myśli sobie Lisbeth. Kurta Ågrena, którego szybko przechrzczyła na *Ingego Ågrena*.

Zjednuje ją tym swoim łagodnym głosem, brzydkimi własnoręcznie utończonymi filiżankami do herbaty i nieudawaną empatią, która wprowadza ją w stan szczerości. Skłania do opowiadania mu różnych rzeczy. Takich dawno pochowanych, których nie powinna wskrzeszać.

Jest potem kompletnie wykończona. Kupuje pizzę na wynos w Lilla Harem, idzie do domu i śpi. Punktualnie o czwartej rano budzi ją wewnętrzny lęk i pyta, co powiedziała i dlaczego.

Obecnie Inge Ågren uważa, że Lisbeth powinna odważyć się wyjść ze swojej strefy komfortu, jak to określa. Chociaż na tym etapie już wie o dość licznych niekomfortowych strefach, w jakich Lisbeth się znajdowała i wciąż znajduje.

– Właśnie dlatego – przekonuje ją. – Świat nie jest tak zły, jak ci się wydaje.

Świat jest gorszy, niż potrafisz to sobie wyobrazić, Inge Ågrenie. W końcu dalej już się nie dało. Coś w jej środku musiało opuścić swoje miejsce. Zostać wykreślone i zastąpione przez nowe myśli.

Pierwsze spotkanie jest katastrofą. On siedzi tylko i czeka, żeby coś powiedziała. Więc kiedy się nie odzywa, on parzy herbatę. Potem piją ją w milczeniu. Słyszą tylko tykanie zegara ściennego. Tik-tak przez czterdzieści pięć minut. Następnie ona płaci dziewięćset pięćdziesiąt koron, idzie do domu i wysyła mu maila.

– Podejmij jeszcze parę prób – odpowiada jej Inge. – To nie ja, tylko ty sama decydujesz, o czym chcesz rozmawiać.

Następnym razem on znów parzy herbatę. Jego kapcie Knulp trzeszczą, kiedy idzie po parkiecie, balansując tacą. Lisbeth może wybrać, na którym krześle chce usiąść. On pyta potem, dlaczego wybrała właśnie to krzesło.

– Żeby nie siedzieć tyłem do drzwi – odpowiada Lisbeth.

– Wyjaśnij mi dlaczego – on na to. I słowa wylewają się z niej, jak rzeka, kiedy wiosną puszcza lód. To było rok temu.

Nie dlatego jadę na północ, że chcę, ale jadę. Na terapię chodzę nie dlatego, że chcę, ale chodzę. Nie dlatego, że świat jest dobry, bo jest kosztowny, ale dlatego, że muszę.

Na tym koniec z autopsychoanalizą. Nie da rady. Przyjechała kilka dni wcześniej, żeby mieć czas zarówno na pozbieranie się, jak i na zmianę decyzji. Zapłaciła mnóstwo pieniędzy za jedyny apartament w hotelu, który naprawdę spełnia jej wymagania co do skąpego umeblowania, nagich ścian i twardego łóżka. W tym momencie skłania się do tego, żeby jednak zmienić decyzję. Wymeldować się z hotelu, wsiąść w samolot i wrócić do normalnego życia na Fiskargatan.

Wyciszona komórka brzęczy na stole. Lisbeth poznaje numer kierunkowy. Tylko urzędy i starzy ludzie dzwonią ze stacjonarnych numerów, a ona już nie zna nikogo starego. Odbiera, nie odzywając się; czeka, a kiedy głos z tamtej strony powtarza „halo halo”, wreszcie mówi tylko:

– Tak.

– A, witam, jednak jest pani – odzywa się kobieta i przedstawia: Elsie Nyberg. – Jak tam, w porządku?

– Dobrze.

– Dobrze, dobrze – powtarza papuga i pyta, czy mogą zobaczyć się na chwilę.

– Przecież spotkanie odbywa się dopiero pojutrze – odpowiada Lisbeth.

– Owszem, ale coś się stało – mówi tamta. – Wolałabym nie poruszać tego przez telefon, mogłaby pani przyjść?

– Nie – odpowiada Lisbeth – ale możemy się spotkać w hotelu. – Przesuwa dłonią po niemytych włosach i wacha się pod pachami. Gdyby chodziło o kogoś innego, może by wzięła prysznic.

LISBETH SALANDER nalewa sobie filiżankę darmowej kawy z termosu w recepcji. Jest ledwo ciepła i pachnie blachą, ale dzięki niej puszcza ucisk w głowie.

Siada na fotelu. Żadnej kobiety z opieki społecznej jak okiem sięgnąć.

W tej sprawie nie sposób się pomylić, myśli Lisbeth i rozpracowuje otoczenie. Przy barze tłoczą się garnitury, grupka sportowych kurtek gra w shuffleboard, bluzki koszulowe spotkały się po pracy, a... O, wypatrzyła ją, właśnie wchodzi przez drzwi obrotowe. Przykład kobiety z rasy pracownicy opieki społecznej. Nieokreślony wiek, siwoblond włosy, zmarszczka na czole, plecak Kånken w pierwszym wydaniu ze składaną parasolką wystającą z bocznej kieszeni. Na szyi identyfikator, który zapomniała zdjąć, wychodząc z pracy.

Kiedy kobieta przystaje, rozgląda się, dostrzega bluzki koszulowe i siada wśród nich, Lisbeth jest niemal zszokowana swoją pomyłką. I do tego stopnia zaskoczona, że nie zarejestrowała mężczyzny, który się nagle zmateriałizował przed nią i wyciąga do niej rękę.

– Erik Niskala – przedstawia się. – Elsie Nyberg się rozchorowała, więc ją zastępuję. Czy mogę pani coś zamówić? – dodaje i proponuje piwo.

Lisbeth kiwa głową potakująco. Po paru minutach ma przed sobą piwo i orzeszki ziemne.

Niskala wiesz płaszcz na krzesło i z wysiłkiem siada. Jest zwalisty, do tego spasiony. Guziki od koszuli, którą ma pod swetrem, są napięte na brzuchu, ale spojrzenie ma w porządku. To również zauważyła.

– No tak – odzywa się Niskala. – Zostałem wprowadzony w tę sprawę dość nagle. Nawiasem mówiąc, za zdrowie i witamy w Gasskas. Ipa jest warzone tu na miejscu i nawet sprzedawane w browarze. Jak się posmakuje,

to jest wyczuwalna nuta ananasa. – Niskala patrzy znad kufla i pije wielkimi łykami. Ściera pianę z brody i na koniec wzdycha: – Aaach, cały dzień o tym marzyłem. Lodowate piwo w prawdziwym kuflu.

W tym momencie jakby się spostrzegł, że to nie w porządku pić w pracy. Że ma sprawę o formalnym charakterze. A więc ze steranej skórzanej teczki wygrzebuje okulary i plastikowy skoroszyt, po czym odchyła się na krzesło. Zakłada okulary i znów je zdejmuje. Pochyla się w przód aż do momentu, kiedy brzuch mówi stop, i patrzy na nią jak nauczyciel na ucznia, który zrobił coś nieoczekiwanego. Niekoniecznie złego, niekoniecznie dobrego.

– Chodzi wszak o Svalę – mówi. – Pani bratanicę, jeśli dobrze rozumiem.

– Córkę Ronalda Niedermanna – odpowiada Lisbeth. – Nie znamy się.

– Właśnie, ale figuruje pani jako osoba kontaktowa dla Svali. Wprawdzie bez podanego numeru telefonu albo adresu. Trzeba było czasu, żeby panią odnaleźć, no i jest pani.

Lisbeth próbuje się dowiedzieć, w jaki sposób do tego doszli, ale Niskala tego nie wie.

– Ja jestem tylko prostym urzędnikiem opieki społecznej, nie jakimś hakerem.

Lisbeth też wypija kilka łyków piwa. Cholerne tętno. Cholerny ból głowy, który nie chce ustąpić. I cholerny Niedermann, który powinien był umrzeć bezdzietnie. Skąd miała wiedzieć? Zresztą nawet gdyby wiedziała, czy robiłoby to jakąś różnicę?

Sprawa była prosta – albo on, albo ona. To on ją ścigał, nie odwrotnie. No, może z wyjątkiem ostatniego razu. To wciąż jej ulubiona scena. Ta jego furia, a potem puste spojrzenie i mamrotanie po niemiecku. Odgłos nadjeżdżających motocykli. Ona, wracająca swoją czerwoną hondą w stronę miasta w poczuciu wolności.

Wniosek: ze wszystkich złych rzeczy, które wyrządziła innym, śmierć Niedermanna należy do najlepszych. Lisbeth niczego nie żałuje. Nawet biorąc pod uwagę osierocone dziecko.

– Wiadomo pani coś na temat ojca dziewczynki? – pyta Niskala.

– Nie, nigdy go nie poznałam – odpowiada Lisbeth.

– Czyli nie wie pani, jak długo był obecny w jej życiu?

– Nie.

Lisbeth Salander wpatruje się długo w Niskalę, który w końcu spuszcza wzrok.

– No cóż – mówi, przebierając palcami po skoroszycie. – Musimy znaleźć dla Svali tymczasowy dom, a ona zaproponowała panią.

– Mnie? Ja się nie mogę opiekować dzieckiem. Nie zrobię tego. Zgodziłam się z nią spotkać, ale nic więcej. – W tym momencie nie pamięta dlaczego. – Ona ma babcię. Czy nie byłoby najlepiej, gdyby to u niej zamieszkała?

– I właśnie dlatego chcieliśmy się spotkać z panią już dziś. Problem w tym, że babcia Svali umarła dziś rano. Znalazła ją Svala.

– O cholera. Na co umarła?

– Nie wiem – mówi Niskala. – Pewnie na zawał. Leżała martwa na podłodze w przedpokoju.

– O cholera – powtarza Lisbeth, chociaż w myślach jest to kurwa mać. Jeśli była jakaś szansa, żeby się z tego wyplątać, to już jej nie ma. Mogłaby oczywiście odmówić. Opieka społeczna znalazłaby dziewczynce rodzinę zastępczą, a Lisbeth już nigdy nie musiałaby się nad tym zastanawiać. Tylko że opieka społeczna jest cholernie dobra w dawaniu plamy, myśli Lisbeth. Pewnie umieściliby dzieciaka u jakiegoś miejscowego pedofila.

– Oczywiście pracujemy nad tym, żeby znaleźć jej jakiś dom na stałe – mówi Niskala.

– Na jak długo? – pyta Lisbeth.

– Trudno powiedzieć, w naszym rejonie jest kilka odpowiednich rodzin. To może się stać szybko.

– Nie, tego się nie da zrobić – stwierdza Lisbeth. – Muszę wracać do Sztokholmu – dodaje, co jest kłamstwem, bo sama dysponuje swoim czasem. Nie potrzebuje biura, żeby być w pracy. Ale dziecko. Nastolatka. Nie. Lisbeth nie wzięłaby do domu nawet patyczaka.

Niskala otwiera skoroszyt i grzebie w papierach.

– Ta mała jest całkiem w porządku – mówi, szukając czegoś, żeby głośno odczytać, ale zmienia zdanie i zamiast tego podaje skoroszyt Lisbeth. – Proszę dać sobie czas na zastanowienie przez dzisiejszy wieczór – ciągnie. – Sprawa jest objęta klauzulą poufności, ale zrobimy wyjątek – śmieje się. – W końcu pracuje pani w branży bezpieczeństwa.

15

KATARINA DA SILVA już jest w biurze. Stawia na stole filiżanki do kawy i kroi struclę drożdżową.

– Myślisz, że tacy ludzie jedzą ciasto? – pyta Salo.

– Człowiek staje się miły po cieście z cynamonem. Co się może przydać. Wiesz, czego chcą tym razem? – pyta, raczej niezachwycona tym, że ma przerwać weekend w związku z biznesowym spotkaniem Henry’ego Salo.

– Pewnie zapewnienia, że stoję po ich stronie.

Opowiedział jej o spotkaniu w Brittas i ambicjach Branca, by zagarnąć największą część terenu, zostawiając kawałeczki innym udziałowcom.

Groźbę, jeśli była to groźba, pominął.

– Dobrze, żebyś mi towarzyszyła – mówi Salo. – Na papierze wszystko wygląda okej, ale chodzi o właściciela, Marcusa Branco. Trzeba go wybać. Jeden z wymogów wygląda tak, że część prądu ma zostać w regionie, w przeciwnym razie upada cała ta idea. Gasskas już dziś jest atrakcyjne ze względu na energetykę wodną, ale jeśli mają się ziścić projekty na przyszłość, musimy móc zagwarantować znacznie większe moce.

– To już wiem – odpowiada da Silva. – A co ci wiadomo o The Branco Group, czyli o samej spółce?

– Nic ponad to, co do tej pory wiedzieliśmy. Jej trzonem jest firma z branży bezpieczeństwa, która inwestuje w kopalnie, nieruchomości i przemysł wytwórczy. Główną siedzibę ma w Umeå. Dysponuje znacznym kapitałem.

Za pięć pierwsza Salo idzie do wejścia, żeby ich wpuścić. Punktualnie o pierwszej Branco wjeżdża wózkiem w towarzystwie Lo.

– Nowa twarz – odzywa się Salo i udaje, że się nigdy dotąd nie spotkali.
– Witamy w siedzibie gminy Gasskas. Pomyślałem, że usiądziemy w sali konferencyjnej. Bardzo proszę, tu na prawo.

– A ty jesteś adwokatką – mówi Branco, patrząc na da Silvę.

– Jestem radcą prawnym gminy. Na emeryturze. Przychodzę, kiedy jestem potrzebna. Jak dziś – mówi, rozwiązując tasiemki teczki. – Przedyskutowaliśmy państwa propozycję, przedstawiliśmy ją politykom i obstajemy przy naszej pierwotnej decyzji: trzech aktorów na działkach równej wielkości.

Branco nie odpowiada, robi dość teatralną pauzę i patrzy na miasto, na rzekę, budynek policji i urząd służby komorniczej. Nie jest poirytowany, raczej jakby wyczekiwał.

– Przepraszam panie, ale chciałbym porozmawiać z Henrym Salo na osobności – mówi w końcu.

Da Silva zgłasza miękki sprzeciw, ale potem wstaje i zwraca się do Lo.

– Może przejdziemy do pokoju socjalnego i przysiadziemy tam na chwilę.

– Z tego, co wiem, znasz Märtę Hirak – odzywa się Branco, kiedy już są sami.

– Owszem, bo co?

– Chcielibyśmy z nią porozmawiać w pewnej sprawie, ale nie udało się jej zlokalizować.

– Słyszałem, że zniknęła i nie ma jej w mieście – odpowiada Salo – ale co to ma wspólnego ze mną?

– Zebraliśmy trochę informacji i wynika z nich, że byliście parą. Nastoletnia miłość ze smutnym zakończeniem.

– To było trzydzieści lat temu, proszę przejść do rzeczy.

– Jeśli dobrze zrozumiałem moje źródło, nadal się z nią spotykasz?

– Wciąż nie rozumiem, do czego to zmierza.

– Moje źródło jest przekonane, że ci na niej zależy. Może nawet bardziej niż na przyszłej żonie. I jej, i tobie byłoby przykro, gdyby coś jej się stało. Prawda?

Salo czuje, jak całe jego ciało, wszystkie zmysły i on cały, intuicja i tak dalej chce wstać i wrzasnąć: „Won z mojego życia. Mam w dupie waszą cholerną farmę wiatrową. Zostawcie mnie w spokoju!”.

– Mówiąc wprost – ciągnie Branco – zagwarantuj mi tę ziemię, w przeciwnym razie zginie Hirak. Wiem też o twojej oficjalnej rodzinie. O przy-

szłej żonie na przykład, Pernilli. I prawda, jakie to miłe, że dziadek chłopca, nazywa się chyba Mikael Blomkvist, tak ładnie zajmuje się Lukaszem.

– Dziękuję, wystarczy – mówi Salo. Jedną z niewielu zalet, jakie sobie przypisuje, stanowi umiejętność zachowania chłodnej głowy, gdy płonie dusza. A w tym momencie żar w duszy ocenia pod kątem czasu i osoby.

Märta Hirak.

Märta Hirak... Budzą się w jednym z gniazd hotelu Brittas. Minęły godziny, choć wydaje się, że to minuty. Salo leży z nogami wplątanymi w jej nogi. Jeśli ją mocno przytrzyma, może tu zostanie.

– Muszę na jakiś czas zniknąć – mówi Märta. – Odezwę się.

Od tamtego czasu miał od niej trzy słowa. Tęsknię za tobą. Wciąż żyje tymi słowami.

– Możecie z Märtą Hirak zrobić, co chcecie – mówi Salo. – To nie mój problem. Niestety nie mogę wam pomóc. Zasady to zasady. Jeśli to wszystko, to lepiej już skończmy.

Niech się facet wynosi, zanim powie coś jeszcze.

Ale Branco po prostu wyjeżdża na swoim wózku bez żadnego dziękuję czy do widzenia.

16

ERIK NISKALA IDZIE SOBIE, a Lisbeth Salander zostaje na miejscu. Otwiera skoroszyt i znów zamyka. Próbuje zebrać rozbiegane myśli w jakiś pogląd, ale daje za wygraną. Wsuwa skoroszyt pod skórzaną kurtkę i sunie do baru.

Miejsce powoli wypełniają ludzie cieszący się weekendem. Tym razem Lisbeth zamawia colę z dużą ilością lodu. Ledwo zdąży wypić jeden łyk, gdy ktoś popycha ją, i to tak, że jej szklanka ląduje na podłodze.

– Ojej, przepraszam, oblałaś się, czekaj, przyniosę jakiś papier – mówi ktoś.

Ktoś to dziewczyna o rudych włosach i czerwonych paznokciach. Obgryzionych, zauważa Lisbeth, w skórzanej kurtce podobnej do jej kurtki, czarnych dżinsach i wysokich butach.

– Ojej – mówi znów. – Zdaje się, że ciuchy kupujemy w tym samym sklepie. Co pijesz? – pyta. – Wyglądało to na rum z colą. Postawię ci nową.

– Dobra – mówi Lisbeth.

– Jessica – mówi dziewczyna i podaje jej rękę.

– Lisbeth.

– Nie jesteś stąd, prawda? – pyta tamta. – Musiałabym cię widzieć wcześniej.

– Zgadza się – odpowiada Lisbeth. – A ty?

– Ja tak. Nie zajechałam dalej niż do Skellefteå. I tam poznałam męża. Też był z Gasskas i kiedy urodziły nam się dzieci, wróciliśmy tutaj.

– Więc jesteś mężatką – mówi Lisbeth, żeby coś powiedzieć.

– Rozwódką – odpowiada Jessica.

Przez chwilę milczą, obserwując barmana potrząsającego shakerem swymi umięśnionymi ramionami, które opinają krótkie rękawki T-shirtu.

– Chodziliśmy do tej samej klasy – mówi Jessica, kiwając głową w stronę miejscowego Toma Cruise’a. – W tym mieście są tylko dwa typy ludzi. Sportowcy i kibice.

– A ty którym jesteś? – pyta Lisbeth.

– Pewnie tym drugim. Mój były gra w hokeja, ale ja mam dosyć tego świata. Może wymyślę nowy typ osobowości. Na przykład pracoholika. Albo stres-matkę. A ty jakim jesteś typem? – pyta Jessica.

Mścicielką, hakerką, morderczynią.

– Pracoholiczką – odpowiada. – I sportsmenką. Ćwiczę i pracuję, to wszystko.

– Nie masz dzieci?

– Nie mam.

– Ani męża?

– A trzeba mieć?

– Ależ skąd – mówi Jessica. – Wystarczy ogórek. Przynajmniej nie gra w hokeja.

– Ani nie gada – dopowiada Lisbeth.

– Chcesz potańczyć? – pyta Jessica. – Dansing jest piętro niżej.

– Potańczyć?

– No wiesz, machasz rękami i kręcisz biodrami. I gadać nie trzeba. No chodź – mówi, wyciągając spinę, a włosy opadają jej na plecy.

Lisbeth nie ma nic przeciwko tańcom. Tyle że dawno tego nie robiła.

Muzyka jest głośna, a na parkiecie ciasno. Raczej nie ma mowy o jakimś stylu. Wygląda to raczej na grupowy rytuał podskakujących i podpitych szczęśliwców wykrzykujących refren.

*Tam gdzie szczupak pływa w sitowiu,
a lis się zakrada na ganek.
Gdzie w garażu się warzy dla siebie
Tam, kurde, chciałbym mieć domek.*

W falującej masie ludzkiej Jessica łapie Lisbeth i też wrzeszczy.

*Bo kto chce żyć w mrowisku,
Gdzie ludzie nadęci i źli,*

*Truchleją, gdy pada śnieg,
i czmyhają przed komarami.*

Jej włosy trzepią Lisbeth po twarzy. W świetle stroboskopowych błyskawic rudość przechodzi w lila, a jej rysy stają się ostre jak łupki.

Jak wiedźma, cholernie wysoka i seksowna wiedźma. Lisbeth przyciąga ją bliżej. Czuje zapach potu spowodowanego tańcem, również perfum, dotyk bioder, piegowatego przedramienia i dłoni, która mocno trzyma jej dłoń. Jednak gdy muzyka się uspokaja i tłum rzędzie, Jessica cofa się o krok. Zbiera włosy spinką i mówi, że musi się czegoś napić.

A więc piją coś. Jessica przerzuca się słowami z Tomem Cruise'em, a Lisbeth może tylko stać obok jak dziecko, o którym dorośli zapomnieli.

To znaczy może na przykład pójść do swojego pokoju. Przeczytać, co jest w skoroszycie, i sformułować odpowiedź odmowną. Nie, nie, nie. Nie potrzebuje mieć w swoim życiu żadnej nastolatki, zresztą żadnej dziewczyny też nie. A jednak stoi i czeka, aż Tom Cruise zajmie się innymi klientami, a Jessica zwróci się w jej stronę.

– Jesteś jeszcze – zauważa. – Ja już wracam do domu, ale miło było poznać.

Nie ma poprzedniej bliskości, tej z parkietu. W głosie Jessiki słyhać odmowę, ale Lisbeth postanawia zaryzykować. Ludzie są tacy tradycyjni, myśli, i rzadko podążają za swoim instynktem. Czasem potrzebują zachęty.

– Mieszkam w tym hotelu – mówi. – Jeśli chcesz, to możemy napić się czegoś u mnie w pokoju, potem zamówiłabym ci taksówkę.

Jessica patrzy na nią długo. Wyjmuje telefon, wysyła esemesa, wypija resztkę wina, jakby to był skomplikowany rytuał, a w końcu odpowiada:

– Nie. Opiekunkę do dzieci mam tylko do północy.

17

JEST ZA KWADRANS PIĄTA, gdy biały transporter zajeżdża do znajdującego się zaraz na północ od Gasskas ośrodka dla uchodźców Fridhem. Mieszkają tu dzieci i młodzież, którzy przyjechali do Szwecji samotnie.

Nie chodzi o żadną dostawę. Raczej o zabranie kogoś. Odbywa się to na rozkaz. Wydano go przeszło godzinę temu.

Parę dzieciaków w wieku poniżej dziesięciu lat gra w piłkę, odbijając ją od ściany. Personel dzienny jedzie do domu, na wieczornym dyżurze jest Frej Aludd. Zwyczajny dzień. Piątek.

Piłka ląduje przed Vargiem, który podrzuca ją nogą i kopie jak najdalej.

– Fajny strzał – odzywa się Björn. – Murzynki mają za czym pobiegać.

Kierują się do sekretariatu. Ma kształt sześcianu, okna z zasłonami i drzwi, które są najczęściej otwarte.

– No siema, Frej, dawno się nie widzieliśmy, masz nadgodziny?

Frej Aludd odruchowo pochyła się nad biurkiem. Zamyka laptopa i przysuwa do siebie telefon, jakby został zaskoczony przez włamywaczy.

– Czego chcecie? Już wam mówiłem, że z tym koniec.

– A jednak jesteście tutaj – mówi Varg, grzebiąc między skoroszytami leżącymi na biurku.

– Zadzwoń na policję, jeśli stąd nie wyjdziecie – odpowiada Frej.

Varg czuje ulgę, rozchodzi się po jego ciele jak światło. Sytuacja jest pod kontrolą, może się wyprostować i cieszyć się nią.

– Nie wydaje mi się – mówi. – Chyba nie chcesz, żebyśmy się skontaktowali z twoją żoną. Chociaż właśnie – tu cmoka – już z nią rozmawialiśmy. Prosiła, żeby ci przekazać, że zatrzymuje willę i wystąpi o wyłączną opiekę nad dziećmi. Bye, bye, dzieci. Dla nich to niewielka strata, jak się domyślam. Kto by chciał mieć ojca pedofila?

- O co chodzi? – pyta Frej ochrypłym głosem.
- O to samo co ostatnio. Ni mniej, ni więcej. Najlepiej poniżej osiemna-
stu lat i Murzynka.
- Chyba zdajecie sobie sprawę, że to nie w porządku – mówi błagalnym
tonem.
- Nie bardziej niż to, że bierzesz za to pieniądze.
- No dajcie spokój – mówi Frej. – Jestem kierownikiem, nie sutenerem.
- Zawsze możesz spróbować wytłumaczyć się przed policją ze stanu
swojego konta. No już, maszeruj, nie mamy do dyspozycji całego wieczoru.
Od czego zaczniemy?

Najbliżej sekretariatu znajdują się pomieszczenia mieszkalne mniejszych
dzieci, w środku jest oddział młodych chłopców, a w głębi – dziewcząt.
I tam zmierzają z Frejem w roli straży przedniej. Frejem, który się ociąga,
chcąc zyskać na czasie.

Varg uśmiecha się, idąc tuż za nim. Ciało Freja Aludda aż krzyczy
o jakieś wyjście.

Pałakowate nogi potykają się o własne stopy, a nabity hamburgerami
tyłek aż się prosi o reakcję. Idealnie wymierzony kopniak rzuca Freja kilka
metrów w przód i ten ląduje na czworakach, jak pies.

- Proszę – skomle – nie kopcie, będę posłuszny.
- Nie może być inaczej – mówi Varg, podciągając go do góry. – Pospiesz
się.

Frej puka w pierwsze drzwi. Głos woła „zaczekaj”.

– Zaczekaj na co, wchodzimy. – Dziewczyna wyszła właśnie spod prysz-
nica i stara się zasłonić. Rozbiegane oczy patrzą na Freja.

– Przepraszam – odzywa się Frej. – Nie chcieliśmy ładować się w ten
sposób.

– Za chuda – mówi Varg. – Następny pokój! – Szarpie, nie pukając, za
klamkę kolejnych drzwi i równie szybko zamyka.

– To ośrodek dla uchodźców czy jakaś cholerna klinika dla chorych na
aids? – Varg wykręca rękę Aluddowi. – Masz ostatnią szansę, bo pójdziemy
do oddziału dla dzieci.

– Aua, nieeee, przestań – miauczy Frej. – Uwierzcie mi, nie ma więcej
dziewczyn. Może sobie znajdziecie jakąś w osiedlu.

Varg kopie kota-Freja. Dwa środkowe pokoje są puste. Ostatni jest
zamknięty na klucz.

– Nie mam klucza – mówi Frej. Jego kark jest miękki, a ręka na nim ciężka. Ściana korytarza twarda.

– Otwieraj, gnoju.

I gnój otwiera.

– Cha, cha, cha – rechocze Varg. – Już rozumiem, dlaczego chciałeś schować przed nami takiego cukiereczka.

– Tylko nie Sophia – mówi Frej, próbując im przeszkodzić. – Mógłbym z nią przynajmniej porozmawiać? – Siada na łóżku.

– Czego oni chcą? – pyta Sophia.

– Tylko porozmawiać – mówi Frej. – Chyba chodzi o twoją rodzinę. Może mają nowe informacje.

– Na jaki temat?

– Nie wiem, chcą, żebyś pojechała z nimi na komisariat.

– Nie wyglądają na policjantów.

– Policjanci mogą różnie wyglądać – przekonuje Frej.

Jej skóra, ręce, wargi, oczy, bijące od niej światło. Frej próbuje mówić pewnym głosem.

– Rób tylko, co ci każą, a wrócisz, zanim będzie pora spać. – Obejmuje ją ramieniem. – Nie musisz się bać.

Dosyć tego cackania się. Nadgarstek zostaje złamany, serce pęka, dwóch wojowników i dziewczyna wychodzą tylnym wyjściem.

Po minucie, może dwóch wszystko wygląda jak przedtem. Kolacja o szóstej. Wieczór filmowy o siódmej. Biały transporter na fałszywych tablicach rejestracyjnych jedzie w kierunku północnym.

PIERWSZY ŚNIEG jak zawsze zaskakuje. Choć Jessica Harnesk nigdy nie mieszkała w miejscach, gdzie nie ma zimy.

Pewnego dnia po prostu leży i zawsze jest to poranek. Biały kolor zamalowyjący jesień, która dawno temu utraciła bogactwo barw na rzecz brązu.

Pod padającymi płatkami śniegu zrobiło się cicho. Samochody suną do pracy. Właśnie tak powinno to wyglądać według niej. Łagodnie.

Parzysty tydzień. Czyli przypadający na Henkego czas opieki nad dziećmi, więc po cholere poszła w piątek do lokalu? Tak wyszło. Hanna zadzwoniła z pytaniem, czy nie potrzebuje opiekunki do dzieci. Czego się nie robi dla młodszej siostry, która chciałaby zarobić? A więc mówi się, że tak, i dzwoni z zaproszeniem na randkę. Inna rzecz, że zaproszony nie przyszedł, chociaż to akurat dobrze. Kumpel Henkego. Co ona sobie myślała? No więc nie myślała.

Nienawiść w spojrzeniu. Wyzwiska.

– Nawiasem mówiąc – odzywa się Henke, gdy stoją w przedpokoju w związku z tygodniową zmianą opieki – spotkałem w sklepie Hannę. Taka jesteś zdesperowana, że aż musisz wyjść, chociaż to twój tydzień opieki?

– Nic ci do tego – odpowiada Jessica, a on oczywiście jest zdania, że przeciwnie, jako że jest ojcem tych dzieci i tak dalej.

Jessica woli nie wdawać się w dyskusję. W oczach dzieci widać teraz coś takiego... a nawet jeszcze gorzej, bo błaganie. Tak bardzo chciałyby ustanowić pokój między rodzicami.

Henke milknie, gdy nie napotyka oporu. Potem wysyła jej esemesa, na którego Jessica też nie odpowiada.

Zmiata śnieg z auta. Cudownie będzie pójść do pracy.

Inni dostają bólu brzucha, kiedy jest poniedziałek. Dla niej takim dniem jest niedziela. Bo albo dzieci właśnie wyjeżdżają i minie cały tydzień, zanim się znów zobaczą, albo też wracają od Henkego napakowane bezradną złością, na której rozładowanie Jessica czasem potrzebuje ładnych kilku dni.

U niego oczywiście tak nie jest. Skąd – dzieci są szczęśliwe, że znów mogą być u niego.

– Może powinienem mieć nad nimi pełną opiekę – mówi Henke.

– Może nie powinieneś – ona na to.

Ludzie rozwodzą się, żeby mieć więcej wolności. Co za bzdury.

A potem dzwoni komórka. W pracy mówią na nią tylko Harnesk.

– Jesteś już w drodze? – pyta Birna Guðmundurdottir, z praktycznych względów nazywana Birną.

– Właśnie wjeżdżam do garażu.

– To dobrze. Śniadanie jadłaś?

– Nie. Dziś też nie.

Komisariat policji w Gasskas należy do tych mniejszych, chociaż w ostatnim czasie i tak się rozrósł. Kiedy Jessica przyszła tam jedenaście lat temu, pracowało w nim dwudziestu funkcjonariuszy. Teraz jest ich około trzydziestu, a powinno być jeszcze więcej. Jak tylko ktoś zachoruje, jak dzisiaj, staje się to od razu odczuwalne.

– Simon ma zwolnienie na dziecko, Tanja jest u dentysty, a mąż Moniki dostał zawału. Chociaż podobno nie ciężkiego – mówi Birna. – Monika przyjdzie trochę później, po południu. Zadzwońłam do Snorisa, żeby był w pogotowiu. Jest u swojej babci w Kåbdalis, ale zjawi się w razie jakiegoś kryzysu. Po południu mamy jakąś akcję wsparcia. Być może wtedy do nas dołączy.

Aspirant Snoris jest najnowszym nabytkiem wydziału kryminalnego. Ma co najmniej dwadzieścia trzy lata, chociaż wygląda na dwanaście. W dodatku rodzice obdarzyli go imieniem Klas-Göran. Dla dwunastolatka byłby to kompletny obciach.

Birna częstuje domowym ciastem, masłem i serem.

Jessica odrywa kawałek lekko ciągnącego się przysmaku. Macza w kawie, żeby się ser roztopił. Nieprzyjemne uczucie po porannym spotkaniu z Henkem wciąż się utrzymuje. Szybkim gestem wsuwa kawałek wypieku do serwetki, a kawę wylewa do zlewu.

– Zaczynamy zebranie – woła Faste, chociaż wszyscy już są. Siada na miejscu Jessiki, które sobie przywłaszczył, i odchyła się na krzesło.

– I znów jest poniedziałek – stwierdza. – Jak minął weekend?

– Dzwonili z ośrodka dla uchodźców – mówi Birna. – Brakuje jednej osoby. – Na stole kładzie wydruk.

– Ma prawo stałego pobytu? – pyta Jessica.

– Tak, jest w ostatniej klasie liceum – odpowiada Birna. – Ambitna dziewczyna. Właśnie dostała mieszkanie. Ma się tam wprowadzić na przełomie miesiąca.

– Założę się o stówę, że wyjechała z jakimś facetem – mówi Faste.

– A jeśli nie? – oponuje Birna. – Zniknęła w piątek. Jej współlokatorka w pokoju zadzwoniła do nas w sobotę rano, ale mieliśmy za mało personelu. Oceniono, że otwarcie hali targowej i derby między Gasskas i Björklöven są ważniejsze, więc sprawa musiała poczekać.

– I tak wierzę bardziej w wersję z chłopakiem – mówi Faste – ale niech będzie, jedźcie tam razem z Harnesk.

Jessica wsuwa pod wargę pierwszą tego dnia prymkę snusu. Snus pobudza perystaltykę, mimo że nie zjadła ciasta. Siada więc na sedesie i próbuje zaplanować sobie dzień.

Dzyń. *Nawet nie potrafiłaś zadbać, żeby mieli ciuchy na zmianę. Jesteś, kurde, beznadziejna.*

Dzyń. *Dlaczego, do cholery, nie przypomniałaś o wywiadówce w zeszły wtorek?*

Dzyń. Jessica wyłącza dźwięk.

– Jak długo będziemy to jeszcze wytrzymywać? – pyta Birna.

– Masz na myśli Henkego?

– Też. Ale chodziło mi o Hansa Faste.

– Pewnie nie mamy wyboru. Facet ma wieloletnie doświadczenie z wydziałów przestępstw z użyciem przemocy, za to nie ma małych dzieci itd., itp.

– Ale jest wstrętny – oponuje Birna. – Słyszałaś, jak się zwraca do Tanji? Koteczku.

– Pogadam z nim – mówi Jessica – jeśli sama tego nie zrobiła.

– Zrobiła. To teraz mówi do niej kocico.

Przejeżdżają nad rzeką i skręcają w stronę Jokkmokk.

Ośrodek dla uchodźców Fridhem został ulokowany w budynku zlikwidowanej szkoły gospodarstwa domowego dwadzieścia kilka kilometrów na

północ od Gasskas. Śnieg z poprzedniej nocy już prawie stopniał. Kapie z dachu. Przez dziedziniec przebiega jakiś kot.

– Jak dobrze, że przyjechałyście – odzywa się Frej Aludd i zaprasza je do swojego biura. Albo sekretariatu, jak go nazywa. – Ja jestem z Motali – dodaje, trzęsąc się. – Jeszcze się nie przyzwyczailem do tego zimna.

– Zaczyna się najlepsza pora roku – mówi Birna, a Jessica się uśmiecha. Przynajmniej w środku. Dla kogoś z południowej Szwecji pierwsza zima w Gasskas to nie przelewki. Birna życzy mu trzydziestu dwóch stopni mrozu przez co najmniej trzy tygodnie i jeszcze burzy śnieżnej, gdy właśnie pojawiły się pierwsze wiosenne kwiatki i laicy wierzą, że to koniec zimy.

Jessica myśli sobie, że lato to również nie przelewki. Przychodzi ciepło i wylęgają się komary. Kiedy wyssały już ostatnie soki z ludzi, których cieszą ciepłe wieczory, przychodzi pora na bąki. Bąki nie znają litości i postrzegają wszystkie żyjące stworzenia jako antrykoty. I gdy już bąki, komary, osy i inne latające insekty postanowią zostawić ludzkość w spokoju, nadchodzi czas meszki. Na meszkę nie ma ani sztyftów, ani sprayów. Meszki uwielbiają oczy. Wciskają się do ich kącików, wysysają łzy i składają jaja w ropy.

– Nie ma nic gorszego od kleszczy – mówi Frej i opowiada ze szczegółami o swoim życiu z boreliozą na południu. W końcu Jessica przerywa mu.

– Ta dziewczyna – mówi. – Sophia Konaré. Myślisz, że zniknęła z własnej woli?

– Nie wiemy tego – odpowiada Frej. – Nie pracowałem w piątek. Według jej współlokatorki była ich kolej przygotowania kolacji, ale Sophia się nie pojawiła.

– A one mogą wychodzić i wracać, kiedy chcą? – pyta Jessica, która nie była tu nigdy wcześniej.

– Oczywiście – mówi Frej. – Młodszych obserwujemy bardziej, ale Sophia była pełnoletnia.

– Była? – powtarza Birna podejrzliwie. Taka już jest. Opryskliwa i wali prosto z mostu. Urodzona z matki Islandki, pod której spojrzeniem zastygała lawa.

Birna jest lubiana i troskliwa. Mimo to Jessica prawie nic o niej nie wie. Ma sposób bycia, który powstrzymuje osobiste pytania, zanim jeszcze padną.

To Birnę przypomina jej tamta kobieta. Lisbeth z baru hotelowego. Jessica wciąż wraca myślami do tego wieczoru. Najpierw tańczyły, a potem?

Potem wróciła taksówką do domu do dzieci i podziękowała za to swojej szczęśliwej gwiazdzie. Lęk to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuje. Henke ma oczy wszędzie.

– Jest pełnoletnia – poprawia się Frej, wyraźnie dotknięty uwagą. – W piątek, kiedy do mnie dzwoniła, była jak najbardziej przy życiu. Rozmawialiśmy o tym, że niedługo ma się wyprowadzić do własnego mieszkania. Zaproponowałem, że ją tam odwiozę z rzeczami.

– To miło – zauważa Birna.

Pokój jest nieduży. Dwa łóżka, wspólna szafka nocna, szafa i szuflada z dwiema szufladami, po jednej dla każdej z nich. Nie potrzebują właściwie więcej miejsca na swoje rzeczy. Poza ubraniami na różne pory roku i podręcznikami pokój jest goły jak w izbie wytrzeźwień.

– Nie moglibyście porozwieszać jakichś obrazków? – pyta Birna. – Albo chociaż położyć jakiś chodnik.

– Może jeszcze urządzić spa w piwnicy? – odpowiada Frej.

– Chcemy porozmawiać z tą współlokatorką – odzywa się Jessica. – Jest w budynku?

Kierownik ośrodka patrzy na zegarek.

– Nie – mówi. – Fatma chodzi do liceum w mieście. Myślę, że przyjedzie autobusem o czwartej.

– To my wtedy wrócimy tutaj.

– Bardzo proszę – odpowiada Frej.

– Hej, hej, do rymu Frej – kończy Birna.

19

LALKA SIEDZI NA BRZEGU ŁÓŻKA, gdy Marcus Branco wjeżdża przez boczne drzwi. Poproszono ją, żeby zdjęła szlafrok i położyła się, jednak nadal siedzi w tym szlafroku i obejmuje się ramionami.

Branco przywołuje swój najprzyjemniejszy uśmiech. Jest naprawdę ładna, myśli sobie. Ma na pewno miłe, jędrne ciało, jak to zazwyczaj u tych czarnych. Ślicznotka, z tych okrągłych. Czy może być coś lepszego niż zagłębić się w kobiece krągłości i matczyne objęcia?

Uśmiecha się jeszcze szerzej, kiedy oczy lalki rozszerzają się z przerażenia.

Poczekaj, jak zrzucę mój jedwabny szlafrok, myśli Branco.

– Masz jakieś imię? – pyta. Dziewczyna szepcze coś niesłyszalnie. – Nie bądź taka nieśmiała – ciągnie. A jednak rozpala go właśnie taka nieśmiałość. Dojrzałe kobiety, głośne i pewne siebie zostawia innym. Ona jest na tym łóżku jak mały króliczek. Dziki króliczek, który drży, bo wie, że nie odzyska wolności, a nie ma pojęcia, jaką śmiercią zginie.

– Powiedz mi tylko, laleczko, jak się nazywasz, a wszystko będzie dobrze.

– Sophia – mówi ona w końcu. – Sophia Konaré.

– Nazwisko mnie nie obchodzi, ale skoro je wymieniłaś, to muszę spytać, czy Alpha Oumar Konaré to twój krewny?

Dziewczyna nie wie, jaka powinna być jej odpowiedź.

– Konaré był wielkim człowiekiem – mówi Branco. – Wizjonerem, który niestety pobłądził, ale będziemy teraz rozmawiać nie o nim, tylko o tobie. Ile masz lat, maleńka?

– Czternaście – odpowiada Sophia w nadziei, że to poprawi jej sytuację. Branco się domyśla, że dziewczyna apeluje do jego poczucia moralności.

Dziecko to jednak dziecko. A dziurka to dziurka, dopóki nie jest u świni.

– Wiesz, że będziesz musiała się rozebrać, czy ci się to podoba, czy nie – mówi Branco. – Jeśli postanowisz, że tak, to będzie łatwiej zarówno dla ciebie, jak i dla mnie.

Dziewczyna rozluźnia ramiona, a potem znów je zaciska, jakby się wahała. Pewnie myśli, że ma jakąś alternatywę. W pewnym sensie ma. Branco może za jednym zamachem odesłać ją do wieczności. Ale jeśli będzie miała szczęście i okaże się tak cudowna, jak on sobie wyobraża, to trochę pożyje.

Na szczęście jest dostatecznie głupia, aby wierzyć, że kupi sobie czas, jeśli będzie ustępliwa. Ściąga szybko szlafrok i wchodzi pod kołdrę.

Jego przyrodzenie uwypukla się pod jedwabnym szlafrokiem, który Branco zaraz zdejmie. Uwielbia reakcję w spojrzeniu lalek. Oczy, które się rozszerzają. Szok, kiedy dostrzegają kikuty nóg. Kontrast między tymi kikutami a jego wspaniałą erekcją.

– Nic nie szkodzi – odzywa się Branco. – Nie ty pierwsza się mnie boisz. On jest duży, ale niegroźny. Posuń się trochę – ciągnie i przerzuca swoje ciało na łóżko.

Z nóg nie ma korzyści. Przepadły na początku ciąży. Już dawno przestał płakać nad rozlanym mlekiem. Protez używa tylko w ostateczności. Tym lepiej jednak działają jego ręce. Teraz używa ich do naciśnięcia głowy dziewczyny i naprowadzenia jej w dół, do jego krocza.

– Dobrze, malutka, popieść mi nogi, to takie przyjemne. – Nawet takie stare suchary mogą być śmieszne.

Po jej krągłych policzkach spływają łzy. Widać brakuje jej poczucia humoru.

– Ciii, lalczko, nie płacz, tatuś cię pocieszy. Mmmmm. – Im bardziej ona płacze, tym większy jest jego zapal. Branco wie, że ma ją w swojej mocy, że ona zrobi, co będzie chciał.

Już się uspokoiła. I ułożyła tak, żeby było wygodniej.

– Dobrze, lalczko, tatuś teraz będzie miał chwilę przyjemności. – Ale właśnie gdy już tak dobrze im idzie, bo dziewczyna zrozumiała, co ma robić, rozlega się pukanie do drzwi.

– Wynocha – woła Branco. – Jestem zajęty.

– To ważne. Nie może czekać.

Branco patrzy na nią, Lalka zamknęła oczy. Może śpi. Zaspokojenie seksualne może dawać taki efekt.

Sophia zamyka oczy i dystansuje się od rzeczywistości. Zapada zmierzch. We wsi jest tak samo jak zawsze o tej porze. Pełno kobiet i dzieci, które wróciły do domu z pracy czy ze szkoły.

Jest już ciemno, gdy wmaszerowują żołnierze z naładowanymi kałasznikowami w rękach i obwieszeni taśmami nabojuowymi.

O nic nie pytają. Nie domagają się rozmowy z pierwszą osobą we wsi ani niczego nie tłumaczą. Strzelają. Bez opamiętania. Do wszystkiego, co się rusza.

Sophia siedzi obok swojej ciotki. Kiedy pocisk trafia w tę ostatnią, jej ciało pada na Sophie.

Krew spływa po jej twarzy. Do oczu.

– Leż – mamrocze ciotka. – Udawaj, że nie żyjesz.

To ostatnie słowa, jakie słyszy Sophia.

Musiała zasnąć. Wzeszło słońce. Patrząc spod ramienia ciotki, Sophia widzi żołnierzy, którzy również się obudzili. Wyjadają teraz resztki z misek. Lufami karabinów szturchają trupy dla pewności. Nawet trupy dzieci. Nawet Josepha. Jego ciało przypomina breję, mimo to strzelają jeszcze raz. Joseph wzdryga się. Jednak żył! Jej braciszek żył.

„Zastrzelcie i mnie”, mówi, ale nikt nie słyszy.

Ciało ciotki przygniata ją. Sophia wolałaby zamknąć oczy, ale zmusza się do patrzenia. Bo kto miałby o tym opowiedzieć?

Po raz pierwszy zastanawia się nad ich wyglądem. Przesuwa wzrokiem po twarzach, po mundurach.

Część wygląda tak jak oni, to krajanie. Niektórzy są młodszy nawet od niej. Dzieci. Ale ci drudzy... Cudzoziemcy. W mundurach bez oznaczenia kraju. Wielkie cielska spalone słońcem.

Sophia widzi zbliżające się buciory. Zamyka oczy.

Buciory kopią ciało ciotki. Sophia próbuje się za nim przesunąć i ląduje na boku. Tamten jest blisko. Pochyliła się nad nią. Kładzie dłoń na jej policzku. Palcami dotyka szyi.

Sophia otwiera oczy. Może ją wziąć, zabić. Cokolwiek. Jest gotowa.

Ich spojrzenia spotykają się przez sekundę. Jego dłoń zamyka jej oczy.

– *Stay dead* – mówi do niej. – *Stay dead*.

Branco dźwiga się z łóżka na wózek.

Bóg stworzył słońce, by świeciło na Lucy, pierwszą kobietę na ziemi, pramatkę ludzkości. Skóra Sophii żarzy się w ostatnich promieniach popołudniowego słońca. On pewnie wróci do niej nieco później. Niech tak będzie.

20

CIEMNOŚĆ ZAPADA NAD GASSKAS, dni stają się krótsze niż noce. Z każdym kolejnym dniem ciemność trwa o kilka minut dłużej.

Tutejsi mieszkańcy radzą sobie z zimą na różne sposoby. Wielu ją uwielbia. Uruchamiają skutery śnieżne, wyciągają narty i wystawiają koksowniki.

Gdy dni są krótsze od nocy, ratunkiem staje się śnieg. Umożliwia orientację, ludzie mówią wtedy, że na południu jest dużo gorzej, bo my mamy przynajmniej śnieg.

Minął jakiś miesiąc, odkąd Märta Hirak pocałowała córkę w głowę, skinęła matce, zamknęła za sobą drzwi, naciągnęła kaptur i poszła w stronę dzielnicy przemysłowej Berget.

Zdecydowała się pójść na całość. Wyeliminować Pedera Sandberga i opuścić Gasskas. Jest przygotowana. Nie da się temu zaprzeczyć. Dziesięć lat. Co najmniej.

Musi żyć z tym, że wszyscy będą myśleli, że zginęła, również córka. Robi to dla niej, ale przeprowadzi to na swój sposób. Cierpliwie.

Początek jest udany. Lepszy, niż myślała. Uczyła się u najlepszego. Przynajmniej na miarę Gasskas. Najpierw zadbała, żeby się zejść z wiceprezydentem Svavelsjö, chociaż czuła przed tym opór. Zamknij oczy i myśl o Anglii, czy nie tak mówią Anglicy? Dobra, wstrzymaj oddech i niech będzie – to też działa. Sonny jest zakochany. A ona... można powiedzieć, że wspierająca. Pozwala mu wypłakać się na swoim ramieniu, kiedy nikt nie widzi. Buduje zaufanie. Jak suflerka podpowiada mu, co powinien zrobić, i pozwala, by przypisał sobie całą chwałę. Nikt nie zna rynku lepiej od niej.

Jednocześnie obserwuje Pedera Sandberga, czyli swój główny cel. Peder uwielbia Sonny'ego, tak jak mali chłopcy tych dużych. Liczyła się z tym, że będzie burczał na jej związek, bo chociaż sam jej nie chce, to kto inny też nie powinien. Kiedy jednak w grę wchodzi Sonny, wszystko zostaje wybaczone. Peder nawet przeprowadził się na Berget. Doskonale! Pytanie, gdzie schował rzeczy należące tylko do niej. Jeśli nie liczyć Svali.

Szybkie przewinięcie: Po śmierci Niedermanna Svala dziedziczy po nim kilka tysięcy koron. Märta zdaje sobie sprawę, że Peder wyda te pieniądze. A więc zamiast wpłacić je na jakieś konto w banku, kupuje za nie bitcoiny. Choć nie ma bladego pojęcia, co to jest. Napompowana jak strzykawka wdaje się w gadkę z jakimś informatycznym nerdem, poznanym w Buongiorno, który potem idzie do niej na afterparty. Już następnego dnia Märta żałuje swojej inwestycji, bo potrzebują pieniędzy na komorne. Tymczasem zamiast sześciu tysięcy koron na koncie bankowym ma login do jakiegoś konta, do którego hasła nie pamięta. Kwaśne winogrona, powiedział lis. A więc sprawa czynszu trafia do komornika, a Märta dostaje kolejny punkt karny.

Mowa o roku 2010. Jeden bitcoin jest wart niecałą koronę. A teraz jest rok 2021. Jeden bitcoin kosztuje 68 408 dolarów. Pomnożonych przez sześć tysięcy. Märta nawet nie bardzo wie, jak czytać 4 553 406 000.

Tak czy inaczej, kiedy psuje się jej komputer, znosi go do Gamestop. Tam pomagają jej w przeniesieniu zawartości na zewnętrzny twardy dysk. Są tam zdjęcia, które chciałyby zachować. Tylko dlatego. O koncie z bitcoinami zdążyła dawno zapomnieć.

Wszystko to w dziwny sposób zbiega się w czasie. Peder Sandberg się wyprawdza i zabiera ze sobą wszystko, co ma jakąś wartość, w tym telewizor oraz zbiór znaczków Svali. A także... twardy dysk. I dopiero wtedy Märta zaczyna rozmyślać o spadku Svali. Najwyraźniej Peder też. Świat jest pełen skasowanych twardych dysków z kontami bitcoinów. Dobrze, że to zero nie domyśla się, o jaką sumę chodzi.

Pewnego wieczoru, kiedy ten idiota jest tak pijany, że usnął sztywny na podłodze, Märta zakrada się do jego pokoju...

Zima wprawdzie dopiero się zaczęła, ale panuje przenikliwy chłód. Märta idzie szybko, żeby nie marznąć. Co roku jesienią przychodzi jej na myśl, że

pora sprawić sobie cieplejszą kurtkę, ale odkłada to na później.

Gorzej z jej córką. Nadal biega w podróbce białych converse'ów z odpadającą podeszwą i skarpetkach do kostek. Fakt, że nie odstaje od otoczenia. Dziobate, ocieplone buty lapońskie wyszły z użytku na zawsze. W dodatku Svala nigdy nie narzeka. W pewnym sensie unosi się nad nimi wszystkimi jak duch, który nie przynależy do realnego świata. Gdyby bardziej marudziła, może dostałaby nowe buty.

Märta Hirak ma wiele powodów do wyrzutów sumienia, jeśli chodzi o córkę. Po pierwsze taki, że się w ogóle urodziła. Gdyby wrócić do spotkania plemnika z komórką jajową, to podstawowy błąd leży po stronie dawcy spermy, ale również po jej. Trzeba niezwykłego zuchwalstwa, żeby zadać się z Ronaldem Niedermannem.

Ale, ale... Była młoda, chciała odejść z domu, no i stało się, jak się stało. Duchowe blizny jakoś otorbiła. A cielesne pokrywała systematycznie nowymi tatuażami.

Na szczęście córka nie jest podobna do niego. I jeszcze: na szczęście on umarł. Wszystkie późniejsze problemy to już drobiazgi. Poza córką. Svala Inga-Märta Niedermann Hirak nie domaga się ani jedzenia, ani ubrania, za to jej umysł domaga się stałej pożywki.

W wykształconej rodzinie, czy choćby nieco lepszej, już byłaby uznana za dziecko genialne. Przeskakiwałyby kolejne klasy, trafiłaby między podobnych sobie i byłaby zachęcana przez oddanych nauczycieli, tak się jednak złożyło, że urodziła się w zupełnie innych warunkach i musi zadowolić się tym, co się jej trafiło.

Märta nie jest nieświadoma uzdolnień córki, tylko nie wie, co z tym zrobić. Dość ma własnych problemów.

Patrzy teraz na zegarek. Rozgląda się. Obchodzi ponownie staw i przystaje za jakimś drzewem, by się upewnić, że nikt za nią nie idzie.

Spotykają się zwykle na tej samej ławce w Gruvparken.

Z upływem lat ta ławka stała się niewidzialna dzięki otulającym ją wierzdom i głogom. Nawet zimą właściwie trzeba znać to miejsce, żeby do niego trafić. Märta zaraz tam dojdzie. Zwalnia kroku i zapala papierosa.

– Cześć, chciałaś o czymś pogadać.

Märta się rozgląda. Ciemność ma zalety, ale i wady.

– Jeśli to się wyda, będę martwa – mówi cicho.

– Jak mówiłam, możemy cię ochronić.

– No jasne, tylko że ty wiesz, że nie możecie.

- W takim razie dlaczego to mówisz?
- Przecież to jasne: Peder Sandberg – odpowiada Märta. – Jeśli wiesz, kto to jest. Mój były.
- Tak, wiem – odpowiada kobieta i zapisuje coś w notesie. – Co z nim?
- Opływa teraz w dostatki – mówi Märta.
- Tę informację już mamy. Wiesz, że jeżdżenie motocyklem nie jest nielegalne.
- Poważnie? Chyba nie myślisz, że cały klub motocyklowy przeprowadza się do cholernej Norrlandii wyłącznie z tęsknoty za świeżym powietrzem?
- Nie – odpowiada tamta – a masz jakiś lepszy pomysł?
- Mogłaby opowiedzieć o pewnym człowieku bez nazwiska, który kieruje z góry wszystkim. Albo o trwającym od dawna zwyczajnym handlu dragami. Zawiadują nim porządni ojcowie rodzin, którzy jedną ręką układają własne dzieci do snu, a drugą zabijają dzieci kogoś innego.
- W powietrzu czuć śnieg – mówi zamiast tego i wytrząsa następnego papierosa.
- No dawaj, Märta – odpowiada kobieta. – To ty chciałaś się spotkać.
- Miała sporo czasu, żeby wymyślić jakiś plan. Obserwowała go, odkąd tylko zabrał swoje rzeczy i się wyprowadził. Małe tropy doprowadziły ją do pewnych podejrzeń. Na razie chce tylko opowiedzieć o strefie cienia. W tej strefie Peder jest królem. Wszystkim byłoby na rękę, gdyby wpadł.
- Peder dołączył do Svavelsjö. Póki co nie robią wiele poza pucowaniem swoich motorów, ale plan jest taki, żeby przejąć handel dragami w całym Norrbotten. Problem w tym, że on się nie potrafi podporządkować hierarchii obowiązującej w Svavelsjö i prowadzi własne interesy na boku.
- Wygląda na to, że chciałabyś posłać go za kratki.
- Zgadza się – odpowiada Märta.
- Dlaczego?
- Żeby ochronić córkę.
- A co z nią?
- Nie twoja rzecz – mówi Märta.
- Svala jest inna. Peder chciał się dostać do jej mózgu, już kiedy była mała. Wykorzystywał do własnych celów, a mimo to umknęło mu najważniejsze. Bo Svala jest kimś więcej niż tylko pamięcią do liczb i kostki Rubika. Ona jest, myśli Märta, oświecona, chociaż właściwie to szuka innego słowa.

Po wyprowadzce Pедера Märta stara się narobić sobie długów, które spłaca różnymi przysługami. To może idiotyczny plan, jednak krok po kroku przybliża się w ten sposób do wewnętrznego kręgu. Tego, dla którego pracują zarówno gówniany przegryw Peder, jak i Svavelsjö.

Jego awans od dilera do organizatora, jak sam siebie nazywa, to nie jest żaden szczebelek w górę, chociaż on pewnie tak myśli. Zaopatruje w dragi płotki takie jak on sam, chociaż wierzy, że w swoich rękach ma cały region, ale to tylko zasłona. A za zasłoną jest zupełnie inny świat, tyle wie Märta. Bycie lokalszem ma swoje zalety, bo zna się ludzi zarówno na szczycie, jak i na dole.

– Wybacz – mówi tamta – ale jakieś to mgliste.

– Niemniej prawdziwe. Oni coś szykują – mówi Märta, wsuwając kartkę do kieszeni kobiety.

Rozstają się w miejscu, gdzie się zaczynają latarnie. Tamta idzie do swojego samochodu. Märta się nie spieszy. Najchętniej poszłaby gdzieś na kielicha. Naprawdę się starała ze względu na córkę. Od czasu do czasu piła trochę wina, ale żadnej wódki. Dziś zasłużyła na piwo. Na to, żeby posiedzieć samotnie i się zastanowić. Alkohol otworzy ją na myślenie, wyostrzy je.

Jeśli plan ma się udać, musi wypalić wszystko po kolei, tyle że tkwi w tym jedna niewiadoma, a nawet kilka. Świnia Peder należy do łatwej części. Niby nie jest głupi, ale ma taką skłonność, żeby poślizgnąć się i wylądować na dupie nawet wtedy, gdy droga została wysypana piaskiem. Psycholog wytłumaczyłby to niską samooceną. Głęboko zakorzenioną nienawiścią do samego siebie rekompensowaną przez wybujałe mniemanie o sobie. Taka hybryda.

Spędziła z nim co najmniej dziesięć lat. W gruncie rzeczy chodzi tu o dług. Jednak nie dług w pieniądzech, ale moralny. To Peder Sandberg pomógł jej odejść od ojca dziewczynki. Gdyby nie Peder i paru innych, byłaby dziś martwa.

Przez wszystkie lata jej to wypominał, zmuszając do okazywania wdzięczności.

Märta patrzy na swoje ręce. Odruchowo, jakby to był tik. Patrzy w toalecie, pod kołdrą, pod prysznicem. Jej ręce są wciąż silne i gładkie. Jeśli w tych rękach leży jej przyszłość, to ma się dobrze. Do tej pory leżała w cudzych. W silnych męskich pięściach, które ześlizgują się, trafiając

w miękkie części tylko dlatego, że mogą. Ale koniec z tym. Tak postanowiła. Z Märty Hirak może być uparta sztuka, kiedy chce.

Najpierw pojawiają się tylko pojedyncze płatki śniegu, które giną na asfalcie. Jednak nagle zaczyna wiać i śnieg zaczyna walić z nieba. Märta przystaje pod latarnią, zadziera głowę i otwiera usta. Pojawia się poczucie szczęścia, kilka sekund radości. Więcej nie trzeba.

W szumie wiatru zbyt późno dociera do niej dźwięk auta, które zatrzymuje się tuż za nią. Drzwi furgonetki otwierają się ze świstem.

Uderzenie, od którego dzwoni jej w uszach. Ślina ma smak krwi. Cios ją zdezorientował, ale nie pozbawił przytomności. Märta czuje, jak zaciągają jej opaskę zaciskową na dłoniach, a potem oklejają taśmą oczy i usta. Zapach nowego auta i czegoś jeszcze. Kawy.

Wydaje jej się, że jadą przeszło pół godziny. Z początku dobrze się orientuje. Föreningsgatan w dół do Storgatan. Stamtąd w prawo, czyli jadą na zachód. Zatrzymują się na czerwonym świetle. Jeśli stoją przy Max, to można tylko jechać prosto. Skręcają w lewo, a zatem przy ostatnich światłach na końcu Storgatan, gdzie ulica przechodzi w drogę przeznaczoną do transportu drewna z lasu. Przez most, za mostem w prawo. Jadą zachodnim brzegiem, ale zaraz, zaraz. Skręcają w lewo, gdzie droga prowadzi do osiedla przy ślepej uliczce. Prosto, znów w lewo i od razu w prawo. Märta już nie wie, gdzie są ani w którą stronę jadą. Samochód przyspiesza. Wyjechali z miasta. Szybko. Po pewnym czasie zwalniają. Potem jeszcze bardziej, wręcz pełzną. Ktoś wysiada i wskakuje ponownie. Pięć minut później są na miejscu. Jeden Bóg wie gdzie.

21

VARG OTWIERA boczne drzwi furgonetki. Ściąga na ziemię Märtę Hirak i stawia na nogi. Nie spowodowali u niej żadnych urazów, ale sprawili, że jest zupełnie bezbronna.

Tak działają bojówki Branca. Zawsze równie skuteczne. Rozkaz jest wykonywany z chwilą wydania.

Znajdźcie byłą partnerkę Sandberga i *voilà*: oto jest.

Varg przytyka palec do czytnika i wybiera kod. Parę minut później wychają ją do pokoju recepcyjnego i mówią Lo, aby wezwała Branca.

Pokój recepcyjny sąsiaduje przez ścianę z salą konferencyjną bunkra.

Nie można powiedzieć, żeby był przyjemny, ale fotele są wygodne. Varg umieszcza kobietę na jednym, sam siada na drugim.

Kobieta zwisa bezwładnie z jednej strony. Mając oczy i usta ukryte pod srebrną taśmą, jest tylko ciałem, a nie człowiekiem. Zmierzył jej tętno i przekonał się, że serce bije. Powiedziano: schwytajcie ją żywą.

Czekają. On czeka. Wrywa kartkę z brulionu i składa w samolocik.

Chybił. Samolocik szybuje nad jej głową. Varg składa następny samolocik. Trafił. Prosto w nos. Varg śmieje się głośno i już ma złożyć kolejny, gdy rozlega się jakiś odgłos przy drzwiach i wjeżdża Branco.

Varg zna Marcusa jak siebie samego. A może i lepiej. Ma słuch absolutny, gdy chodzi o rejestrowanie każdego wahnięcia nastroju, każdej nawet najmniejszej zmiany w głosie, nieważne, czy Branco jest pogodny, czy poirytowany, zły albo wściekły.

W tym momencie jest poirytowany.

– Kto to jest? – pyta.

– Kobieta od Pedera Sandberga – odpowiada Varg.

– Szybko wam poszło – stwierdza Branco z odrobiną mniejszą irytacją. Podjeżdża do niej. Zdziera taśmę z ust i przygląda jej się przez chwilę.

– Opryszczka. Fuj. – Cofa się parę metrów i kiwa głową na Varga. – Spytaj, czy usta mogą mówić.

Pyta, czy usta mogą mówić, ale one chcą tylko polizać pęcherzyk i prosić o wodę do picia.

– To mnie nie interesuje – mówi Branco. – Jeśli nie masz do powiedzenia nic ciekawszego, to możemy cię od razu usunąć. Wybieraj.

Wchodzi Lo, przynosząc dzbanek świeżo zaparzonej herbaty i talerz kruchych ciasteczek.

– Bo widzisz – ciągnie – przeszkodziłaś mi w czymś ważnym. Właśnie miałem... – Tu urywa i nalewa sobie herbatę. Przysuwa filiżankę i wdycha gorący opar.

– Chińczycy są dobrzy w wielu rzeczach. Egzekucjach, przymusowej sterylizacji i pirackim kopiowaniu. Ale jeśli chodzi o herbatę – mówi dalej – są po prostu mistrzami.

Upija łyżeczek, przepłukuje nim podniebienie i przełyka z głośnym „aaachhh”.

– Ulung z okręgu Anxis w południowo-wschodniej części prowincji Fujian. Jedna z najdoskonalszych herbat na świecie, jeśli chcesz wiedzieć. Ale przepraszam – wtrąca – oczywiście mogłabyś spróbować, gdyby nie...

Klepie lekko dłonią po własnych ustach i zwraca się do Varga.

– Daję jej dokładnie minutę.

– Twój ukochany mąż się zblamował – mówi Varg.

Märta chrząka. Wargi jej się lepia, ale wie, co chce powiedzieć.

– Przeszedł na swoje – mówi.

– To już wiemy.

– Tak, ale nie w tym sensie, co myślicie.

– A co my myślimy? – pyta Branco.

– Że się spiknął z klubem motocyklistów, ale on działa na własną rękę na kierunku wschodnim. Czy nie dlatego mnie przywieźliście – ciągnie – żeby go przycisnąć?

Varg i Branco spoglądają na siebie. Brzmi to obiecująco.

– Mów dalej.

– Mogę najpierw dostać wody? – pyta Märta.

Branco bierze dzbanek z herbatą i podjeżdża do niej. Podnosi go do góry i leje jej na twarz świeży napar.

Märta krzyczy, rzuca się na boki, żeby się ochronić, a Branco jest wprawdzie pozbawiony nóg, ale ręce ma rzeczywiście w porządku.

– Jakie to przykre – stwierdza. – Herbata leje się z nieba, a ona, biedna, nie ma kubka. Wiesz, po co cię ściągnęliśmy?

– Żeby uzyskać info o Pederze Sandbergu.

– Śmieszna jesteś – mówi Branco. – Mamy już niezbędne info. Nie, chodzi o coś gorszego dla ciebie. Myślmy raczej o tym, że cierpiałby, gdyby jego ukochanej Märctie coś się stało. Mhmm, nie sądzisz?

– Nie jesteśmy ze sobą – mówi Märta. – Sonny i ja...

– No to jeszcze lepiej – przerywa Branco. – Jemu też może przydać się przypomnienie, dla kogo pracuje.

Jej plan, słowa, które tak starannie przemyślała, intrygi, które powinny były zadziałać, zostały wymazane.

Żeby zyskać na czasie, zaczyna paplać o fabryce, która została przebudowana na laboratorium, gdzie warzą metamfetaminę, tak jak gdzie indziej gotuje się grochówkę. O planach zaopatrzenia całej Norrlandii w świetnej jakości metamfetaminę, heroinę, kokainę i całą cholerną resztę gównianych dragów, jakie tylko istnieją.

Nie brzmi to szczególnie wiarygodnie. Gdyby tylko mogła zdjąć tę srebrną taśmę, którą wciąż ma na oczach. Czuje się niepewnie, gdy mówi w ciemno, nie widząc słuchającego. Zresztą co ich obchodzi takie małe zasrane laboratorium, gdzie ćpuni w każdej chwili mogą wysadzić w powietrze samych siebie. Musi wymyślić coś innego. I jedynym, który jej przychodzi na myśl, jest Henry Salo.

– A on co? – pyta Varg.

– Co z nim? – poprawia Branco.

– Burmistrz gminy Gasskas – odpowiada Märta.

– Wiemy, kto to jest.

Cholera.

– Znam go osobiście – mówi. – Opowiadał mi o planach farmy wiatrowej.

– Znakomicie – mówi Branco. Obejmuje dłońmi jej szyję i zaciska. Nie za słabo, ale i nie za mocno. Chrząka i spluwa. – Dostaniesz tylko jedną szansę.

– Szansę na co? – chce spytać, ale po jednym skinieniu na Varga srebrna taśma wraca na jej usta.

– Niech się prześpi w pokoju z poduszkami.

Branco mówi to tak, jakby chodziło o coś przyjemnego. Pokój z poduszkami, o ścianach z materacy. Przyjemnie. Niemal przytulnie. Parę innych, dobrze zapowiadających się osób znalazło tam ostatnie miejsce spoczynku. Märta Hirał ma przynajmniej gwarancję, że pożyje jeszcze kilka godzin.

– Połączcie mnie z Sandbergiem przez Squad – rozkazuje Branco, kiedy już zamknęli drzwi pokoju z poduszkami i wrócili do narady. – I znajdźcie córkę.

Märta Hirał może sobie krzycheć ile wlezie przez srebrną taśmę i wygłuszone ściany. Nikt jej nie usłyszy i nikt się nie przejmie.

W końcu kładzie się, żeby oszczędzać siły. Gdyby chociaż wysunęła język, kiedy na nią splunął.

Z nieba lecą splunięcia, a biedak nie ma języka.

22

27 PAŹDZ., 20.25. Zebranie oddziału. Security level 10.

– No proszę, jesteś! Dobrze, że znalazłeś dla nas czas. Mieliśmy dziś ważnego gościa.

Peder Sandberg czeka, a Branco robi sztuczną pauzę.

– Znam tego kogoś?

– I to bardzo dobrze. Märtę Hirak. Niestety, jest niedysponowana. Przepraszam za wyrażenie: spierdolona. – Podsuwa smartfon w taki sposób, że Sandberg może popatrzeć na jego trofeum: tłumok, który siedzi na fotelu ze zwieszoną głową. – Miała do powiedzenia różne ciekawe rzeczy. Między innymi o tobie.

– Kobiety lubią o mnie opowiadać – odpowiada Sandberg, odchylając się na krześle. – Najwyraźniej nigdy nie ma dość.

– Koniec tej gadki. Słyszeliśmy, że zwróciłeś się w kierunku wschodnim. I zakładam, że nie jest to Mekka. Innymi słowy, łamiesz naszą umowę i zostaniesz w związku z tym ukarany. Ale najpierw twoi najbliżsi.

Sandberg się śmieje.

– Najbliżsi... Zróbcie z tą kurwą, co wam się podoba. Chciałbym zrobić to samo.

– Ciekawe – mówi Branco. – Sonny nie byłby zadowolony.

– Jak ktoś komuś drugiemu coś odbiera, musi ponieść karę. Odrąbuje się komuś takiemu rękę.

– Robi się coraz ciekawiej. A wracając do ciebie i twojego hobbyistycznego laboratorium w fabryce konserw rybnych, co ty sobie myślałeś?

– A, to – mówi Sandberg i oddycha z ulgą. – Zlikwidowane, i to dawno temu.

– Chcesz powiedzieć: spalone. Szkoda. Zresztą nieważne, dostaniesz jeszcze jedną szansę.

– Tak?

– Henry Salo. Mówi ci to coś?

– Chyba wszyscy go znają.

– Dobrze. To pewnie jego matkę też znasz?

– Znam, nie znam, wiem, kto to.

– I wiesz, gdzie mieszka.

– Pewnie tak.

– Świetnie. Masz dwa dni, a potem wracasz do łask i zapominamy o dawnych urazach. No właśnie, zanim się rozłączymy. Kurwa, jak ją nazywasz, wspomniała, że odebrała ci coś, co do niej należało. Co to było takiego?

Sandberg się waha. Z jednej strony niechby dali jej trochę popalić, bo chyba nie rozumiała, ile dla niej zrobił, dla niej i jej wstrętnego dzieciaka. To, że utkwiała u Branco, jest prawie śmieszne. Kurde, ale musi cierpieć.

– Twardy dysk – odpowiada. – Dawno temu zainwestowałem trochę oszczędności w bitcoiny. Suka ukradła mi ten dysk, więc tak to wygląda. Nie mam pojęcia, ile to może teraz być warte, ale chyba sporo.

Za to Branco ma pojęcie.

– Z hasłem – mówi.

– Cholera wie, jakie to hasło, ale chyba wystarczy załatwić sobie nowe. Albo w tym celu wykorzystać dzieciaka. Ona jest bezbłędna, jak chodzi o cyfry. Próbowałem ją złapać. No tak, żeby pogadać. Śliska sztuka. Za sprytna, żeby jej to wyszło na zdrowie.

23

W APARTAMENCIE NA NAJWYŻSZYM PIĘTRZE słycać tylko szum wentylacji. Lisbeth stoi przy oknie i patrzy na miasteczko, które wygląda jak wszystkie tego rodzaju dziury. Śródmieście z czynszowymi domami o dwóch, trzech piętrach. Osiedla willowe na kwadratowych działkach. Gdzieś jakaś woda, może rzeka i w miejscu najładniejszym pod względem widokowym fabryka.

Ludzie idą deptakiem, chwiejąc się, wracają do domów z pozamykanych już lokali.

Powinna spać, ale nie potrafi. Poczucie zawodu przykleiło się jak guma do żucia do obcasa, chociaż właściwie nie było takiego powodu. Że laska nie miała ochoty iść do łóżka? Nie, nie chodzi o seks. Raczej o... najbrzydsze słowo ze wszystkich: o samotność.

Samotność jest azylem, kiedy sama ją wybierze, to znaczy przez co najmniej trzysta sześćdziesiąt dni w roku. Ta sama samotność nabiera innej barwy, kiedy Lisbeth opuszcza ów azyl, żeby poczuć jakąś wspólnotę. Jak dziś wieczorem. Akurat łatwo się rozmawiało. Mogłaby powiedzieć cokolwiek. Gadać o sobie albo wcale, wszystko jedno. Lisbeth rozbiera się, odsuwa fotel i liczy do pięćdziesięciu. Już przy trzydziestej ósmej pompce kończą jej się siły. Trzydzieści dziewięć, czterdzieści, czterdzieści jeden. Nie, nie da się. Ramiona słabną. Musi dać radę, jeszcze dwie, cztery, osiem, dwanaście i bum, nos uderza o dywan.

Lisbeth leży jeszcze chwilę. Nabiera tchu i czeka, żeby wchłonął się kwas mlekowy.

Dzieciak.

Mogłaby się wymeldować z hotelu i wrócić pierwszym samolotem.

Dzieciak.

Może się z nią spotkać przy kawie i czymś słodkim, wytłumaczyć, dlaczego jest nieodpowiednią osobą, żeby u niej mieszkała. Lista powodów byłaby długa. Lisbeth nie umie gotować, prawie nie posiada przyjaciół, ma za to pewne ustalone porządki i czynności, których nie może zmienić, ciągle pracuje, nienawidzi ludzi, nigdy nie sprząta, a na dodatek właściwie zabiła ojca dziewczynki.

Dzieciak.

Lisbeth staje na środku pokoju, robi ukłon, wysuwa stopy i zaciska pięści. W równym tempie, z odpowiednim *kime* jak na piątkowy wieczór kolejno zalicza wszystkie *kata*. Od *Heian shodan* po *Kanku dai*. A potem wraca do łóżka i do dzieciaka.

Między życiem dziewczynki a jej życiem są podobieństwa. Matka, która nie umie wyznaczać granic. Ojciec bydlę. Ojczym podejrzany o przestępstwo, ale uniewinniony. Niewiele koleżanek i kolegów. Samotniczka, która się bije, jeśli musi. Odnotowany incydent, gdy koleżance złamała nos (na co ta prawdopodobnie zasłużyła). Niemobbingowana, ale niebędąca częścią społeczności szkolnej.

Ale nie wydaje się, żeby była do niczego, myśli Lisbeth. Mimo nieobecności ma bardzo dobre stopnie ze wszystkiego oprócz matmy. Nie wiadomo o jakichkolwiek problemach z dragami. Utrzymuje porządek w swoim pokoju. *Utrzymuje porządek w swoim pokoju*. Co za pierdoły. To tak jakby uniewinnić gwałciciela, bo ofiara nosiła stringi. Cholerne urzędasy, zawsze to samo.

Żadnego kontaktu ze swoim biologicznym ojcem.

Ciesz się z tego, dziewczynko.

Cierpi na wrodzoną niewrażliwość na ból. Dziedziczną neuropatię autonomiczną typu V. Defekt genetyczny, który sprawia, że nie odczuwa bólu, ciepła i zimna, co zwiększa ryzyko uszkodzenia ciała.

Lisbeth zatrzymuje się w tym miejscu. Niewrażliwość na ból. Niedermann musiał mieć to samo. To dlatego ta góra mięsa ledwo reagowała na przemoc, która dla kogoś innego byłaby paraliżująca. Ciosy nożem, strzały, uderzenia i kopniaki. Nic go nie ruszało. Lisbeth czyta zdanie ponownie, podczas gdy życie przesuwa się przed jej oczami. A w każdym razie jego części.

Wniosek: w tym dziecku nie ma nic takiego, co byłoby nie w porządku. Nie w porządku za to jest Lisbeth. Dochodzi już piąta rano, a ona ciągle nie zasnęła ani nie podjęła decyzji, gdy sięga po laptopa.

Wasp do Plague'a: Możesz mi sprawdzić jednego człowieka w Gasskas? Peder Sandberg. Urodzony prawdopodobnie w latach osiemdziesiątych. Jeszcze parę lat temu mieszkał na Tjädervägen. Nie mam szczególnego powodu. Tylko ciekawość.

Plague do Wasp: Czy Gasskas to miejscowość? Nazwa brzmi jak rzygi. Załatwię to.

Peder Sandberg to pewnie też taki rzyg, myśli Lisbeth. Wchodzi pod kołdrę i czeka na odpowiedź.

Budzi się po kilku godzinach, gdy ktoś puka do drzwi. Lisbeth patrzy na zegarek i uzmysławia sobie, że za godzinę ma spotkanie w opiece społecznej.

Sprzątaczką przeprosza, Lisbeth się ubiera. Przeciąga dłonią przez włosy, wacha się pod pachami, które pachną zaschniętym potem dyskoteki zmieszonym z męskim dezodorantem. Dezodorant to dla dziewczynki, a reszta dla opieki społecznej. Wygrzebuje z plecaka nierozpakowaną gumę do żucia, bo zapomniała zabrać z domu szczoteczkę do zębów, i sprawdza komórkę. Dwukrotna próba połączenia z nieznanego numeru. Później do tego wróci. Jeszcze podłącza się do serwera Plague'a. Odpowiedział.

Tylko drobne wyroki na Sandberga. Odezwę się, jak znajdę coś więcej. Uważaj na siebie.

Siedząc już w taksówce, postanawia nie podejmować żadnych decyzji. Będzie się kierować wrażeniem.

Jest spóźniona o pięć minut, gdy nabrawszy głęboko powietrza, naciska dzwonek domofonu.

24

PIĘĆ MINUT PÓZNIEJ Lisbeth Salander wciąż stoi przed wejściem do opieki społecznej i przestępuje z nogi na nogę. Chce jej się palić, chociaż rzuciła palenie dawno temu, i kilka razy prawie odchodzi. Skoro nawet nie otwierają, to chyba nie ma sensu, mówi sobie. Zdaje się na los. Dzwoni ostatni raz i daje im dwie minuty.

– Witamy, przepraszamy, że musiała pani czekać – plus inne uprzejmości, na które Lisbeth nie odpowiada, jednak potwierdza, że napije się kawy.

– Zaraz wejdziemy do tamtych – mówi Elsie Nyberg – ale najpierw chciałabym panią poinformować o kilku rzeczach. Svala wciąż mieszka w domu. Odmawia przeniesienia się do pogotowia opiekuńczego, a my nie mamy możliwości, żeby zorganizować jej przeprowadzkę wcześniej niż po weekendzie. Albo inaczej: nie chcemy stosować wobec niej przymusu. Ona na pewno jest w kiepskiej formie po tym, co się stało.

– Aha – mówi Lisbeth. – I?

– Bez względu na to, co pani postanowi dalej, czy mogłaby pani spędzić parę nocy w tym mieszkaniu?

Od razu pada odpowiedź odmowna. U Lisbeth to odruch, żeby mówić nie, jeśli nie może mieć sytuacji pod kontrolą, a właśnie nie może. Wszystko tu krzyczy do niej wyraźnie: Wracaj do domu! Łap pierwszą z brzegu taksówkę na lotnisko albo na dworzec kolejowy, albo jedź nią aż do Sztokholmu, ale wracaj do domu!

– Proszę rozważyć tę kwestię – mówi kobieta z opieki. – Byłoby dobrze, gdyby Svala mogła mieć przy sobie kogoś z rodziny.

– Nigdy się nie spotkałyśmy – odpowiada Lisbeth. Nie dodaje: zresztą to ja zabiłam jej tatę.

– Wiem, że się nie znacie, ale czasem rodzina jednak coś znaczy – mówi tanta i opowiada o spotkaniu rodzinnym, gdy okazało się, że kuzyni, którzy nie widzieli się przez trzydzieści lat, jednak sporo wiedzieli o sobie.

– Nie mam żadnych kuzynów i nic nie wiem o tej dziewczynie – stwierdza Lisbeth. – Tak jak ona nie wie nic o mnie.

– Przynajmniej macie wspólne DNA – przedstawia jako ostatni argument Elsie, kiedy idą korytarzem do pokoju widzeń.

Niekoniecznie, myśli Lisbeth, nie odpowiadając. Mogłaby wygłosić cały wykład na temat kwasu deoksyrybonukleinowego, gdyby tylko sądziła, że ta kobieta jest w stanie to zrozumieć.

Jednak rzeczywiście, są podobieństwa, Lisbeth wzdryga się, widząc dziewczynkę po raz pierwszy. Te same jasne włosy i słodkie rysy. Urodzona, zmarła i pogrzebana. Wstała z martwych, siedząca po prawicy ojca, by sprawować sądy nad światem. Camilla. Ulubiona córka Zalachenki, jej siostra bliźniaczka. Nawet głos jest ten sam, kiedy otwiera usta i wypowiada ochryple „hej”.

Kurde, co to będzie?

Poza tym „hej” milczy i słucha, jak urzędnicy z opieki przedstawiają obecną sytuację i plany dotyczące jej osoby. W ręce trzyma kółko na klucze z przyczepioną do niego miniaturową kostką Rubika. Prawie nie musi na nią patrzeć. Palce przesuwiają się nawykłymi ruchami po kolorowych polach. Po jakiejś minucie układa ją i zaczyna od nowa.

Kiedy Elsie Nyberg w końcu pyta ją, co ona na ten plan, dziewczynka podnosi wzrok i prosi o powtórzenie pytania. Nie mówi co?, jak to nastolatka, ale przepraszam, nie dosłyszałam pytania.

– Co o tym sądzisz? – powtarza Elsie Nyberg.

– Już wiecie, co sądzę – odpowiada Svala.

– Ja nie wiem – odzywa się Erik Niskala i poprawia się na krześle.

– To proszę spytać koleżankę – odpowiada Svala. – Wydaje się przygotowana.

– Przyniosę więcej kawy – mówi koleżanka. – Spróbujcie się trochę poznać. Może Lisbeth opowie ci trochę na swój temat.

– Uprawia sporty walki, pracuje w firmie zajmującej się ochroną, jest właścicielką hondy 350, mieszka w Sztokholmie – odzywa się Svala. – Na Fiskargatan w dzielnicy Södermalm.

Patrzą na siebie przez stół. Nawet kolor oczu jest ten sam.

– Skąd wiesz? – pyta Lisbeth.

- Poczytałam – odpowiada Svala.
- Dobrze, więcej nie musisz wiedzieć.
- Owszem – mówi Svala. – Muszę wiedzieć, czy możesz zamieszkać u mnie na dwie noce, żebym nie musiała mieć opiekunki.

JADĄ TAKSÓWKĄ NA TJÄDERVÄGEN. Svala już kilka przecnic wcześniej zaczyna rozglądać się za samochodem. Dyskretnie, żeby ciotka nie zauważyła. Powinna trzymać innych z dala od tej sprawy. To jej problem i tylko jej. W dodatku jest jedynym, co ma po Mamamärctie. Przynajmniej o ile wiadomo. Według babci istnieje jakiś papier. Testament napisany na odwrocie jadłospisu z Buongiorno, ale dotąd się nie pojawił. Tak czy inaczej, nie może zawierać jakichś nieznanych bogactw ani niczego innego, co miałoby jakąkolwiek wartość. Mamamärta była chronicznie goła i bosa. Zresztą na pewno nie umarła, Svala czuje to.

Czynsz jest opłacony do końca października. Potem mają ją zabrać i umieścić u nieznanej rodziny, która w opiece społecznej ukończyła kurs uprawniający do płatnej opieki nad cudzymi dziećmi. To jak sprzedaż dzieci na aukcji. *Rodzina Nygrenów niestety odmówiła, wolą młodsze dziecko. Zwróciliśmy się do rodziny Nilssonów, ale czuli, że nie poradzą sobie teraz z przyjęciem do siebie nastolatki.* I tak dalej.

Svala nie ma konkretnego planu, ale na pewno nie pójdzie do żadnej rodziny. W tym momencie Lisbeth Salander jest jej tarczą przeciw społeczeństwu aż do chwili, gdy już będzie wiedziała, co zrobić. Poradzi sobie. Zawsze sobie radziła.

Samochód stoi na dawnym miejscu Plastpedera. Przyciemnione szyby, za nimi para najpaskudniejszych mord stworzonych przez genetykę.

Pytanie, czy odważą się pokazać, kiedy jest z nią ciotka. Czy tak ma się do niej zwracać? Zerka na Lisbeth, której grzywka opada na pół twarzy. Jeśli nie liczyć kaju, dzięki któremu oczy wydają się jeszcze ciemniejsze, jest nieumalowana i wydaje się prawie biała.

Dziwnie wygląda. Jak dziecko o twarzy dorosłego, myśli Svala. Szara bluza z kapturem pod czarną skórzaną kurtką. Czarne dzinsy i białe trampki. Od tyłu wygląda na ósmoklasistkę.

Svala zaciąga mocniej bluzę ze skórzanymi łatami na łokciach i garbi się na siedzeniu. Prosi taksówkarza, żeby podjechał pod samą klatkę schodową, gdzie – oby – zasłoni je rowerownia. Wysiadając, nie patrzy w stronę parkingu.

Cholera. Zupełnie zapomniała o chodniku, na którym leżało ciało babci. Gdzie się babci opróżnił pęcherz, a może i gorzej. Svala zwija chodnik i przepasza. Idąc przez duży pokój, wstrzymuje oddech, zatrzymuje się na parę sekund, otwiera drzwi balkonowe i wyrzuca chodnik. Na podwórku jest spokojnie. Nie ma ani dzieci, ani bandytów.

– Nie musisz przepaszać – mówi Lisbeth. To jej pierwsze słowa od chwili, gdy opuściły biura opieki społecznej. – Posprzątam. Mogę wyszorować podłogę.

Wyszorować. Czy choć raz w życiu szorowała podłogę? Nie ma u siebie takiego wiadra z mopem, jakie Svala wyciąga z szafy w przedpokoju, a potem napełnia wodą z płynnym mydłem. Co najwyżej przejeżdża odkurzaczem po mieszkaniu, kiedy jej się przypomni, że ludzie czasem tak robią.

– Jak to się robi? – pyta Lisbeth i otrzymuje odpowiednie spojrzenie.

– Zamocz, wykręć i szoruj – mówi Svala. – To nie jest trudne.

Moczenie, wykręcanie i szorowanie to od zawsze robota Svali. Tak samo jak odkurzanie, zmywanie naczyń i pranie, wynoszenie śmieci, mycie lodówki, czyszczenie piecyka, jak też sprzątanie po Mamamärctie i świni Plastpederze. Dostaje za to parę koron tygodniowo, ale robiłaby to i tak. Nienawidzi ich bałaganu. Nienawidzi ich razem. Razem są ludzikami, jakich Botticelli przedstawił w piekle Dantego. Svala rysuje ich ukradkiem. Węże oplatają i wnikają w ich ciała nagie i obrzydliwe, zaróżowione jak u świni i pijane. Potem nachodzą ją wyrzuty sumienia, więc gniecie rysunek. To nie jest wina Mamamärty, która kocha swoją córkę, bo chyba kocha?

Lisbeth szoruje, a Svala odkurza. Nie tyle dlatego, że mieszkanie było zakurzone, ile po to, by zagrzebać się w odgłosie.

Nie miała zamiaru płakać z powodu śmierci babci. Zwłaszcza przy innych. Wszyscy muszą kiedyś umrzeć, a babcia była stara, miała co najmniej sześćdziesiąt lat.

Svala wciąga odkurzacz do swojego pokoju, zamyka oczy i pozwala płynąć łzom. Tak właśnie płacze. Cicho, żeby nikt nie słyszał. Otwiera się zawór, żeby wylać nadmiar, a potem na powrót się go zamyka.

Kiedy znów otwiera oczy, przy biurku siedzi Mamamärta.

Hej, mówi. Czemu się mażesz?

Bo nie dam rady. Polują teraz na mnie.

Masz klucz, nie zapominaj o tym.

Klucz do czego?

Do wszystkiego.

PO SPRZĄTANIU WYCHODZI SŁOŃCE. Lisbeth wylewa zawartość wiaderka do toalety. Mydło potasowe usunęło woń sików. Teraz aż czuje burczenie w brzuchu, tak jej się chce jeść. Gorącego sera lepiącego się do podniebienia. Przypieczonego na brzegach ciasta. Do tego bardzo zimnej coli.

Dziewczynka też wydaje się głodna. Zagląda do lodówki, do spiżarni, potem znów do lodówki.

– Keczup z makaronem może być?

– Albo pizza – mówi Lisbeth.

– W najbliższym sąsiedztwie nie ma – odpowiada Svala, stawiając na kuchence garnek z wodą. Dopóki znajdują się w mieszkaniu, mogą po prostu nie otwierać nikomu, a w najgorszym razie zadzwonić na policję. Poza domem nie mają szans.

Jej plan jest taki, żeby zejść po balkonach, kiedy Lisbeth zaśnie. Mieszkanie pod nimi jest puste, więc nikt jej nie zobaczy. Od tyłu przedostałaby się przez piwnicę do domu pod piątką, skąd jest widok na parking. Liczy, że wtedy zdąży im się już znudzić czekanie i odjadą. Nawet takie poczwary muszą czasem się przespać. Wtedy rowerem pojedzie przez park na dworzec autobusowy. Ostatni autobus do Boden odchodzi tuż przed północą. Dalej będzie musiała improwizować.

– Ale chyba jest możliwość pizzy z dostawą do domu – mówi Lisbeth, sięgając po laptopa.

Pizzeria Buongiorno znajduje się zaledwie o jedną przecznicę dalej. Czyli dziewczynka kłamie. Lisbeth domyśla się, że ma to coś wspólnego z samochodem. Jego drzwi otwierają się, kiedy Svala wysiada z taksówki. Mężczyzna cofa się, widząc, że dziewczynka nie jest sama.

Czułość to dla Lisbeth coś równie naturalnego jak jedzenie, sranie i spanie. Nawet nie musi odwracać głowy, żeby zeskanować najbliższe otoczenie, a spostrzeżenia gromadzi w mózgowym pliku z informacjami dotyczącymi przetrwania. W ten sam sposób skanuje ludzi. Zwraca uwagę na osobowość, cechy szczególne, wygląd, głos i sposób bycia.

Nic jej nie umknie. Svala nie stanowi wyjątku. Dziewczynka się boi. Być może jednocześnie boi się i smuci. Przypuszczalnie opłakuje zarówno babcię, jak i mamę, jednocześnie ma nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Idiotyzmy życia już dawno nauczyły ją, jaka jest definicja siły i słabości. Silny człowiek to ktoś, kto nigdy nie okazuje uczuć. Mniej więcej tak jak Lisbeth, która się do tego przyznaje. Człowiek słaby to ten, kto pokazuje, że jest podatny na zranienie. Jednak świadomość własnych braków to jedno, a mieć trzynaście lat i poddać się swojemu dziedzictwu to drugie.

Lisbeth siada na kanapie z laptopem na kolanach i udaje, że szuka miejsca, skąd zamówi dostawę jedzenia. A w rzeczywistości musi się pozbierać, wymyślić jakiś plan i wydostać stąd je obie.

Pierwszy krok to sprawić, żeby dziewczynka się przed nią otworzyła. Jeśli wpadła w jakieś opał, trzeba dowiedzieć się dlaczego. Może chodzić o jakieś pierdoły i da się to załatwić za pomocą pieniędzy. Jednak może również chodzić o coś innego, poza zwykłymi sposobami rozwiązywania problemów.

Klnie pod nosem. Trzeba było poprosić, żeby Plague sprawdził również matkę.

– Jaką pizzę chcesz? – woła do Svali, która poszła do swojego pokoju.

– Vegetarianę, proszę – odpowiada dziewczynka. – Jeśli można, to również sałatkę.

Jeśli można. Grzeczne stworzenie. Lisbeth zamawia capriccioso z dodatkami i dodatki również na pizzę Svali. Mała wygląda, jakby przydało jej się trochę prawdziwego jedzenia. W końcu zamawia również podwójne porcje carbonary, kilka zapasowych pizz i ładunek coli. Mogą tu zostać przez parę dni. Adres Tjädervägen 7. Uwaga! Wejście od tyłu.

Wasp do Plague'a: Märta Hirak. Ten sam adres.

Mogłaby sama to zrobić. Włamanie się do policyjnego rejestru DUR-två jest dziecinnie proste, ale żeby się potem z systemu wydostać w sposób niewidoczny, musiałyby spowodować *crash*. A ponieważ nie wie, jak ten dzień

się potoczy, istnieje ryzyko, że zabraknie czasu. Musi to przejść przez Plague'a.

Plague do Wasp: Zgłoszono jej zaginięcie. Ma zwyczaj znikania i brak podejrzeń, że ma to związek z przestępstwem, dlatego policja umorzyła sprawę.

Wasp do Plague'a: Była skazana?

Plague do Wasp: Tak. LVM § 4, czyli ustawa o niektórych przypadkach przymusowego odwyku. I jeszcze trochę innych rzeczy. Posiadanie broni bez zezwolenia. Ukrywanie przestępcy. Posiadanie narkotyków. Przemoc. To chyba wszystko.

Teraz następuje dzwonek do drzwi. Módlmy się, żeby to był dostawca z pizzerii.

JAK ROZMAWIAĆ Z NASTOLATKĄ, zastanawia się Lisbeth, odcinając sobie jeszcze kawałek pizzy. Jediną nastolatką, do której mogłaby się odwołać, jest ona sama, co nie wydaje się zbyt przydatne. Lisbeth Salander, lat trzynastu. Kim była? Aż do pojawienia się w jej życiu Ingego Ågrena wyrzucała wspomnienia na wysypisko mózgu. Problem w tym, że wspomnienia nigdy nie murszeją. W każdej chwili potrafią ożyć i rozchodzić się w postaci zanieczyszczeń. Jak teraz.

Na tyle, na ile poznała Svalę, głównie na podstawie raportów opieki społecznej, dostrzega podobieństwa między sobą a nią. Nie powierzchowne, jak wygląd czy głos. Nie, te podobieństwa sięgają głębiej. To tak jak z kamieniami, które są identycznie kształtowane przez warunki geograficzne.

Powinna dotrzeć jakoś do dziewczynki. Zbudować zaufanie, inaczej Svala nigdy nic jej nie opowie. Ani o matce, ani o tych facetach w samochodzie. Są tylko dwie możliwości. Drugą jest grożenie.

– Co lubisz robić? – pyta.

– Nie wiem – mówi Svala. – Czytać. Może rysować.

– Mogłabym zobaczyć jakiś rysunek? – pyta Lisbeth instruktorka zajęciowa.

– Nie, nigdy ich nie zachowuję.

– Nie masz innych zainteresowań? Widziałam, jak szybko ułożyłaś kostkę.

– To nie jest zainteresowanie – odpowiada Svala. – To po prostu coś, co robię.

– Oglądałam film dokumentalny o mistrzostwach świata w kostce Rubika, widziałas go?

– Nie, nie mamy telewizora.

Lisbeth zdążyła już to zauważyć. Svala nie ma też laptopa ani nowocześniejszego smartfona. Ledwie kilka ciuchów w szafie i niewiele rzeczy osobistych. Jeśli Märta HIRAK zarabiała na sprzedaży dragów poza swoją regularną pracą asystentki osobistej, to zdecydowanie nie zrobiła nic dla zaspokojenia jakichś próżnych potrzeb córki. Całe mieszkanie zalatuje biedą.

Kiedy prawie skończyły posiłek, znów odzywa się dzwonek do drzwi. Svala upuszcza kawałek pizzy i zrywa się z krzesła, przewracając puszkę coli.

– Czekał – mówi Lisbeth, łapiąc ją za ramię. – Czy to są te typy z parkingu?

Zatrzymują się przez chwilę na wzajemnych spojrzeniach. Svala musi dokonać wyboru.

– A dlaczego tak myślisz? – pyta, żeby zyskać na czasie.

– Nieważne – mówi Lisbeth. – Co to za jedni?

– Nie wiem – odpowiada Svala głosem, który chyba wskazuje, że powie, jak jest. – Mamamärta jest im winna pieniądze. I kiedy miałam...

– Okej – przerywa Lisbeth, popychając dziewczynkę w stronę jej pokoju, gdzie mogą rozmawiać, nie ryzykując, że zostaną usłyszane. – Posłuchaj. Nie otworzymy im. Nawet nie podejździemy do drzwi, rozumiesz? – Svala rozumie. – Znasz kogoś z sąsiadów?

– Tylko Ingvara. Stary jest.

– Dobrze, masz jego numer telefonu?

– Nie, widujemy się czasem na podwórku.

Słyszałem, że twoja mama zaginęła. Pewnie się martwisz, mówi Ingvar.

Mama wróci, odpowiada Svala. A co tam u Malin, wróciła do domu? Ingvar kręci głową. Siedzą w milczeniu i obserwują muchołówki, które wlatują i wylatują z budki na brzozie. Ingvar potrafi milczeć. To jego najlepsza cecha.

– Jego nazwisko? – mówi Lisbeth.

– Bengtsson. Mieszka na czwartym piętrze.

– Zrób tak – mówi Lisbeth, podsuwając jej telefon. – Zadzwoń do niego i powiedz, żeby zszedł dwa piętra. Potem niech powie tym typom przed drzwiami, że nikt tu już nie mieszka. Że opieka społeczna cię zabrała, a babcia nie żyje.

– To na nic – mówi Svala. – Widzieli nas, kiedy przyjechałyśmy.

– To bez znaczenia. Oni, rzecz jasna, wrócą tutaj, ale nie lubią mieć widowni.

– A jak mu zrobią coś złego? – pyta Svala takim tonem, jakby już niejedno widziała. – Może lepiej, żebym do nich wyszła.

– Mowy nie ma. Odpowiadam za ciebie jeszcze przez dwa dni.

– A jeśli on zadzwoni na policję?

To dopiero praktyczny dzieciak.

– Nie zdążą dojechać – przekonuje Lisbeth.

– Będzie wypytywał.

– Powiedz, że później wyjaśnisz.

Svala dzwoni. Czeka ją.

– Zostań tu – mówi Lisbeth i zakrada się pod drzwi mieszkania. Słyszy głosy, nie to, co mówią, ale wie, że tam są. Podchodzi pod drzwi i patrzy przez wizjer. Nie. To nie może być prawda. Wizjer może zniekształcić twarz, ale te męty rozpoznałyby nawet, gdyby mieli plastikowe torby na głowie. Kiedy jeden z nich zwraca spojrzenie z sąsiada na drzwi, to tak jakby patrzył wprost na nią. Lisbeth się cofa. Tętno szaleje. Ledwo może oddychać. Svavelsjö MC. Jak, do cholery, udało im się powstać z bulgoczącego błota w czyścicu?

Jeśli ci, co się uwzięli na dziewczynę, rzeczywiście są ludźmi ze Svavelsjö MC, to naprawdę niedobrze. Nie dlatego, żeby tamci byli specjalnie bystrzy, za to są kompletnie pozbawieni sumienia. Najwyraźniej nie cofną się nawet, gdy w grę wchodzi dziecko.

Lisbeth nachyla się znów do drzwi i wzdryga się. Sklonowani z banku genów od diabła. Niby nowi faceci, ale mają te same tłuste strąki związane w kitkę i lepkie wąsy. Te same skórzane dzinsy i kamizelki.

Tupot butów kowbojskich cichnie. Można odetchnąć. Na schodach jest już pusto. Na razie.

Lisbeth googluje wśród firm wynajmujących samochody. Odrzuca duże firmy i dzwoni do Rent a Wreck.

– Dostaniesz dodatkowe trzy tysiące, jeśli mi go podstawisz. Zatrzymaj się na miejscach dla niepełnosprawnych za domem, kluczyk połącz na przednim kole.

– Pięć tysięcy. A jeśli samochód zostanie skradziony, odkupisz nowy.

– Wyślij esemesa, jak będziesz na miejscu – mówi Lisbeth. Następnie zwraca się do Svali: – Dokąd jedziemy, ty decydujesz.

– Rovaniemi. W Finlandii.

- Znasz tam kogoś?
- Niezupełnie – odpowiada Svala.
- Okej – mówi Lisbeth. – Perkele Rövaniemi [9](#), here we come.
- Rovaniemi – poprawia ją Svala.

JAKBY NIE DOŚĆ BYŁO PRZECIWNOCI na ten jeden dzień, zaczyna padać śnieg. Najpierw tylko prószy, potem jest go więcej, a na koniec tyle, że na ostatnim odcinku drogi samochód tylko pełźnie.

Dziewczynka walczy z sennością, w końcu przysypia i budzi się, gdy jej głowa uderza o szybę.

Lisbeth próbowała wyciągnąć z niej nieco więcej informacji o matce, ale widać, że Svala jest przyzwyczajona mieć się na baczności i właściwie nie mówi nic ponad to, co Lisbeth już wie.

– Mogę poprowadzić, jeśli chcesz – mówi Svala.

– Tak, na pewno – odpowiada Lisbeth.

– Mówię poważnie, ja często prowadzę.

I co można na to odpowiedzieć? Nic.

Lisbeth zjeżdża do zatoczki parkingowej i odwraca się do dziewczynki.

– Okej, Svala. Znasz te typy ze Svavelsjö?

– Niektórych. Jakiś rok temu połączyli się z gangiem Plastpedera.

– Wiesz, jak się nazywają? – pyta Lisbeth, ale dziewczynka nie odpowiada.

Cokolwiek się będzie działo i ktokolwiek będzie pytał, masz nic nie mówić.

– Nie rozumiesz – mówi Lisbeth. – Svavelsjö to nie jest zwyczajny klub motocyklowy. Biją na głowę HA ¹⁰. Żyją wyłącznie z cudzego nieszczęścia. Wtykają swoje paskudne mordy, jak tylko zwietrzą przemoc albo forszę. Najlepiej jedno i drugie jednocześnie.

Powinna przedstawić to w sposób jednoznaczny, a dziewczynka musi zacząć mówić.

– Żeby zarobić stówę, są zdolni zabić bezdomnego – dodaje – więc musisz mi powiedzieć. Mają na ciebie jakiegoś haka? Co to jest?

– A jeśli ci nawet powiem, to co ty możesz? – odpowiada Svala, patrząc znacząco na drobną posturę Lisbeth, ledwo sięgającą powyżej kierownicy.

– Tego jeszcze nie wiem – mówi Lisbeth. – Ale nie dasz im rady bez jakiejś pomocy z zewnątrz, na pewno to rozumiesz. Jeśli coś do ciebie mają, to uchwycą cię zębami i będą trzymać tak długo, aż dostaną to, czego szukają. A więc czego szukają?

Cokolwiek się będzie działo i ktokolwiek będzie pytał, masz nic nie mówić.

Lisbeth wzdycha i jedzie dalej. Rozumie ją. Na jej miejscu pewnie zrobiłaby to samo. Ale Svavelsjö... Jaką ma szansę? Dziewięćset kilometrów od Sztokholmu. Tu musi chodzić o coś szczególnego.

– Jeśli chcesz się przydać, to może znajdź jakiś hotel – mówi Lisbeth. – Co najmniej cztery gwiazdki i recepcja czynna przez całą dobę.

Svala wchodzi na jakiś portal rezerwacyjny. Po chwili odkłada telefon i opiera się o szybę.

– Jak ci poszło? – pyta Lisbeth.

– To nie ma sensu. I tak nas nie będzie stać.

– O pieniądze się nie martw. Opieka społeczna dała nam naprawdę dużo pieniędzy na przyjemności.

– Tak, na pewno – odpowiada Svala. – Wszyscy podopieczni z Gasskas mogą sobie raz do roku jechać do Rovaniemi. I na Majorkę pod warunkiem, że przyślą stamtąd widokówkę.

– Prawda, jacy mili. Znalazłaś jakiś hotel?

– Tak. Pięć tysięcy za noc.

– Dzwon tam – mówi Lisbeth.

– Poważnie?

– Poważnie.

– Mówi Svala Hirak, chciałabym zarezerwować pokój na... – tu zwraca wzrok na Lisbeth – dwie noce. Najlepiej domek. Z sauną, proszę.

– I minibarem – dodaje Lisbeth.

– I minibarem. Dziękuję. Kartą?

– Gotówką.

– Płatne gotówką. Dziękuję.

Svala zerka na Lisbeth. Jej spojrzenie mówi jeszcze jedno „dziękuję”.

Lisbeth pogłównia radio. Muzyka wydaje jej się znajoma, chociaż nie wie, co to jest. W jej życiu muzyka pojawia się tylko chwilami. W większości przypadków woli ciszę.

– Mogę jeszcze pogłównić? – pyta Svala.

– Lubisz muzykę? – mówi Lisbeth, a wtedy dziewczynka wyłącza radio.

Wycieraczki stukają o szybę, wentylacja jęczy.

– Nie musisz się tak wysilać – odzywa się Svala. – Moje ulubione danie to palt [11](#). Jestem najwierniejszą czytelniczką naszej biblioteki. Gram w hokeja w juniorskiej drużynie kobiet. A w każdym razie grałam, dopóki dostawałam łyżwy. Nie musisz pytać, czy lubię muzykę, tylko dlatego, że chcę pogłównić.

– Przepraszam – mówi Lisbeth, zdając sobie sprawę, że jest na gorszej pozycji.

Dziewczynka nie jest dzieckiem w sensie takim, jak ją widzi Lisbeth, kiedy patrzy na trzynastolatkę, która zмага się z sennością. Podobnie jak ona, została ukształtowana przez okoliczności. Jest osobą, która za szybko dorosła i rozbudowała własną strategię przeżycia. Ta strategia nie przewiduje elastyczności, jeśli nie okazuje się to niezbędne. Przeciwnie, myśli Lisbeth i włącza ponownie radio.

– Jeśli ci się ta muzyka nie podoba, to musisz wytrzymać – mówi i śpiewa do wtóru.

Svala pogłównia jeszcze mocniej.

– Lubię jego głos – mówi i też wtóruje w miejscach, gdzie umie.

– To Duńczyk – odpowiada Lisbeth. – Niestety, nie żyje.

– Mama być może też nie żyje, chociaż nie wierzę.

– W takim razie na pewno masz rację. – Lisbeth patrzy na GPS, waha się, sprawdza jeszcze raz, po czym skręca na parking i rozgląda się.

– Co to, kurde, za miejsce? Piekło Świętego Mikołaja?

Między drzewami zwieszają się kolorowe girlandy i wszędzie są mikołaje, a jeśli nie mikołaje, to renifery, paczki, choinki i wszelkie ozdoby przynależne do świątecznego piekła.

– On tu mieszka – mówi Svala.

– W takim razie musi być jakimś cholernym psychotykiem.

– Ale ty przeklinasz – zauważa cicho Svala. – Święty Mikołaj jest dobrym człowiekiem.

– To nie człowiek, tylko mit.

– Nie, Mikołaj istnieje.

Hotelowy westybul prezentuje się, na ile to możliwe, jeszcze gorzej. Oprócz polakierowanych na brązowo drewnianych ścian dekorowanych reniferzymi rogami i wypchanego renifera przed saniami pełnymi paczek oraz kolejnego mikołaja, jeszcze świąteczna muzyka zalega jak koc nad dopływem tlenu.

Jedna nienawidzi świąt, a druga kocha Świętego Mikołaja. Co z tego wyniknie?

Kiedy okazuje się, że zamiast recepcjonisty w tradycyjnym czarno-białym stroju wita ich elf, Lisbeth czuje, że ma dość. Podaje portfel Svali i sama siada na kanapie w czerwono-zielone paski, na której leżą błyszczące poduszki i gryzące skóry reniferów.

– Macie chociaż zimne piwo? – woła. – Albo wódkę. Najlepiej wódkę.

– Musisz pić? – pyta Svala, oddając portfel.

Dopiero co wydawała się dorosła, a teraz zrobiła się mała. Jest dzieckiem o rozbieganym spojrzeniu. Trzynastolatką, która cały czas jest czujna. Ośmiolatką, zamykającą się w łazience przed macającymi łapami pijaków. Pięciolatką, która czekała na choinkę i prezenty, a musiała się położyć do łóżka głodna. Trzylatką, która zostaje sama, kiedy rodzice mają jakieś biznesy we wsi.

Bezдушna, cholerna Lisbeth, do której powaga sytuacji dociera dopiero teraz.

– Przepraszam – mówi. – Chętnie wypiję colę, ale to może poczekać, aż będziemy w pokoju.

Obie mają skromny bagaż. W plecaku Svali najwięcej miejsca zajmuje małpka.

Dla dziewczynki, która w najlepszym razie mogła nocować w jakimś schronisku, ten domek odpowiada wyobrażeniu prawdziwego luksusu. Opanowana dotąd stara malutka, a właściwie stara dziewczynka, nie może się powstrzymać. Biega z pokoju do pokoju, potem do łazienki i sauny, niczym jałówka wypuszczona po raz pierwszy na pastwisko, i nie poddaje się, dopóki nie zajrzy w każdy kąt, wliczając szafę.

Lisbeth chce tylko spać. Nie ma siły rozebrać się do końca, ściąga jedynie dżinsy i opada na puchową kołdrę.

– Chodź – woła do Svali. – Widziałas, że cały sufit jest ze szkła?

W odróżnieniu od Lisbeth Svala przebiera się w koszulę nocną i myje zęby, zanim wejdzie pod kołdrę z małpką i zgasi światło.

– Jest jeszcze jedna sypialnia, gdybyś chciała mieć spokój – odzywa się Lisbeth.

– I nawzajem – odpowiada Svala.

Przez szkło w suficie przestrzeń nieba jawi się jak szaroczarna masa bez spadających meteorytów czy mrugających gwiazd.

– Wiesz coś na temat czarnych dziur? – pyta Lisbeth.

– Trochę. Grawitacja uniemożliwia światłu ich opuszczenie.

– Dokładnie tak. A teraz wyobraź sobie, że jesteś astronautą, który wypada w przestrzeń kosmiczną i zbliża się do czarnej dziury.

– Masz na myśli horyzont zdarzeń?

Ale czytany dzieciak.

– Tak.

– Chciałam się tylko upewnić, że nie miałas na myśli osobliwości – mówi Svala – bo wtedy byłabym już dawno martwa.

– Jak te płatki śniegu opadające na szklany dach – mówi Lisbeth.

– Chociaż to nie jest to samo – mówi Svala, ziewa i odwraca się. – A w ogóle to każdy głupek może sobie wygooglować czarne dziury. Pierwsze, co się wtedy pojawia, to grawitacja i osobliwość. Dla mnie są to głównie ładne słowa. Możemy już spać? Jestem zmęczona. Małpka też.

I tyle tej bajki na dobranoc.

HOTELOWE ŚNIADANIE, czy może być coś gorszego? Lisbeth staje w ogonku do automatu z kawą. Kiedy przychodzi jej kolej, okazuje się, że kawa właśnie się skończyła.

Hordy nieznanym, którzy upierają się, żeby mówić ci „dzień dobry”, suną przed półmiskami jak ospały zaskroniec. Jest też mnóstwo mikołajów, tak żywych, jak i wypchanych, choć to dopiero październik.

Arcymiła kobieta przebrana za elfa rozmawia z gośćmi w różnych językach, dokładając jednocześnie do półmisków. Teraz obejmuje ramieniem Svalę i wskazuje jej gofrownicę, podczas gdy Lisbeth wypatruje jakiegoś wolnego stolika w miarę daleko od innych elfów i rodzin z małymi dziećmi, co okazuje się niemożliwe. Podobnie zresztą, jak nie sposób uniknąć Binga Crosby’ego, który leje się z głośników do uszu jak akuvax.

Wydaje się, że wszyscy goście obudzili się o tej samej porze, bo nie ma żadnego wolnego stolika. Najlepsze rozwiązanie to przysiąść się do Chińczyka, który rozmawia głośno przez telefon, a jest z córką.

– *Please* – mówi Chińczyk i zaprasza gestem.

Lisbeth zabezpiecza się przed wymianą dalszych uprzejmości, łapiąc „Helsingin Sanomat”.

– Znasz fiński? – dziwi się Svala, rzucając się na kielbaski, jajecznicę, gofry, śmietaną, różne gatunki chleba, pasztety, sery i donaty.

– Nie, ale mają dobre zdjęcia – wyjaśnia Lisbeth, wlepiając wzrok w szwedzkiego ministra do spraw rodziny.

Czuje, że sytuacja każe jej powiedzieć sobie: cholerna idiotka. Zaczepia przechodzącą obok panią elf i prosi o wytłumaczenie, o co chodzi.

– Chodzi o włamanie do sieci w celu pozyskania danych – mówi tamta, wyrywając jej filiżankę po kawie.

– U ministra rodziny? – upewnia się Lisbeth.
– I jego żony.
– O kurwa – klnie Lisbeth i sięga do swojej komórki. Rozładowana. Jak mogło do tego dojść? Ona, zawsze taka podłączona do wszystkiego.
– Muszę zadzwonić – mówi i wstaje.

– Widziałeś? – pyta, gdy Dragan Armanskij odbiera telefon.

– Dowiedzieliśmy się w piątek – odpowiada Armanskij. – Pomyślałem, że i tak masz dość na głowie. Sytuacja jest pod kontrolą. Kiedy wracasz do miasta?

Lisbeth patrzy na mikołajową krainę. Na dachach śnieżna kołderka, która wygląda jak śmietana. Mikołaj zawsze czujny.

– Nie wiem. Pojawiły się problemy.
– Wyobrażam sobie. Jak ci idzie z tą dziewczynką?
– Owszem.
– To znaczy? – dopytuje Armanskij, a Lisbeth wzdycha.
– Jesteśmy w Rovaniemi.
– W Finlandii. – Armanskij się śmieje. – Spotkałaś już Świętego Mikołaja?

– Nawet kilku i jeszcze elfy, i parszywe renifery – mówi Lisbeth, a potem prosi go o przejście do rzeczy.

Dragan Armanskij, właściciel większościowy i założyciel Milton Security, popija poranną kawę i patrzy na miasto. Lisbeth Salander jest od przeszło roku współwłaścicielką spółki, co nikogo tak nie cieszy jak właśnie jego. Odbywa się to, rzecz jasna, na jej warunkach. Fizycznie obecna jeden dzień w tygodniu, a najlepiej mniej, własny gabinet, codzienne sprawozdania i pełny wgląd w projekty wszystkich współpracowników.

W ich oczach Lisbeth to bardzo dziwaczny okaz. W jego oczach natomiast jest jednym z nielicznych osobników bardzo rzadkiego gatunku.

Prace w resorcie spraw społecznych odbywały się na zamówienie działu informatyki w kancelarii rządu. Zakończyły się parę tygodni temu i przyniosły – jak zakładano – pozytywny rezultat.

– Więc co się stało? – pyta Lisbeth. – Czy chodzi o blamaż pary Dick i Pick, czy też wydarzyło się coś innego?

Pick ma właściwie na imię Patricia, ale ponieważ pracuje z Dickiem, ma ksywę Pick. Przynajmniej na liście kontaktów Lisbeth.

– Jeszcze nie wiadomo – mówi Armanskij. – Poza tym, co teraz wie cały kraj, to znaczy że żona ministra ma rude włosy zarówno na głowie, jak i na dole, a jej kochanek to skazany za morderstwo Turek, którego należało wydaląć ze Szwecji wiele lat temu, co samo w sobie jest dość komiczne. Przecież de Deus zyskał sławę dzięki twardej postawie wobec przestępców i natychmiastowemu wydalaniu imigrantów dokonujących przestępstw. Co ty, gazet nie czytałaś? Zwykle tak dbasz, żeby być na bieżąco, najwyraźniej mocno ci się zamieszało przez tę dziewczynę.

Armanskij nie mówi tego złośliwie, raczej z nadzieją. Lisbeth wie, że Armanskij się o nią martwi. Raz po raz zaprasza ją do swojego domu w Nacka, gdzie jego sympatyczna żona Nadie gotuje równie smacznie, co zdrowo. Lisbeth najczęściej nie przyjmuje zaproszenia.

– *Niedobrze, jak człowiek jest sam, rodzina jest najlepszą ochroną.*

– *Doprawdy – odpowiada Lisbeth.*

– *Nie mam na myśli rodziców, tylko własną rodzinę. Dobrego męża i parę dzieciaków, które was ze sobą zwiążą, mieszkanie.*

Lisbeth zazwyczaj mówi mu, żeby się zamknął, kiedy Armanskij znów zaczyna ten rodzinny taniec, który trzeszczy jak zdarta siedemdziesięcioośmioobrotowa płyta gramofonowa. Dokonała swoich wyborów i trwa w nich. Związki są trudne. Lisbeth nie wie nawet, czy byłaby zdolna poczuć coś więcej niż pożądanie. Tak czy inaczej, nie zamierza się tego dowiadywać. W życiu są chyba również inne rzeczy. Choćby liczby pierwsze.

– *Prześlij mi to, co wiadomo, to później do ciebie zadzwonię – mówi. – Czeka, jeszcze jedno. To ty podałaś mój telefon opiece społecznej?*

– *Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.*

– *Na pewno?*

– *Na pewno – odpowiada Armanskij o parę dziesiątych sekundy za późno.*

Lisbeth zamyka na klucz domek, który jest jednym z setki identycznych domków, otoczonych drewnianymi budowlami: hotelami, restauracjami, sklepami z dizajnerskimi rzeczami. I jest kiosk. Wprawdzie rzuciła palenie dawno temu, nawet nie pamięta kiedy, ale zdarza jej się kupować papierosy. Trzyma je przez kilka dni, a potem wyrzuca.

– *Wiedziałaś, że ten kiosk został zbudowany, kiedy miała tu przyjechać Eleanor Roosevelt?*

Chińczyk ze śniadania przyszedł w tej samej sprawie. Najwyraźniej musi również gadać.

– Nie, nie wiedziałam. Przyjechała odwiedzić Świętego Mikołaja?
– Ha, ha, niekoniecznie – odpowiada tamten. – Mikołaj pojawił się tutaj później. Tamto było kilka lat po wojnie. W czterdziestym czwartym roku Niemcy spalili całe miasto. Ocalały tylko pojedyncze budynki. – Najwyraźniej dostał wiatru w żagle, bo Lisbeth stara się wyglądać na zaciekawioną. – Rosjanie zmusili Finlandię, żeby zrezygnowała z udziału w planie Marshalla, ale Amerykanie i tak chcieli pomóc. A więc kiedy madame Roosevelt postanowiła przyjechać z wizytą, zbudowali ten domek i dla dobra tej opowieści umieścili na kole podbiegunowym, chociaż po prawdzie znajduje się ono nieco dalej na południe. A potem siedziała tu i pisała widokówki do Trumana.

– Drogi Harry, Mikołaj istnieje – dopowiada Lisbeth.

– Twoja córka mówi, że jesteście Szwedkami – mówi Chińczyk.

Lisbeth postanawia nie komentować. Zresztą nie jego sprawa.

– Czyż nie jest to fantastyczny ośrodek? – ciągnie tamten, zataczając koło ręką. – Przepraszam, powinienem się przedstawić. Kostas Long. Wiele lat temu byłem tu z moim synem. Tak się przypadkiem złożyło, że mogłem zainwestować w tej okolicy, więc teraz staram się przyjeżdżać tu jak najczęściej z córką. Może to dziecinne, ale uwielbiam święta Bożego Narodzenia. A ty?

– Nie – odpowiada Lisbeth.

– I Finlandię – dodaje Chińczyk. – Co za kraj, jacy wspaniali ludzie! Brałyście już udział w tutejszych rozrywkach?

– Nie – mówi znów Lisbeth.

– To może was oprowadzę?

– Sama nie wiem.

– Pozwoliłem sobie zapisać was na parę różnych eventów. – Lisbeth odpowiada jedynie spojrzeniem.

– Kostas, jesteś Grekiem? – pyta.

Teraz to on nie odpowiada.

– Twoja córka i Mei chciałyby pojechać saniami zaprzężonymi w renifery – mówi. – Ty oczywiście też będziesz mile widziana. W recepcji można wypożyczyć kombinezon. Może nie przewidziałaś, że będzie tu zima?

– Dzięki – odpowiada Lisbeth. – Jeszcze zobaczymy, co będziemy robić.

Przeszło godzinę później stoi jednak koło recepcji razem ze Svalą i grupką rozchichotanych Japonek, które ubrane w pożyczone kombinezony w pastelowych kolorach robią sobie selfies.

– Tak się nie da – mówi Lisbeth. – To już wolałabym zamarznąć. Lepiej poćwiczmy. Przyzwoity mikołaj powinien przynajmniej mieć *dojo*.

Swała wraca spojrzeniem do wesołego towarzystwa. Lisbeth robiłaby kiedyś to samo. Chociaż to dawno, pamięta doskonale, że zwyczajny świat był zupełnie poza jej zasięgiem. Przemykał jak obraz w telewizorze albo za oknem kliniki z wyraźnym przekazem, że ona jest poza nim. Dziwadło z ciebie, Lisbeth, tak mówił. Dziwadeł nie włącza się do grupy.

– Chodź – mówi do dziewczynki. – Kawalek dalej jest sklep sportowy. Możemy równie dobrze kupić nowe ciuchy. Wybierz sobie, co chcesz, i nie przejmuj się ceną. Jest nowy przekaz z opieki społecznej.

– Coraz lepiej – mówi Swała, przesuwając dłonią po puchowych kurtkach w różnych kolorach i fasonach.

Lisbeth dopiero teraz zwraca uwagę na to, jak dziewczynka jest ubrana. To jest może i zwróciła uwagę wcześniej. Na dziurawe trampki i dzinsy z nogawkami ledwo za łydkę, ale zakładała, że to taka bezlitosna moda młodzieżowa.

– Takie też mogą być dobre – mówi. – I jeszcze te.

Wspomnienia spadają na nią jak bekerele na Czarnobyl.

– Dżinsów nigdy człowiek nie ma za dużo, no i bluz, potrzebujesz bluzy?

– Muszę niedługo wracać do szkoły – mówi Swała. – Mamy mieć test.

– Z czego?

– Z historii. Z historii Norrbotten.

– Lubisz historię? Kolejność dziedziczenia tronu, wodzowie, daty.

Swała ma minę, jakby nie zrozumiała pytania.

– Historia to prawdopodobnie najważniejszy przedmiot w szkole. Czy myślisz, że ludzie potrafią zrozumieć przyszłość, jeśli nie znają historii?

– Bardzo mądrze – zauważa Lisbeth. *Ten dzieciak nie może mieć trzynastu lat. Prędkiej trzydzieści trzy.*

– Potrzebny ci również laptop – mówi. – I nowa komórka.

– Chętnie laptop, ale komórka jest jeszcze dobra.

– Wszystko z niej zachowasz przy zamianie na nową. Zdjęcia też.

– Wolę zostać przy tej starej.

30

– PÓJDE SIĘ PRZEJŚĆ – mówi Svala i zostawia ciotkę, która zagłębiła się w cyfry i znaczki przelatujące po ekranie monitora.

Śnieg wciąż wali z nieba, gdy Svala brnie w stronę urzędu pocztowego Świętego Mikołaja.

Nie jest mi zimno. Nawet w nogi.

Wprawdzie nie bywa jej zimno. Przytknięcie dłoni do rozgrzanej płyty też nie jest problemem. Co innego otoczenie. Ci, którzy oceniają jej wygląd od stóp do głów, widzą teraz parę solidnych botków, a nie za małe trampki z kłapiącą podeszwą, choć jest mróz. Ktoś się nią przejął. Dla niej znaczy to po prostu wszystko.

Poczta jest pełna ludzi miętoszących pluszaki i kupujących widokówki. Svala przystaje obok grupki Włochów z przewodnikiem. W ostatnich kłaskach podstawówki w Gasskas jest tylko niemiecki jako dodatkowy język obcy. Dlatego Svala korzysta z apki, żeby uczyć się jeszcze włoskiego, hiszpańskiego, chińskiego i rosyjskiego. Na razie zna tylko podstawy, ale udaje jej się wyłapać pojedyncze słowa. Teraz stara się wtopić w otoczenie, jakby była tu ze swoją rodziną.

– Przepraszam – zwraca się do elfa w kasie – chodzi mi o listy do Mikołaja, gdzie one trafiają?

– Pisałaś do niego? – pyta elf, a gdy Svala nie odpowiada, wyjaśnia: – Trafiają tutaj, a Mikołaj z krasnoludkami czyta wszystkie listy. Potem je odkładamy do specjalnej szafy. Z jakiego kraju przyjechałaś?

– Z Południowej Afryki – mówi Svala, a elf wtedy pokazuje jej przegródkę na listy stamtąd.

– Szafa jest niestety zamknięta na klucz, ale może uda ci się wypatrzeć swój list – mówi elf. – Albo napisać nowy.

Tego Svala nie chce. Chodzi jej tylko o upewnienie się, że poczta Świętego Mikołaja istnieje, a listy do niego są czytane. Potem idzie dalej za strzałkami wskazującymi drogę do The Christmas House.

Kręte drewniane schody prowadzą na górę. Svala nie jest już dzieckiem, nigdy nim nie była, a jednak jest podekscytowana, że spotka się z Mikołajem. Odbiera to jako coś uroczystego.

Owszem, chce mieć zdjęcie i film zapisany na pendrivie.

Siada na krześle obok. Oboje milczą przez chwilę. Svala wydaje się przy nim malutka. Mikołaj jest przeziębiony.

– Pisuję do ciebie – odzywa się Svala. – Może wiesz, jestem Svala ze Szwecji? – Głupie pytanie, na rybkę, ale Mikołaj kiwa głową.

– Wiem, kim jesteś – mówi. – Mikołaj wie wszystko.

– Jak Bóg?

– Jak Bóg – odpowiada Mikołaj.

– To wiesz, że moja mama zaginęła – ciągnie Svala, a Mikołaj znów kiwa głową. – A może mi powiesz, gdzie ona jest? Albo chociaż czy żyje?

– Jak byłem mały, malutki jak krasnoludek, moja mama też zaginęła, więc wiem, jak to jest.

– A wróciła?

Mikołaj zwleka z odpowiedzią.

– Nigdy nie przestałem mieć takiej nadziei i pewnego dnia nagle znów się pojawiła w domu.

– I gdzie była wcześniej?

– Na długim urlopie. Może twoja mama też pojechała na urlop.

Do Svali dociera, że Mikołaj nie wie, gdzie jest jej mama, a jednak przyjemnie jej się z nim rozmawia. Zastanawia się nad następnym pytaniem. Mikołaj wyciera nos w chustkę.

– Mogę cię o coś prosić? – pyta Svala, sięgając do kieszeni.

– Oczywiście. Mikołaja możesz prosić, o co tylko chcesz.

– Chciałabym ci coś dać. – Podaje sześciokątną paczuszkę zawiniętą w ręcznie dekorowany papier świąteczny. – To dla ciebie, ale nie wolno ci tego otworzyć przed świętami.

– No chyba, przecież jestem Mikołajem. Odłożę to na razie do innych prezentów.

– Nie, chcę, żebyś to zabrał do domu. Tyle razy do ciebie pisałam, nie otrzymując odpowiedzi. Jesteś mi to winien w pewnym sensie.

Mikołaj się wierci. Znow wyciera nos i wypija łyk grzanego wina czy czegoś, co piją Mikołaje.

– Okej – odpowiada – czyli ustalone. Obiecuję. Słowo honoru.

Svala wie niejedno na temat słowa honoru. Nie zaszkodzi mała pogróżka, jak mawia Plastpeder.

– Gdyby ci się zdarzyło zapomnieć, to mam cię na filmie. – Następnie podnosi się, klepie go po ramieniu i życzy mu, by szybko wyzdrowiał.

Najdziwniejsze, że on naprawdę wie, kim jest Svala. Tej jesieni po raz pierwszy pracuje jako Santa Claus. W każde ferie i podczas studiów dziennikarskich dorabiał w Santalandzie. Najczęściej polegało to na otwieraniu listów, czytaniu ich i czasem na odpisywaniu. A ponieważ jego ojciec jest Szwedem, na niego przypadła poczta ze Szwecji.

Wbrew temu, co ludzie myślą, do Mikołaja pisze więcej dorosłych niż dzieci. To smutne opowieści o biedzie i rozwodach, nieuleczalnych chorobach i samotności. Ostatnią nadzieję widzą w Mikołaju.

A on odpowiada jak potrafi. Że problemy się rozwiążą, byle nie tracić nadziei, a na koniec wszystko będzie dobrze. Więcej nic nie może zrobić.

Listy od tej dziewczynki są inne. Bo to nie są listy, tylko wiersze.

Te wiersze potrafią doprowadzać go i do śmiechu, i do płaczu. Przede wszystkim jej język, literacki, właściwy raczej historii literatury. Aż tak doskonały, co akurat on potrafi ocenić jako domorosły poeta amator. Gdyby tylko mógł odpowiedzieć na listy. A ona podpisuje je jedynie Svala H. Nie podając adresu.

Właśnie dlatego pozwolił sobie na trochę zbyt wiele. Sfotografował te wiersze i wykorzystał jako własne pod pseudonimem Svala H. Z początku były to pojedyncze słowa czy zdania, z czasem całe wiersze. Nawet – i teraz tak się wstydzi, że na tę myśl robi przerwę i idzie do toalety – przetłumaczył je na fiński i wysłał do wydawnictwa, które je przyjęło. Tylko tygodnie dzielą go od ukazania się zbiorku w księgarniach. Cholera, ale się spocił pod tym kostiumem. Broda swędzi, a okulary uciskają skronie.

Jest fejkem. Idiotą, który ukradł i przywłaszczył sobie teksty dziewczynki. A teraz po tym, jak się z nią spotkał, wstydzi się jeszcze bardziej. Trzaska drzwiami toalety, zbiega po schodach i wypada na dwór, na rynek Santa, ale wśród turystów w kolorowych wypożyczonych kombinezonach nie widzi Svali H. ubranej w puchówkę w gołęzim kolorze i w różowej czapce na głowie.

– *Hello, Santa, take a picture with us!* – woła ktoś, a moment na odnalezienie dziewczynki minął definitywnie. Może i Mikołaj jest mitem. Wymyśloną postacią latającą nad światem w swoich saniach, aby rozdawać prezenty. Jednak w Santa Claus Village jest jak najbardziej żywy. A więc staje na środku i kładąc swoje godne zaufania ręce na delikatnych ramionkach, uśmiecha się po ojcowsku do kamerki telefonu.

I zgodnie z życzeniem Svali po skończonym dniu pracy zabiera paczuszkę do domu.

Eeli Bergström mógłby ją otworzyć i znaleźć jakiś adres, ale postanawia dać spokój. Musi wypić to piwo. Wiersze się ukazą. Oby jedynie po fińsku.

Svala obserwuje go przez witrynę sklepu Marimekko. Widziała, jak leciał po schodach z płaszczem powiewającym jak spódnica. Szukał kogoś. Właśnie dlatego się przed nim chowa, bo może zmienił zdanie w sprawie paczuszki.

MIKAEL BLOMKVIST KUPUJE KAWĘ z automatu za dziesięć koron i zapisuje sobie w pamięci, że musi porozmawiać z Salem na temat biblioteki.

Śmiesznie małej jak na gminę liczącą dwadzieścia tysięcy, a wkrótce trzydzieści tysięcy mieszkańców. Dział historyczny z kompendiami dotyczącymi regionu. Dział literatury pięknej obejmujący powieści, poezję, eseje, biografie, zbiory opowiadań i fantasy. Znacznie większy dział z kryminałami i równie duży z romansami. Reszta, co najmniej połowa, to literatura dziecięca i młodzieżowa, może i słusznie. No tak, plus pół półki książeczek tęczowych. Wszystko to na powierzchni nie większej od niedużego salonu.

W czytelni czasopism sytuacja przedstawia się nieco lepiej.

Jak we wszystkich bibliotekach, ludzie siedzą rozproszeni przy stołach i na fotelach, zagłębieni w lekturze wiadomości i reportaży. Mikael Blomkvist łapie jedyną gazetę sztokholmską i siada przy stole z widokiem na rzekę i budynek policji.

Jak szary może być dzień? Jak mali mogą wydawać się ludzie, jak wielki można zbudować urząd gminy i jak, do cholery, można tu mieszkać, pyta w myślach Mikael, popijając kawę i patrząc na świat za oknem.

Z budynku policji wychodzi kobieta. Mikael patrzy za nią. Pod wpływem wiatru włosy zasnuwają jej twarz. Kobieta sięga do kieszeni i ujarzmia włosy, związując je w surowy węzeł. Ślizga się na oblodzeniu, ale odzyskuje równowagę i wyjmuje telefon.

Czy właśnie tak wygląda to w małych miejscowościach? Nikt nie może pozostać anonimowy, bo wszędzie jakiś znudzony fiut siedzi w kawiarni, na stacji benzynowej, w aucie albo w bibliotece i przez lupę studiuje świat jak rzadki znaczek pocztowy.

Mikael się rozgląda. Nikomu zapewne nie umknął ten obcy z ciemnobrązową grzywką opadającą na lekko bliznowaty prawy policzek. Sposób, w jaki odgarnia włosy wpadające do oczu, sztruksowa marynarka, która jest za cienka na tę pogodę, i torba garbarni Böle, która kosztowała pół jego pensji i stanowi jedyny luksusowy przedmiot, na jaki sobie kiedykolwiek pozwolił. On i jeszcze Göran Persson, były premier.

Do komisariatu wchodzi kobieta w szarym płaszczu. Wychodzi stamtąd mężczyzna w szarym garniturze. Zaraz. Kogoś mu przypomina. Mikael szuka we wspomnieniach i oto wracają. Jedne powodują napięcie mięśni. Drugie ból w kroczu. Swędzenie na ramionach. Rumienienie się. Sztywnienie pleców. Mężczyzna jest z tych, którzy powodują swędzenie.

Hans Faste. Zapewne jeden z najgorszych policjantów w całej Szwecji wyszedł z budynku policji z uśmiechem na ustach. Nie przytrzymuje drzwi wchodzącej kobiecie, przypuszczalnie nawet jej nie zauważył, tylko szybkim krokiem podchodzi do auta, brzydko zaparkowanego na miejscu dla niepełnosprawnych.

Hans Faste. Kolega Sonji Modig, Jana Bublanskiego i – jak mu było – Curta coś tam. Może Svenssona.

A jednak oni są tylko strażą przednią zupełnie innej osoby.

Która nie jest policjantką.

Nigdy nią nie będzie.

Nienawidzi społeczeństwa jak weganin nienawidzi klopsików, po wsze czasy związana z przeszłością: Lisbeth Salander.

Na początku pisał do niej co najmniej jednego maila w tygodniu. Potem, kiedy na przeszkodzie stawała codzienność, może jeden miesięcznie. Teraz wysyła pozdrowienia na Boże Narodzenie. Ona nigdy nie odpowiada. To nie znaczy, że Mikael o niej nie myśli. Migną jakieś plecy czy włosy, ale to nigdy nie jest ona.

I zamiast otworzyć gazetę, pisze do niej esemesa.

Cześć, Lisbeth, dawno się nie widzieliśmy. Jestem w Gasskas w Norrbotten i przed chwilą widziałem Hansa Fastego. Pomyślałem o tobie. Co teraz porabiasz? Uściski/M

Kiedy odzywa się sygnał przychodzącego esemesa, Mikael jest autentycznie zdziwiony.

Powodzenia z tym idiotą. Do usłyszenia. Lisbeth.

No tak, czego miał się spodziewać? Właściwie niczego. Korci go, żeby napisać jeszcze jednego esemesa, ale rezygnuje. Przynajmniej wie, że Lis-

beth ma wciąż ten sam numer telefonu na kartę.

Gdzieś jest. Może taka wiedza wystarczy.

– Ojej, to ty tu siedzisz?

Trzeźwy, świeżo ostrzyżony i bardziej zasmucony niż kiedykolwiek.
Gość IB z Säpo.

– A, cześć – odpowiada Mikael. – Fajnie cię widzieć, jak ci się powodzi?

– Dzięki, pomaleńku.

Szarość najwidoczniej może jeszcze zszarzeć.

– Jednak to nie Malin znaleźli, wróciliśmy do punktu zero.

– W pewnym sensie to dobrze – mówi Mikael – bo jeszcze jest szansa, że żyje. Siadaj, napij się kawy?

– Bardzo chętnie. – IB odwraca gazetę i śmieje się.

– Ci to zawsze tacy sami – mówi.

– Stało się coś? – pyta Mikael.

– Właściwie nic nowego, ale zdaje się, że Thomas de Deus dał niezłą plamę. I on, i żona.

Mikael zdążył tylko przeczytać tytuł. Czyli to o nich, ale kogo to obchodzi? Odkąd SD ¹² wkroczyła do szwedzkiej polityki, wysokość poprzeczki została obniżona. Dla nich to nie problem, że człowiek atakuje na mieście bambusów, według ich własnego określenia dla afrykańskich uchodźców, a potem w partii odpowiada za sprawy związane z resortem sprawiedliwości. Równie oczywiste jest to, że ktoś hajluje na domówce, a potem zostaje wyznaczony do zajmowania się sprawami szkolnictwa. Nikt nie rozumie, jak im się udaje z tego wywinąć, ale podobnie jak Donald Trump, który może kłamać, rzucać oszczerstwa i nawet doprowadzić tłum do szturmowania Kapitolu, a jednak pozostać bezkarnym, tak SD idzie naprzód, kłamiąc w zaparte.

Ja nie hajlowałem, po prostu sięgałem po coś z wysokiej półki. Nie pobiłem bezbronnych uchodźców, zeszywniałem ze strachu i myślałem, że umrę. To była tylko samoobrona.

A przecież nie oni są najgorsi, bo w pewnym sensie Mikael potrafi ich zrozumieć. Mają jakieś powołanie, rozpala ich jedna kwestia, inna rzecz, że ohydna. Najgorsi są ci inni, politycy mainstreamowi. Partie o ustalonej pozycji, które dotrzymują obietnic tyle czasu, ile im potrzeba na zapisanie kolejnych.

Nigdy się nie zgodzimy na to, żeby zadawać się z SD. Akurat!

I choć Mikael rozumie, że politycy nie mogą sobie pozwalać na dalekowzroczność i rozwagę, gdy poglądy wyborców wyrażają się kierunkiem kciuka w mediach społecznościowych, to nie może nie odczuwać żalu, że ze strachu są gotowi robić pod siebie. Powinni być bardziej zahartowani, niechby choć tak jak on, i odmawiać przyjmowania wszystkich nowinek.

Gazety opowiadają o wspólnym kochanku chrześcijańskiego demokraty Thomasa de Deusa i jego żony Ebby. Małżonkowie przesyłają sobie wzajemnie zdjęcia, które zostają przejęte przez hakera, a ten grozi, że jeśli mu nie zapłacą, poda je dalej mediom.

Pan de Deus woli zapłacić, ponieważ jest nieco bliżej Boga niż inni i nie chce ryzykować, że utknie w bramie do raju. Co tłumacząc na kategorie życia doczesnego, znaczy, że utraciłby stanowisko pastora i wiarygodność posła do Riksdagu.

Tymczasem haker radośnie bierze od niego pieniądze, ale zdjęcia przekazuje portalowi Dagens Sanning, który je publikuje, torując drogę pozostałym mediom.

Z kochanka też jest niezły numer. De Deus stał się znany jako orędownik zdecydowanego rozprawienia się z przestępczością i znacznego ograniczenia napływu uchodźców. Kochanek, jak się okazuje, dostał wyrok za zabójstwo i został skazany na dożywotnie wydalenie ze Szwecji, a jednak mieszka sobie w wygodnym lokalu na najwyższym piętrze nowego wieżowca w dzielnicy Kista.

– Uff – mówi Mikael – jak można się tak lenić. Gdyby zechcieli mocniej pogrzebać, pogooglować dziesięć razy dłużej i jeszcze podzwonić tu i ówdzie, mogliby napisać znacznie głębszą historię niż to. De Deus był na tapecie już piętnaście lat temu. Wtedy chodziło o gwałt. Dziewczyna odebrała sobie życie, a de Deus został uwolniony od podejrzeń z braku dowodów.

– Ty, zdaje się, jesteś dziennikarzem?

– Owszem.

– Chcesz powiedzieć, że lepszym od tamtych?

– Nie, ale dbam o to, żeby przekazywać porządne informacje, a nie strzępy.

– A jednak umyka ci, co rozgrywa się przed twoimi oczami – mówi IB.

– Ach tak? To ciekawe.

– Henry Salo. Nie mieści mi się w głowie, że nikt dotąd nie obnażył tego pajaca. Zresztą nie tylko jego, ale również reszty miejscowych skorumpo-

wanych polityków i urzędników, spijających nieświeżą śmietanę z jego brudnej dłoni.

– Wydajesz się wściekły – zauważa Mikael.

– Bo jestem wściekły – odpowiada IB. – Jeśli stanie się tak, jak on chce, to wokół naszego miasteczka wkrótce będzie świstać tysiąc sto wiatraków. Cały las, z którego z dobrodziejstwem inwentarza mogą korzystać mieszkańcy Gasskas, zostanie zamieniony w parcelę przemysłową. Zmobilizujemy wszystkie siły dla obrony zielonego przemysłu, wykrzykują chórem politycy. A Salo posuwa się aż do tego, że pokochał kopalnie. Nie uważa ich za zło konieczne. Jemu i takim jak on chodzi o coś znacznie więcej – ciągnie IB. – O zapisanie się w historii jako ludzie, którzy utorowali drogę do nowej Norrlandii. Tylko że to nie żadna nowa Norrlandia. Sorry, Salo, niewiele jest nowego pod słońcem. Najgłośniej krzyczą dziś ci sami wyzykiwacze, krwiopijcy i chciwi kolonizatorzy, co pięćset lat temu. Jedyna różnica jest taka, że królowi nie chodzi o srebro, skóry z reniferów i połowy łososia. Jemu leżą na sercu sprawy ekologii. Co za szkoda, że nie ma już żadnej władzy.

– Naprawdę jest aż tak źle? – odzywa się Mikael.

– Nie, jest jeszcze gorzej. Pewnie nie czytasz Flashbacka?

– Zdarza się. Jednak eksploatacja tego terenu nie może być wynikiem jednej decyzji Sala. Gminna polityka nie działa w ten sposób.

– Czyżby? A w jaki?

– No cóż, poprzez polityczne decyzje – mówi Mikael. – Urzędnicy przedstawiają propozycje, które są akceptowane albo odrzucane przez gminną radę samorządową, czyli polityków wybieralnych. Przedstawianie Sala jako jedynowładcy wygląda raczej na fantazmat.

– A jeśli politycy, urzędnicy, przedstawiciele gospodarki i banków należą do tego samego męskiego klubu, gdzie się ze sobą porozumiewają, to czy nie wydaje ci się to bliskie określenia korupcji? – pyta IB.

– O czym ty mówisz?

– O Zakonie Kła Tygrysa. Nie słyszałeś o nim?

– Nie. Owszem, o prowadzonych przez Lions zbiórkach starych okularów i przeterminowanych lekarstw, ale o Zakonie Kła Tygrysa nigdy.

– Słyszałem, że Salo jest twoim przyszłym zięciem. – IB wymawia to tak jak brzydkie słowo. – Należy do kierownictwa, może sam jest szefem. Poproś go, żebyś mógł mu towarzyszyć na jakimś zebraniu. Czasem przyjmują chętnych. A jeśli chodzi o Sala – ciągnie IB – mogę się założyć, że

miał coś wspólnego z zaginięciem Malin. Nie potrafię tego udowodnić, ale tak jest.

IB to nie byle kto. Dopiero co przeszedł na emeryturę z Säpo. Zna ludzi z policji. Albo też jest tylko głęboko nieszczęśliwym ojcem, chcącym odnaleźć córkę i czepiającym się nadziei.

– W takim razie jak scharakteryzowałbyś Sala jako sprawcę? – pyta Mikael.

– Skorumpowany, z kiepską samooceną, o zaburzonej osobowości i zdolności empatii.

Mikael w odpowiedzi aż gwizdże.

– Wygląda na to, że moja córka dokonała świetnego wyboru.

– Możesz sobie żartować, ale podrzucę ci temat, któremu mógłbyś się przyjrzeć bliżej. Dotyczy Malin, chociaż właściwie nie tylko jej, lecz także wielu młodych osób, które zginęły w ostatnich latach. Malin była świadkiem pożaru, w którym zginęła para młodych rodziców i ich dwumiesięczne niemowlę. Mieli długi. Wiele miesięcy po zaginięciu Malin jej ciotka znalazła telefon komórkowy, który oddała policji.

– Poszła z nim na policję czy do ciebie? – pyta Mikael.

– Dobra, do mnie, a ja przekazałem go policji – przyznaje IB.

– A co to ma wspólnego z Salem?

– W komórce była wiadomość ze współrzędnymi domu Sala. Kupił ten dom, ale się do niego nie wprowadził.

– Dlatego zakładasz, że Salo ma coś wspólnego z zaginięciem Malin?

– Właśnie. To nie może być przypadek. Nie sądzę, żeby Salo miał czyste ręce, chociaż mógł je wychlorować.

Mikael zerka na zegarek. Za dziesięć minut spotyka się na lunchu z Pernillą.

– Masz jeszcze te współrzędne?

– Mam.

– Nawiasem mówiąc, dobrą książkę sobie wybrałaś. *Sverigedemokraterna: den nationella rörelsen* ¹³ Stiega Larssona i Mikaela Ekmana. Myślałem, że biblioteki już dawno się jej wyzbyły.

– Jest teraz równie aktualna co w chwili wydania. Zresztą w przyszłym roku są wybory. Założę się, że wejdą do rady gminy.

Albo do rządu.

Sygnal esemesa od IB dźwięczy akurat w momencie, gdy Mikael usiadł na stołku baru taco w miejscowej hali targowej, gdzie czeka na Pernillę. Odnajduje numer do urzędu gminy, gdzie go przełączają do Sala.

– Cześć, słuchaj, ten wasz męski klub Zakon Kła Tygrysa chyba ma wkrótce posiedzenie. Mógłbym dołączyć?

– Nie, trzeba mieć dwie osoby polecające.

– Ciebie i...? Fajnie byłoby znów się pospotykać w męskim gronie. Naprawdę mi tego brakowało ostatnio.

– Tak, tak. – Salo jest zestresowany. – Muszę lecieć. Zobaczą, co się da zrobić.

Mikael Blomkvist dostał trop do sprawdzenia, chociaż przypuszczalnie nigdzie go on nie zaprowadzi. No i wejście w krąg mocy i chwały, amen.

Po raz pierwszy od dawna odczuwa lekką ekscytację.

SVALA CHYBA ZNALAZŁA BRATNIĄ DUSZĘ, stwierdza Lisbeth, kiedy ścieśniają się pod skórą renifera. Są rówieśnikami, a Mei – bo tak ma na imię dziewczynka – najwyraźniej zrobiła coś ze Svalą, która zaczęła rozmawiać. Lisbeth próbuje podsłuchiwać i stwierdza, że one nie gadają o chłopcach, o muzyce czy na inne tematy interesujące pewnie nastolatki. Rozprawiają o książkach. A właściwie nie tyle o książkach, ile o literaturze.

– Według mnie ona jednak jest trochę za długa – mówi Mei, odnosząc się do *Ulissesa* Jamesa Joyce’a.

– Tak, ale wyobraź sobie tę książkę, gdyby była tak krótka, że pewne zdania by się w niej nie zmieściły.

– Też racja – przyznaje Mei, podając Svali pół czekoladowego wafla.

– Xièxiè – odpowiada Svala, a Lisbeth w tym momencie myśli, że dzieciak oczywiście nauczył się chińskiego w jedno popołudnie. Naciąga skórę renifera na siebie i Greko-Chińczyka.

W saniach jest ciasno. Dotykają się nogami. To znaczy on stara się, żeby się dotykali.

– Bystra ta twoja córka – odzywa się Long, a Lisbeth wciąż nie potrafi zdobyć się na to, by wyjaśnić swoje miejsce w układzie rodzinnym. Prawdzie towarzyszą pytania, a Lisbeth z przyjemnością ich uniknie.

– Premiera roku – woła, odwracając się, woźnica; młody człowiek, któremu z szerokiego paska zwisa nóż.

– Będziemy polować na niedźwiedzia?

– Będzie przejażdżka, która potrwa około czterdziestu pięciu minut – wyjaśnia. – Posiedźcie sobie w ciszy i cieszcie się widokami.

Śnieg przestał padać, zastąpiło go świecące ostrożnie słońce, ale ono wkrótce zajdzie. Greko-Chińczyk wydaje się dysponować ogromnym zasob-

bem słów na określenie piękna, a wokół rzeczywiście jest pięknie jak na pocztówce. Lisbeth jednak rozmyśla o pracy, a kiedy już przestaje o niej myśleć, przypomina jej się wiadomość od Plague'a:

Plague do Wasp: Poszperałem jeszcze. Peder Sandberg zapisuje zdjęcia w chmurze. Chyba lubi fotografować.

Wasp do Plague'a: Dziecięca pornografia?

Plague do Wasp: Nie, inne paskudztwa. Rajcuje go ból. U innych.

Czy na tych zdjęciach jest jasnowłosa dziewczynka, który wygląda jak Camilla, pisze Lisbeth, ale kasuje tekst, nie wysyłając go. Zamiast tego pisze:

Wasp do Plague'a: Skopiuj te pliki.

Plague do Wasp: Zrobione.

Lisbeth patrzy na Svalę, która patrzy na Mei. Jej poważna twarzyczka nagle rozpromienia się w uśmiechu, który czyni z niej zupełnie odrębną postać, a nie jakąś kopię Camilli. Osobę, która przypuszczalnie nigdy nie zakwalifikuje się do zwykłych śmiertelników, ale również – daj Boże – nie do tych z marginesu społeczeństwa. Lisbeth nie ma tu pewności, bo to jak balansowanie na linie. Dotyczy to także jej. Kiedy staje się przed wyborem: życie albo śmierć, nie da się cofnąć, Lisbeth wie to aż za dobrze.

Zdawałaś sobie sprawę, jaką odpowiedzialność na siebie wzięłaś, zapyta kiedyś w dalekiej przyszłości Inge Ågren. Nie, odpowie wtedy, ale nie miałam wyboru. Czyli znów to samo. Najpierw była dziewczyną, która igrała z ogniem. Teraz jest dziewczyną, która nie ma innego wyboru. Żałosne.

Przejażdżka saniami zaprzężonymi w oporne renifery nie jest szybka. Właściwie to jest tak powolna, że czynnik Lorentza w $E = mc^2$ nie ma tu zastosowania. Lisbeth prawie zasypia, kiedy czuje dłoń gładzącą jej nogę.

– Co robisz? – mówi, nie odtrącając tej dłoni.

– Odpoczywaj sobie, jeśli jesteś zmęczona – odpowiada jej, a dłoń wciąż wędruje powoli po jej ciele.

– Pomyśl o dziewczynkach – szepcze Lisbeth. – Najbliższy im temat z biologii to będzie jakiś morski bóg uwodzony przez syrenę.

– Naprawdę polecam kaczkę po pekińsku – mówi parę godzin później Long, kiedy siedzą w restauracji chińskiej z kartami dań przed sobą.

Lisbeth odmawia.

– Skoro nie podają przyzwoitej pizzy, to przynajmniej chcę antrykot z frytkami i sosem berneńskim – mówi. – I żadnego paskudnego masła czosnkowego.

Wyglądają na dwie pary usadzone przy tym samym stole.

– Piękna jest twoja córka – mówi Long.

– Twoja też – odpowiada Lisbeth. Robi postępy w uprzejmościach. – Może chciałyby spać w tym samym domku – ciągnie. – Mamy dwa pokoje, moglibyście zająć jeden.

Kurde, Lisbeth, ty tego wcale nie chcesz.

Może i nie, ale chcę towarzystwa.

Potem, po zakupie chipsów, słodyczy i napojów gazowanych, jadą tak-sówką do domku, gdzie mówią „córkom” dobranoc i zamykają drzwi.

– Chcesz spróbować fińskiej sauny? – pyta Lisbeth, majstrując przy agregacie.

– Czemu nie. Nigdy tego nie robiłem – mówi Long.

Podczas gdy sauna się nagrzewa, oni dzielą ze sobą butelkę bąbelków. Czy raczej Lisbeth próbuje pić szampana, ale przechodzi na colę.

– Szampan jest przereklamowany – stwierdza.

– Cola też – odpowiada Long, a potem pyta ją, czym się zajmuje.

Czym się zajmuje... i co jest gotowa powiedzieć o sobie? Że jest dentystką? Byłoby łatwo. Każdy wie, co robi dentysta. Ale wtedy, można się założyć, Greko-Chińczyk okazałby się pewnie dentystą w jakimś poprzednim życiu.

– Programowaniem – mówi w końcu. *W każdym razie jest to bliskie prawdy.* – Robię aktualizacje dla Microsoftu. Moją specjalnością jest Word. – *Czy to było konieczne?*

Lisbeth rozbiera się. Najpierw dzinsy, następnie T-shirt, a na końcu majtki lądują na tej samej kupce. Stanika nie chciało jej się wkładać.

Chińczyk rozpina koszulę i wiesza ją na wieszaku. Spodnie składa wzdłuż kantów i kładzie na pufie ze skóry renifera. Skarpetki szepia, żeby się nie zgubiły. I na to kalesony.

Zamknij się, Santa, nie wolno się śmiać.

Ławka parzy skórę. Long już po kilku minutach ma dość.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to może byśmy...

Widać po nim, że się męczy, ale Lisbeth myśli sobie, że niech się jeszcze trochę pomęczy.

– Sauna jest zdrowa – stwierdza. – Dobra na serce.

– Przepraszam – mówi Long i wychodzi, chwiejąc się na nogach.

Dla dobra sprawy Lisbeth wytrzymuje jeszcze chwilę, potem też wychodzi i bierze prysznic.

Long leży jak nieżywy na łożku.

– Żyjesz?

– Chyba tak.

– Twardzielem to ty nie jesteś – zauważa Lisbeth i kładzie się obok. Gasi światło, a tym samym zapala gwiazdy.

– Coś niewiarygodnego. Już rozumiem, dlaczego dach jest ze szkła. Dziewczynki powinny to zobaczyć – mówi Long. – Na pewno potrafią rozróżnić poszczególne konstelacje niezależnie od tego, gdzie się znajdują.

– Nie jestem mamą Svali.

– Wiem. Mei mi mówiła. – Włosy, które wcześniej były schludnie zaczesane do tyłu, opadają miękką falą na twarz. Dotąd prawie na niego nie patrzyła. Tylko jako na ciało. Potencjalnie.

– Co?

Long głaszcząc palcami jej skroń.

– Nic.

Kątem oka Lisbeth widzi kolor rozchodzący się po szklanym dachu jak rozlana akwarela.

– Zobacz – mówi, odwracając jego twarz ku niebu.

– Coś niesamowitego – odpowiada Long, układając ją na swoim ramieniu. – Jak wolisz: kochać się w świetle zorzy polarnej czy ją tylko oglądać?

– Oglądać.

– Okej – mówi Long, przyciągając ją do siebie.

Ten jego zapach. Lisbeth wciąga go w nozdrza jak świeże powietrze. I te ręce, które wiedzą, co to praca. Przed oczami stają jej obrazy różnych tatuży, dostrzega też obrączkę, ale wszystko jedno. Dziś Greko-Chińczyk może być nawet skrytobójcą i człowiekiem żonatym.

Gdyby nie ostatnie słowa dzieciaka: *Nie zrób nic głupiego.*

Odsuwa jego dłonie, ale zaraz są znowu, zresztą nie tylko dłonie. *Come here, little girl with the dragon tattoo.* Usta, język, zęby, fiut. Czy moralność zdołała kiedykolwiek przewyciężyć żądzę? Long przewraca ją na brzuch i wgryza się w jej kark. Przytrzymuje jej ręce, kładzie się całym

swoim ciężarem na grzbiet smoka, by zaraz wbić się w nią z rykiem jak u lwa. Jest posiadaczem. Ona jego własnością.

Następnego dnia po zorzy niebo jest szare jak granit. Lew zamienił się w wykastrowanego domowego kota. Nie można powiedzieć, żeby Lisbeth się tym przejęła. Był tylko ciałem.

– Przepraszam cię za wczoraj – mówi Long, kręcąc obrączkę. – Chyba za dużo było tego szampana.

Na szczęście nie zdecydował się opowiadać jej o swoim długoletnim i nudnym małżeństwie.

Kiedy on wreszcie wychodzi, Lisbeth wykonuje dwadzieścia dodatkowych pompek i sto brzuszków. Cztery *kata* i *kihon* do czarnego pasa. Potem podejmuje decyzję. Cokolwiek zrobiła dziewczynka albo jej matka, wystarczy już tego dobrego. Finanse pozwoliłyby im na pozostanie u Mikołaja aż do śmierci, ale Lisbeth już postanowiła. Nie może ciągnąć za sobą nastolatki, choćby wydawało się to urocze. Tęskni za swoim mieszkaniem. Trzysta dwadzieścia metrów kwadratowych samotności bez mebli, siksy, Greko-Chińczyka czy innych krasnali.

33

- SPALAŚ Z NIM? – pyta Svala w samochodzie, gdy wracają do Gasskas.
 - A co ci do tego?
 - On ma żonę.
 - To jego problem.
- Potem milczą aż do przejścia granicznego między Torneå a Haparandą.
- Widziałyście zorzę polarną? – pyta Lisbeth, żeby przełamać ciszę.
 - Oczywiście, ale ty pewnie nie wiesz, jak ona powstaje – odpowiada Svala tonem, w którym słychać sarkazm.
 - Nie wiem, za to ty na pewno wiesz.
 - Tak, uważam na lekcjach fizyki. *Aurora borealis* powstaje wtedy, gdy cząstki naładowane, głównie elektrony, osiągają dużą prędkość w niektórych miejscach magnetosfery, a następnie zderzają się z molekułami i atomami w atmosferze. Te z kolei otrzymują energię od elektronów.
 - Od elektronów na spidzie – mówi Lisbeth. – Byle dureń mógłby to wygooglować.
- Svala patrzy na nią i kręci głową.
- Można by sądzić, że w tym samochodzie to ja jestem dorosła, ale okej, posłużmy się twoją metaforą: kiedy spid już opuści ciało, powstaje foton, jeśli pamiętasz, co to jest.
 - Japońskie łóżko.
 - Foton, nie futon. Mam mówić dalej czy nie? Foton to najmniejsza ilość energii, która może być przekazywana przez promieniowanie magnetyczne, a powstaje, gdy na przykład jeden atom przechodzi z wyższego do niższego stanu energii. W odniesieniu do twojego świata przypominałoby to mrugające światła dyskotekowe. Błękit zorzy jest niezwykle rzadki, więc mam nadzieję, że wczoraj nie robiłaś nic innego poza wpatrywaniem się w niebo.

– Svala, mimo że wciąż skwaszona, nie potrafi ukryć swojego podniecenia tym światłem. – Ostatnim razem niebieskie światło zorzy było widziane w dwa tysiące dziesiątym roku w Moskosel. To dosyć blisko Gasskas.

– Skoro już mowa o Gasskas, zastanawiałam się nad sprawą długu twojej mamy. Co wiesz na ten temat?

– Nic. Te typy pojawiły się po tym, jak zaginęła. Zmusili mnie do zrobienia włamania, ale kiedy otworzyłam kasę pancerną, okazała się pusta.

– Podejrzane. Po co mieliby ci kazać włamywać się do pustej kasy pancерnej?

– Skąd mam wiedzieć?

– To jakieś bajdy. Kasy pancерnej nie otwiera się ot tak.

– Chodzi o cyfry. Jakbym je widziała. Albo wyczuwała. Sama nie wiem. Jakbym popadała w inny stan.

– No to dziwię się, że masz tylko dostateczny z matny.

– Bo mój nauczyciel uważa, że zadaję za trudne pytania. Więc udaję, że nie umiem.

Może by tak małe odwiedziny w szkole. Żeby mu wepchnąć w gardło kalkulatorok.

Robią sobie przerwę, podczas której zjadają całkiem niezłe pizze z dodatkową porcją sera, a potem jadą dalej do Gasskas. Obok rzeka Kalix wije się jak krokodyl. Na wysepkach w jej szerokim rozlewisku tu i ówdzie stoją domy. Jak dla lalek, małe czerwone domki z białymi węglami i wychodkami. Idealna kryjówka. Niezakłócony niczym widok i brak kontaktu ze stałym lądem.

– Jaki był mój tata? – pyta Svala. Pytanie pada nagle, ale było spodziewane.

– Wielki i milczący. Ledwo go znałam. A ty – Lisbeth zmusza się do mówienia – pamiętasz go?

– Tak mi się zdaje – mówi Svala – nosił mnie na ramionach, a ja trzymałam się jego włosów. Czarnych.

– Były zupełnie jasne. Jak twoje.

– W takim razie jasne. Zniknął, kiedy miałam dwa lata.

Prawdopodobnie zanim się jeszcze urodziłaś.

A skoro już się babrzą w sprawach rodzinnych, Svala chce wiedzieć, jaki był „dziadek”.

Psychopata. Człowiek lubujący się w przemocy. Bydlę, które należało udusić poduszką zaraz po urodzeniu.

– Moi rodzice rozwiedli się, kiedy byłam mała – mówi Lisbeth. – Czasem nas odwiedzał.

– Myślisz, że tego nie wygooglowałam? – ciągnie Svala. – Pół twojego życia jest w necie, jak powieść w odcinkach. Rozumiem, że nie masz ochoty o nim rozmawiać, ale chciałabym jednak wiedzieć, co wtedy czułaś.

– Kiedy?

– Kiedy cisnęłaś w niego butelkę zapalającą.

– Ty chciałabyś to samo zrobić Pederowi Sandbergowi – mówi Lisbeth.

– Może.

Po raz drugi w tej podróży Lisbeth zjeżdża z drogi do zatoczki parkingowej i przekręca kluczyk w stacyjce. Śnieg szybko pokrywa szybę. Minus cztery stopnie. Ciemno, choć to ledwo piąta.

– Okej – mówi Lisbeth. – Pogooglowałaś, ale nie wszystko, co piszą w sieci albo w gazetach, jest prawdą.

– Oczywiście, że nie. Jestem dobra w weryfikowaniu źródeł.

– A więc – ciągnie Lisbeth – większość z tego, co napisali o Zalachence, jest prawdą. Twój dziadek... mój ojciec katował moją mamę przy każdej możliwej okazji. Zjawiał się, kiedy chciał wyładować na kimś swoją złość, w tym przypadku na mamie. Bił tak często i ciężko, że doznała urazu mózgu, a my z siostrą siedziałyśmy w pokoju obok i wszystko słyszałyśmy. To skrócona wersja.

Teraz robi się niebezpiecznie. Ale ta mała to nie byle kto. *Jak się czuła, kiedy mogła oddać?*

– Zrobiłam to, czego nikt inny nie chciał zrobić: podjęłam próbę ratowania mojej mamy. Nie pamiętam, jak się czułam. Chyba uważałam, że to konieczność. Że muszę tak postąpić, chociaż jednocześnie miałam pewnie nadzieję, że znajdzie się inne rozwiązanie. Trudno to wyjaśnić. Może dziś opieka społeczna radzi sobie lepiej z pomocą dla rodzin. – Puste słowa w aucie, które za chwilę całkiem pokryje śnieg. – No i cokolwiek sobie wyobrażałaś, gdy chodzi o Pedera – dodaje – są inne sposoby, żeby się zemścić, jeśli to jest to, czego chcesz.

– Jak na przykład?

– Policja, sądy. – Coraz bardziej puste słowa w coraz zimniejszym aucie. Lisbeth ponownie przekręca kluczyk w stacyjce. Obok przejeżdżają z hukiem tiry. Uruchamia się radio. Svala je wyłącza.

Zabłąkany renifer mija je po niewłaściwej stronie płotu ochronnego. Za nimi zajeżdża samochód.

– Ze mną jest tak samo. Nie chodzi mi o zemstę, muszę ratować moją mamę.

– Przed czym? – pyta Lisbeth, zbliżając się do jądra ciemności.

– Myślę, że próbuje załatwić Plastpedera, żeby mnie ratować.

– Chyba nie za bardzo jej to idzie.

– Chyba nie.

Od jej przyjazdu do Gasskas minęło zaledwie kilka dni, jednak hotelowy bar wydaje się taki odległy. Podobnie jak ruda kobieta poznana w barze.

Zajmują ten sam apartament. Bar jest pusty. Svala wlecze się apatycznie za nią.

– Okej – mówi Lisbeth. – Życie gra z nami w chuja, ale zawsze można poćwiczyć. Próbowалаś kiedyś karate?

– A mogłabyś przestać kląć i używać obrzydliwych słów? Nie, nie próbowałam karate.

– Okej. Zasada numer jeden. Zaczynasz i kończysz ukłonem.

– Long cię tego nauczył?

To dopiero moralizatorka.

– Chińczycy uprawiają kung-fu. Grecy... nie wiem. Może retsinę.

Pięty razem. Stopy do zewnątrz. Ramiona wzdłuż boków. Szacunek we wzroku. I ukłon.

Po godzinie Svala ma już opanowane cztery techniki uderzeń, *tsuki*, trzy obronne, *uki*, i dwa kopnięcia, *geri*, oraz najczęstsze postawy, *dachi*.

– Ja już umiem liczyć po japońsku.

No oczywiście, kurde.

Tej nocy Svala woli spać sama. Zamyka się w pokoju, nie mówiąc dobranoc.

Lisbeth odczuwa niepokój, który jest gryzący jak wszy. Potrzebuje jakiegoś planu. Tymczasem go nie ma. A musi mieć? Nie mogłaby po prostu oddać dzieciaka opiece społecznej i wrócić do domu? I tak zrobiła więcej, niż musiała. Dziewczyna spotkała się z Mikołajem. Podczas przerwy w swoim życiu do dupy skąpała się w luksusie. Zdobyła nową przyjaciółkę i widziała niebieską zorzę polarną. Nie, Lisbeth nie jest jej nic winna. Jednak może te wszy to nie tylko niepokój. Svala jest jak most między nią a przeszłością. Most, który Salander dawno temu wysadziła w powietrze.

Nie jest tak, że Lisbeth to jedyna żyjąca krewna dziewczyny. Jest odwrotnie.

Otwiera butelkę coli, poprawia poduszki za plecami i kontynuuje lekturę papierów z teczki od opieki społecznej. Tyle jest tutaj spraw, które jej się nie zgadzają. Do cholery, ta dziewczyna jest genialna, co oni zupełnie gubią, pisząc w uwagach, że „niektórzy nauczyciele odbierają ją jako wyzywającą i skłoną do konfliktów” i „mającą trudności w odnalezieniu się w zespole”. Oddanie jej wilkom na pożarcie okazuje się dla Lisbeth bardziej bolesne, niż myślała. Jakie są inne możliwości? Zabrać ją ze sobą do Sztokholmu. Nie. Zostawić ją bez ochrony w Gasskas w jakiejś rodzinie zastępczej, której chodzi tylko o to, żeby zarabiać na dzieciach. Nie, tak się również nie da.

Znów wertuje papiery. Matka. Märta HIRAK ma jakąś rodzinę w okolicy.

To Saamowie, pasterze renów. Dwaj bracia i siostra. Ojciec nie żyje od paru lat. Matka, czyli babcia SVALI, najwyraźniej bywała trochę u Märty, a trochę u tamtych. Są zapewne całe hordy kuzynów i innych krewnych. Ktoś z nich chyba powinien ulitować się nad SVALĄ?

– Próbowaliśmy się z nimi kontaktować – mówi Erik NISKALA, kiedy następnego dnia siedzą w opiece społecznej. – Ostatnio jakieś trzy, cztery lata temu. Bardzo jasno zakomunikowali, że nie chcą mieć nic wspólnego ani z Märtą, ani z jej córką.

Córka patrzy w okno. Wydaje się nie interesować rozmową, która jej dotyczy. Zabrała ze sobą laptopa i położyła na kolanach. Co pewien czas coś pisze.

– Czy wyklucza pani możliwość, żeby z panią została aż do znalezienia jakiegoś dobrego rozwiązania? – pyta NISKALA.

Lisbeth również patrzy w okno. Nie wie, co odpowiedzieć.

– A jeśli odmówię? – mówi w końcu.

– Miejmy nadzieję, że znajdziemy jakieś pogotowie opiekuńcze. W najgorszym razie pomieszka kilka tygodni w Himlagården.

– Co to jest?

– Przejściowy dom opiekuńczy – odzywa się SVALA. – Na pewno będzie super. Między innymi będę mogła nauczyć się tam ćpać i doskonalić we włamaniach.

– Brzmi to jak interesujące uzupełnienie do fizyki cząstek elementarnych
– zauważa Lisbeth.

– No rzeczywiście, bo kwarki i leptony mi się trochę znudziły. Pora na krok wyżej.

– Miałabyś własny pokój, zapewnione posiłki i skuteczną pomoc w odrabianiu lekcji – przekonuje Niskala.

Zarówno Lisbeth, jak i Svala przyglądają mu się z dystansem, w którym widać lekkie rozbawienie. Nie są podobne, ale jakby się spajały w jedno. A jego autorytet topi się jak lody w saunie. W ich oczach jest przypuszczalnie tylko żalonym urzędniczyną o ograniczonych możliwościach. Co mniej więcej zgadza się z tym, jak on sam siebie postrzega. Zwłaszcza odkąd Marie się wyprowadziła. Zastanawia się czasem, gdzie ona teraz jest i z kim. Oczywiście z kimś lepszym od niego. Z kimś, kto dokonuje napraw w domu i w piątki z umiarkowaniem wypija do antrykotu pół butelki czerwonego wina. Kilka razy w tygodniu ćwiczy, a w Biegu Wazów zajmuje miejsce wśród dwustu pierwszych na mecie.

– Postaram się znaleźć jakieś pogotowie opiekuńcze – mówi w końcu. – A tymczasem zorganizujemy mieszkanie.

– Na Svartluten ¹⁴ – dopowiada Svala.

– Rzeczywiście, skąd wiedziałaś?

– Bo trafiają tam osoby czytające Jamesa Joyce’a.

– Sraj na to – mówi Lisbeth. – Zostajemy w hotelu.

TUŻ PRZED ZAMKNIĘCIEM wpada do pobliskiego spożywczaka. Pięć minut później miesza sos ranczerski z kwaśną śmietaną.

- Na czwórcę leci *Kill Bill 2* – mówi Lisbeth. – Widziałaś pierwszy?
- Chyba nie.
- To najpierw obejrzymy pierwszy. Hotel ma Netflixa. Beatrix Kiddo.
- Czyli? – pyta Svala.
- Jest nieśmiertelna.
- Ale nie Bill?
- Nie Bill.

Svala ogląda film jednym okiem, drugim esemesuje.

Dzieje się coś fajnego, bo na jej twarzy pojawia się lekki rumieniec.

- Wyglądasz, jakbyś się ucieszyła – zauważa Lisbeth.
- Mhm. Esesujemy do siebie z Mei. Może po świętach przyjadą do Szwecji.

– Ale mam nadzieję, że nie do Gasskas – mówi Lisbeth, na co otrzymuje znaczące spojrzenie.

– Nie nasza wina, że to spieprzyliście – mówi Svala.

Lisbeth chciałaby się dowiedzieć, co takiego szczególnego ma w sobie Mei. Zważywszy na jej bardzo przeciętnego tatę. Svala raczej nie ma koleżanek. A chłopaka?

- Nie twoja sprawa.
- Rzeczywiście, ale jak zauważyłaś, on jest żonaty. Spaliśmy w osobnych pokojach.
- Tak, na pewno – mówi Svala. – A wiedziałaś, że w siedemnastym wieku podawano chorym owczą krew?

- Nie, jakoś mi to umknęło.
- Tak, albo krew młodych na odmłodzenie, aż do momentu, gdy pacjenci nagle umierali. Dziś identyfikuje się przeszło sto różnych grup krwi i rozpoznaje się wciąż nowe. Wiesz, jaką ty masz grupę krwi?
- Jakąś przeciętną. A ty?
- Chyba jakąś dziwną.
- Nie leżałaś nigdy w szpitalu? – pyta Lisbeth.
- Tylko z powodu złamań. Obojczyka, żebra, kości udowej i pęknięcia czaszki – mówi Svala, jakby to była zwykła rzecz. – Mam taką chorobę.
- Wrodzoną obojętność na ból – dopowiada Lisbeth. – Stoi w twoich papierach.
- Czytałaś moje papiery? Myślałam, że takie dokumenty są poufne.
- W takim razie przepraszam – mówi Lisbeth i wyłącza telewizor, gdy na ekranie pojawiają się napisy końcowe. – Nie zamierzałam ich publikować w „Gaskassen”.
- Patrzy na zegarek. Jeszcze nie jest późno, w dodatku to taki dzień na wychodne dla służby.
- Pójdę się przelecieć, może być?
- Oczywiście – mówi Svala. – Wróc najpóźniej o dwunastej.
- Słowo. I dzwoń jakby co.
- Nawzajem.

LIZBETH ZJEŻDŻA WINDĄ DO BARU. Jej życie stanęło na głowie, ale ona też.

Do tej pory miała tylko samą siebie. Obecność w jej życiu drugiej osoby oznacza zepchnięcie na bok innych rzeczy. Na przykład pracy.

Nie są swoimi kumpelkami, to oczywiste. Jeśli Lisbeth gra w hokeja o mistrzostwo Szwecji, to Svala gra w lidze zawodowców. Przynajmniej we własnym mniemaniu. Cóż, to prawda, że dużo wie, pochłania wiedzę jak wieloryb plankton. Jednak jest bardzo młoda. Niedoświadczona. Nie wszystko w życiu jest teoretyczne.

A może być również erotyczne.

Bar jest już nabity. Jazgot spowodowany przez młodych samców sprawia, że akceptowalny dla ucha poziom decybeli został chyba dawno przekroczony.

Lisbeth staje przy końcu lady i próbuje nawiązać kontakt wzrokowy z kolegą Toma Cruise'a. Ten ostatni widocznie ma dziś wolne.

Teraz sprawdza smartfon. Przeistoczenie się samotnej wilczycy w nadopekuńczą kwokę powoduje jeszcze jedną rzecz. Lisbeth zastanawia się, czy może się napić alkoholu. A jeśli dzieciak nagle zadzwoni?

Wszystko jedno. Jeszcze tylko parę tygodni, potem wróci do Sztokholmu. Mała mogłaby ją może odwiedzić. Na pewno zaskoczyłoby ją miasto. Mieszkanie. Widok. Dojo. Pizze.

I westchnęłaby nad żalonym samotniczym życiem Lisbeth.

Czyta ponownie esemesa od Mickego B.: *Jestem w Gasskas w Norrbotten. Pomyślałem o tobie.*

Po każdym esemesie od niego, najczęściej w okolicach Bożego Narodzenia, Lisbeth najpierw się cieszy, a potem... złości.

Meldują się wspomnienia. Domagają się królewskiego apartamentu i zostają na długo, dopóki nie zostaną wyrzucone. Lisbeth nie potrafi jak inni zostawić różnych rzeczy za sobą i zapomnieć. Ilekroć widzi przed sobą jego imię, pojawia się uczucie wstydu. Chciała go. Była skłonna w to zainwestować. I gdy zebrała się na odwagę, żeby do niego pójść, wyszedł z jakiejś bramy pod rękę z tą babą z jego gazety. Eriką Berger.

To jest część twojej osobowości, stwierdza Inge Ågren. *Niektórym ludziom zapominanie przychodzi trudniej niż innym. Prawdopodobnie masz również znakomitą pamięć wzrokową, mówi. Te cechy często idą w parze. Błyskotliwym umysłem trudno przychodzi zapominanie i do swoich demonów muszą podchodzić w inny sposób.*

Rejestruje zapach perfum na sekundę przed tym, jak ktoś kładzie rękę na jej barku, a mimo to aż się wzdryga.

– Ojej, cześć, to tylko ja, Jessica, może mnie pamiętasz.

Dziś wygląda inaczej. Nieumalowana. Bez makijażu jest delikatniejsza. Bardziej otwarta.

AI robot Lisbeth Salander skanuje przez kilka sekund Jessicę Harnesk. Świeżo umyte włosy, niemalowane paznokcie, wytarte dżinsy, idealnie wetknięta za pasek koszulka ze zwiewnymi rękawami. Botki te same co poprzednim razem, naszyjnik z podłużnych plakietek z wypisanymi imionami, pewnie jej dzieci, skórzana bransoletka ze srebrnym dekokrem, przypuszczalnie miejscowej roboty. Nieduża torebka z nieznaną zawartością i o wiele za duża parka, którą teraz wiesza na haku pod ladą baru, po czym szuka kontaktu wzrokowego z barmanem.

– Zaryzykowałam – mówi. – Pomyślałam, że może wpadniesz. Czego się napijesz? GT?

Lisbeth już ma powiedzieć, że chce colę, ale zmienia zdanie.

– Piwa – mówi. – Pod warunkiem, że duże i zimne.

– Duże i ciepłe też może być przyjemne – mówi Jessica. – O przepraszam – dodaje i czerwieni się po raz pierwszy od co najmniej piętnastu lat. – To slang z pracy.

– A co to za praca? – pyta Lisbeth. Tym razem nie zamierza przegrać, zachowując się jak byle jaki facet.

Interesuj się ludźmi! Zadawaj pytania! A potem kolejne!

Zamknij się, Inge Ågren, mówi w duchu Lisbeth, sięgając po piwo, *trzymaj się dziś z daleka ode mnie.*

– Skål – odzywa się Jessica. – Zabawimy się w odgadnij zawód.

- Bibliotekarka?
- Mam dysleksję.
- Fryzjerka?
- Blisko. Zdarza mi się zamalować kogoś.
- Makler giełdowy.
- Chciałabym tak zarabiać.
- Czyli państwowa posada. Pielęgniarka. Strażniczka więzienna. Pracownica socjalna. Strażniczka miejska.
- Zrób z tego koktajl, to będziesz miała odpowiedź.

Lisbeth czuje, jak robi jej się nieprzyjemnie. Zbliżają się do nieuniknionej odpowiedzi. Jak to możliwe, cholera. To pewnie przez tę dziewczynę zrobiła się taka nierozsądna.

– Jesteś policjantką.

Jessica kiwa głową.

Nie, nie da się. Wystarczy jej, że musi współpracować z opieką społeczną. A tu jeszcze policjantka. Trzeba ułożyć się z tą emocją. Miałaby pójść do łóżka z gliną. To jak sypianie z wrogiem.

– Rozumiem, jeśli nie lubisz policjantów – mówi Jessica.

– Nie, nic nie rozumiesz – odpowiada Lisbeth. Chce wyjść, i to całą sobą, ale Jessica nalega.

– Nie idź. Bardzo chcę, żebyś została. To nie tak, że węszyłam wokół ciebie. Przecież nawet nie wiedziałam, jak masz na nazwisko. Pojawiło się, kiedy googlowałam inną osobę. Nazwisko, zdjęcia i przyznaję: przeczytałam wszystko, co było napisane, włączywszy Flashback – ciągnie. – *No secrets.*

No secrets. Tak, na pewno. *Naprawdę myślisz, że wszystko, co mnie dotyczy, jest publiczne?* Dochodzą do samego sedna awersji Lisbeth do policji i nie tylko. Do urzędów. Prawników. Psychiatrów. Ludzi, którzy sądzą, że mają jakąś wiedzę na jej temat, czy nawet są specjalistami. I proszę, oto jeszcze jedna. Pogooglowała i potem raczyła się kawałkami z jej życia. Szczegółowo studiowała zdjęcia nieszczęsnej ofiary. Dziecka wyjętego spod prawa. Gniewnej dziewczyny. I jeszcze gniewniejszej kobiety.

Jessica kładzie rękę na jej dłoni, Lisbeth ją cofa.

Pozostań z tą emocją. Ze swoją obecnością w tej chwili. Inge Ågren się nie poddaje.

Lisbeth nie chce żadnych emocji. Chce uprawiać seks z wysoką rudą kobietą z nogami jak u Barbie, a potem wrócić do domu. Tak się jednak

składa, że obiekt jej zainteresowań jest policjantką.

Chwilę milczą, wypijają piwo i zamawiają następne.

– Miałam nadzieję, że tu będziesz – mówi Jessica. – Siedzisz mi w głowie, odkąd się poznałyśmy.

– A ja tak nie mam.

– Cóż, trudno. Kieruję się własnym wyczuciem.

– W jakiej sprawie?

– Ludzi, którzy mnie ciekawią. Nie dzieje się to zbyt często. Moje życie jest dość szare. Idę do pracy, odbieram dzieci, wracam do domu. Gotuję obiad, szykuję dzieci do snu, oglądam jakiś serial i idę spać. Kiedy dzieci są u Henkego, biorę nadgodziny. Wracam do domu, oglądam serial i idę spać. Zdarza się, że się spotykam z siostrą. Rzadko z ojcem.

Jeśli odjąć dzieci, nie jest to zupełnie niepodobne do życia Lisbeth.

– Kogo googlowałaś, kiedy pojawiło się moje nazwisko?

– Mojego szefa, to Hans Faste.

– Hans Faste – powtarza Lisbeth – to stare ścierwo.

– Poprzedni szef dostał udaru. Zostałam wtedy p.o., więc zgłosiłam swoją kandydaturę do tej posady. Dostał ją Faste i objął wraz z końcem lata.

– I?

– No cóż... – mówi Jessica. – Chociaż nie. Sama nie wiem. Pewnie zna się na swojej robocie. Problem w tym, że w naszym wydziale jesteśmy przyzwyczajeni do swobody w dyskusji. Natomiast Faste chce oceniać każdą wypowiedź i pokpiwa z każdego poglądu wygłoszonego przez kogoś innego. Pozuje na wspaniałego, ojcowskiego dowódcę, ale wychodzi z niego raczej zmęczony stary dziad. Postanowiłam, że jeszcze się trochę postaram go lubić.

– Powodzenia. Nie ma w nim wiele do lubienia.

– Możliwe, w każdym razie ma długoletnie doświadczenie. Wydział ciężkiej przestępczości jest u nas nowy. Mówi się, że potrzebujemy kompetentnego szefa. Który nie ma małych dzieci. Więc pewnie będę musiała wytrzymać, aż przejdzie na emeryturę. A ty dlaczego go tak nie lubisz? – pyta Jessica bardziej po to, żeby znów mieć Lisbeth po swojej stronie. Bo przecież wie dlaczego.

– Bo jest rasistą nienawidzącym kobiet – mówi Lisbeth. – Co zresztą dotyczy wielu z waszej branży. Zupełnie jakby był to jakiś pożądaný wyróżnik. Dodaj do tego brak inteligencji i empatii i masz modelowy przykład szwedzkiego gliny.

– Aż tak źle chyba nie jest – zauważa Jessica i uśmiecha się na to kategoryczne podsumowanie. – W każdym razie nie u nas. Oczywiście jest specyficzny język i kilku gości pozujących na twardzieli, ale większość to porządni ludzie, którzy chcą wykonywać swoją robotę. Rasizm i nienawiść do kobiet, brzmi to nieco drastycznie.

– Jednak to on dostał tę pracę, a nie ty – mówi na to Lisbeth.

– A ty co tu porabiasz na północy? – Jessica woli odwrócić uwagę od swojej osoby.

Teraz przychodzi kolej na Lisbeth, żeby westchnąć.

– Opiekuję się krewną – mówi. – Bratanicą, która ma zagmatwaną sytuację rodzinną. To tymczasowa sprawa, liczę, że wkrótce wrócę do domu.

– To znaczy? – pyta Jessica, patrząc jakoś dziwnie.

– Oczywiście do Sztokholmu. Napijesz się jeszcze piwa?

– Bardzo chętnie – mówi Jessica – tylko pójdę do toalety.

– JUŻ ROZUMIEM. To ty pieprzysz moją żonę. Można by przypuszczać, że będzie miała lepszy gust.

Lisbeth odwraca się i podnosi wzrok na potężnie zbudowanego mężczyznę o gniewnym spojrzeniu.

– Chyba mnie z kimś mylisz – odpowiada. – Nie wiem, kto jest twoją żoną, ale na pewno nie jest ze mną.

– Bo właśnie poszła do toalety. Jest moją żoną, a nie kimś, kto by sypiał z jakąś lesbijską psycholką.

Lesbijskiej psycholce nie chce się odpowiadać. Skąd się, do cholery, biorą tacy zazdrośni idioci? Wykluwają się w jakiejś specjalnej fabryce, a potem ich rozprowadzają, żeby zatruwali życie kobietom, czy też noszą w sobie jakiś uszkodzony gen, który potem się reprodukuje?

– Nie wiem, co sobie wyobrażasz – mówi Lisbeth – ale nie twoja rzecz, z kim rozmawiam. Odnosi się to również do rozmów twojej żony, jeśli ci na niej zależy.

– Byłej żony – odzywa się Jessica. – Gdzie dzieci?

– A tym – tu chwyta ją za podbródek – nie zaprzataj sobie główki. To mój tydzień i moje dzieci.

Jest pijany. Odpowiadanie mu tylko pogorszy sytuację. Wieloletni trening nauczył ją, żeby nigdy nie pozwalać sobie na wybuch, nie podnosić głosu, a po pewnym czasie on się i tak uspokoi.

– Odczep się – mówi, odsuwając jego rękę. Kiedy ta ręka wraca po raz trzeci, Lisbeth ma dość. W tłoku i wśród wrzasków, korzystając z tego, że jest niska, mocno łapie Henkego za krocze – *dzięki ci, Panie, że zdefektowanym genetycznie facetom przydzieliliś jako mundur miękkie spodnie dresowe* – a potem skręca tak, że tamten aż staje na palcach.

– Gdzie dzieci? – pyta Lisbeth.

– U niej – mówi zduszonym głosem.

Lisbeth ściska jeszcze mocniej. W tym momencie Henke nie ma żadnej korzyści ze swojej masywności ani gwiazdorskiego statusu. Z głębi swego bólu wydaje ryk, na co zjawia się ochroniarz.

Lisbeth puszcza go, a Henke zgina się wpół i jęczy jak potrącony kot.

– Odepnij się od Jessiki – zdąży jeszcze powiedzieć Lisbeth, zanim ochroniarz wyrzuci go na ulicę – bo następnym razem urwę ci cały pakiet.

Teraz zwraca się do Jessiki:

– Autonomiczne odruchy bólowe to nie żarty – mówi i dopija piwo.

– Jezu. A to dopiero... to dopiero było głupie. Cholernie. Teraz to on się już nigdy nie podda.

– Może powinnaś sama wyznaczać granice – odpowiada Lisbeth. – Wykorzystuje cię, bo jesteś grzeczna i nie odpłacasz pięknym za nadobne.

– Na pewno, ale to niełatwe, kiedy zakładnikami są dzieci. – Jessica wkłada parkę. Robi kilka kroków do drzwi, odwraca się i patrzy na Lisbeth.

– Idziesz ze mną?

– On nie zawsze taki był – odzywa się Jessica, kiedy siedzą na kanapie z filiżankami herbaty i kawałkami ciasta od Birny grubo posmarowanymi serkiem z serwatki.

Znów to powiedziała. Żałosne, banalne słowa, mające tłumaczyć jego zachowanie. Bo w gruncie rzeczy jest świetnym facetem, troskliwym i pozbawionym egoizmu, takim, którego chce się wybrać na ojca swoich dzieci, i cudownym kochankiem. Jakież pytania?

– Dobrze, że przynajmniej położył dzieci spać – ciągnie.

– Ale potem zostawił je same, jaki normalny człowiek zrobiłby coś takiego? – mówi Lisbeth. – Kurde, przecież to kryminał.

W tym momencie w jej świadomości pojawia się imię Svali. Powinna sprawdzić, co u niej. W każdym razie niedługo. To w końcu nie dziecko. A może jednak? Trzynaście lat. Trzynastoletniego dziecka imieniem Lisbeth nie było nigdy. Przez jeden wieczór mała poradzi sobie bez opieki.

W świetle lampy stojącej włosy Jessiki wydają się jeszcze bardziej rude. Lisbeth nie może im się oprzeć. Musi dotknąć tego jedwabiu, który przelatuje między palcami jak frędzle przy chuście. Przyciąga do siebie głowę Jessiki i całuje ją.

Chińczyk to była gra wstępna. Jest tak napalona, że aż ją to zdumiewa, jej ręce wędrują po ciele kobiety, docierając do zakamarków pod ubraniem. Nieważne, że to policjantka. Lisbeth jej pożąda. Chce ją zjeść. Zagłębić się w nią. Stopić z jej długimi ramionami i nogami Barbie, sunąć po jej spoconej skórze jak opalająca się na lodzie foka i rozkoszować się.

Jessica w odpowiedzi ściąga jej koszulkę.

Dżinsy, skarpetki, majtki, wszystko.

Usta wpijają się w siebie. Zęby zderzają. Język o język i palce, które wiedzą, jak trafić do wrażliwych miejsc i elastycznej cienkiej skóry, która nabrzmiewa i cieknie.

– Mamo, mamó!

– Diabli nadali.

– Nie, to Jack – mówi Jessica, zarzucając na siebie koc. – Musiał się obudzić. Nie idź, zaraz wrócę.

Lisbeth nalewa sobie jeszcze herbaty. Wkłada kolejno ciuch za ciuchem.

Na piętrze panuje cisza. Lisbeth pisze kilka słów na odwrocie jakiegoś rachunku i zamyka za sobą drzwi domu.

Na dworze pada śnieg. W nielicznych oknach pali się światło. Lisbeth idzie tak szybko, jak pozwalają jej starte aż do gładkości podeszwy adidasów Stan Smith. GPS każe jej brnąć na zachód przez dwa przecinek dwa kilometra. Lisbeth biegnie tam, gdzie spod śniegu widać asfalt. Przecina park. Skręca przy sklepie Åhléns, ignoruje czerwone światło i omal nie zostaje przejechana przez motocyklistę, który najwyraźniej nie rozumie, że jest zima. Lisbeth odwraca się, patrząc za chopperem, i wtedy jej spojrzenie łąduje na plecach skórzanej kurtki. Krzyż celtycki i siekiera. Godło Svavelsjö MC. Zło zmartwychwstało. I powstając, zapragnęło zmiany klimatu.

Ona. Micke B. Hans Faste. Svavelsjö MC. Wszyscy są tu, w tym samym miejscu. Nie w jakiejś dzielnicy Sztokholmu, co jeszcze dałoby się jakoś wytłumaczyć, ale w Gasskas. Pipidówie w Norrbotten, gdzie na jeden kilometr kwadratowy przypada 3,4 człowieka, a reszta to las.

Tu musi być jakiś związek.

– MIŁEGO WIECZORU W MĘSKIM KLUBIE – mówi Pernilla, zatrzymując się przed kamienicą o przecznicę od dworca autobusowego.

– Zakon Kła Tygrysa ma również oddział dla kobiet – przypomina Salo.
– Tylko od ciebie zależy, czy zechcesz do nich dołączyć.

– Żeby rozprawiać o urządzaniu wnętrza i wypłatać gwiazdy betlejemskie? Dziękuję, takiego suspensu bym nie zniosła. Przyjadę po was najdalej o jedenastej. W przeciwnym razie będziecie musieli wracać taksówką.

Dom jest świeżo otynkowany, okna zostały zamalowane.

Salo powinien się bać śmiertelnie, że Mikael pozna wąski krąg tutejszej elity, to w końcu dziennikarz. Nic go nie skłoni, żeby puścić kość, kiedy już wbije w nią zęby.

Salo oczywiście liczy się z tą możliwością. I im dłużej o tym myśli, tym bardziej mu się to podoba. Pismak mógłby mu się przysłużyć, nawet nie wiedząc o tym. Mając media po swojej stronie, byłby już w połowie wygrany.

– Pamiętaj, że jesteś moim gościem – mówi Henry – i przyjmujesz to wszystko z dobrodziejstwem inwentarza. To, co zostanie tu powiedziane, ma również pozostać w tych ścianach. Ludzie czują się tutaj bezpiecznie. Od co najmniej stu dziesięciu lat.

– Jak często się spotykacie?

– Co drugi tydzień. Ja i Anders Renstad daliśmy ci rekomendację na członka. Rekomendacja co najmniej dwóch osób to wymóg. Dobrze o tym wiedzieć. Ale, jak już powiedziano, dziś jesteś gościem.

– Kto to jest Renstad? – pyta Mikael.

– Dyrektor zarządzający KGB, czyli Kommunala Gasskasbolagen [15](#).
Säpo i KGB w jednej i tej samej dziurze. Nieźle.

Drzwi na świat zatraskują się za nimi. Ani dźwięki, ani światło nie wydostają się na zewnątrz z liczącego dwieście lat budynku, który pierwotnie był siedzibą miejscowego sejmiku.

– Sporo tu ludzi dzisiaj – zauważa Salo. – Może to z powodu tej pogody.

Kręci się wśród zebranych, jednym podając na powitanie rękę, innym kiwając głową, a z niektórymi gawędząc.

– Będziemy teraz pić krew i wymachiwać czaszkami nabitymi na laski? – szepcze Mikael.

– To raczej wolnomularze – odpowiada Salo. – My nie robimy takich rzeczy.

– A co robicie?

– Po prostu spotykamy się i cieszymy swoim towarzystwem. Najbardziej spektakularny jest pierścień – mówi, patrząc na swoją dłoń. Ma tam sygnet ze stylizowanym symbolem kła tygrysa. – To trochę tak, jak być członkiem klubu sportowego albo jakiegoś wolnego kościoła ¹⁶. Ubieramy się i spotykamy jak dżentelmeni. Obowiązkowy strój to ciemny garnitur, jasna koszula i krawat. Poza tym nie wyczyniamy niczego dziwnego.

Całe szczęście, że Mikael zabrał ze sobą garnitur na ślub.

– Czyli jest to bardziej klub męski, tak?

– Można tak powiedzieć.

– Ale do sauny nie chodzicie?

– Zdarza się.

– Próbowałem znaleźć Zakon Kła Tygrysa w wyszukiwarce, ale nie miałem ani jednego trafienia. Czy to nie dziwne?

– Trochę tajemniczości nigdy nie zaszkodzi. Jesteśmy otwarci na chętnych, byle mieli właściwe nastawienie.

– Ale nie na kobiety?

– Nie na kobiety. I dzięki Bogu. Przecież chciałeś zadawać się z mężczyznami. Mniej gadania o emocjach, bardziej o tym, co się robi.

– Wśród moich najbliższych przyjaciół jest kilka kobiet. – A w każdym razie moja najbliższa przyjaciółka, myśli Mikael. Cholera wie, gdzie się podziewa. Odkąd pojechał na północ, dzwonił do niej z dziesięć razy. *Cześć, tu Erika Berger; zostaw wiadomość, to oddzwonię. Cześć, tu Mikael, czy nie moglibyśmy przynajmniej pogadać o sprawie? Przepraszam. Zadzwoń. Całuję.*

– Mężczyźni też bywają żałośni. Kobiety zaś często mają ciekawsze tematy do rozmowy – mówi.

– Tak, kosmetyki i aranżacja wnętrz – odpowiada Salo. – Rzeczywiście posuwają tym świat do przodu.

– Chyba nie spotykamy się z kobietami tego samego pokroju – stwierdza Mikael.

– Ja się w ogóle nie zadaję z kobietami. Oprócz Pillan. Ona jest inna.

Towarzystwo rozsiada się najpierw w bibliotece, rozpraszając na fotelach chesterfield w kolorze byczej krwi i kanapach na lwich nóżkach.

– Nie macie tu jakiejś hierarchii? – pyta Mikael.

– Owszem – szepcze Salo. – Zaczynasz od terminatora i z czasem awansujesz.

– A ty kim jesteś?

– Księciem koronnym.

– To jest?

– Wysoko.

Mistrz dzwoni, stukając w kryształowy kieliszek, i gwar cichnie.

– Witam wszystkich – mówi. – Miło, że tyłu was dzisiaj przyszło. Na prośbę wszystkich odwiedził nas ponownie Jens McLarsson. Tym razem zgłębimy gatunki w Speyside, najnowszym regionie produkującym whisky w Szkocji. Ale najpierw chciałbym przedstawić gościa. Bardzo proszę, Mikael Blomkvist.

– E, cześć – odzywa się Mikael i wstaje. – Cieszę się, że tu jestem. To dzięki mojemu przysłemu zięciowi Henry’emu Salo, który wkrótce żeni się z moją córką Pernillą. Tak czy inaczej – mówi i zastanawia się, co by tu jeszcze powiedzieć. – Jestem dziennikarzem. Przyjechałem do Gasskas w odwiedziny, ale z zamiarem osiedlenia się tutaj.

Co on powiedział? Miałby zamieszkać w Gasskas, tej dziurze zapomnianej przez Boga? Dobra, kto chce, niech wierzy. Jednak poruszyły im się kąciki ust. Sztokholmczyk, który chce przeprowadzić się na północ, to przyznanie, że również za rogatkami istnieje jakiś świat.

– Przez przeszło trzydzieści lat pracowałem w czasopiśmie „Millennium”. Może nie dotarło tutaj, ale był to... jest... periodyk kładący nacisk na dziennikarstwo śledcze. To znaczy dobrze udokumentowane teksty dotyczące na przykład struktury władzy, rasizmu, neonazizmu czy nagannych powiązań między kapitałem a polityką. Dość nowym tematem są globalne zmiany klimatu. – Mikael nie może się oprzeć, żeby się z nimi nie podrażnić.

Ktoś przewraca oczami, ktoś inny ziewa.

– Obecnie „Millennium” istnieje jako podcast, a więc gdybyście chcieli, żebym wysłał tu kogoś i przeprowadził transmisję na żywo, to wystarczy zawołać.

To żart. Nikt się nie śmieje.

Anders Renstad podnosi rękę, żeby zadać pytanie.

– Członkowie Zakonu Kłosa Tygrysa to zazwyczaj politycy, przedsiębiorcy albo różne stowarzyszenia, chociaż mamy również paru członków ze świata kultury. Jak Jan Stenberg, redaktor naczelny „Gaskassen”. – Tu kiwnięcie głowy do Mikaela. – Moje pytanie – ciągnie Renstad – jest takie: jeśli przyjmiesz mnie na naszego członka, to co mógłbyś tu wniesić?

– No cóż, zależy, czego ode mnie oczekujecie?

– Sieć kontaktów się zawsze przyda.

Mikael być może powinien teraz podziękować i wyjść. Nie interesują go plotki ani kumoterstwo, w tym zgromadzeniu coś go jednak ciekawi. Zasiada w nim sama elita męskiej społeczności Gaskas. Różni dyrektorzy, urzędnicy gminni, przedstawiciele mediów i lokalnej polityki, którzy iskają się nawzajem po grzbietach niczym małpki. Gdyby wejść do tego towarzystwa, na pewno udałoby się wywiedzieć niejednego.

Jak zwykle uwiera go Salo. Pernilla milczy, a Salo uwiera. Mikael nie umie powiedzieć, o co chodzi, ale spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej ze względu na Lukasa. Zamknięte bractwo, do którego przyjmują jedynie mężczyzn zobowiązanych do zachowania tajemnicy – niezłe jak na początek.

– Moje sieci kontaktów wyglądają mniej więcej tak samo jak wasze, z tą tylko różnicą, że lokują się w większości w Sztokholmie i za granicą. A poza tym? Powiem tyle, że dziennikarstwo śledcze to również kwestia trafienia w swój czas. Znalezienie właściwej informacji we właściwym momencie to pewnie coś takiego jak wpaść na pomysł biznesowy, który sprawdzi się w danej chwili.

Mikael peroruje i jakoś trafia do przekonania słuchaczom. Dostaje oklaski i może usiąść. Połowa sukcesu.

– Zaraz oddam głos McLarssonowi – mówi Mistrz. – A potem pojemy i zabawimy się jak najlepiej można w ten pochmurny szary wieczór.

Po degustacji sześciu gatunków whisky gwar osiąga poziom pożądany przy rozmowie, której nie wszyscy powinni słuchać. Mikael ma przy stole po jednej stronie Renstada, a po drugiej przewodniczącego rady gminy Torbena Olofssona.

– Nie orientuję się za bardzo w polityce waszej gminy – odzywa się Mikael. To otwarte pytanie, a odpowiedź widać jest prosta.

– To nie jest specjalnie skomplikowane – mówi Olofsson. – Mamy stabilną socjaldemokratyczną większość i doświadczonych polityków współpracujących zarówno z biznesem, jak i ze stowarzyszeniami, szkoły są wysoko w krajowych rankingach, obce nam są kłopoty z brakiem mieszkań, a drużyna hokejowa jest bliska wejścia do Szwedzkiej Ligi Hokeja na lodzie.

– Wygląda to na wręcz szkolny przykład dobrze zarządzanej gminy – mówi Mikael, nadal z zamiarem schlebiana i udawania głupiego.

– Pewnie, że pojawiają się problemy, ale rozwiązujemy je na bieżąco, w skróconym trybie. – Tu zatacza ręką po lokalu. – Przecież polityka nie jest czymś osobnym, samym dla siebie, by tak rzec, ale wszystkim tym, co dotyka obywateli. Im bliższy jest kontakt z obywatelami, tym lepsza polityka. Tak przynajmniej uważam.

– Jednak ludzie w tym pomieszczeniu to raczej nie są zwykli obywatele – zauważa Mikael. – Czy może gadam od rzeczy? – pyta na wszelki wypadek.

– No, może rzeczywiście. To pracodawcy, pożyczkodawcy, działacze sportowi, deweloperzy i tak dalej. Jeśli udaje się połączyć socjaldemokratyczną politykę redystrybucji z wyższymi warstwami społeczeństwa, to dzieje się to z korzyścią dla obywateli. Moim zdaniem, a wydaje mi się, że również zdaniem moich partyjnych kolegów, osiągnęliśmy wysoki poziom współpracy z tutejszymi kołami gospodarczymi. Na pewno nie wygląda to tak jak w Sztokholmie, ale jak już powiedziano, jesteśmy gminą o niskim bezrobociu i dobrej sytuacji finansowej, zważywszy na liczbę mieszkańców. Przestępczość nie jest alarmująca. Tutejsi ludzie robią, co do nich należy, czyli pracują i pilnują swoich spraw.

– A Szwedzcy Demokraci? – pyta Mikael. – Nie wejdą do gminnej polityki?

Torben Olofsson śmieje się w głos.

– Gasskas jest zdecydowanie socjaldemokratyczne, pozostaje jeszcze trochę innej lewicy i pojedynczy moderaci ¹⁷. Szwedzcy Demokraci się w ogóle nie liczą. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli takie problemy jak na południu, w Skanii. Liczba uchodźców jest niewielka, a ci, co tu przyjechali, są dobrze zaopiekowani. Przestępczość jest wciąż niska w porównaniu z resztą Szwecji, więc SD nie mają z czego czerpać.

– A jak myślisz, co będzie, kiedy napłyną miliardy koron na wszystkie te nowe projekty przemysłowe? Na przykład na kopalnię, farmę wiatraków i tak dalej?

– Jakoś nie widać oznak, żeby rozwój przemysłu przyczyniał się do zwiększenia przestępczości. Przeciwnie. Ludzie przyjeżdżają tutaj do pracy, zarówno niewykwalifikowani, jak i wykształceni. Jesteśmy gotowi zrobić następny krok w rozwoju gminy. A tak w ogóle to Pernilla jest bardzo miła – mówi Olofsson i w jego głosie pojawia się jakiś inny ton. – Czasem się spotykamy, to znaczy parami. Pernilla i moja żona się przyjaźnią. No i zaraz będzie to wesele. Trochę kiepska pora roku na ślub na dworze, ale mieszkańcy Norrbotten są przyzwyczajeni do surowego klimatu. – Ścisza głos i przysuwa się bliżej. – Salo usatkuje się przy Pernilli, co dla niego będzie tylko korzystne. Złagodniał, odkąd się poznali. I jakoś tak zmądrzał.

– To dobrze, ale jaki w takim razie był przedtem?

– Zdecydowany i energiczny jak teraz, ale trudny. Może powiem lepiej: gniewny, można to jednak zrozumieć.

– Oczywiście. – Mikaelowi przypomina się wieczór w saunie.

– No to wypijmy za to. I do zobaczenia na weselu.

W przerwie między degustacją whisky a kolacją ludzie chodzą po sali, zamieniając tu i tam kilka słów, by po chwili pójść dalej.

Sieć w sensie sieci pajęczej jest zdecydowanie myląca. Pająk przedzie jej nici według ustalonego wzoru, a nie według tego, co w nią wpadnie.

Gdyby chcieć nakreślić linie, po których poruszają się ludzie z Zakonu Kła Tygrysa, to pojawi się wyraźny schemat.

Są oczywiście osoby kluczowe, a jedna z nich to Salo. Drugą jest szef spółek gminnych. Linie prowadzące do nich są jak autostrady.

– Proponuję, żebyśmy ponownie przemyśleli decyzje w sprawie farmy wiatraków – mówi Salo. – Fortum już i tak jest aktorem dominującym. Podobnie jak Holendrzy. Osobiście jestem zdania, że najodpowiedniejszy do tego zadania jest nasz trzeci interesariusz, który jest gotowy rozpocząć budowę już w końcu przyszłego roku, podczas gdy tamci planują to najwcześniej za trzy lata. Dla gminy najważniejsze jest zabezpieczenie dostaw elektryczności. Cholera wie, co ten Putin jeszcze wymyśli. Sabotaż Nord Stream, zresztą cokolwiek.

– Chyba trochę przesadziłeś. Jednak dostawy elektryczności są ważne, zdecydowanie.

Na obrzeżach tego towarzystwa ruch nie jest może równie duży, nie-
mniej stabilny. Tu znajduje się na przykład Olofsson i jego kolega Lennart
Svensson.

Dalej są już osoby będące ponad takim określeniem jak „ważny kon-
takt”, a więc ruch w ich kierunku jest inny. Na przykład Douglas Ferm.
Dyrektor naczelny Paperflow, fabryki celulozy w znakomitej nadmorskiej
lokalizacji. Właścicielem jest Swedish Wood.

Ferm nie ma żadnego interesu w zadawaniu się z miejscowymi polity-
kami czy urzędnikami, poddostawcami czy bankami. Od tego ma podwład-
nych. Jak Alex Ljung. Choć to dopiero dwudziestotrzylatek, człowiek naj-
młodszy tutaj, to krąży wokół niego jak pszczoły nad koniczyną.

Najwięksi pracodawcy w gminie oprócz samego urzędu gminy rozdzie-
lają zlecenia między tych, którzy pracują najlepiej i żądają najmniej.

Douglasa Ferma interesują bardziej ezoteryczne dziedziny, takie jak kul-
tura i sztuka. Kreśli linię biegnącą do Mikaela Blomkvista i zaprasza do
wspólnego wypicia butelki dobrego wina przy dyskusji o ostatnim numerze
„Millennium”.

– Z przyjemnością – mówi Mikael – tylko najpierw się udam do toalety.

Udam się do toalety. Skąd mu się wzięło takie durne wyrażenie? Pewnie
ze względu na Ferma. Członkowie Zakonu Kła Tygrysa są sympatyczni,
wyraźnie zakorzenieni tutaj i dosyć prości. Jak większość ludzi. Co innego
Douglas Ferm. Nie tylko poprzez swój ubiór, pierścienie na palcach i per-
fekcyjnie ostrzyżone włosy. Ferm ma charyzmę. Taką jaką mają niektórzy
liderzy. Ci urodzeni zarówno do porażki, jak i sukcesu, ale nigdy niezmu-
szeni do tego, by po drodze parać się jakąkolwiek gównianą pracą. Podob-
nie jak Mikael, jest tu outsiderem.

Mikael zamyka się w toalecie i wyjmuje notes. Zapisuje nazwiska, ryso-
pisy, zasłyszane w powietrzu zdania i żarty. Wszystko, co zapewne nigdy
nie będzie miało żadnego znaczenia. A skoro już tu jest, wygoogluje też
Ferma. Dobrze wiedzieć, o czym będą rozmawiać.

Urodzony na Guernsey, rocznik 1964. Ojciec – założyciel jednej z naj-
większych wytwórni farb z siedzibą w Gasskas. Wykupiona na początku lat
osiemdziesiątych, następnie fabryka przeniesiona do Estonii. Sytuacja
rodzina: rozwiedziony.

Dyrektor naczelny od 2017 roku. Członek zarządu spółki wydobywczej
Mimer. Wcześniej zatrudniony głównie w międzynarodowych firmach
wydobywczych.

Mikael wraca na salę w momencie, gdy pojawiają się przystawki. Tosty z ikrą sielawy z rzeki Kalix. Do tego dla chętnych piwo i wódka. Mikael idzie na swoje miejsce, gdy zatrzymuje go Jan Stenberg, redaktor naczelny.

– Pomyślałem sobie, że się przywitam. Nawiasem mówiąc, fajne wystąpienie. Na naszym poprzednim spotkaniu gościem był Jan Emanuel [18](#). Co to za facet! Kompletnie niedoceniony w szwedzkiej debacie publicznej. A skoro z ciebie taki rewolwerowiec i już tu jesteś, może odwiedziłbyś naszą redakcję i opowiedział o metodach śledczych? Nie powiem, żebyśmy byli kiepscy, bo jest raczej przeciwnie. Chodzi bardziej o pewną inspirację, tak myślę. Wezmę twój numer od Sala. Miłego wieczoru!

Szkoda, że nie biorą kobiet. Mogliby jeszcze zaprosić Katerinę Janouch. To dopiero kobieta! Kompletnie niedoceniona w szwedzkiej debacie publicznej.

Ferm pije tylko wino i wodę. Mikael myśli sobie, że to słuszne. Ma jeszcze miękkie nogi po whisky. W dodatku Ferm jest świetnie zorientowany w publikacjach „Millennium”. Wymienia najważniejsze osiągnięcia pisma i zadaje wnikliwe pytania.

Jedno mają wspólne: gdzie się podziała Lisbeth Salander?

Około wpół do jedenastej Mikael postanawia zakończyć wieczór. Esemesuje do Pernilli, że może wrócić taksówką.

Gdzie tam, odpowiada córka. Już jadę.

– Jak ci poszedł debiut? – pyta potem. – Zawarłeś jakieś sympatyczne znajomości?

– Tak. To był interesujący wieczór. Masz pozdrowienia od Torbena Olofssona.

– Doprawdy? Pozdrowienia.

– Coś nie tak?

– Ależ nie. Sympatyczny gość.

– Podobno się przyjaźnisz z jego żoną.

– Przyjaźnię to przesada. Ona jest moją szefową.

– W przychodni dla młodzieży?

– Właśnie.

– A jak właściwie układa się między tobą i Salem? – ciągnie Mikael, któremu alkohol dodał pewności siebie.

– Bo co?

– Tak się tylko zastanawiam. Wydaje mi się, że się sporo kłóćcie. Ja jestem tylko zwyczajnym tatą zadającym zwyczajne pytania – dodaje przepaszająco.

– Zwyczajnym, tak, na pewno. Nigdy raczej nie przejmowałeś się tym, jak mi jest – mówi Pernilla.

– Może i nie, ale zawsze mogłaś na mnie liczyć w potrzebie. Przynajmniej pod względem finansowym. Przy Lukasiu bardziej się staram – dodaje, ale myślami jest już gdzie indziej. Przecież Salander odpowiedziała. Powinien wysłać jej jeszcze jedną wiadomość.

– No to dobranoc, tato – odpowiada Pernilla, obejmując go. – Lukas nocuje dziś u kolegi. Jak chcesz, to możesz go jutro odebrać ze świetlicy.

Ma niemal czarno pod oczami, które mówią, że chce iść spać.

– Bardzo chętnie.

Jak wszyscy ojcowie chcieliby pomóc swemu dziecku. I podobnie jak wielu ojców nie wie, jak to się robi.

Córka jest już dorosła. Mikael trzyma ją w ramionach, jak długo mu na to pozwala.

Przed zaśnięciem odzywa się ponownie do Lisbeth.

Możemy się zdzwonić?

POWINNA WRÓCIĆ DO HOTELU, a zamiast tego naciąga kaptur na głowę i idzie w stronę Berget.

Śnieg nie skrzypi pod nogami, tylko chlupocze, przez co droga jest powolna i śliska, ale co schowane pod śniegiem, to zniknie w odwilży.

Lisbeth podchodzi do płotu i wyjmuję lornetkę. Próbuje odtworzyć sobie szczegółowy obraz terenu z Google Maps. Wolałaby nie posługiwać się telefonem, nawigując, bo przy poszukiwaniach Märty Hirak potrzebuje obu rąk. Istnieje całkiem spore prawdopodobieństwo, że zaginiona znajdzie się u tych bydląt z klubu motocyklowego. To z pewnością odpowiednie miejsce, żeby wspomniane poszukiwania zacząć właśnie od niego.

Jest furtka. Nocą pewnie zamknięta. Lisbeth czyta przez lornetkę napisy na tablicach informacyjnych. Chodzi wprawdzie o teren przemysłowy, gdzie prowadzi się różne rodzaje działalności, ale można by sądzić, że to zwyczajna posesja zamieszкана przez paranoika, który boi się, że się do niego włamią.

„Uwaga zły pies”.

„Teren pod nadzorem kamery”.

„Obcym wstęp wzbroniony”.

„Naruszenie przepisów będzie karane”.

I jeszcze jedna starsza tablica, gdzie część liter starł czas.

„Parking dla gości na lewo. Zgłoszenie u strażnika obowiązkowe”.

Może to jeszcze z czasów fabryki celulozy.

Na tyle, na ile Lisbeth może to ocenić, to kamer nie ma. Pewnie blef. Pytanie, czy odważy się zaryzykować.

Można by również obejść teren i wyciąć dziurę, żeby dostać się od tyłu.

Stara się nie myśleć o psach i innych diabelstwach.

Wyobraź sobie, że mają labradora. Wprawdzie ślini się i jest ciężki, ale łagodny.

Lisbeth posuwa się wzdłuż płotu biegnącego między lasem a rozpadającymi się drewnianymi budynkami. Idzie to powoli. Teren jest pochyły i śliski od rozmokłego śniegu i zgniłych liści.

Dociera do rogu i oto otwiera się przed nią dłuższy pusty odcinek do następnego budynku. Woli nie ryzykować. Przecinakiem robi w siatce dostatecznie dużą dziurę, żeby móc się przez nią przecisnąć. Potem odgina nadcięty płot, by z daleka wyglądał tak jak przedtem.

Na szczytowej ścianie są drzwi. Gdyby udało jej się dostać do środka, miałyby potem lepszy widok na front.

Chwyta ostrożnie za klamkę. Drzwi wydają się niezamknięte na klucz. Od góry jest szpara, ale tkwią mocno w progu. Wyważa je, naciskając z całej siły. Drzwi nagle ustępują z hukiem, którego odgłos rozchodzi się po całym terenie. Lisbeth wślizguje się do środka i zamyka je za sobą. Stoi nieruchomo, nasłuchując.

Nie rejestruje żadnych psów. Ani głosów. Tylko serce wali od przyływu adrenaliny.

Spokój, mówi do siebie. Spokój. Sięga po komórkę i przez parę sekund świeci na podłogę.

Tych parę sekund wystarcza jej, żeby zrozumieć, gdzie by się znalazła, gdyby przeszła jeszcze kilka metrów. Prosto w nieokreśloną głębokość dziury w podłodze.

Umierać można na wiele sposobów. Przeraża ją nie tyle sama śmierć, a nawet nie ból, tylko czas. Przedłużające się bezsensowne umieranie na skutek pomyłki.

Pomyłką jest też pewnie jej obecność tutaj, ale w tym momencie nie ma innej możliwości. No oczywiście poza telefonem na policję, to jest do Jessiki, która i tak nie odbierze, bo śpi słodko ze swoimi dziećmi.

Teraz ma zadanie do wykonania. Jeśli matka dzieciaka znajduje się tutaj, to rzeczą Lisbeth jest ją odnaleźć.

Znów uruchamia latarkę, osłaniając ją dłonią, i decyduje się zostać przy przedniej ścianie, gdzie podłoga może ją utrzymać.

Posuwa się wolno naprzód, sprawdzając, czy podłoga się nie ugina. Robi kilka kroków i przystaje. Okna znajdują się pod dachem. Z zewnątrz nikt jej nie zobaczy, ale również ona nie może przez nie wyjrzeć. Nachyla się, przesuwając ręką po podłodze i potem węża palce. Trociny.

Jest tak cicho, że Lisbeth słyszy jedynie samą siebie, jednak wkrótce pojawi się nowy problem. Światło poranka. Powinna się stąd wydostać. Najlepiej niezauważenie. Bo jeśli Svavelsjö miałyby kogoś rozpoznać, to właśnie ją.

Długo jej szukali, zmuszając ją do ukrywania się. Potem mijały lata. W życiu kryminalisty zachodzi szybka wymiana komórek. Wielu z nich umiera. Inni dostają dożywocie. Nie muszą być tymi samymi osobami co wcześniej. Młode, dziarskie pokolenie mogło założyć start-up. Odkupić markę, pożyczyć trochę pieniędzy od macierzystego klubu i wpaść na nowe, świeższe pomysły biznesowe zgodne z duchem czasu.

Jak na przykład ten, by przenieść się do Norrlandii i zmusić trzynastoletką do włamania do kasy pancерnej.

Wściekłość popycha ją naprzód. Zawsze tak było i będzie.

Wściekłość ratowała życie i jej, i innym, choćby nawet Inge Ågren bredził, że nigdy nie jest za późno, żeby ułożyć się ze swoim dzieciństwem. Nic jej to teraz nie da.

Czy nie jest tak, że właśnie to robisz, mówi.

Co on chce przez to powiedzieć?

Pomagając tej dziewczynce, pomagasz sobie. Biorąc na siebie odpowiedzialność za nią, robisz to, co inni powinni byli zrobić dla ciebie.

Jakiś odgłos, całkiem blisko. Lisbeth zastyga. Odgłos cichnie, a potem znów się pojawia. Jest bliżej, znów się oddala.

Lisbeth stoi przy krótszej ścianie budynku, który zdaje się składać z kilku części.

Ściana jest gładka. Nie ma sęków i szpar. Lisbeth po raz ostatni włącza latarkę, jej dłoń jest biała od gipsu. Potem bateria pada. Lisbeth przytyka ucho do ściany i wtedy znów słyszy. To samo, co przedtem, i jeszcze coś. Czyjś głos. Nie, dwa głosy. Dwa głosy i jakiś silnik.

– Wszędzie pytałem, ale wygląda na to, że nikt nie wie, co się stało.

– Słyszałeś, co mówił Sonny. Jeśli jej nie znajdziemy, to będziemy skończeni.

– Sonny to, Sonny tamto. Niech każe Pederowi ją znaleźć. To w końcu jego kobita.

– Była kobita. Sonny wraca jutro. Postaraj się, żeby do tej pory znaleźć dziwkę.

Innymi słowy, nie mają Märty.

– A dzieciak? Chyba powinna wiedzieć, gdzie jest jej matka.

– Nawet gdyby wiedziała, to nic nie powie. Torturowanie też nic nie da, chociaż owszem. Zawsze można spróbować.

– Przyznaj, że dawniej było lepiej, zanim się tu pojawili ci ze Svavelsjö. Żal mi starej paczki. Kurde, przecież znaleźliśmy się od przedszkola.

– Skoro mowa o starej paczce i dzieciaku, gadają, że razem z Buddhą próbowaliście coś skrócić na boku. Jakieś włamanie było u Sala.

– Kurde, to ostatni człowiek, u którego można by coś doprowadzić. Fajna chata, ale ma gołą pensję i w dodatku gra. To chujowa kombinacja.

– Ha, ha, też racja. Tylko nie zapomnij zadzwonić do Buddy, w piątek jest impreza.

– *Sure*. Pewnie jest zajęty jakąś robotą na boku.

Głosy się oddalają. Z okien pod dachem przesącza się światło dnia. Lisbeth dyszy, łapiąc powietrze.

Sonny. To na pewno on. Męt, bydlę nienawidzące kobiet i morderca, który powinien dostać dożywocie i zostać wyruchany przez innych skazanych, a potem udusić się własnymi odchodami, tymczasem najwyraźniej żyje i ma się dobrze.

Mogła to przeciąć. *Wybacz, Inge, ale niektórzy ludzie nie zasługują na drugą szansę.* To jej wina, że ocalał. A może nie tak było? Za długo czekała i nagle zniknął. Wszystko jedno.

Sonny nie jest taką samą kupą gówna jak tamci. Jest jeszcze gorszy.

Lisbeth sunie do drzwi, którymi weszła, przystaje koło dziury i patrzy w ciemność. Reszta jakichś schodów do piekła.

Dlaczego życie nie może sobie po prostu płynąć.

Gdziekolwiek pójdzie, w jakimkolwiek kierunku ruszy, zawsze dopada ją przeszłość.

Właśnie dlatego powinnaś tu nadal przychodzić. Nie uporałaś się z tym, co było, ale potrafię ci pomóc.

Sorry, Inge, ale akurat teraz nie wydaje mi się, żeby twoja metoda pomagała.

Szykuj się na wojnę, Lisbeth. Zapewnij dziewczynie bezpieczeństwo i zabieraj się stąd.

DZIEŃ WESELA, PORA NA ŚLUB. Po stronie Sala łożko jest puste. Pernilla leży jeszcze przez chwilę i czeka na odpowiednią emocję. Radość, która już powinna przysiąść na skraju łożka. Hura, dzisiaj mój ślub! Jednak ostatnie kłótnie zalegają tu jak gęsta mgła nad rzeką. Może nie tylko kłótnie. Podejrzania.

Jego głos. Bełkotliwe nieskładne zdania wypowiedziane do jakiejś Märty. *To my mieliśmy być parą.*

Czekała na jakąś okazję, żeby go o to spytać, ale taka nigdy się nie nadarzyła. Zresztą pewnie by poszedł w zaparte. Zdrada? Ja? Ależ moja kochana, musiałaś się przesłyszeć.

Budzi Lukasa, a potem wskakuje pod prysznic. Siada na podłodze pod sączącą się z góry ciepłą wodą. Myśli sobie, że powinna obowiązywać zasada, by pobierać się najdalej rok po pierwszej randce, kiedy poziom zakochania jest najwyższy, a przyszłość wydaje się jasna. Zanim nastąpi zjazd.

Goście. Rodzice, krewni, przyjaciele. No, raczej przyjaciele Henry'ego. Osoby, z którymi czasem umawiamy się na kolację. Długie godziny, gdy w tle jest gmina Gasskas. Ona w roli troskliwej gospodyni. Nie może się teraz wycofać.

Pukanie do drzwi.

– Zaczekaj – woła, owijając się ręcznikiem. – O co chodzi?

– Po prostu otwórz.

Henry. Mógłby poczekać.

Co to za dzień, co to za dzień, to niezwykajny dzień, to dzień ślubu Pernilli, hura, hura.

Trzymając w objęciach róże, Pernilla przygląda się swemu przyszłemu mężowi. Włosy jeszcze nieposkromione brylantyną. Na plecach siatka utworzona przez blizny jak pociągnięcia pędzla. Kark. Łapy jak u drwala. Jego uśmiech, gdy staje przy sedesie i sika, pryskając na deskę.

- I jak się czujesz, Pillan, będzie impreza, której długo nikt nie zapomni.
- Kto to jest Märta?
- Dlaczego pytasz?
- Po prostu odpowiedz.
- Moja pierwsza miłość. Mieszkaliśmy po sąsiedzku.
- Czyli już się z nią nie spotykasz?
- To było wiele lat temu.

Salon opuszcza klapę z trzaskiem, klepie ją po pupie i sięga po maszynkę do golenia.

*Nastawiamy się na pannę młodą czy jak?
Zależy od okoliczności. Najlepiej na dziecko.*

Orszak wije się jak wąż na skale, aż dociera do skrajnego punktu przy Storforsen. I oto zaraz wezmą ślub przy odgłosach huczącego bystrza. Nikt poza celebrazem nie usłyszy, czy powiedzą sobie tak, czy nie.

Dla tych, którzy nigdy nie byli w Norrbotten, a dotyczy to większości ludzi – Storforsen to najdłuższe nieuregulowane bystrze w Europie. Woda huczy na odcinku pięciu kilometrów przy spadku wynoszącym osiemdziesiąt dwa metry. I chociaż ten rejon jest prawdziwym biegunem zimna, gdzie zimą temperatura sięga minus czterdziestu stopni, to woda tu nigdy nie zamarza.

Już w XIX wieku ludzie spławiali drewno zmierzającą w stronę morza rzeką Pite. Aby spławiane drewno się nie zniszczyło, utworzono boczne koryto. *Döda fallet*, czyli Martwy Wodospad.

To piękne miejsce, ze strumykami płynącymi wokół wielkich kamieni i skałek gładkich jak zamsz.

Pernilla wyobraziła sobie, że ślub odbędzie się koło Martwego Wodospadu w słoneczny letni dzień wśród storczyków, obuwików i zimoziołów kwitnących w szczelinach skał. A zamiast tego jako panna młoda stoi w pochmurny październikowy dzień na drewnianej rampie dostosowanej dla niepełnosprawnych z płotem oddzielającym weselny orszak od płynącej

poniżej wzburzonej wody. Jest to miejsce, które napawa lękiem. Pernilla stara się nie patrzeć w dół.

Rozwiązanie typowe dla Henry'ego Salo. Zapierające dech, jak sam to określa.

Salo przyjeżdża tu często, czasem nawet codziennie. Wchodzi na poręcz, zapierając się nogami, wychyla się nad przepaścią i pozwala się wciągnąć spojrzeniem w szum.

Pernilla odwraca się tyłem do rzeki i naciąga kaptur na ślubne uczesanie. Lepiej mieć to już za sobą.

Czy bierzesz sobie tego mężczyznę.

Podnosi na niego wzrok, przesuwając nim po grzywce zaczesanej do tyłu i walczącej o wyswobodzenie, po oczach utkwionych w pieniającej się wodzie, po niewiarygodnie pięknej twarzy i stara się wejrzeć w głąb jego mózgu.

Czy próbuje dotrzeć do tego chłopca znajdującego się w środku? Tego, który czasem wyłania się spod warstw sklejonnych osobowości.

– Tak – odpowiada Pernilla.

– Tak – odpowiada Henry i mówi to szczerze. Odwraca się do niej i jeszcze raz mówi „tak” do tej kobiety, która widzi go na wskroś, jak przez szkło.

W tym jego nadzieja. Że zostanie zdemaskowany jako pajac, którym przecież jest. Że w końcu nie będzie musiał udawać. Podda się, wróci przez kanał ściekowy życia i wypłynie z niego do całkiem innego dzieciństwa. Z tym samym bratem, ale z innymi wspomnieniami.

Joar gdzieś tam jest, może jak Salo, czyli UFO w ładnym opakowaniu. Bracia Bark zawsze byli ładnymi chłopcami. Tego nie odbierze im żadne trudne dzieciństwo. Problemem jest to, co mają w środku.

Salo odwraca głowę w stronę Lukasa. Bardzo stara się go pokochać. Jednak chłopak jest wrażliwy, a wrażliwe dzieci spotykają różne nieszczęścia.

Ojciec nigdy nie bił ich ze złości albo żeby ich wychować, tylko dla radochy. Żeby mieć jakąś przyjemność przy święcie.

Dobry Boże, uchwaj Lukasa przed taką niefrasobliwością przechodzącą z ojca na syna.

Już po ceremonii. Za pięć minut wracają do autobusu.

Filet z renifera roztapia się w ustach jak masło, jest wiele mów. Właśnie słychać mowę pana młodego do panny młodej.

– Pillan moja kochana – mówi Salo. – I w końcu zostaliśmy mężem i żoną. Wędrowaliśmy po krętych ścieżkach, gdzie każdy kamień pod butem był wart wysiłku. Jesteś nie tylko piękna, lecz także mądra jak sowa, a w dodatku jesteś fantastyczną mamą dla Lukasa. Mam nadzieję, że czeka nas długie wspólne życie. – Itd., itp. Mowa jakby wzięta z Google’a i dostępna dla każdego. Pernilla uśmiecha się jak wszyscy pozostali z wyjątkiem Lukasa, który nie słucha.

Na początku chłopiec siedzi obok Mikaela, mając po drugiej stronie swoją babcię. A potem na kolanach u Mikaela, wspominając, jak latem zarzucali sieci w Sandhamn. Jak słońce wschodzi, a ryba właśnie wtedy bierze najlepiej. Wieczorem smażą śledziki w soli i zjadają, ułożywszy je na chrupkim chlebk.

– Możemy to powtórzyć w następne lato? – pyta. – Mogę do ciebie przyjechać na całe wakacje.

– A myślisz, że mama zgodzi się być tak długo bez ciebie? – odpowiada Mikael, obserwując siedzącą naprzeciwko Pernillę. Utkwiła wzrok w jakimś odległym punkcie i nawet nie zauważa, jak Salo wypija swój kieliszek, stawia pusty przed nią i łapie jej kieliszek, prawie nietknięty.

Atmosfera byłaby pewnie swobodniejsza, gdyby wesele odbywało się w barze u Raimo. Popijawa i tańce, to odpowiadałoby nie tylko Henry’emu Salo. Między gośćmi w wyjściowych paradnych sukniach i garniturach znajdują się również jego wyelegantowani koledzy z dzieciństwa, którzy woleliby znajdować się w innym miejscu.

Dla niego zrezygnowali z okazji do polowania. I nie dlatego, żeby go lubili, bo dziś jest z niego okropny zarozumialec, ale dlatego, że odkąd stanął na czele gminy, znajomość z nim to rzecz cenna. Dzwoni się do niego zarówno w sprawie miejsca na łódź nad rzeką, jak i komunalnego mieszkania poza kolejką.

Jednak ten obiad nie pójdzie na marne. Wkrótce przeniosą się kawałek dalej, do baru Raimos. Tylko skończą jeść deser z moroszki i opróżnią kieliszki z jakimś babskim napitkiem.

Jest przerwa. Pernilla idzie w stronę toalet, ale zmienia zdanie i kieruje się do wyjścia. W lokalu jest duszno, potrzebuje świeżego powietrza.

*Nastawiamy się na pannę młodą. Idzie do wyjścia. Chłopak też.
Bierzemy oboje?
Czekajcie na rozkaz.*

- Mamo – woła Lukas. – Halo, mamó, gdzie idziesz?
- Nigdzie. – Pernilla otula go fałdami sukni. – W środku zrobiło się tak gorąco. Może się przejdziemy?
- Nie, zimno mi.

Pernilla głaszcze go po głowie. Wiatr się uspokoił, podobnie jak deszcz. Temperatura spadła, jest zimno i bezchmurnie. Sierp księżyca zawisł nad lasem.

OBIAD ZMIERZA KU KOŃCOWI. W ciągu ostatniej godziny Mikael dwukrotnie wychodził do toalety, żeby mieć chwilę spokoju. Dzwonił też do Eriki Berger, która nie odebrała, a przede wszystkim konwersował z mamą Pernilli na różne tematy, począwszy od choroby zwyrodnieniowej stawów, a kończąc na jej rozwodzie z Arnem. No i wygłosił mowę.

Jak, cholera, mógł o tym zapomnieć? O tym najbardziej podstawowym elemencie patriarchalnego wesela poza przekazaniem córki przyszłemu mężowi: przemowie ojca do państwa młodych.

Kiedy więc wypada jego kolej, wie, że nie może się wykręcić bez upokorzenia Pernilli. A zatem wychwała jej podejście do synka, jej muzykalność i łatwość pisania. Gdy jednak ma przejść do Henry'ego Salo, następuje stop. Nieważne, że byli razem w saunie, nawet to, że przy nim płakał. Nie zna go, a to, co poznał, wydaje mu się takie sobie.

„Millennium” może i stanowi zamkniętą historię, a on sam jest zerem, które nie potrafi nawiązywać prawidłowych relacji, ale jednego nie sposób mu odmówić: ma intuicję.

Ta intuicja jest póki co niewyraźna, definiują ją tylko pojedyncze słowa albo zdania, niemniej jest. I nigdy dotąd go nie zawiodła.

Zwracając się do Salo, wykrztusza z siebie jakieś komunały o miłości i poczuciu bezpieczeństwa. Równości i wzajemnej trosce. Amen.

Przy stole rozlegają się uprzejme oklaski. Pernilla spogląda na niego ciepło, a Salo rozlewa szklanekę wody.

Kiedy uwaga siedzących przy stole kieruje się w inną stronę, Mikael sięga do wewnętrznej kieszeni po swój notes.

Zaczyna od IB.

W Gasskas dzieją się dziwne rzeczy. Ludzie znikają. Dowiedzieć się kto.

Gmina: Henry Salo. Kim jest? Pochodzenie? Wykształcenie? Zażądać odpowiednich dokumentów. Przeczytać artykuły prasowe. Kopalnia. Farma wiatrowa. Inne projekty? Porozmawiać z kolegami Salo.

Rozgląda się po siedzących wokół. To bardzo niejednorodne towarzystwo. Taki wycinek drabiny społecznej, w każdym razie dla patrzącego z zewnątrz.

Porozmawiać z gośćmi, tylko to zdążył jeszcze zapisać do chwili, gdy Lukas znów chce usiąść mu na kolanach.

Czarne kędziory łaskoczą Mikaela w podbródek. Przytula chłopca.

– Możemy jutro pójść na ryby? – pyta Lukas. – Mógłbyś pożyczyć wędkę od niego... od Hen... od taty.

– Bardzo chętnie, ale czy myślisz, że o tej porze uda nam się coś złapać?

– Nieważne – odpowiada Lukas i stuka w kieliszek. Potem, bo nie reagują, jeszcze raz i czeka, aż ucichną.

– Chciałbym wygłosić mowę – mówi chłopiec i z kieszeni spodni wyjmuje kartkę. – Chociaż właściwie jest to wiersz. Dla mojej mamy. – Patrzy na nią.

Byliśmy tylko we dwoje

Ty, ja i nikt więcej

Nie lubię Brie

Jesteś piękna, kiedy się uśmiechasz

Nie mam prezentu ślubnego

Tylko kamyk znaleziony dla ciebie.

Dziadek przyczepił go do naszyjnika ze sznurka

Nie zapominaj o mnie.

Wyciąga rękę do Pernilli, nie patrząc na Henry'ego. Szary kamyk w kształcie serduszka zwisa na czerwonym sznurku opadającym na jej dłoń. Patrzą na siebie z powagą. Pernilla zakłada naszyjnik. Gdyby Henry nie stukał tak uparcie w swój kieliszek, oklaski przetoczyłyby się grzmiotem po sali weselnej.

Lukas siada. Henry wstaje i unosi do góry kieliszek.

– Wypijcie za młodą parę – mówi. – A na Raimos będzie teraz całkiem inna imprezka. Bar jest darmo!

MIKAEL ROBI TO, CO prawie wszyscy. Staje przy barze i usiłuje zamówić piwo.

Gwar uprzejmych rozmów w mgnieniu oka przeszedł we wzajemne przekrzykiwanie się. I dobrze. W tym hałasie nikt nie może żądać od niego uczestnictwa. Zamiast tego obserwuje towarzystwo z boku. Usadzenie gości stało się już nieważne. Ludzie zbierają się w gronie znajomych. Linie podziałów między nimi przebiegają według ubioru i zachowania. Urzędnicy gminni, politycy i biznesmeni osobno. Myśliwi i robotnicy, podobnie jak drobne, trudniejsze do zdefiniowania grupki. Może to koledzy Pernilli i krewni, jak jego własna siostra i jej rodzina, w której kręgu dobrze się czują. Dostrzega Annikę w tłumie. Dostała telefon i kieruje się do wyjścia.

Ciotka panny młodej.

Nieważna. Czekać na dalsze instrukcje.

– Nie możesz dostać piwa?

Mikael się odwraca.

– Gdyby ci się udało, to zamów także dla mnie – mówi, wyciągając do niego rękę. – Birna. Koleżanka Pernilli.

– Mikael Blomkvist. Tata Pernilli.

– Wiem. Wygłosiłeś mowę. Niezupełnie klasy przemówień Obamy, ale rozumiem. Niełatwo powiedzieć coś dobrego na temat Sala.

– Nie znam go właściwie – mówi Mikael.

– Ja też nie. Wiem o nim tyle, co wyczytam z gazety. Możliwe, że prywatnie jest wspaniałym człowiekiem. Skoro Pernilla za niego wyszła, to

musi taki być.

– A wy skąd się znacie? – pyta Mikael.

– Należymy do tego samego klubu czytelniczego. Gadamy o jakiejś książce przez pół godziny, a przez resztę wieczoru popijamy wino. W ten sposób poznaje się nowych ludzi.

– *In birro veritas* – mówi Mikael, podając jej piwo.

– Tak jest, *skål* za pijackie gadanie – odpowiada Birna. – Chociaż akurat o Salu to ona nie mówi za wiele. Tym więcej opowiada o tobie.

– O mnie? – dziwi się Mikael.

– Tak, to znaczy może nie o tobie jako osobie. Ona pisze kryminał z dziennikarzem w roli głównej. Świetny. Co pewien czas czyta jakiś rozdział.

– Nie mówiła mi. Nie mieliśmy za wiele czasu na rozmowy. Przyjechałem jakiś tydzień temu.

– Wiem. Czy to prawda, że spałeś z czterystoma kobietami, ale nigdy nie byłeś żonaty?

Prawie zaczyna liczyć w myślach, ale wraca mu przytomność umysłu.

– Co najmniej. Jestem słynnym pożeraczem kobiet. Lepiej uważaj.

– Dzięki za ostrzeżenie. Chcesz jeszcze piwa? – pyta, przeciska się przez tłum i gwizdże na palcach na barmana.

– Nieźle – zauważa Mikael. – Bycie dziewczyną ma zalety.

– I wady. Ciebie czyjaś ręka nie obejmie w pasie, a druga nie wylądje na tyłku.

– Cóż, niestety – odpowiada Mikael w tym samym momencie, gdy zespół zaczyna grać, a ludzie znajdują partnera do tańca równie naturalnie, jak nowo narodzone cielę trafia do krowiego wymienia.

Nie chcąc tańczyć, Mikael przeprosza i idzie do toalety.

Sprawdza komórkę. Żadnego nieodebranego połączenia od Eriki, nawet esemesa, co sobie zresztą wyobrażał? Że będzie go przekonywała. A przynajmniej spróbuje, chociaż on nie zmieni zdania. Nie chce być jakimś podcasterem.

– No to co chcesz zrobić? – pyta Birna.

Zaszyli się w jakimś boksie jak najdalej od parkietu do tańca. Mikael – choć nie miał takiego zamiaru – nakreśla jej historię powstania i upadku

„Millennium”. Im dłużej mówi, tym nudniej. Wypada na dokładnie takiego konserwatywnego uparciucha, jakim się stał według Eriki.

– Chcę robić to samo, co dotąd – mówi. – Nic innego nie umiem.

– To szukaj pracy w gazecie – odpowiada Birna. – Mają zatrudnić szefa działu wiadomości.

– W „Gaskassen”? – pyta, śmiejąc się głośno. – Jesteś już drugą osobą w tym tygodniu, która mówi, że powinienem tam pracować. Doprawdy, szczyt kariery.

– Według ciebie to coś złego?

– Nie, poza tym, że to lokalny brukowiec, który na czołówce umieszcza otwarcie hali targowej i wydaje dodatek w całości dotyczący hokeja na lodzie.

– No i o to chodzi. Jako szef działu wiadomości mógłbyś coś zmienić.

– Mówisz tak, jakbyś tam pracowała.

– Nie, ale zdaje się, że przyszła pora na tort – mówi Birna, wstając. – Chodź, mam ochotę na słodkie. A potem ci wyjaśnię, dlaczego powinieneś się ubiegać o tę posadę.

NASTRÓJ, ZGODNIE Z TYM, na co liczył Salo, sięga zenitu. Nielimitowane napoje alkoholowe to nigdy nie jest błąd, zwłaszcza w takim miejscu jak Raimos, gdzie ściany tchną tradycją. Załatwił nawet tajskie kelnerki, które mają urwanie głowy z nalewaniem whisky. Może zrobił to nie całkiem zgodnie z przepisami, ale zabawa to zabawa, a Norrbotten to Norrbotten. Jest to swego rodzaju katharsis dla mężczyzn zmuszonych do włożenia kostiumu innego niż strój myśliwski uzupełniony strzelbą. Co odnosi się również do niego. Długi rząd garniturów w szafie nie robi z niego urzędnika. W głębi duszy pozostanie dzikusem. Oswojonym niedźwiedziem cyrkowym, który tęskni za tym, żeby rozsadzić okowy. Alkohol jest tu cywilizowanym wyjściem. Płynną wolnością. Zanim wieczór dobiegnie końca, zostanie wypowiedziana niejedna prawda i wymierzony niejeden cios w nos, a sedesy będą pełne rzygów. Gdyby miało być tak, jak on chce.

Rozgląda się za Pernillą, która mówiła coś o torcie weselnym. Kobiety już ciągną do stołu z deserami. Salo myśli sobie, że chyba się upora z tym ostatnim obowiązkowym punktem programu, a potem upije się do nieprzytomności.

*Sprawdzić maski. Żadnych zaniedbań. Strzelać w razie potrzeby.
Pochwycić X, zabić Y.*

Przewodniczący rady gminy Torben Olofsson przeciska się przez tłum przy barze i zmierza do Sala.

Kurde, tylko nie on. Salo unikał go przez cały wieczór, również w zeszłym tygodniu. Teraz unosi dłoń.

– Stop. Żadnego gadania o pracy na moim weselu.
– W takim razie będziesz musiał odpowiadać na maile, bo cały projekt farmy wiatraków zaczyna przypominać jakiś układ mafijny.
– Tak? A wydarzyło się coś szczególnego?
– Powiedziałbym, że cały czas dzieją się szczególne rzeczy. Między innymi anonimowe groźby. Coś ci wiadomo na ten temat? Oczywiście zgłosiliśmy sprawę na policję, ale przecież tak nie może być. Groźby pod adresem demokratycznie wybranych polityków to zagrożenie dla samej demokracji.

Bła, bła, bła. Salo ciągnie go w stronę toalet, gdzie mogą przystanąć nie niepokojeni.

– Jeszcze jedno – mówi Olofsson. – Twoje nazwisko padło w jednym z maili. Wysłanym na mój prywatny adres. Ponoć przyjąłeś pieniądze pod stołem. Łapówkę. Henry, do cholery, co ty sobie myślisz?

Właśnie, a co, do cholery, sobie myśli Olofsson? Mieszkanie w najlepszym punkcie z widokiem na rzekę, na dole miejsce na łódkę i pozwolenie łowieckie, chociaż nie posiada ziemi.

– Posłuchaj mnie – mówi Salo. – Nie było żadnej łapówki. Próbują nas przycisnąć. Dowiem się wszystkiego, co się da, i zobaczymy się w poniedziałek po południu.

Od tamtego spotkania z Brankiem nie miał żadnych nowych wieści. Salo jest zadowolony, że do niego należało ostatnie słowo. Negocjacje bywają trudne, ale on również nie należy do słabeuszy. W jego rękach leży zarządzanie gminą. W tych samych rękach, które zaraz będą prowadzić nóż krojący śmietanowy tort. Tylko najpierw się wysika.

Ale co to się, do cholery, dzieje, już odpalają sztuczne ognie?

Chciałeś akcji, Henry Salo, bach, bach, bach.

Myślałeś, że ze mnie kaleka, bach, bach, bach.

A to tylko przystawka, bach, bach.

Gratulacje z okazji ślubu, bach, bach.

Nareszcie. Varg czuje, jak przez jego ciało przechodzi falą niemal erotyczne podniecenie. Ależ to było dawno.

Raz żołnierz...

Naciąga kominiarkę. Przenosi wzrok na Järva i Björna, żadnych pomysłów. Kiwa głową do Lo.

...zawsze żołnierz.

W tle słysząc huk od rzeki. Księżyc znika za szybko przepływającymi chmurami. Jakiś palacz gasi papierosa obcasem i wraca do środka.

JUŻ!

To uczucie, kiedy otwiera drzwi szarpnięciem i wymierza kopniaka komuś przechodzącemu, jest nie do opisanego. Ak 5 bezpiecznie opiera się na jego biodrze jak śpiące niemowlę. Za sobą ma Järva i Björna.

Sekundy, które upływają, nim goście zorientują się, co się dzieje – jak miałyby je opisać? To przejście od zabawy do przerażenia. Od zaprzeczenia – niemożliwe – do prawdy, na którą ludzie reagują różnie.

Gdyby jakiś behawiorysta obserwował z kąta wzorce ich zachowań, mógłby napisać dzieło stulecia na temat reakcji ucieczkowych. Jedni krzyczą, inni biegną, popychają się, przewracają. Potykają się o nogi, łamią nadgarstki, deptają ciała dzieci, byle dostać się do toalet w nadziei, że uda im się pozostać przy życiu.

Bach, bach. Parę strzałów od drzwi. Obrona strategii odniosła skutek.

Nie chodzi przecież o masowe zabijanie. Varg napawa się ich strachem. To on ma władzę, decydując o życiu i śmierci. Strach wydaje woń, która przebija się przez zapachy perfum i wód po goleniu. Strach sika i sra pod siebie. Rozchodzi się na boki i toruje drogę temu, kto tu zawiaduje.

To Varg. Od pierwszego wystrzału w Afganistanie aż do dziś zawiaduje swoim życiem, działaniem i swoją godnością. Nie żałuje ani jednego dnia. Wygląda tylko następnego. Następnego konfliktu, następnego rozkazu, po którym adrenalina pompuje krew jak sterydy.

Järv, Björn i Varg. Ta miłość między nimi. Rozkosz, którą dzielą.

Jakiś twardziel w wyjściowym garniturze próbuje osłonić swoją kobietę.

Jak ładnie wyglądałoby rozwalenie całego rzędu zębów, gdyby oglądać to na zwolnionych obrotach.

Matka bierze na ręce dziecko i biegnie do wyjścia.

Trochę szkoda tych włosów, które ułożyły jej się tak ładnie na głowie.

To zawsze działa. Jeszcze jeden strzał w sufit. Björn wrzeszczy: „Nobody moves!” i wszystko staje. Poddaje się. Kapituluje. Błaga. Prosi.

Faza numer dwa. Niemal słyhać myśli, są do tego stopnia zgodne: Nie ruszymy się. Nie zabijaj mnie. Pozwól żyć. Mam dzieci. Niedługo idę na emeryturę. Jestem potrzebny mojej starej matce.

Varg nawet nie musi używać przemocy. Jak król sunie przez przerażoną ciżbę ludzką, koncentrując się na chłopcu. Który tam stoi. Tak samo nieruchomo jak tamci. W jego oczach jest zrozumienie. Nie będzie się sprzeciwiał.

Gdyby nie ta kobieta, która nagle robi krok i zasłania sobą chłopca.

Nie wygląda na przestraszoną. Jej wzrok tkwi we wzroku Varga.

Pełen szacun. Okazuje jej ten szacunek, a potem uderza ją w skroń i łapie chłopca.

Ten nawet nie krzyczy. Zwisa jak szmaciana lalka głową w dół, uderzając nią o udo Varga.

Zabezpieczyć X. Y nie widać. Czas stop. Powrót.

Tu mógłby być koniec. Nikt się nie rusza. Wystarczy się wycofać z dzieckiem pod pachą, do dźwięków *Ulubionych melodii część 29*.

Gdyby nie dziecko.

Gdyby nie to, że kiedy właśnie docierają do drzwi wyjściowych, chłopiec otwiera usta i krzyczy: dziadku!

Mikael Blomkvist nie myśli. Biegnie do drzwi, do Lukasa, do tego głosu, który wciąż go woła. Przez drzwi, za chłopcem, w dół schodami, które po deszczu i po tym, jak temperatura spadła, są śliskie jak namydlone.

Biegnie za tym głosem. Oni mają przewagę. Już ich nie widzi. Nie widzi chłopca, głos też ucichł. Jego poważna twarzyczka. Delikatny uśmiech. Lukas! Raz, więcej razy, i oto znów ich widzi. I słyszy chłopca. *Pospiesz się, zdążysz, odbierz im dziecko, leć, do cholery, Blomkvist, biegnij.*

Bach.

Bach.

Najpierw odgłos, potem ciało. Nogi mu się ślizgają. Cholerne buty. Musi się podnieść. Lukas. Mikael Blomkvist pada w tył. Uderza głową o asfalt.

Krew rozlewa się karmazynem na mokrej akwareli. Robi się gorąco.

Lato. Na stole leżą popołudniówki. Czternasty lipca. Tysiąc dziewięćset coś tam, rok zasłonięty przez filiżankę po kawie.

Naprzeciw Mikaela siedzi tata, jest w kąpielówkach i ma nagi tors. Jego ciało jest oślepiająco białe, tylko czaszka szybko poczerwieniała. Dopiero co przyjechał na wieś. To znaczy ciało jest, ale nie głowa. Została w biurze.

Chciałby się przesiąść na kolana do taty, ale nie ma śmiałości. Za to Annika już tam siedzi. Jest malutka. Może nie zrozumiała, że to, co jest wokół taty, musi najpierw zniknąć, bo domaga się, żeby tata poczytał. „Później, najpierw tatuś musi trochę odpocząć”, mówi tata i przesadza ją na krzesło. Popija piwo. Patrzy na morze, które dla niego jest gładkie jak lustro.

Będą jedli kolację na dworze – właśnie idzie mama, niosąc tacę. Nakrywa stół najlepszą porcelaną, tą dla gości.

Mikael złowił to, co będzie na kolację. Przepiękne okonie takiej wielkości, którą dziadek uważa za idealną. Nie za małe, które prawie nie dają się oczyścić. I nie za duże, kiedy robią się twarde.

O takich rzeczach chciałby opowiedzieć tacie.

Filet z okonia z młodymi kartofelkami polanymi topionym masłem, podłomyki i rzodkiewki z własnego ogródka.

– Pyszna ryba – mówi tata, dłubiąc w niej, jakby była pełna ości. – Słuchaj, Micke, taki szybki jesteś, mógłbyś przynieść tatusiowi piwo.

Wypija wódkę jednym haustem. Nalewa sobie do szklanki piwa i beka.

– No już – mówi. – Wreszcie czuję się jak człowiek.

W oczach ma jakiś żar i u Mikaela pojawia się nadzieja. Tęsknił za ojcem. Może nie ciągle, bo nie miał czasu, ale niekiedy.

– Jutro wypłyniemy łódką – mówi tata, a Mikael znów może oddychać. Pyta, czy może wstać od stołu i pójść na pomost. Kładzie się na brzuchu i patrzy w wodę. Pod powierzchnią widzi ławicę drobniutkich cierników. Aby lepiej widzieć, wsuwa głowę pod wodę. Nie jest tu głęboko, najwyżej metr. Najodważniejsze rybki muskają jego policzki, ale nagle przyspieszają. W pierwszej chwili Mikael nie rozumie, co je skłoniło do ucieczki, i wtedy rozpoznaje paszczę szczupaka.

Szczupak otwiera paszczę, robi ruch płetwą i chwytą jego głowę między szczęki. Mikael krzyczy, ale okazuje się, że pod wodą jest to niemożliwe.

Krzyk w paszczy szczupaka to jak krzyk w wygłuszonej celi. Nikt go nie słyszy i nikt nie widzi, jak jego ciało zostaje zmielone centymetr po centymetrze w gardzieli monstrualnego szczupaka.

POTEM POWSTAJE CHAOS zupełnie innego rodzaju. Gdy na zewnątrz pada ostatni strzał, z lokalu zdążyły już zostać wysłane pierwsze esemesy do krewnych i przyjaciół. Żyję, nie bój się. Co masz na myśli? Gdzie jesteś? Na Facebooku do profilu Gasskas dodają nowy przycisk: „Jestem bezpieczny”.

Zgłaszają się, rzecz jasna, wszystkie media.

Birna zawiadamia policję w Gasskas i domaga się posiłków z całego rejonu Norrbotten, a w tym samym momencie do redakcji „Aftonbladet” w Sztokholmie przychodzi niezrozumiały telefon.

– Terrorysty zaatakowali imprezę weselną w Raimos! To jakaś chora historia.

– A co to Raimos? – pyta odbierający telefon dziennikarz, przeżuwający właśnie kęs kanapki. Słyszy głośny gwar w tle i pyta, czy to kolejna strzelanina.

– Burmistrz Gasskas się dzisiaj żenił i imprezowaliśmy, kiedy nagle wpadło kilku szaleńców i zaczęło strzelać. Przed chwilą, kurwa.

– Burmistrz gminy Gasskas, czyli to w Norrlandii? Dobra. Jakieś ofiary?

– Na pewno, ale nie wiem. Tu jest totalny chaos. Ale dzieciaka wzięli. Ci szaleńcy, co strzelali, zabrali chłopaka.

– Jakiego chłopaka? Mów spokojnie. Powiedziałeś, że strzelali, teraz mówisz, że zabrali chłopaka.

– Dzieciaka burmistrza zabrali. Chora historia. Przesyłam filmik.

Jedenaście minut po tym, jak pierwszy sygnał dotarł do Sztokholmu, zapada decyzja o jakiejś formie wynagrodzenia dla dzwoniącego, a do całej Szwecji trafia wiadomość z ostatniej chwili za pośrednictwem portalu „Aftonbladet”.

„Aftonbladet”:

WESELE NA PÓŁNOCY KRAJU ZAMIENIŁO SIĘ W KRWAWĄ ŁAŻNIĘ

Grupa zamaskowanych mężczyzn wdarła się na przyjęcie weselne i zaczęła strzelać do gości weselnych w maleńkiej gminie Gasskas w Norrbotten.

Świadkowie podają, że chodziło o porwanie dziecka. Na tę chwilę policja w Gasskas odmawia komentarzy. „Aftonbladet” będzie relacjonować sytuację na bieżąco.

Agencja TT:

DZIECKO UPROWADZONE PODCZAS WESELA

Policja w Gasskas podaje, że dziś wieczorem zostało uprowadzone dziecko.

Grupa zamaskowanych mężczyzn wyposażonych w broń automatyczną wdarła się na prywatną imprezę weselną w Gasskas w Norrbotten. Mężczyźni ci wystrzelili kilkakrotnie, zanim się oddalili. Policja nie podaje, czy są ranni bądź martwi. Sprawcy znajdują się wciąż na wolności.

„Gaskassen”:

SYN BURMISTRZA UPROWADZONY

Wesele burmistrza Henry’ego Salo zmieniło się w tragedię. Uzbrojeni mężczyźni wdarli się do sali weselnej i uprowadzili jego dziewięcioletniego pasierba.

„To kompletnie niezrozumiałe. Kto może nam tak źle życzyć?” – dziwił się w wypowiedzi dla „Gaskassen” Henry Salo.

Podczas wesela został postrzelony teść Henry’ego Salo, znany dziennikarz pisma „Millennium”, Mikael Blomkvist. Jego rany są podobno poważne, choć niezagrażające życiu. Do szpitala trafiło więcej poszkodowanych osób.

Flashback:

STRZELANINA I PORWANIE W RAIMOS – KURDE, CO SIĘ DZIEJE?

Co się, kurwa, wydarzyło wieczorem w Raimos? Kto był na miejscu i może opowiedzieć? Właśnie przeczytałem w „Aftonbladet” i „Gaskassen” – nie mogliby zabić tego Blomkvista raz na zawsze? I dlaczego porwali chłopaka? Założę się, że jego ojciec to jakiś czar-nuch i to on się za tym kryje.

W Norrbotten prawie nie ma czarnuchów. Dam se łeb uciąć, że to Ruskie. Oni umieją takie rzeczy. No i mają kompetentnego przywódcę.

„Expressen”:

CZYŻBY W TLE PORWANIA BYŁ SPÓR O OPIEKĘ NAD DZIECKIEM?

Sprawcy ruszyli do ataku, gdy matka dziewięciolatka wzięła ślub z burmistrzem gminy Gasskas. Posługując się bronią automatyczną, uprowadzili chłopca i wciąż pozostają na wolności.

Wystąpiliśmy o posiłki w celu szybkiego ujęcia sprawców – mówi Hans Faste z wydziału kryminalnego policji w Gasskas.

Według naszych źródeł przyczyną strzelaniny i uprowadzenia małego chłopca może być spór o opiekę nad nim.

Również w policji jest weekend. Pierwszy samochód policyjny zjawia się trzydzieści pięć minut po telefonicznym zawiadomieniu przez Birnę Guðmundurdottir. Pierwsza jest karetka pogotowia. Po niej reporterzy.

Birna robi, co może, aby wśród tego chaosu, pijaństwa, płaczu i paniki pocieszać, a jednocześnie zebrać możliwie najwięcej zeznań.

– Trzech ich było.

– Co najmniej pięciu.

– Słyszałem, że mówili po rosyjsku.

– Chłopiec poszedł grzecznie z nimi. Musiał ich znać.

– To wina Sala. Założę się, że to on za tym stoi. Zamknął się w toalecie.

Jak, kurde, można zrobić coś podobnego?

– Trzy osoby. Czarne ubrania, wyglądają jak Grupa Wagnera. Dwóch miało niebieskie oczy, jeden brązowe. Rosyjska broń automatyczna, prawdopodobnie AN-94, zwana Abakan. Ale mogła to być również broń szwedzkiego wojska Ak 5D, ewentualnie amerykańska M4A1. Wykluczam meksykański karabin FX-05, który ma inną kolbę.

– Wydaje się pan świetnie zorientowany w rodzajach broni – mówi Birna. – Jest pan wojskowym?

– Nie, bibliotekarzem.

Po przesłuchaniu, a właściwie wielu przesłuchaniach różnych osób, dostają podwózkę do domu. Wciąż są w weselnych strojach. Pernilla idzie prosto do sypialni. Na sukni ma rozdarcie od uda w dół. Ciało swędzi ją od tkaniny jak od pogryzienia przez wszy. Zamiast prosić Henry'ego, żeby jej pomógł rozsunąć zamek błyskawiczny, szarpie suknię i puszczają szwy. Stanik, rajstopy i majtki lądują na tej samej kupce na podłodze. Staje nago, ściskając obiema dłońmi kamienne serduszko na szyi, i patrzy na siebie w lustrze. Ledwo zauważa, jak wchodzi Henry. Wyciąga do niej rękę ze szklanką, którą ona odpycha.

– Whisky to zdaje się twój sposób na wszystko – mówi.

– Martwię się tak samo jak ty – odpowiada Henry, zwieszając głowę. Jednak w tym momencie Pernilla się nie martwi, bo górę wzięły w niej inne emocje. Jakie? Może nienawiść?

Ten jego ugięty kark, fryzura, która straciła swój kształt, włosy zaczesane przedtem do góry, opadają teraz na policzki. Ręce nie wiedzą, co robić. Wydaje się, że mógłby zagrać każdą rolę.

– Mógłbyś przynajmniej zdjąć ten durny garnitur – mówi Pernilla i popycha go. Raz, potem drugi. Henry potyka się i przewraca na łóżko.

Oto Pernilla. Zrównowazona i dobra. Kobieta, na którą można liczyć. Którą fajnie jest mieć u swego boku, trwająca pewnie pośród burz. Na razie słowa zostają w środku: jeśli masz coś wspólnego z uprowadzeniem Lukasa – tak brzmią – to obedrę cię ze skóry. Żywcem. Nie zabiję najpierw, tylko przeciwnie. Poczujesz taki ból jak ja. Jak Lukas. Nie. Nie wymawiać jego imienia. Myśleć chłodno. Trzymać emocje z dala od siebie.

To już nie jest sprawa ich – jej i Henry'ego Salo. Pernilla ma pewność, że jest już po małżeństwie, nie przetrwało nawet całego jednego dnia.

Bierze prysznic, wkłada dzinsy i sweter, ściąga obrączkę, wrzuca do sedesu i spuszcza wodę.

Świadomie omijała pokój Lukasa, a zastanawia się, co synek miał na sobie. Białą koszulę, czarne spodnie, półbuty. Marynarkę sama powiesiła na wieszaku szatni w Raimos. Rzuciła okiem na termometr. Minus osiem. Zimno jej się robi.

Drzwi pokoju są uchylone, łóżko nieposłane. Spieszyli się rano do Stor-forsen. Pernilla kładzie się do jego łóżka. Przyciąga do siebie króliczka i zamyka oczy, choć wie, że nie zaśnie. Strach, przerażenie, tkwią w niej te obrazy stamtąd, podobnie jak uczucie duszności.

Na poduszce został jego zapach. Jej chłopczyk. Wrażliwy, dobry i mądry. Myślowo już duży i przenikliwy.

Nie zapominaj o mnie!

Czy nie to właśnie zrobiła? Własne potrzeby postawiła na pierwszym miejscu i zmusiła, żeby im się podporządkował.

Nie chciał się przeprowadzać, nie lubił Henry'ego. Dobrze mu było w Uppsali i w szkole, miał tam kolegów i babcię. To wszystko jej wina. Powinna była zrozumieć. Zamiast tego zacisnęła zęby i myślała, że wszystko się ułoży. Nawet jego zdrada nie potrafiła otworzyć jej oczu. Teraz jednak, kiedy się otworzyły i patrzy spojrzeniem orła na gniazdo nor-nic, widzi ostro. Musi odnaleźć synka. Nie liczy się nic innego. A może już jest za późno.

LUKAS BUDZI SIĘ, kiedy już świta. Pierwsze, co czuje, to zapach dymu, więc może myśleć, że to dziadek rozpałił ognisko, by upiec ryby. To poczucie bezpieczeństwa, które ma przez jedną nanosekundę, stanowi dla niego jedyny punkt odniesienia na dłuższy czas. Bo chociaż światło ledwo pozwala określić miejsce, w którym teraz jest, to wie, że nie znajduje się ani u dziadka na Sandhamn, ani w domu.

Znajduje się w chacie.

Ściany są całe z bali, wyjątkiem są tylko okienka i drzwi.

Obok łóżka, na którym leży, stoi krzesło, dalej stół i jeszcze jedno krzesło.

Na krześle siedzi mężczyzna. Właśnie udało mu się skrzesać ogień na kawałku brzozy kory. Teraz go podsycza, dokładając klocki brzozy drewna. Dymi się. Chłopiec zasypia ponownie.

Minęła prawie doba, odkąd sprzątac odebrał ciało chłopca w umówionym miejscu. Nie położył się spać, chociaż dzieciak wciąż leży w tej samej pozycji, wygląda na to, że ma normalny oddech i tętno.

– Dziecko. Dlaczego dziecko?

– A to ma jakieś znaczenie? – pyta dostawca.

– Nie chcę go tutaj – odpowiada sprzątac. – To nie miejsce dla dziecka.

– O ile wiem, masz zlecenie – mówi dostawca.

– Zlecenie nie obejmuje dzieci. Zresztą kobiet też nie.

– *No women, no kids, Leon zawodowiec.* Rozumiem. Jak chcesz, to ci dostarczę jeszcze kwiatek doniczkowy, żeby było filmowo. Jednak tak się składa, że masz kontrakt. Nie ma w nim nic na temat wieku ani płci. Zresztą jakoś nie miewasz nic przeciwko kobietom. A dzieciaka masz utrzymać przy życiu, dopóki nie będzie innego polecenia. Rozumiesz? Przy życiu.

Mężczyzna nie odpowiada. Utrzymywanie przy życiu to szerokie pojęcie. A jego matka żyła? Owszem, pod względem medycznym. A ojciec? Ożywił się, kiedy ją pozbawiał sił żywotnych. A on? Śmierć człowieka to dla orła życie. A jeśli śmierć jednego oznacza życie drugiego, to kto ma prawo decydować, które życie jest więcej warte? Koniec końców decydują okoliczności. W tym momencie chłopiec żyje i może jeszcze przez jakiś czas tak pozostanie, bo wchodzi to w zakres umowy. Przy życiu. Utrzymaj chłopaka przy życiu. Bo inaczej... inaczej – nie wiadomo, a właściwie wiadomo wszystko.

– Chłopak ma imię – informuje dostawca.

– Na pewno – odpowiada sprzątacznik i jedzie do chaty.

Cholera wie, czym uśpili to ciało. A to zsuwa się z quada i uderza głową o jakiś korzeń, a to mu jedną stopę przycięło w drzwiach, ale się nie obudził.

Ciało nie waży więcej niż lis. Układa je na łóżku, jedynym, i przykrywa kocem, ale nie jest to wyraz troski. Wystaje tylko nos. Piętnaście godzin później dzieciak wciąż śpi, nie ma żadnych oznak, żeby się budził.

Upewniwszy się o tym, sprzątacznik zamyka chatę. Słońce dopiero co wzeszło. Mężczyzna bierze wiadro z przykrywką, napełnia je kawałkami mięsa i idzie do karmnika. Im jest bliżej, tym lżej robi mu się na duszy. Las jest przepastny, drzewa grube. Niektóre sosny mają po kilkaset lat. Las został tu przetrzebiony ludzką ręką i potem się sam odrodził. Mchy, nieporwane nigdy przez opony ciężkich ładowarek leśnych, rozpościerają się miękką wykładziną po ścieżkach i pniakach. Zdumiewające połączenie grzybów i alg; zwieszające się z drzew porosty przypominają włosy elfów, ożywiając kamienie i skałki swoimi łagodnymi odcieniami od jasnej zieleni po czerń.

W odróżnieniu od większości ludzi, którzy myślą, że drzewa rosną w równych szeregach, sprzątacznik ma dość rozumu, by docenić to piękno otaczające go na co dzień. Przystaje przy butwiejącym wiatrołomie i grzbiecie delikatnie w zmurszałym wnętrzu, w nadziei ujrzenia jakiegoś mieszkańca. Ma szczęście. Gramoli się tam żuk, który przełazi przez jego knykieć, traci równowagę i ląduje na grzbiecie, wymachując odnóżami. *Kto pomoże leżącemu na grzbiecie żukowi, otrzyma przebaczenie za grzechy.*

Sprzątacznik idzie dalej w stronę orlego gniazda. W odróżnieniu od większości innych ptaków bieliki budują gniazda wyłącznie na naprawdę starych i grubych sosnach. Patrzącemu z ziemi gniazdo przypomina pleciony ręcznie kosz. Przez całe lata uszczelniane patyczkami, gałązkami, piórami

i mchem tworzy bezpieczne miejsce dla wysiadujących samic, a nieco później dla coraz większych młodych.

Wokół gniazda panuje cisza. Może już czują zapach mięsa, myśli i kieruje się do karmnika. Już z daleka widzi, że coś się stało. Stawia na ziemi wiadro i biegnie na miejsce.

– Nie, nie, nie, nie – powtarza głośno. – Tylko nie ty, malutki, przecież już wydobrzałeś. Wszystko szło ku lepszemu.

Jedno z piskląt, które wykluły się wiosną, leży na ziemi martwe. Sprzątaacz opada kolanami na wilgotny mech. Gładzi łebek. Bierze na ręce ptaka i kołysze w ramionach.

Musiało się to wydarzyć dopiero co, bo ciało jest wciąż ciepłe. Nie ma oznak przemocy z zewnątrz ani choroby. Ciemnobrązowe pióra mienią się zielonkawo w łagodnym świetle słońca. Odkłada pisklę na ziemię. Opróżnia wiadro ze śmierdzących kawałków mięsa, potem podnosi martwe pisklę i kieruje się do domu.

Tuż pod chatą, w kryjówce utworzonej przez długie gałęzie świerka, układa pisklę pod mchem, porostami i suchymi gałązkami. Na koniec kładzie parę większych kamieni i splata dłonie.

Boże, zabierz do siebie moje dziecię. Pozwól mu latać między drzewami raju na wieki wieków. Amen.

LUKASOWI ROBI SIĘ ZIMNO, chciałby naciągnąć bardziej koc, ale boi się poruszyć.

Na razie tylko otworzył oczy i ponownie zamknął. Jakby jego ciało rozumiało, że powinien jeszcze zasnąć, żeby obudzić się w jakimś lepszym miejscu, podejmuje więc taką próbę.

Pomyśl o lecie, jak mówi mama. Nabij robaka na haczyk i zarzuć wędkę. Czeka. Słońce pali barki. Nic się nie łapie. Jest środek dnia. Nawet płotkom się nie chce. Odkłada wędkę na pomost i rozgląda się.

Nie patrz, tylko znów zamknij oczy i pomyśl... Nie, o mamie nie. Ona nie ma czasu. O Henrym. Wolałby nie. Zdąza jeszcze pomyśleć o Ylvie, z którą się czasem bawi, o trenerze ping-ponga Åkem, który dopiero co nauczył go smeczowania, potem o babci, której za dobrze nie zna, i o Danielu, który dba o ogród. Chociaż nie zauważył, że ptak uderzył w okienko piwniczne i rozbił szybę. Lukas sam je naprawia, wstawia kawałek płyty wiórowej i przybija ją gwoździami.

Gdy w końcu myślami dochodzi do dziadka, to dalej się nie da. Wbrew jego woli oczy otwierają się szeroko i dopada go pamięć.

– Obudziłeś się – mówi sprzątac i nalewa wody do imbryka nad paleniskiem. – Chce ci się pić?

Lukas musi przyznać, że tak, chociaż wolałby nie odpowiadać. Jeszcze nigdy nie miał tak sucho w ustach. Ledwo może je otworzyć. Kubek jest pordzewiały, a woda zimna. Siada, żeby móc pić. Chce usiąść na brzegu łóżka, ale noga nie daje się opuścić na ziemię.

– Chyba utknąłem.

– W opasce zaciskowej – mówi sprzątac.

– To boli. – Lukas usiłuje wyciągnąć stopę z pętli.

– Im mocniej będziesz ciągnął, tym silniej będzie się zaciskać. I przestań płakać. Rób, co chcesz, krzycz, rozmawiaj albo milcz, tak byłoby najlepiej, bylebyś nie płakał. Nikt nie lubi płaczu. Ani orły bieliki, ani ja. Bieliki mają dzioby jak naostrzone motyki. Jak są bardzo głodne, to potrafią zapolować i na psy, i na dzieci.

Lukas przestaje płakać. Zamiast tego wymiotuje wodą, resztkami weselnego obiadu i strachem, który tkwi mu w gardle jak duszona wątróbka.

– Dobrze, szybko się uczysz. – Podchodzi do chłopca, składa koc i wrzuca go do ognia. – Tylko jest problem – mówi. – Taki, że będziesz teraz marzł. Bo mieliśmy tylko ten jeden koc.

Kiedy woda zaczyna wrzeć, wrzuca do niej miarkę ryżu i zdejmuje kocioł z ognia.

Z jesienią nadchodzą chłody. W każdej chwili może przyjść zima, co ma swoje zalety. Przyroda stanowi jego lodówkę. Kiedy chłód się ustabilizuje, będzie mógł gromadzić zapasy ryb i dziczyzny. Akurat dziś muszą się zadowolić ryżem, ziemniakami i podpłomykami *gahkku*.

Podaje dziecku miseczkę i jeden podpłomyk.

– Jedz – mówi. – To jedyny posiłek, jaki dziś dostaniesz.

– Nie jestem głodny – mówi chłopiec, odwracając wzrok. – Chcę do domu.

– A gdzie jest dom?

Lukas musi się zastanowić. Brakuje mu tego, co było, zanim się przeprowadzili, bardzo się starał o tym nie zapomnieć, a nowego życia na cyplu Gaupa nie polubił.

– Chcę do mamy – mówi w końcu. Nic nie poradzi na łyzy. Lecz przynajmniej są bezgłośnie.

– Ja nie mam mamy – odpowiada sprzątac. – A ty musisz radzić sobie bez swojej. Człowiek się przyzwyczaja. Z początku umysł chce przywołać spojrzenie mamy, przelotne głaskanie po głowie, ale potem szybko zapomina. Więc rodzice są przereklamowani. A im szybciej to zrozumiesz, tym łatwiej ci będzie.

Sprzątac nie rozumie, skąd się bierze u dziecka płacz. Musi się zastanowić. Zamyka drzwi i siada na skale na zewnątrz.

Płacz to pewnie u dziecka sposób, by zwrócić na siebie uwagę. Cokolwiek chce przez to powiedzieć. Dostał jedyne łóżko. To jego wina, że koc spłonął. Jeść też nie chce. Tak się nie da.

Sprzątacze wyciąga piłę i siekierę, a potem idzie na skraj mokradła, gdzie rosną odpowiednie drzewa. Ścięcie drzew, obcięcie gałęzi i okorowanie pni, a potem przytarganie ich do chaty zabiera mu większą część dnia.

Chata ma wychodek. Też z bali. Daszek wpadł do środka, tak samo jak bale znajdujące się najwyżej. Z podłóża wyrastają zarośla wielkości drzew, ale w zasadzie potrzeba tylko drobnych napraw.

Kiedy już rozładował ostatnie kamienie i schował maszyny pod gałęziami świerka, okazuje się, że słońce zaszło.

Chłopiec siedzi na łóżku i wpatruje się w mroczną wieczność.

– Jeśli nie będę płakał, to uwolnisz mi nogę? – pyta.

Sprzątacze zapala lampę naftową. W pomieszczeniu robi się przytulnie. Zeskrobuje trochę suszonego mięsa i gotuje kawę. Chłopiec grzeje dłonie na czerpaku.

I kiedy już jest tak przyjemnie, to dzieciakowi nagle chce się sikać.

Patrz na siebie. Czy to podstęp?

– Okej – mówi sprzątacze i odcina opaskę zaciskową. Zamiast niej zakłada chłopcu sznur na szyję i wyprowadza go jak pieska na wieczorny spacer.

– Załatw się – mówi i patrzy w niebo. Jutro dzień karmienia. Wyczekiwana chwila. Gdyby miał dzieci, zabrałby je ze sobą. Nauczyłby je wszystkiego, co sam umie. Przekazałby im tę miłość do orłów, którą sam ma. Bez reszty. Z tymi samymi obawami, że coś im się stanie.

Patrzy na chłopca. Na jego kruche plecy, które chcą się odciąć od niego.

Jeśli się będziesz zachowywał, to zabiorę cię ze sobą.

Wracają do chaty. Chwila słabości minęła. Zakłada chłopcu nową opaskę zaciskową i przypomina, że nie wolno płakać.

Przydaje się zimowa kurtka. Rzuca ją chłopakowi. Sam układa się na jakiejś zapomnianej dotąd skórce renifera i przykrywa bluzą Helly Hansen. To był długi dzień.

Mięśnie rozluźniają się na szorstkim zwierzęcym futrze.

– A teraz śpimy – mówi, zdmuchując płomień w lampie.

MIŁOSIERNE POCZUCIE NIERZECZYWISTOŚCI pozwala Mikaelowi Blomkvistowi obudzić się tylko na chwilę i znów zasnąć, ale potem znika.

Boli bark, ale na ból jest rada. Pozostaje cała reszta.

– Co pamiętasz z wieczoru? – pyta Birna Guðmundurdottir. Na skroni ma plaster.

W pierwszej chwili Mikael nie rozumie pytania. Z jakiego wieczoru?

– Zasnąłem, a teraz się właśnie obudziłem – mówi.

– Nie pamiętasz wesela?

– Pewnie, że pamiętam, przecież poznałem tam ciebie. – *He, he, dają o sobie znać stare nawyki.*

– Zgadza się, a potem?

Mikael usiłuje ująć w słowa to, co nie daje się uchwycić, ale usta łapią powietrze jak u ryby wyrzuconej na brzeg. On jest tą rybą i kończy mu się tlen.

– Masz, napij się wody – mówi Birna.

Mikael siada pospiesznie, przewracając szklankę. Odrzuca kołdrę i spuszcza nogi na podłogę. Ktoś próbuje go powstrzymać.

– Puszczaj, muszę znaleźć Lukasa!

– Uspokój się i posłuchaj: jesteś w szpitalu w Sunderbyn. Znajdziemy Lukasa, wszystko będzie dobrze.

– Puść mnie, do cholery! – krzyczy głośniej. – Nie będzie dobrze. Muszę odnaleźć chłopaka. Pochwylił go.

– Kto?

– No przecież szczupak – wrzeszczy. – Szczupak, szczupak, szczupak.

Musiał znów zasnąć. Budzi się, kiedy już jest wieczór. Na fotelu obok łóżka śpi kobieta. Włosy opadły jej na twarz. Już się kiedyś spotkali.

– Mają właśnie kroić tort – odzywa się Mikael głośno. Kobieta ma lekki sen i budzi się.

Pernilla stoi, trzyma w ręce łyżkę do tortu i czeka na Sala. Obejmuje ramieniem Lukasa. Szepcze mu coś do ucha.

– Ty i ja stoimy w pewnym oddaleniu. Bo ty jesteś Birna, prawda? – upewnia się Mikael. – Nie wiedziałem, że jesteś policjantką, dlaczego nie mówiłaś?

– Nie pytałeś.

– Tak czy inaczej – ciągnie Mikael – w pierwszej chwili nie zrozumiałem, co się dzieje. Jest ciasno, ludzie głośno rozmawiają. Jakieś dzieci się ganiają. I wtedy padają strzały. Najpierw jeden, potem drugi. Może i trzeci. Kobiety krzyczą, jakieś dziecko zaczyna płakać. Przepychasz się przez tłum do Pernilli i Lukasa i zasłaniasz go sobą. Dlaczego?

– Zakładam, że celem jest młoda para – odpowiada Birna. – Działam instynktownie.

– Trzech zamaskowanych mężczyzn – mówi Mikael. – Ubranych na czarno. Dwaj są przy drzwiach, trzeci sunie w stronę tortu. Nie, do ciebie. Nogi mi wrosły, jakaś kobieta czepia się mnie, nie mogę się uwolnić. Dostajesz cios w głowę i tracisz równowagę. On bierze Lukasa, trzyma go pod lewą pachą, broń ma wymierzoną w ludzi. Są już prawie na dworze, kiedy słyszę głos. *Dziadku*. Najpierw cicho, potem głośniej. *Dziadku!* Uwalniam się, przepycham przez tłum, biegnę do drzwi i dalej, przewracam się, wstaję i biegnę w stronę głosu. A potem... potem nie wiem za bardzo. Może pada strzał. A może się poślizgnąłem.

– Zostajesz postrzelony. Na szczęście postrzał w bark jest dość powierzchowny.

– Niezła historia do opowiadania wnukom – zauważa i wtedy znów dopada go rzeczywistość. – Lukas! Muszę stąd wyjść i go znaleźć.

– Przyjdzie na to czas, a teraz musisz ufać policji, że zrobi to, co do niej należy.

– A zrobicie?

Sami to załatwimy. Możesz mi wierzyć. Cholerny Faste.

– Ostatnia rzecz – mówi Birna. – Czy zauważyłeś coś szczególnego na moment przed postrzeleniem?

– Rozgwieżdżone niebo – odpowiada Mikael.

- A konkretniej?
- Coś z gwiazdami, ale nie mogę sobie przypomnieć co.

SVALA, ODKĄD BYŁA u kobiety w lesie, ciągle wraca do niej myślami. Do niej i do trupa po drugiej strony góry, za mokradłami i za lasem. Do F znanego również jako Buddha.

To, że ktoś go znajdzie, jest dość prawdopodobne. Wprawdzie zbieracze jagód już się rozjechali do domów, ale trwa przecież sezon myśliwski. *Rozbite okno. Krew z ramienia. Mogą być ślady.*

Minęło dopiero kilka dni i Svala się niepokoi. Powinien tu leżeć. Od tamtej pory padał i deszcz, i śnieg. Ścieżka jest ledwo widoczna. Poza tropami pozostawionymi przez zające i głuszce. A tu nic. Żadnego trupa. Nie ma nawet gałęzi, którą go zabiła. Wraca po własnych śladach. W domku pali się światło. Svala puka do drzwi, kiedyś niebieskich, a może zielonych. Trwa chwilę, nim kobieta otworzy. Marianne Lekatt wygląda na rozespaną.

– To ty, kochanie? Przeszłaś taką drogę z miasta. Wejdz, to napalę w piecu.

Idzie powoli. Jakby się postarzała.

– Jest pani niezdrowa? – pyta Svala.

– Zdrowa, zdrowa, tylko stawy mnie trochę bolą. Przez tę pogodę. Przydałby się urlop w jakimś ciepłym kraju.

– Proszę pojechać do Tajlandii, jak wszyscy.

– A ty tam byłaś?

– Ja? Nie, za to byłam w Finlandii.

– To tak jak ja – odpowiada Marianne.

– Przyniosłam laptopa – mówi Svala i otwiera go. – Bo ostatnio mówiła pani, że przydałby się laptop.

Siadają na kuchennej ławie. Svala przysuwa się bliżej, żeby kobieta mogła patrzeć na ekran.

– Najpierw trzeba wprowadzić swoje hasło. Moje to „hermelin”, jak pani nazwisko, tylko po szwedzku. Nie wolno pani go zdradzić nikomu, jest tajne.

– No skądże, już zapomniałam. Czy w twoim komputerze widać mapy?

– Oczywiście. Jakiego kraju?

– Żadnego kraju, raczej mapy nieruchomości.

– Sprawdzę. – Svala zagląda do smartfona. – Urząd geodezji, pasuje?

– Idealnie.

– Wygląda na to, że trzeba wpisać oznaczenie nieruchomości. Cokolwiek to znaczy.

– Każda nieruchomość jest czyjąś własnością – wyjaśnia Marianne. – Większość należy do państwa i spółek leśnych, ale nie wszystko. Gasskasli-den 1:13. Wpisz to.

– Pani dom – mówi Svala.

– Właśnie. – Marianne dotyka ekranu. – Dokładnie w tym miejscu siedzimy. Na Hulcie, jak się tutaj mówi. Urodziłam się tu na strychu. Przejęliśmy z mężem gospodarkę po śmierci moich rodziców. Miałam tylko osiemnaście lat. Zaledwie kilka więcej od ciebie.

– Mam trzynaście lat.

– I jesteś mądra, jakbyś już była po wszystkich szkołach. Mieszkam w tym domu przez całe moje życie. A teraz chcą mnie stąd usunąć.

– Dlaczego?

– Bo nie zgadzam się, żeby panowie zbudowali farmę wiatrową na mojej ziemi. Chcę, żeby zostawili w spokoju mój las. Drzewa i ciszę. No ale teraz trzeba coś zjeść. Pewnie głodna jesteś.

– Trochę – mówi Svala. Nie ma zwyczaju tego sprawdzać. Tak jest łatwiej.

Chowa laptopa do plecaka i pyta, czy może w czymś pomóc. I czy jest toaleta.

Ściana w toalecie zadziwia ją. Wokół umywalki, ale nie tylko, bo właściwie wszędzie są ponaklejane wycinki z gazet. W większości wydają się dotyczyć farmy wiatrowej, a niektóre również kopalni.

Wiedza o świecie współczesnym. Nudne słowo ze szkoły, przedmiot, którego nie poważa żadne dziecko w klasie, może z wyjątkiem Svali.

– Ale jeśli mieszkańcy Gasskas nie chcą ani farmy wiatrowej, ani kopalni, czy nie jest nie w porządku, żeby je budować? – pyta swego nauczyciela, Everta Nilssona.

– Przecież nie można nie zgadzać się na coś dlatego tylko, że zepsuje to komuś widok albo rybacy będą musieli kupować łososa w sklepie, jak wszyscy. Potrzebujemy miejsc pracy, a świat potrzebuje elektryczności. Elektryczności i minerałów.

– No ale jednak – oponuje Svala – czy nie powinno się wtedy robić referendum? Przecież żyjemy w demokracji. Sam pan mówi, że demokracja polega na tym, że wszyscy mają prawo do własnych poglądów.

– Demokracja znaczy, że decyduje większość, jednak nie zawsze. W tym przypadku trzeba chyba zaufać ekspertom.

– Jakim? – pyta Svala, ale nauczyciel nie odpowiada.

– Wystarczy – mówi. – Mamy jeszcze co innego do omówienia.

Svala zakłada, że jednym z ekspertów jest czarnowłosa mężczyzna, który pojawia się na prawie wszystkich zdjęciach w toalecie. Wie, kto to jest. To burmistrz Gasskas. Sprawdziła adres. Gaupaudden 7. Henry Salo. Ten, który mignął jej między garniturami i poruszył wspomnienia. A raczej fragmenty jednego wspomnienia, którego nie potrafi uchwycić w całości.

Spuszcza wodę i myje ręce. Właśnie ma wrócić do kuchni, gdy ktoś puka.

– Znowu ty. – To Marianne. – Myślałam, że powiedzieliśmy sobie wszystko i wystarczy na całe stulecie.

Widocznie jednak wpuszcza tę osobę. Svala czuje się głupio, że miałaby w tym momencie wyjść z toalety.

Nie słyszy, o czym rozmawiają, do chwili, gdy gość podnosi głos.

– Chyba masz demencję. Osoba z demencją nie powinna mieszkać sama, wymaga opieki, a jak nie rozumie, co jest dla niej najlepsze, to może trzeba uwzględnić środki przymusowe.

– Nie mam demencji ani nic w tym rodzaju. – Svala słyszy, że również Marianne mówi teraz zmienionym głosem. – I jeśli myślisz, że możesz tu przychodzić i opowiadać takie rzeczy, żeby tylko dobrać się do mojej ziemi, to się mylisz.

Znów nie słyhać, o czym rozmawiają. Svala powoli przekręca zamek w drzwiach i uchyla je, zgasiwszy światło.

Przez szparę widzi tego mężczyznę. Usiadł. Zwiesił głowę i wygląda żałośnie.

– Nie rozumiesz – odzywa się zupełnie innym głosem. – Jeśli nie dam gwarancji i zgody na budowę na Björkberget, będzie to oznaczało koniec dla mnie i mojej rodziny.

– Ktoś ci grozi – domyśla się Marianne. Nie wydaje się, żeby mu współczuła. – Pewnie sam się tak urządziłeś. Złożyłeś obietnice, których nie możesz dotrzymać. Na przykład że ja się zgodzę.

– Tak – przyznaje żalonym głosem mężczyzna.

– A ja się i tak nie zgodzę – odpowiada Marianne.

Svala już chce mu współczuć, kiedy on zrywa się, przewracając krzesło, i krzyczy.

– Nie rozumiesz, co to za jedni! Jeśli się nie zgodzisz, to cię zabiją. Rozumiesz? Najpierw ciebie, a potem innych. Niewinnych ludzi.

Znika z jej pola widzenia.

Teraz Svala słyszy tylko Marianne. Krzyk i głuchy odgłos, gdy pada.

W następnej chwili mężczyzna mija Svalę w odległości zaledwie kilku centymetrów. Trzaska drzwiami. Zapada cisza.

Svala stoi i czeka, aż jego samochód odjedzie.

Marianne siedzi na podłodze. Svala pomaga jej wstać. Idzie dla niej po kawałek papieru do wytarcia nosa i podtrzymuje, żeby posadzić na ławie.

– Uderzył panią? – pyta.

– Nie, popchnął. Biedactwo, nasłuchałaś się. Musiałaś się wystraszyć.

– Pójdzie pani na policję?

– Ależ skąd. Bywało gorzej. Chociażby podczas mojego całego małżeństwa.

– Mąż panią bił? – pyta Svala, a Marianne kiwa głową.

– To było piekło. Nikt nie potrafiłby sobie tego wyobrazić.

Nikt z wyjątkiem Svali. Jest ekspertką w tej dziedzinie. Od jednego eksperta do drugiego, rozjaśnia jej się w głowie. Może mimo wszystko znajdzie się wyjście.

– Chyba powinnam wracać do domu. Da pani sobie radę czy mam dzwonić do opieki społecznej albo co?

– Do opieki? Nie, dziecko, to jeszcze nie pora, choćby on tak twierdził. Ale mogłabyś mi podać szklankę wody. I będę wdzięczna, jeśli wyślesz dla mnie list.

– Oczywiście. – Svala zakłada plecak.

Marianne chwyta jej rękę.

– Uważaj na siebie – mówi. – I przychodź, kiedy tylko zechcesz.

49

– NO PROSZĘ – odzywa się Pernilla – leżysz sobie i nic nie możesz.

W końcu zasnęła. W ubraniu, leżąc na łóżku Lukasa. Mikaelowi nie poświęciła właściwie ani jednej myśli. Według policji czuł się dobrze i tak dalej. Rano zrobiła sobie herbaty, podlała kwiatki i postanowiła zacząć od wizyty w szpitalu. Całkiem możliwe, że poślizg, w który wpadła na zakręcie za Harads, obudził w niej te obecne emocje, czyli strach, tęsknotę, wściekłość. Tak. Przede wszystkim wściekłość. Odczuwaną latami. Przez całe życie.

– Nie usiądziesz? – pyta Mikael, wyciągając do niej rękę.

– Nie – mówi Pernilla, nie podając swojej. – Nie zostaję.

– Jak się czujesz?

– A jak myślisz, kurde? Moje dziecko zniknęło. Policja nie ma żadnego tropu, może ty masz?

– Rozumiem, że jesteś zdenerwowana, ale skąd miałbym wiedzieć więcej od nich?

– Bo w twoim życiu wszystko kręci się wokół zdobywania jakiegoś sensacyjnego materiału. Myślisz, że nie wiem, że chcesz dogrzebać się jakichś świństw związanych z Henrym? Że dlatego chciałeś pójść z nim na spotkanie Zakonu Kła Tygrysa? Domyślam się, że go nie lubisz, ale to, że chcesz się tym żywić, jest cholernie niskie. Lukasa też to obejmuje?

– No wiesz, teraz przesadziłaś. – Mikael podciąga się do pozycji siedzącej. – Lukas jest moim wnukiem. Myślisz, że mi na nim nie zależy, że nie jestem równie wstrząśnięty jak ty?

– Owszem, pewnie tak, ale on jest nie tylko twoim wnukiem, jest również nienapisanym zdaniem na twoim laptopie. Znam cię. Zaczнешz grzebać, jak cię tylko stąd wypuszczą. Burmistrz, którego pasierb został

porwany. Jesteś, kurde, jeszcze gorszy od „Expressen”! Za każdym razem, kiedy się spotykamy, ma to coś wspólnego z twoją pracą. Wielki, ceniony dziennikarz potrzebuje pomocy, a ja wtedy lecę jak głupia, żeby ci jej udzielić. Nigdy nie dzwonisz, chyba że z jakimś interesem. Pomyślałeś kiedyś, jak ja się z tym czuję? Nic o mnie nie wiesz, ani gdzie pracuję, ani co robię, ani co umiem, ani co lubię. Jestem tą niepotrzebną córką, która ci się przydarzyła, a nigdy się nią nie przejmowałeś.

– Wiem, że nie zawsze byłem...

– Nigdy się nie zachowywałeś jak prawdziwy ojciec, a teraz chcesz dopaść Henry’ego za coś, co, jak sądzisz, jest jego winą, prawda? Złapałeś go i będziesz trzymał zębami, dopóki nie zajrzesz pod każdy, choćby najmniejszy kamyczek, nie zwracając uwagi, co to znaczy dla mnie. Albo dla Lukasa. Lukas nie ma taty, ale ma Henry’ego. Myślisz, że tyle dla niego znaczysz, bo był u ciebie przez jeden tydzień, co tylko dowodzi, jaki masz wykrzywiony obraz samego siebie. Jesteś pełen pychy, słyszysz, ty staruchu, jesteś przepelniony pychą!

– Przestań, do cholery! – Teraz Mikael też krzyczy. – Nie jestem święty, ale też nie jestem wcielonym złem. W odróżnieniu od twojego świętego Henry’ego Salo, który wszędzie macza swoje brudne paluchy, wykonuje porządną pracę dziennikarską. Czy ty rozumiesz, co on robi, na co was naraża, kiedy chce być jakimś pieprzonym celebrytą gminnym? A kto pobiegł za porywaczami i został postrzelony? On? Nie, stał przy barze i próbował imponować kelnerkom.

– Właśnie, sam siebie nie słyszysz. Lukasa nie ma, wynieśli go jak worek kartofli, a ty leżysz z otarciem na ramieniu jak luksusowy pacjent i głędzisz coś o dziennikarskiej uczciwości. Porwali mi dziecko, do cholery, moje dziecko! – Pernilla idzie w stronę drzwi, przystaje i odwraca się. – Spakowałam twoje rzeczy. Masz zamieszkać gdzie indziej. I nie zapomnij poprosić o nowy plaster. Na pewno są jakieś ładne z misiem Bamse.

– NO TO CI SIĘ DOSTAŁO!

Mikael nie zauważył, że w nocy przywieźli mu drugiego pacjenta. Oddziela ich tylko zasłonka. Czyjaś ręka ją odsuwa.

– W porządku?

Czy w porządku? O nie, daleko mu do tego. W głowie huczy mu od słów Pernilli i własnej wściekłości. Najgorsze, że córka ma rację. Od chwili obudzenia się w szpitalu rozmyśla nad artykułem o sprawach związanych z zarządzaniem gminą i ewentualnym związku z porwaniem. Fakt, że został postrzelony, to w tym przypadku nie wada.

– Moja córka ma temperament – mówi Mikael z jakiegoś powodu.

Mężczyzna wyciąga do niego rękę:

– Per-Henrik Hirak.

– Mikael Blomkvist – mówi Mikael, witając się. – A tobie co się przytrafiło?

– Wypadek na polowaniu. Nic takiego. Przeskakiwałem przez płot i postrzeliłem się w brzuch. Przez parę tygodni leżałem na innym oddziale. Jutro będę mógł wrócić do domu.

– O kurde, to miałeś szczęście, że z tego wyszedłeś.

– Tak mówią.

– Hirak. To nie wy sprzeciwiacie się budowie farmy wiatrowej na waszej ziemi? W każdym razie według ostatniego protokołu z posiedzenia rady gminy.

– Owszem, zgadza się. W gruncie rzeczy ten sprzeciw jest dość śmieszny. Bez względu na to, czy udzielimy zgody, czy nie, będziemy musieli zrezygnować z hodowli reniferów. Chociaż teraz to i tak nie gra

zbyt wielkiej roli – dodaje Per-Henrik i odwraca się na plecy. – Renifery nie mają przyszłości.

– Brzmi to ponuro – zauważa Mikael. – Nie ma jakiegoś przepisu, który by przeszkodził w tej budowie?

– Gmina twierdzi, że wiatraki zostaną zbudowane w sposób, który nie odbije się na pastwiskach. I że są jeszcze inne tereny, które możemy wykorzystać zamiast nich.

– A są?

– Tak, ale musielibyśmy wozić tam renifery ciężarówkami albo śmigłowcami, na co nas nie stać. Gmina uważa, że wskazując rozwiązanie, zrobiła, co do niej należy. I nie przejmuję się, że to rozwiązanie jest nierealistyczne. A ty? Co zrobisz, kiedy postrzał się zagoi, skoro córka cię wyrzuciła?

– Coś się załatwi. Znajdzie się pewnie jakiś hotel, jeśli nie co innego.

– Przepraszam za wścibstwo – mówi Per-Henrik – ale nie dało się nie słyszeć, o czym rozmawialiście. Nie można powiedzieć, żeby Henry Salo był nieznaną osobą. No i czytało się wiadomości, również o strzelaninie. Aż nie do wiary, że wydarzyło się to w Gasskas. Masz jakieś tropy, gdzie może być chłopiec?

Mikael kręci głową.

– Niestety.

– O wilku mowa – dodaje Per-Henrik i zaciąga zasłonę.

– Henry, a to niespodzianka – mówi Mikael.

– Tak, miałem sprawy do załatwienia w Boden. Jak się czujesz?

– Okej, po południu mnie wypiszą.

– To dobrze. Straszna rzecz, człowiek liczył się z tym, że może dojść do pijackich awantur, ale broń automatyczna i Lukas... właśnie Lukas... – Siada na skraju łóżka Mikaela i chowa twarz w dłoniach.

– No już, już – mówi Mikael. – Ja go... policja... go znajdzie.

– Coś potwornego, żeby porywać się na dziecko. Sądysz, że to moja wina?

– A ty co sądzisz? – pyta Mikael.

– Jestem gminnym urzędnikiem. Ludzie myślą, że mam władzę, ale ja realizuję to, czego chcą ode mnie politycy. Zbudowania farmy wiatrowej, kopalni, zamykania przedszkoli. Na pewno chodzi o coś innego, ale rozumiem, że wiele wskazuje na mnie. Gazety rozważają nawet spór o opiekę

nad dzieckiem. – Salo kiwa się w przód i w tył. – Musimy ściągnąć do domu naszego synka. Nikomu nie zrobił nic złego.

– Nie masz żadnej teorii, kto by to mógł być? – pyta Mikael.

– Ludzie zawsze się trochę kwaszą, kiedy sprawy nie układają się po ich myśli, ale nie przychodzi mi do głowy nikt konkretny.

– A niekonkretny? – dopytuje Mikael.

– Miałem spytać cię o to samo – mówi Salo. – To jednak szczególny zbieg okoliczności. Przyjeżdżasz i nagle właściciele ziemi zaczynają robić trudności, Pernilla staje okoniem, a Lukas znika.

– Czyli teraz to moja wina?

– Tego nie powiedziałem, ale tu i ówdzie ludzie gadają. Uważają, że podczas spotkania w loży zadawałeś dziwne pytania. Może ci nie wspominałem, jakie jest motto Zakonu: tolerancja, braterstwo i akceptacja. Innymi słowy, powaga.

Tolerancja, braterstwo i ignorancja.

– Jestem dziennikarzem, Henry, chyba rozumiesz, że wasz klub aż się prosi, żeby pytać o nepotyzm i niedemokratyczny sposób podejmowania decyzji.

– Tak, tylko umknęło ci samo sedno. Działamy w ramach prawa. Nie ma nic złego w omawianiu spraw, zanim trafią na stół obrad polityków. Dla przedsiębiorców, którzy i tak są uciskani podatkami, to pewna oszczędność, bo dowiadują się, co jest na rzeczy.

– Zanim wypowiedzą się przedstawiciele wybrani, również kobiety?

– Dobra, dobra. – Salo wstaje. – Chciałem cię tylko ostrzec. Odłóż pióro i wracaj do domu, jeśli nie może być z ciebie większego pożytku. I żebyś wiedział, że Pernilla umiera ze strachu o niego.

– A WIĘC TO TU SIĘ CHOWASZ, Kalle Blomkvist, w szpitalu w Norrlandii. Nie możesz nawet pójść na wesele, żeby nie trafić do filmu akcji?

Ależ to było dawno! A może wcale nie, zależy, jak na to spojrzeć.

W każdym razie ucieszył się. A nawet jeszcze bardziej. Może się nawet wzruszył. Z pewnością poczuł ulgę.

– Lisbeth! O kurczę, tak się cieszę, skąd wiedziałaś, że tu jestem?

– Wysyłałaś jakieś niejasne esemesy, co do ciebie niepodobne. Zazwyczaj wskazują na zeszywniałego dziada, którzy poszukuje towarzystwa. Więc pomyślałam, że trzeba sprawdzić, co się stało z wielkim detektywem. Dostał wylewu czy popadł w demencję?

Nawet Per-Henrik Hirak się ożywił na widok dziwnej postaci, która wciąż sterczy w drzwiach, jakby nie wiedziała, czy ma usiąść, czy sobie iść.

– Pod rzeczami Mickego jest krzesło – mówi.

– Dobrze, że znalazł się choć jeden uprzejmy.

– Per-Henrik postrzelił się w brzuch. A ja zostałem postrzelony w ramię.

– Oddział dla świrów – stwierdza Lisbeth. Osoba z łóżka obok Blomkvista nie jest jej nieznana. Poświęciła немало czasu na badania rodziny Hirak. – Pan jest bratem Märty Hirak? – pyta i od razu zauważa, jak w wyrazie twarzy Per-Henrika pojawia się jakaś twardość.

– Tak jakby – odpowiada.

– Tak jakby? To może pan wie, że Märta ma córkę, o którą nikt z waszej rodziny się nie zatroszczył, chociaż straciła i mamę, i babcię.

– To bardziej skomplikowane, niżby się mogło wydawać – tłumaczy Per-Henrik.

– Ale nie mnie. – Lisbeth trąca Mikaela. – A ty co, nie możesz tak leżeć. Mamy mnóstwo roboty. Zresztą ja się już zabrałam.

– Po południu mnie wypisują, tylko że Pernilla...
– Wywaliła cię, tak, wiem. To właściwie zrozumiałe. Jesteś dość trudnym facetem. Ale żarty na bok, nie odpowiadałeś, więc po otrzymaniu twoich dziwnych esemesów zadzwoniłam do niej.

- Jest zła – stwierdza Mikael.
- Przerażona – mówi Lisbeth.
- niesprawiedliwa.
- Po prostu szczerza. Gdzie zamieszkaś?
- Nie wiem, pewnie w hotelu.

W każdym razie nie u nas. Cholera. Pomogę ci, ale potem to już na dobre bye, bye.

Zostań z tą emocją, Lisbeth. Kiedyś cię zranił. Ale ty go i tak lubisz. Mogłabyś już dać spokój.

Zamknij się, Inge Ågren!

– Możesz zamieszkać u nas – odzywa się Per-Henrik. – Mamy dość miejsca.

– Ale jak widać, nie dla Svali – zauważa Lisbeth.

Mikael kładzie rękę na jej ramieniu.

– Dziękuję, Per-Henriku, z przyjemnością skorzystam z twojego zaproszenia.

– A jeśli chodzi o Svalę – tu Per-Henrik robi pauzę, która jest tak długa, że Lisbeth już wstaje, żeby wyjść – to może przyjechałybyście odwiedzić nas w gospodarstwie?

Boli go wypowiedanie tych słów, Lisbeth to rozumie. Dla niej mógłby spadać na drzewo, ale chodzi o Svalę. Dziewczyna potrzebuje domu. Dom Hiraków to pewnie nie najgorsze miejsce.

- On cię chyba lubi – mówi Mikael.
- Kto by się oparł mojemu urokowi?
- Zaczekaj, odprowadzę cię.

Idą razem korytarzem i siadają na ławce przy windach.

– Okej, Kalle Blomkvist, to od czego zaczynamy?

*No i czego się mażesz?
Polują teraz na mnie.
Przecież masz klucz.
Klucz do czego?
Klucz do wszystkiego.*

Myśleć jak Mamamärta to znaczy trafić na dno. Znajduje się jakieś wyjście, ale nie to właściwe.

Svala wiele myślała na temat Mamamärty. Rozumie wybory, których dokonała. Niektóre miały chronić córkę. Inne miały chronić ją samą.

Svala musi się zdecydować: pozostać dzieckiem, którym i tak nigdy nie była. Albo podejmować własne decyzje.

Heian shodan, nidan i sandan. Kata nie przewiduje żadnych myśli. Wyłącznie dążenie ciała do równowagi.

Svala bierze prysznic, ubiera się, do kieszeni spodni wsuwa klucz na kartę i zatrzaskuje drzwi pokoju hotelowego. Od czegoś musi zacząć.

– Chciałabym się spotkać z panem Henrym Salo – mówi. – Nie jestem umówiona, ale mogłaby pani zadzwonić, że przyszła Svala Hirak.

Nie zapominaj o tym, żeby być uprzejma – mówi zawsze Mamamärta. *Uprzejmość otwiera przed tobą drzwi.*

– Usiądź sobie – mówi recepcjonistka. – On zaraz po ciebie przyjdzie.

Henry Salo wydaje się przyjemniejszy niż ostatnim razem i wygląda na znacznie bardziej zmęczonego. Sapie, wchodząc na drugie piętro. Zamyka drzwi gabinetu i mówi jej, żeby usiadła.

Nie są za bardzo podobne. Märta i jej dzieciak. Brzuch go boli od tego imienia. *Róbcie z nią, co chcecie.* A jeśli Branco tak właśnie postąpi? Czy naprawdę może być do tego stopnia szalony? Biznesmen o międzynarodowej pozycji?

– Co mogę dla ciebie zrobić? – pyta.

– Włamałam się do pana domu.

– Nie rozumiem. Dziś?

– Nie, jakiś czas temu.

– Ale myśmy nie mieli włamania. Niczego nie ukradziono.

– Owszem, tylko widocznie pan nie zauważył. Wiem, że pan zna moją mamę Märte Hira.

– Tak, przyjaźniliśmy się w dzieciństwie. Jak się miewa mama?

– Nie wiem. Zaginęła. Myślałam, że może pan wie, gdzie ona jest.

Tęsknię za tobą!

– Dlaczego tak myślisz? Nie mamy ze sobą kontaktu.

– Ale zna pan Plastpedera. Pedera Sandberga.

– Tak, wiem, kto to jest – mówi Salo, nalewając kawę do dwóch filiżanek. – Chyba pijesz kawę?

Tak, pije.

– Chcesz kanapkę? – pyta Salo. – Z serem czy z pasztetem?

– Poproszę z serem.

Jedzą i myślą. Ona czegoś chce. Wie coś.

– Dlaczego chciałaś ze mną rozmawiać?

– Żeby wrócić do włamania – odpowiada Svala, grzebiąc w plecaku. Wyjmuje dość sponiewieraną małąkę i prosi o nożyczki.

– Ukradłaś zabawkę Lukasowi?

To aż niepodobna. Jednak dziewczynka jest poważna, a więc Salo przynosi nożyczki.

Svala rozcina niedużą dziurkę i wyjmuje pudełeczko. Potrząsa nim i pyta, czy Salo wie, co to jest.

– Nie sądzę, żebym miał na to czas – mówi. – Przejdź do rzeczy.

– Kasa pancerna w tym pana zoo. Za dwudziestoma granatowymi garniturami.

– To niemożliwe – oponuje Salo. – Tylko ja znam szyfr.

– Pan i ja. FQZ0081VG. Wiem, że pan dostał ten klucz od Mamamärty. A skoro go dała, to znaczy, że panu ufa, chociaż nie wiem dlaczego. Ile razy coś o panu czytam, myślę sobie: niegodny zaufania.

Ta dziewczynka ma dziwny sposób wyrażania się. Jak starsza osoba. Takie osoby mają przed sobą dwie możliwości: albo umrą młodo, albo też zajdą bardzo daleko. W tym momencie złapała go na haczyk.

– Ja kocham twoją mamę – odzywa się Salo, a te słowa padają tak niespodziewanie, że oboje aż się wzdrygają.

– Macie romans? – pyta Svala. – Myślałam, że właśnie się pan ożenił. Z Pernillą czy jak jej tam.

– Dawno temu byliśmy z Märtą parą, ale coś stanęło nam na drodze.

Konkretnie: dwumetrowy albinos, tego jednak nie może powiedzieć tej dziewczynce. Fakt, że tamto monstrum poczęło osóbkę, która przed nim siedzi, nie mieści się w głowie.

– Twoja mama jest... Właśnie, jaka ona jest? Wyjątkowa.

– Mężczyźni zazwyczaj tak uważają – odpowiada Svala i wraca do tematu klucza. – Do czego jest ten klucz?

– Nie umiem powiedzieć. A raczej nie wiem.

Kłamie? Oczywiście, że tak. Kłamać dziecku to proste. Robią to wszyscy dorośli.

– Czyli nie powie pan?

– Nie – mówi Salo. – Wystarczy, że go ukradłaś, może powinienem zadzwonić na policję?

– Chyba że ja to zrobię. – Svala znów grzebie w plecaku. – Mamy wspólną znajomą – ciągnie. – Marianne Lekatt.

Salo przypomina sobie, że już widział ten plecak. Taka jasnoniebieska, dziewczynska rzecz na ławie kuchennej. Nie pasowała tam, tak wtedy pomyślał – że nie pasuje do tej starej podniszczonej kuchni, ale jakoś nie spytał.

– Byłam tam – mówi Svala i pokazuje telefon. – Przepraszam za kiepski dźwięk. Jeśli mi pan powie, do czego jest ten klucz, to skasuję nagranie. W przeciwnym razie prześlę dalej.

Za oknem płynie rzeka, wijąc się przez miasto jak zaskroniec. Może to już ten czas. Jak łatwo byłoby uciec od wszystkiego. Jeden krok ze skały to wszystko, co trzeba.

– Okej – zgadza się Salo.

– Żadnych kłamstw – ostrzega Svala.

Salo wzdycha.

– Żadnych kłamstw. Nie wiem dokładnie do czego – i to jest prawda. – Osobiście uważam, że wygląda, jakby był do jakiejś skrytki pocztowej.

Albo schowka. Twoja mama prosiła, żebym trzymał go u siebie.

– Nic więcej nie powiedziała?

– Nie – odpowiada Salo i jest to bliskie prawdy.

Märta leży z głową na jego ramieniu i przeczesa mu włosy palcami. W pokoju panuje łagodny popołudniowy mrok. Chwila spokoju. Potrafiłby policzyć je wszystkie.

– Mogę prosić cię o przysługę? – pyta ona, zapalając lampkę przy łóżku. Jest poważna. I w tym momencie tak piękna, że mało mu serce nie pęknie.

– O co tylko chcesz – odpowiada.

– To nic wielkiego – mówi, kładąc mu na dłoni klucz. – Możesz go przechować? Zamknąć go gdzieś albo schować?

– Do czego ten klucz? – pyta.

– Nieważne – odpowiada – ale gdybym umarła. Kiedy umrę. Chcę, żebyś go dał Svali. Ten klucz znaczy coś tylko dla niej.

– Okej – mówi Svala. – Wierzę panu. – Podnosi telefon i kasuje filmik. – Nawiasem mówiąc, używa pan niewłaściwej taktyki wobec Marianne. To dobra osoba. Nie zna jej pan.

Co za cholerny dzieciak, myśli, że wszystko wie. Na samo wspomnienie tej baby Salo czuje gniew. Wszystko przez nią. Całe to zamieszanie zaczyna się od niej i na niej kończy.

– Ostatnia rzecz. Wie pan, gdzie jest Mamamärta?

Salo kręci głową.

– Niestety. Gdybym wiedział, tobym ją przywiózł do domu.

– ZA KLIENTA, KTÓRY tylko kopie w opony, to ja dziękuję. Czterdzieści dwa tysiące, po rabacie, i gotowe. Ma wprawdzie kilka lat na karku, ale siedemdziesiąt tysięcy kilometrów to dla diesla jest nic.

– Czterdzieści dwa tysiące i ani korony więcej – mówi Lisbeth. – A jeśli auto nie dotrzyma do końca miesiąca, to mam pana adres.

– Może mi pani wpłacić na telefon – mówi mężczyzna i podaje numer.

– Co to, to nie – odpowiada Lisbeth i robi mu mały wykład o ryzyku związanym z łączeniem usług z kontami bankowymi. Albo jeszcze gorzej, bo łączeniem ze sobą różnych jednostek.

Mężczyzna patrzy na podwórko i zapala papierosa.

– Bierze go pani czy nie?

Koszt kupna obciąża jej konto na nieprzewidziane wydatki. Od co najmniej paru lat Lisbeth dostaje comiesięczną pensję i jeszcze dywidendę. Armanskij najwyraźniej ceni sobie jej usługi.

I ponieważ może, robi jeszcze jedną rundkę dookoła auta, kopiąc kolejno wszystkie opony.

– Wytrzymają przez zimę?

– Z babami co najmniej dwie.

Ja tu widzę tylko jedną babę, ale Lisbeth nie mówi tego, potrzebują auta. Podaje mu plik banknotów do przeliczenia. Po podpisaniu papierów i uściśnięciu ręki mężczyzna oddaje jej pięćsetkę.

– Pomyliła się pani – mówi.

– Wiem – odpowiada Lisbeth.

On kręci głową i bąka coś w sensie „te kobiety”...

– Nawiasem mówiąc, ten skuter śnieżny, który tam stoi, też jest na sprzedaż?

- Pani żartuje, prędzej bym sprzedał żonę.
- No to szczęście, że jej nie masz – szepcze Lisbeth do Svali.

– Kurde, aleś ty wstrętna – mówi Svala, gdy już telepią się po szutrówce. – On chciał tylko sprzedać auto. Jego mama umarła w zeszłym tygodniu. Była przyjaciółką babci, miała na imię Ann-Britt.

- Mogłaś mi wcześniej powiedzieć. Trafisz do Hiraków?

- Czy kanarki mieszkają w klatkach?

- Wydawało mi się, że nigdy tam nie byłaś – mówi Lisbeth.

- To, że ich nie znam, nie znaczy, że nigdy tam nie byłam – odpowiada Svala i na skrzyżowaniu skręca w prawo.

Lisbeth już ma na języku pytanie, jak się z tym czuje, ale go nie zadaje. Dotykanie emocji może również doprowadzić do tego, że sama zacznie się zastanawiać, a czasem, nawet przeważnie, lepiej jest robić to po fakcie. Albo wcale.

- Hamulce wydają się w porządku – mówi Svala. – W skrzyni biegów też chyba nic nie szwankuje.

Przesunęła maksymalnie fotel do przodu. Głową sięga tylko trochę ponad kierownicę. Nauczycielka jazdy Lisbeth nie musi jej mówić, że powinna patrzeć we wszystkie lusterka. Widać, że Svala już kierowała autem.

- Chyba nie ma ryzyka, że napotkamy policję?

- A jeśli nawet, to co z tego? – odpowiada Svala. – Zdaje się, że masz do nich niezłe podejście.

I co to dziecko ma na myśli?

- Może słyszałaś o TikToku.

- No jasne – mówi Lisbeth. – Takie miejsce, na którym ciągle wiszą dzieciaki.

- Myślałam, że jesteś cyfrowym nerdem i zajmujesz się sprawami bezpieczeństwa.

- A co to ma do rzeczy?

- TikTok – odpowiada Svala. – Są tam dwa filmy z tobą i Jessicą Harnesk w rolach głównych. Wszyscy wiedzą, kim ona jest. Przychodzi do szkoły przynajmniej raz na rok i opowiada o dragach. Wszyscy ją lubią. Zwłaszcza kiedy przepada matka.

- Zatrzymaj się – mówi Lisbeth. – Teraz. Wjedź do zatoczki. Już. I wyłącz silnik.
- Będzie nam zimno.
- Wszystko jedno, zatrzymaj auto i powtórz to jeszcze raz.
- Na jednym filmiku tańczycie, a na drugim siedzicie sobie na kanapie – mówi Svala i wyciąga smartfona.

*Tam gdzie szczupak pływa w sitowiu,
a lis się zakrada na ganek.
Gdzie w garażu się warzy dla siebie
Tam, kurde, chciałbym mieć domek.*

- Tańczymy – odzywa się Lisbeth. – No i co z tego?
- Mnie to nie obchodzi, ale zważywszy na to, że jesteś moją ciotką, to dość żenujące.
- Ustawia wyświetlacz w stronę Lisbeth.
- Usta, o których myślała cały tydzień. Włosy, nogi jak u Barbie. I reszta...*
- Bycie osobą nieznaną w nieznanym mieście.*
- Sprawy, o których rozmawiały. Ta lekkość. Wolność.*
- Kto to wrzucił?
- Jakiś Henkebacken.
- Dzięki, teraz ten Henke już nigdy się nie podda.*
- Może powinnaś sama wyznaczać mu granice.*
- Zamieńmy się lepiej miejscami – mówi Svala. – Rozumiesz, że to głupota pozwalać dziecku prowadzić auto. Jeśli wpadniemy, to nigdy nie dostanę zaświadczenia do prawa jazdy.
- Dobra. – Lisbeth chwyta dziewczynę za podbródek i odwraca jej twarz do siebie. – Sprawy mają się tak: ja nie jestem twoją matką, tak się składa, że tylko ciotką, w dodatku nie prosiłam o to. Chciałaś prowadzić, to prowadziłaś. Weź, kurde, odpowiedzialność za swoje działania i nie zwalaj tego na kogoś, jak jakaś smarkuła.
- Trzeba mi było odmówić.
- Trzeba było nie prosić.

GOSPODARSTWO HIRAKÓW wygląda tak jak większość gospodarstw wokół Gaskas. Dom mieszkalny jest czerwony z białymi węglami, pod kątem prostym stoi jeden mniejszy budynek, dalej obora, która widziała lepsze czasy, i kojec, gdzie dwa szpice szcękają na nie zapamiętane, gdy obie wyskakują z auta.

Dziewczynka waha się, nasuwa na głowę kaptur i patrzy w ziemię.

Lisbeth się rozgląda. W domu jest ciemno, jakby nikogo nie było. Svala wygląda na zdeorientowaną. *Przepraszam, wiem, jakie to uczucie. Poprawię się.*

– Może spróbujemy zadzwonić – mówi Lisbeth, naciskając dzwonek, jednak nikt im nie otwiera. – Dziwne, przecież umówiliśmy się na czwartą.

– Świeci się w obórcie.

– W jakiej obórcie?

– W o-bo-rze – odpowiada Svala, akcentując kolejne sylaby, i idzie po czyichś śladach do uchylonych wrót.

W środku na wyciągu widać oskórowane truchła zwierzęce. I – co najbardziej zdumiewające – Mikaela Blomkvista w zakrwawionym plastikowym fartuchu zajętego ćwiartowaniem martwego renifera. Nie bez pomocy Per-Henrika Hiraka, który w skupieniu śledzi ruchy noża w ręce Mikaela.

– Cześć – mówi Mikael na ich widok i wraca do swojego zajęcia. – Jak widzicie, uczę się ćwiartowania, co dla wegetarianina ze Sztokholmu nie jest zbyt łatwe.

– Mówię przecież, że tylko palanty są wegetarianami – odzywa się Lisbeth.

– Jeśli będziesz ciął udziec za grubo, to stracisz ligawę – podpowiada Svala.

– Chyba powinieneś oddać nóż ekspertce – odzywa się Per-Henrik i kiwa głową do Svali.

– Tam wisi fartuch. Samica i cielak wpadły między dwa samochody. Samicę też trzeba poćwiartować.

Unna gehtsul várrista, várrista, várrista.

Unna gehtsul várrista, ietján váldáv duv.

Mamamärta, nie wiem, co zrobić.

Ślimaczkę, przecież wiesz, jak to się robi. Zaczynij od podzielenia tuszy na dwie części, to będziesz mogła za jednym zamachem wyciągnąć filet. Wytnij potem comber, to restauracje dostaną swój ulubiony kawałek.

Tusza jest ciężka. Svala zмага się z udźcem. Chwieje się lekko, gdy udaje jej się wtaszczyć go na stół.

Teraz wejdź kciukiem i oderwij rostbef.

Układa wycięte kawałki mięsa: goleń, rostbef, krzyżowa, ligawa, zrazowa.

Ręce są już bez sił, z jednego palca leci jej krew.

– Ja podzielę drugą tuszę – mówi Per-Henrik. – Możesz oczyścić mięso na rosół. Ty też – zwraca się do Lisbeth. – Wyglądasz na taką, która potrafi zrobić użytek z noża. Za to Mikael niech pakuje. – Rzuca mu flamaster. – Dzisiejsza data, nazwa mięsa i właściciel. W tym przypadku powinno stać Märta. A może Svala – mówi, patrząc na nią. – Napisz Svala.

Jesteś Laponką i masz renifery.

Mówi się Saamka.

Saamka Saamka, masz swój znak. Nie zapominaj o tym.

Może byś wróciła, zamiast gadać do mnie w mojej głowie?

Wkrótce. Muszę tylko załatwić parę spraw i wrócić.

Laura Hirak, młodsza siostra Märty, łamie płat cienkiego placeka i wkłada do szumiącego bulionu. Następnie wyjmuje kawałek mięsa na talerz, obok kładzie placek, który już zmiękł i urósł jak pudding.

– Na to ma być jeszcze dużo masła – mówi i stawia talerz przed Svalą. – Zaczynij od mięsa, żebyś wiedziała, że dasz radę.

– Nie jem mięsa – odpowiada Svala.

– Potrafię to zrozumieć – mówi Laura. – Ja bym też nigdy nie jadła kurczaka albo innego mięsa ze sklepu, ale to jest renifer. Nie ma jedzenia zgodniejszego z przyrodą.

– Zwierzę nie prosiło się o śmierć, żeby stać się pożywieniem dla człowieka – zauważa Svala, odcinając kawałek maczanki.

– Cieszymy się, że w ogóle zostały nam jakieś renifery – odzywa się Elias, najstarszy brat Märty. – Twój ojciec postarał się...

– Może porozmawiamy o tym innym razem – przerywa Laura. – To nie jest jej wina.

– Nie, ale ona ma jego geny – ciągnie Elias. – I Märty.

– Co nie jest jej winą? – pyta Lisbeth. – Jak już zaczęliście temat, to go skończcie.

Rodzeństwo patrzy po sobie. Lepiej wywalić to z siebie.

– No dobra – mówi Elias. – No więc Märta, jej matka, była inna od nas. Zamiast spoważnieć i się ustatkować, chciała zobaczyć świat. To była wina ojca. Nawkładał jej do głowy różnych głupot. Mówił, że ma talenty, których nie powinna zmarnować, i jest przeznaczona do czegoś więcej niż tylko zwyczajne życie.

– Jakiś rozsądny ten ojciec – odzywa się Lisbeth i otrzymuje poirytowane spojrzenie.

– Märta była...

– Czy musimy mówić o niej jak o zmarłej? – przerywa Svala.

– A nie zmarła? – mówi Elias.

Svala zrywa się, przewracając krzesło, wciąga botki, łapie kurtkę i trzaska drzwiami.

– Czy to było konieczne? – pyta Laura.

– Uważam, że tak.

– W takim razie opowiedz wszystko do końca – mówi. – Pójdę, zobaczę, gdzie poszła.

– Właśnie – odzywa się Lisbeth. – Chcę się dowiedzieć o wszystkich nieszczęściach rodziny Hiraaków, które najwyraźniej zostały zawinione przez Svalę. Nieźle jak na trzynastolatkę.

– Nie przez nią, ale przez Märte i starego – mówi Per-Henrik. – No więc zrobiła, jak mówił. Wyjechała, żeby zostać kimś wyjątkowym, i parę lat

później wróciła jako skończona narkomanka, a z nią ojciec Svali, Ronald Niedermann. Poznali się w Sztokholmie. Zjawili się pewnego dnia i chociaż nasi rodzice wciąż żyli, zażądali części gospodarstwa przypadającej na Märte. Potrzebowali pieniędzy. Stary, który zawsze miał słabość do Märty, nie umiał jej odmówić. Zmyśliła historię, że niby założą jakiś biznes, i stary otworzył portfel. Nie taki znowu duży. Na reniferach nie można się wzbogacić, ale coś niecoś odłożył przez lata. Krótco potem wrócili do Sztokholmu. Następnie nie mieliśmy żadnych wiadomości przez parę lat, aż ktoś ją zrzucił tu przed domem, ledwo żywą. Nie miała kawałka ciała bez sińców, złamań albo ran. Zamieszkała tutaj. Wyszła z nałogu i dostała pracę w gminie. Wszystkie te brednie i marzenia o sztuce odłożyła na szczęście na półkę. Wróciła nawet do związku z Henrym i powoli stała się taka jak dawniej.

– Z tym Henrym...? – odzywa się Mikael.

– Tak, Salo. Już w dzieciństwie byli nierozłączni. Stary pewnie nie był tym zachwycony, nazywał go cygańskim bachorem, ale on był dosyć w porządku. W każdym razie wtedy. I wszystko by się pewnie ułożyło, gdyby się nie okazało, że jest w ciąży. Zrobili test na ojcostwo i wygrał Niedermann. A potem zaczęło się prawdziwe piekło.

SVALA WKŁADA OSTROŻNIE RĘKĘ przez siatkę otaczającą kojec dla psów. Łajka trzyma się na odległość, natomiast szpice nordyckie cieszą się z jej uwagi. Obserwując czujnie łajkę, dziewczynka otwiera bramkę i siada na odwróconym do góry dnem wiaderku na karmę. Szpice tłoczą się przy niej i liżą ją, gdy je czochra. Kątem oka Svala widzi, że łajka podchodzi bliżej.

Laura zatrzymuje się, kiedy widzi, że dziewczynka jest w kojcu. Ktoś powinien był ją ostrzec, ale kto mógł przypuszczać, że tam pójdzie? Tę starą sukę należało dawno temu uśpić. Laura boi się zawołać Svalę, żeby jak najprędzej wyszła z kojca, bo gwałtowny ruch może sprowokować sukę do ataku.

Gdy łajka już jest blisko, Svala wyciąga rękę.

– Boisz się – mówi. – Ale odważysz się polizać rękę. Twój pan nie wydaje się fajnym gościem. Rozumiem, że masz ochotę go ugryźć. Mamamärta mi dużo o tobie opowiada. Kiedy tylko wróci, zabierzemy cię do domu.

Ku zdziwieniu Laury suka siada obok dziewczynki. Kładzie jej łeb na kolanach i daje się głaskać.

Unna gehtsul várrista, várrista, várrista.

Unna gehtsul várrista, ietján váldáv duv.

– Umiem tylko „Małego ślimaczka” – mówi Svala.

Laura podchodzi powoli. Łajka warczy.

– Ona was nienawidzi – zauważa Svala.

– Prawdopodobnie – przyznaje Laura. – Jak Märta. Powinna była zabrać swego psa ze sobą.

– Nie byłoby jej u nas dobrze – tłumaczy Svala. – Plastpeder boi się psów. Znałaś mojego prawdziwego tatę?

– Znałam nie znałam – odpowiada Laura.

– Jaki on był?

– Przyjechał tu po ciebie. Chciał, żebyś się wychowała u jego rodziny w Niemczech. To było po twoim urodzeniu. Moim braciom udało się go przegonić, ale się nie poddawał. Był... jak by to powiedzieć... przerażający. Potem przyszło lato. Trwało rozdzielanie stad, mieliśmy przystąpić do znakowania cieląt. Märta – ciągnie Laura z wahaniem – zniknęła, zostawiając cię u nas. Zostawiła kartkę na stole kuchennym: *Zaopiekujcie się małą.*

– I kto się mną opiekował?

– Ja. Siedziałaś mi na plecach w nosidełku. Zrobiło się późno, wszyscy poszli już do siebie. Ojciec nie powiedział nam, że kilka dni wcześniej zadzwonił Niedermann. I kiedy następnego dnia wróciliśmy na pastwisko, renifery leżały na ziemi. Jedne zastrzelone, inne zarżnięte. Niektóre żyły jeszcze, ale były ciężko poharatane. Jakby przez pastwisko przeszła wataha wilków. To było straszne. Straciliśmy prawie całe stado.

– Ale Mamamärta przecież musiała wrócić – mówi Svala.

– Tak, po tym, jak twój ojciec zmarł. Tylko że tym razem przyprowadziła ze sobą Pedera Sandberga. Twierdziła, że ją uratował i ciebie też. Zjawiła się, żeby cię zabrać. Nasz stary i bracia chcieli jej przeszkodzić, bo Peder Sandberg już wtedy miał złą sławę, ale przekonywała, że ma wobec niego dług wdzięczności z powodu Niedermanna.

– Czy Plastpeder zabił mojego ojca?

– Podobno nie, przynajmniej według Märty. Powiedziała tylko, że wyszedł na spotkanie śmierci. Zrobiłaś się cała czerwona od wrzasku. Li, li, krzyczałaś, nie, nie, kiedy Märta chciała wziąć cię na rękę.

– Mówiłam po saamsku? – dziwi się Svala.

– Oczywiście. I to bardzo dobrze. Miałaś tylko kilka miesięcy, kiedy powiedziałaś pierwsze słowo.

– Jakie?

– Eadni, mama.

– Dziwne – mówi Svala. – Przecież nie było Mamamärty.

Laura nie odpowiada. Ma spuszczonego wzrok, kiedy zwraca się ponownie do Svali.

– Ostatnie słowa Eliasa do Märty były surowe. Jeśli teraz odejdiesz, to możesz nie wracać. I ty, i twoja córka.

– Wyrzuciliście nas – podsumowuje Svala.

– Wiem, że trudno to zrozumieć, ale Märta ściągała nieszczęścia. Nie stać nas było na to, żeby stracić jeszcze więcej.

– A ja co?

– Ty... – mówi Laura, próbując pogłaskać rękę Svali. – Zawsze miałam nadzieję, że wrócisz.

Łajka wlecze się do miski z wodą. Pozostałe psy wyciągnęły się na ziemi. Nad rzeką zbierają się chmury, kruki biją się o resztki po ćwiartowaniu.

– Teraz rozumiem, dlaczego nie czuję, żeby ktoś mnie tutaj lubił – mówi Svala, wstając. – Chyba już pojedziemy.

GASKASSEN – KAWAŁEK TWOJEGO ŚWIATA.

Mikael kręci głową, gdy wchodzi do hallu miejscowej gazety. Odnajduje redakcję wiadomości i idzie do redaktora naczelnego, który siedzi z nogami na biurku w gabinecie znajdującym się w głębi otwartej przestrzeni redakcyjnej.

– No cześć, Blomkvist, fajnie, że przyszedłeś. Chcesz kawy? – Naciska guzik wewnętrznego telefonu i po chwili obaj trzymają w rękach filiżanki.

– No – odzywa się Jan Stenberg. – W mieście się dzieje. Są jakieś nowe wiadomości o chłopaku?

– Niestety – mówi Mikael. – Nie wydaje się, żeby policja trafiła na jakieś tropy. Aż się człowiek zastanawia, co w tym trudnego.

– Las jest przepastny, a świat wielki, ale wszystko zależy od tego, w jakim celu go uprowadzili.

– Oczywiście. A więc jak sobie to wyobrażasz?

– Rób, co chcesz – mówi Stenberg. – Redakcja jest pełna zapaleńców.

Niektórzy z tych zapaleńców są tak głęboko pogrążeni w studiowaniu tabeli wyników kłusaków jak mormoni w lekturze Biblii i nawet nie podnoszą oczu, kiedy Mikael się przedstawia.

– Pracuję w czasopiśmie „Millennium” od początku lat dziewięćdziesiątych – mówi, na co ktoś podnosi rękę.

– A to pismo nie zostało przypadkiem zlikwidowane?

– W wersji papierowej, owszem, ale istnieje wciąż w formie podcastu. No i oczywiście w wersji cyfrowej.

– Tak, wiem, ale od dawna pana nie słyszałem ani nie widziałem pana nazwiska.

Mikael chrząka.

– Zgadza się. Wziąłem sobie trochę wolnego. Zobaczymy, co będzie w przyszłym roku. A co z wami, kto z was jest odpowiedzialny za reportaże, do których trzeba trochę podłubać?

– To chyba Anna, ty lubisz dłubać w ziemi, prawda? – odzywa się jakiś głos zza tabel kłusaków, pozostali wybuchają śmiechem.

– U nas nie ma jednej takiej osoby – wyjaśnia wspomniana Anna. – Pomagamy sobie nawzajem w miarę możliwości.

– I jak wam to idzie, jak uważacie?

– W zeszłym tygodniu mieliśmy jeden kawałek o zarządzaniu finansami miejscowego klubu sportowego. To było dobre.

– Zarządzanie czy artykuł? – Mikael czytał go. Klub sportowy Gasskas ma stabilne finanse dzięki wsparciu miejscowego biznesu i gminy. Artykuł nie był zły sam w sobie, ale powierzchowny i niepotrzebnie pochlebny. Autor zadowolił się oczywistymi odpowiedziami. Dłubanina zamieniona w zwykłą codzienną pisaninę.

– Jedno i drugie – odpowiada Anna.

– Coś jeszcze? – pyta Mikael. – Co sądzicie o sposobie relacjonowania sytuacji wokół porwania?

Jakie to nierealne, żeby rozmawiać o Lukasiu. Jakby był kimkolwiek.

– Z początku było nas dwóch reporterów, teraz jestem sam.

– A nazywasz się?

– Janne Bolin.

– Cześć, Janne. Jak sobie teraz układasz pracę, bo zakładam, że nadal obserwujecie działania policji?

– Oj tak, razem z ludźmi z „Expressen” przesiadujemy przed domem Sala, ale on milczy. Twoja córka też, Pernilla, czy jak jej tam.

Czy jak jej tam.

– Chcą, żeby ich zostawić w spokoju – mówi Mikael. – Nic innego nie macie?

– Nie – mówi Bolin. – Policja robi konferencje prasowe, na których występują ich najładniejsze panienki, ale nie pojawiło się tam nic, czego by wcześniej nie opisano na Flashbacku.

– A co jest na Flashbacku, co moglibyście przefiltrować na podstawie waszej orientacji w lokalnych sprawach?

– Głównie zniknięcia różnych osób, którymi policja wydaje się nie przejmować – odzywa się Anna. – A w każdym razie, kiedy chodzi o zniknięcia powiązane w jakiś sposób z narkotykami. Gasskas to Järvafältet [19](#)

Norrandii. Siatki przestępcze mogą działać tu tak samo spokojnie jak tam, różnica polega na tym, że odbywa się to w sposób mniej spektakularny. Bez strzelaniny. Młodzi ludzie po prostu przepadają bez wieści. Niektórzy odnajdują się z głową w bagnie, ale większość nigdy.

– I co o tym sądzicie jako dziennikarze?

– Że Flashback jest obrzydliwy – odpowiada Bolin.

– Nie ma dymu bez ognia – zauważa Anna.

– Właśnie. Ja bym to sprawdził, gdybym był wami, a wy mną.

Mija przedpołudnie. Równo o dwunastej wszyscy idą na lunch. Mikael zostaje przed komputerem używanym przez stażystów i przedziera się przez archiwum. Najpierw wpisuje do wyszukiwarki „Henry Salo” i ma trzy tysiące trafień. Aby ograniczyć tę liczbę, stawia minus przed „Salo”, a „Henry” bierze w klamry. Nadal kilkaset trafień. Większość z początku lat dwutysięcznych, ale dotyczą jednej z gwiazd klubu hokejowego, Kanadyjczyka Paula Henry.

Zmieniając metodę wyszukiwania, cofa się w latach i szuka według dat i miejscowości. Za pięć pierwsza znajduje to, czego szukał. Trzeci lipca 1991. Tytuł: CHŁOPIEC STRACIŁ PALCE, RĄBIĄC DRZEWO. Podtytuł: *Nieletnie dzieci odebrane w związku z podejrzeniem o zaniedbanie ze strony rodziców.*

Bark. Nazwisko Henry’ego przed adopcją. Joar Bark. Jego brat.

Mikael zapisuje nazwisko i zamyka wyszukiwarkę, kiedy wracają kolejno członkowie redakcji.

– Okej – mówi Mikael. – O jakich wydarzeniach oprócz porwania pisaliście najczęściej w ostatnim miesiącu?

– Kilka tytułów dotyczyło zaginionej dziewczyny od uchodźców – mówi Janne Bolin – ale sporo było o hali targowej i zamknięciu jednej z dwóch porodówek. No i o hokeju. Gasskas się nieźle spisuje, ma drugie miejsce w rozgrywkach ligowych. Jak tak dalej pójdzie, to będzie szansa, żebyśmy dostali się do ligi zawodowej.

– No i plany dotyczące kopalni – mówi Anna. – Tu oparliśmy się na materiałach agencji TT, podobnie jak w przypadku farmy wiatrowej. Nie bardzo jest o czym pisać, dopóki nie rozpoczną budowy.

– Jak już będzie, to napiszemy o otwarciu, ale teraz trwa faza projektowania.

– A ludzie wokół budowy? – pyta Mikael. – Protesty ekologów i właścicieli działek was nie interesują? Tak samo jak projekt kopalni Mimer i doty-

czące go kolejne zwroty sytuacji?

– Nie do końca – odpowiada Anna. – Ludzie mają trochę dość Greta Thunberg i tego towarzystwa.

– A czyja to wina? – pyta Mikael.

– Jej własna – odzywa się Janne. – U nas nikt nie ma siły jej słuchać. Ludzie muszą móc jeździć samochodem. Coś takiego, że wszyscy powinni jeździć elektrykami, może wymyślić tylko nastolatka z bogatej rodziny.

Mikael potrzebuje kilku sekund, żeby się pozbierać. Jest gorzej, niż myślał.

– Dobra – mówi. – A jeśli powiem, że to wina mediów, a nie polityków, że ludzie już nie rozmawiają o zmianach klimatycznych, to co wy na to?

– W jakim sensie? – pyta Anna.

– Że jesteście jak stado owiec – odpowiada, wymachując aktualnym numerem gazety – które pasie się w jednym i tym samym miejscu, dopóki całe nie przejdzie na następne. Teraz na agendzie jest zbrodnia i kara, tak?

– To ważne – odzywa się Janne. – W zeszłym tygodniu mieliśmy materiał na temat włamań do domów. Ludzie się boją.

– W Gasskas też?

Zerkają na siebie.

– Może nie tutaj – odpowiada Anna.

– Ależ tak – oponuje Janne. – Zjawilo się całe mnóstwo imigrantów i cholera wie, co wymyślą, byle nie musieć pracować.

– A ty jesteś rasistą? – pyta Mikael, chwytając byka za jaja.

– Możesz mnie nazywać, jak chcesz, ale nie chcę, żeby Gasskas stało się jakimś cholernym Rinkeby [20](#).

– Aha. To może porozmawiamy o Svavelsjö MC? – zmienia temat Mikael.

– No więc latem zebrali sto czterdzieści tysięcy koron na fundację leczenia raka u dzieci. Wiem, że wyglądają dość odpychająco, ale przecież kryminaliści by czegoś takiego nie robili?

– A jeśli to tylko taka pokazówka?

W tym momencie wybija trzecia po południu, odzywa się ssanie za kawą i czymś słodkim.

– Jakie jest hasło do archiwum? – pyta Mikael przed ich wyjściem. – Sprawdź, czy nie znajdę wam czegoś ciekawego.

– hejagasskas, małymi literami – odpowiada Anna.

Po przerwie Mikael przytacza przykładowe ceny prądu i powracające teksty na temat ludzi, którzy marzną podczas zimy.

– To do niczego niepodobne, żeby emeryci, którzy przepracowali całe życie, nie byli w stanie zapłacić rachunków za prąd. W jakim kraju my żyjemy? – mówi Janne Bolin.

– No właśnie, ale dlaczego nie zgłębiacie tej kwestii i nie zastanawiacie się, jaka jest przyczyna, że ceny prądu wzrosły dwukrotnie, chociaż mieszkanie w tej części kraju, która produkuje go najwięcej?

– Odciąć Szwecję na rzece Dalälven, żeby zostały tutaj wszystkie zasoby, taka jest moja propozycja – odpowiada Bolin.

– No nadzwyczajna, naprawdę. Że też nie zostałeś politykiem – mówi Mikael.

Kiedy Janne Bolin wychodzi, żeby iść do dentysty, trochę lżej się oddycha. Wprawdzie początek był nie najlepszy, ale w końcu Mikaelowi udaje się przekonać do siebie paru spośród młodszych reporterów, którzy może nie widzą w nim gwiazdy dziennikarstwa, bo nigdy wcześniej nie słyszeli o „Millennium”, ale przynajmniej reagują zainteresowaniem. Przed końcem dnia sporządzają plan działań śledczych, które obejmują również Sala i Zakon Kłosa Tygrysa, z zaznaczonymi na czerwono słowami kluczami takimi jak korupcja, nieuczciwa konkurencja, podejmowanie decyzji w trybie niedemokratycznym i wreszcie KGB, czyli Gminne Spółki Gasskas.

– I żebyście nie zapominali o tym, że wszystko zależy od tego, jak się zada pytanie. Nie zadowolajcie się prostymi odpowiedziami, byle odwalić robotę. Proście o więcej czasu, jeśli to potrzebne do zrobienia następnych kroków. Stawiajcie niewygodne pytania. Zaprzeczenie to też jest odpowiedź. Wahanie to jakieś otwarcie, a kłamstwo jest zasłoną dymną, która ma ukryć coś innego. Następnym razem porozmawiamy o znaczeniu wiarygodnych, a może i pewnych źródeł. Dzyń! – *Dzyń*. Skąd mu się to wzięło? Powinien był poprzestać na skinieniu głową.

MIKAEL ZBIEGA SCHODAMI, przeskakując po dwa stopnie, przecina rynek i wchodzi do Statt, staje w barze i gestem zamawia piwo, które ma złagodzić ból w barku i spowolnić tętno. Tego mu właśnie trzeba.

– Mikael Blomkvist, no proszę, kopę lat.

Mikael się odwraca. Już wcześniej uderzyła go ta myśl. Byłoby dziwne, gdyby na siebie nie wpadli. A więc stoi twarzą w twarz z Hansem Faste. Trochę grubszym niż ostatnim razem i starszym, ale z tym samym pustym spojrzeniem i krzywym uśmiechem, jakby przeszedł jednostronny udar. Rzeczywiście spowalniać tętna.

– Wydawało mi się parę dni temu, że cię widziałem – odzywa się Mikael. – Skąd się tutaj wziąłeś? Sztokholm cię znudził?

– He, he, nie, dostałem stanowisko kierownika wydziału kryminalnego. Potrzebowali doświadczonego policjanta.

– I znaleźli ciebie.

– Cóż, ma się te kontakty. Żona jest stąd.

– I od razu wpadłeś w sam środek burzy. Jest coś nowego w sprawie porwania?

– Nic, co bym ujawnił pismakowi.

– Nie pytam jako dziennikarz – mówi Mikael. – Ten chłopiec to mój wnuk.

– O kurwa, widziałem twoje nazwisko w gazecie, ale nie skojarzyłem. Czyli to ciebie postrzelili? Twoje zdrowie!

– Tylko drasnęli. Czy to nie dziwne, że nikogo nie zatrzymaliście? Twoi koledzy powinni się zastanowić, czy nadajesz się na szefa, skoro nie potraficie wpaść na jakiś choćby najmniejszy trop.

– To bardzo niemiła uwaga – mówi Faste. – Wykonujemy porządną robotę policyjną, która doprowadzi do zatrzymania.

– Przepraszam – mówi Mikael i zmienia taktykę – ale trochę się martwię tym, co się stało. – To akurat jest prawdą, i nie tylko. Lukas tkwi mu w głowie dzień i noc, do tego dochodzi jego frustracja, że wszystkie tropy urywają się już przed Raimos.

– Rozumiem – mówi Faste i wygląda na prawdziwie zmartwionego. – W zeszłym roku straciliśmy najmłodszego wnuka, który umarł na raka. To było dla nas ciężkie, naprawdę ciężkie, więc rozumiem, co czujesz.

Mikael w myślach unosi brwi. Kiedy diabeł się starzeje i tak dalej [21](#).

– Miesiąc później dostałem ataku woreczka żółciowego – ciągnie Faste. – Kolejny cios po tym wszystkim, co przeszliśmy.

– Życie jest ciężkie.

– Okrutne, powiedział osioł.

Mikael wyparł z pamięci śmiech Fastego, brzmiący jak dziewczynski chichot, który zdaje się nie mieć końca. Dziewczyński chichot u sześćdziesięcioletniego policjanta. Coś okropnego.

– A więc żadnych tropów – mówi Mikael.

– Same wariactwa. – Faste ociera oczy po tej salwie śmiechu.

– Może jeszcze jedno? – pyta Mikael.

– Skoro stawiasz – mówi Faste, zlizując pianę z górnej wargi.

– A co mówią wariaci? – pyta Mikael, mając nadzieję, że nie rozśmieszy to Fastego.

– Wróżka czytała z gwiazd. Dziadek z domu starców twierdził, że widział, jak Grupa Wagnera maszeruje w stronę Björkberget. Jeden ćpun twierdzi, że wielu jego znajomych zaginęło, ale policja nic z tym nie robi. I tak dalej.

– A ta wróżka, co ona widziała w gwiazdach?

– Gwiazdy – odpowiada Faste. – Bardzo to owocne, ale będę już musiał wracać do domu. Carola czeka z kolacją.

– Najlepszego – mówi Mikael i kieruje się do recepcji. – Poproszę pojedynczy pokój na dwie noce.

Godzina 4.05. Co noc, zawsze o tej samej porze nad ranem, budzi go jakaś myśl, wysuwa pysk i domaga się wysłuchania.

Gwiazdy. Biały bus. Mikael grzebie w pamięci. Przebija się przez smak krwi i odgłos wystrzałów. Zatrząskują się boczne drzwi i bus odjeżdża. Gwiazdy. Jedna gwiazda.

Mikael wstaje. Napętnia elektryczny czajnik, wsypuje kawę rozpuszczalną do kubka do mycia zębów i wraca do łóżka. Loguje się na „Gaskassen” za budzącą wątpliwości opłatę dwustu pięćdziesięciu dziewięciu koron miesięcznie i przewija wiadomości.

ZAKŁADAJ SIĘ RAZEM Z CZŁOWIEKIEM, KTÓRY ZAROBILIŁ MILIONY NA KŁUSAKACH

55 NIEDŹWIEDZI ZASTRZELONYCH W REGIONIE

POLICJA ZARZĄDZIŁA BLOKADĘ INFORMACYJNĄ W SPRAWIE PORWANIA

A więc potwierdzenie tego, co Mikael wie i tak. Policja nie ma żadnych tropów.

– Dochodzenie znajduje się w delikatnym momencie – mówi Hans Faste, szef wydziału przestępczości kryminalnej. – Otrzymujemy od społeczeństwa mnóstwo sygnałów, które są teraz badane. Wiele interesujących. Liczymy, że odnajdziemy chłopca w ciągu najbliższych dni. Niestety, dla dobra dochodzenia nie mogę powiedzieć nic więcej.

W odróżnieniu od Lisbeth Salander, która też się budzi wcześniej, Mikael nie robi ani pompek, ani brzusków. Bierze prysznic, ubiera się, szykuje sobie następną kawę i odnajduje jej numer telefonu.

– Nie śpisz?

– Teraz już nie.

– Pojedziesz ze mną do Storforsen? Muszę zacząć od początku.

– A gdzie jesteś?

– W hotelu.

Dni mijały. Historię Vangerów układali kawałek po kawałku. A noce... Nie. To było dawno temu.

Dobrze, Lisbeth, robisz postępy!

– O dziewiątej przed wejściem – mówi Lisbeth i się rozłącza.

LISBETH ODPUSZCZA SOBIE hotelowe śniadanie. Nie kuszą jej słodkie chwile z Blomkvistem i kruszącymi się bułeczkami. Zamiast tego woli zatankować auto i pomyśleć. Waha się, ale wysyła esemesa do Jessiki: *Zobaczmy się wieczorem?* Odpowiedź przychodzi natychmiast: *Bardzo chętnie, jeśli tylko uda się wyjść z pracy.*

Za kwadrans dziewięta ranger już stoi przed hotelem.

Kilka minut później Mikael wskakuje do auta. Wycieraczki zmiatają deszcz ze śniegiem, na szosie układa się on w postaci śliskich pasów.

– Chyba masz opony zimowe? – pyta.

– Sam sobie prowadź, jeśli masz marudzić – mówi Lisbeth – bo od ostatniego razu chyba zrobiłeś prawo jazdy?

– Bardzo śmieszne. I nie marudzę, tylko pytam.

– No to opowiadaj – mówi. – Bredziłeś coś o gwiazdach. Syriuszu, Wielkim Wozie i tak dalej.

Znajdują się przed Raimos i patrzą na potężne wody rzeki. W głowie Mikaela jest bezruch.

– Dotarłem mniej więcej do tego miejsca, zanim padł strzał – mówi, pokazując palcem na wyjazd. – Musieli zaparkować za dostawcą lodów. Jak byś rozumowała? Porwałaś dziecko i nie chcesz ryzykować, że napotkasz inne auta.

Lisbeth otwiera mapę w telefonie i powiększa na niej rejon, w którym się znajdują.

– Północny zachód, jest tam głównie las i są drogi dla pojazdów leśnych.

Jadą szosą w górę rzeki. Mijają zjazdy, przy których stoją skrzynki na listy i pojemniki na śmieci, co oznacza, że mieszkają tam ludzie, a potem

skręcają w lewo w prawie niewidoczną drogę dla ciągników.

– W każdym razie ktoś tędy jechał – odzywa się Lisbeth.

– Może myśliwi, zresztą mógł to być ktokolwiek – mówi Mikael.

Po kilkuset metrach zatrzymuje ich szlaban.

– Zamknięty – zauważa Mikael.

– Zamknięty, ale tylko dla amatorów – odpowiada Lisbeth, otwiera etui leathersmana i wybiera odpowiednie ostrze multinarzędzia. – Klik – mówi, chowa kłódkę do kieszeni kurtki i odsuwa szlaban.

– To wygląda na coś wojskowego – mówi Mikael.

Mijają budynek z widocznymi dziurami w dachu i szopę z zielonej blachy. Droga jest coraz gorsza i nagle urywa się na brzegu rzeki.

– Przejdźmy się kawałek – mówi Lisbeth.

Wchodzi do lasu, kłapiąc w zimowych botkach z Santalandu, o których myśli z wdzięcznością, i uśmiecha się w duchu na widok Mikaela, ślizgającego się w półbutach, które od razu przemakają. *Typowy sztokholmczyk bez pojęcia, jak się zachowywać na łonie przyrody.*

Idą ścieżką, wprawdzie niewyraźną, ale używaną dostatecznie często, aby nie zarosła. Prowadzi mocno w górę. Mikael sapie, posuwając się za Lisbeth.

– Jak tam twoja kondycja, Blomkvist?

– Owszem, idź, idź.

Ze szczytu roztacza się szeroki widok. Jak okiem sięgnąć rozpościera się przed nimi szachownica, na którą składa się las i znów las na przemian z gołoborzem, ale żadnych budynków. Żadnego dymu z komina czy innych oznak życia.

– Pięknie tu, ale straszna głusza. Jak można chcieć tutaj mieszkać? – dziwi się Mikael.

– W każdym razie nie spotyka się innych ludzi – uważa Lisbeth, wpatrując się w mapę.

– Na dodatek zimno jak cholera. – Mikael powstrzymuje odruch, żeby stanąć blisko niej. Może nawet objąć ją ramieniem. Wciągnąć w nozdrza jej wyjątkowy zapach i pocałować. Wessać między zęby jej kolczyk na wardze i...

Przestań! Wykorzystujesz kobiety, żeby się utwierdzić w swojej męskości. To dlatego nie zakochujesz się nigdy naprawdę.

Co ci strzeliło do głowy, Eriko Berger?

Jednak ona ma rację. Mikael chce, żeby Lisbeth go widziała. Widziała w nim mężczyznę, jego prawdziwe ja.

– Mogli popłynąć rzeką albo też pojechali całkiem inną drogą – mówi Lisbeth.

– Pewnie tak, marnujemy tylko czas.

– Sprawdziłam największy obecny projekt Sala, czyli farmę wiatrową i firmy, które są rozważane jako wykonawcy – ciągnie Lisbeth. – Finska Fortum jest tak transparentna, że to niemal śmieszne. Holendrzy są odrobinę bardziej dyskretni, ale rozpoznawalni, jak już człowiek trochę poszuka. Natomiast trzecia firma, The Branco Group, jest dość emocjonująca.

– Tak? W jakim sensie?

– W tym, że prawie jej nie ma. Zleciłam Plague'owi, żeby poszukał w sieci, ale jak dotąd nie udało mu się znaleźć nic ponad to, co się pojawia po zwykłym googlowaniu. A więc bezosobowe zdjęcia z biura, ludzie ścisnący sobie ręce i tak dalej.

– Wydajesz się podekscytowana.

Lisbeth Salander. Szalona, cudowna, dziwna osobo. Jak ja mogłem ciebie przegapić?

– Lubię nowe problemy, bo wtedy nie myślę o starych.

– Przecież gmina musiała mieć jakieś ekonomiczne przesłanki, żeby wybrać tę firmę – mówi Mikael. – W takim razie powinno się to znajdować w dokumentach dostępnych publicznie. Pójdę tam dziś po południu.

– To raczej wątpliwe – twierdzi Lisbeth. – Duże firmy na pewno zastrzegają sobie poufność i nie udostępniają swoich danych. Natomiast znaleźliśmy sporo na Sala. Wydaje się, że ma długi hazardowe. I to spore. Parę dni temu jakby zostały wysłuchane jego modlitwy, bo na konto wpłynęło mu sześćset tysięcy koron. Niestety nie udało się ustalić wpłacającego.

– Nie boisz się, że wpadniesz, kiedy wtykasz nos w prywatne sprawy innych ludzi?

– Żebyś wiedział, co znalazłam na twój temat! – szturcha go w ramię.

– Aua! Salander!

– Sorry.

Wracając w miejsce ze szlabanem, przystają koło budynków. Krzywa spękana tablica ostrzega obcych przed wejściem. Teren jest ogrodzony, narzędzie Lisbeth znów się przydaje.

Dom jest bardziej niż opuszczony. Przez drzwi wije się gałąź drzewa. Tapety w środku zwisają luźnymi płatami.

– Dziwne, że zostawili meble. – Lisbeth otwiera szafkę. – Nawet porcelanę.

– A Lukasa nie ma. – Rączka chłopca w jego dłoni. Kręcone włosy, łaskoczące twarz.

Odpieprz się od Henry’ego. To nie jego wina, że Lukas został uprowadzony. Równie dobrze może być twoja.

Wciąż tkwi w nim wybuch złości Pernilli, męczy go. Chciałby wyjść jej naprzeciw i wyprzeć ze świadomości potencjalną winę Henry’ego, ale nie potrafi. Naturalny trop to biznesy Sala. Mikael musi pójść tym tropem, nawet jeśli narazi w ten sposób na szwank swoje i tak kruche relacje z córką. Jest kiepskim ojcem, ale jeśli nie będzie mu wolno pozostać Mikaelem Blomkvistem, stanie się nikim.

Lisbeth naciska drzwi szopy. Oczy przyzwyczajają się do ciemności dopiero po chwili.

– Samochód – mówi Mikael, uruchamiając latarkę w telefonie. – Jak policja mogła go przeoczyć?

– Chociaż ma tak kompetentnego szefa – dodaje Lisbeth. Naciąga koszulkę na dłoń i otwiera przednie drzwi. Poza paczką gumy do żucia między siedzeniami w środku jest pusto.

Drzwi przesuwne się zacinają. Otwierają je wspólnie. Też pusto. Mikael świeci na siedzenia i podłogę.

– Czekaj – odzywa się Lisbeth – poświeć jeszcze raz między siedzeniami. – Przesuwa dłonią w sнопie światła z latarki i wyławia kawałek metalu.

– Kotwica – mówi Mikael.

Ten łańcuszek będzie cię osłaniał przed złem.

Ale nie przed całym złem.

– A ty nie miałeś takiego marynarskiego wisiorka? – pyta Lisbeth.

– Owszem. Latem dałem go Lukasowi.

Mikael musi wyjść. Potrzebuje powietrza. Musi odetchnąć. Pomyśleć.

Lisbeth robi jeszcze kilka zdjęć, domyka drzwi szopy i zamyka rygiel.

Mikael już siedzi w samochodzie.

– Znajdziemy go – mówi Lisbeth, a Mikael pociąga nosem i opiera głowę o szybę.

– Był u mnie w lecie. Z początku nie chciałem tego, uważałem, że opieka nad czyimś dzieckiem będzie dla mnie za trudna.

– Dziecko Pernilli, twój wnuk, to nie jest czyjeś dziecko – oponuje Lisbeth.

– Właśnie, a kiedy przyjechała, żeby go zabrać, nie chciał wyjeżdżać.

– Dziwne dziecko – zauważa zgryźliwie Lisbeth, wyjmując serwetkę.

– Wiem – odpowiada Mikael, wycierając nos. – Przepraszam, ja nigdy nie płaczę. Ty też, prawda?

Kiedy ostatnio płakałaś?

Nie pamiętam.

A kiedy – jak mu było, temu dobremu człowiekowi – umarł Holger Palmgren?

Nie płakałam.

A jak umarła mama?

Nie.

Płacz może być oczyszczający.

Na pewno, panie Inge Ågren.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, to może policja znajdzie jakieś odciski palców. Wygoogluj DXC 711.

– To jakaś kwiaciarnia Sirius w Luleå – mówi Mikael.

– No i masz swoją gwiazdę.

SPRZĄTACZ OTRZYMAŁ zamówiony plik świeżych gazet, opakowanie kakao O'boy, mleko i kilogram drobnych słodczy.

– Nigdy nie miałem do czynienia z dzieckiem – mówi do dostawcy. – Co się robi z dzieckiem?

– Czy ja wiem... Wymyśla się jakieś miłe zajęcia na piątkowy wieczór.

Sprzątacz odcina opaskę zaciskową na kostkach chłopca i pozwala mu usiąść. Nakrywa do śniadania i nalewa sobie kawę.

Chłopak pije kakao i odkrawa sobie kawałek kiełbasy. Sprzątacz korzysta z okazji i czyści broń. Wyjmuje magazynek. Wymontowuje sprężynę uderzeniową i iglicę, ogląda je starannie. Wyciera ściereczką i wkłada z powrotem.

Ogień trzaska w piecu. W chacie robi się przytulnie. Jest piątek i jest miło.

– Zrobimy sobie dzisiaj wycieczkę. Jeśli spróbujesz uciekać, to cię od razu zabiję.

Chłopiec siorbie resztę kakao. Umierająca mucha uderza leniwie o szybę. Egzema na łokciu swędzi jak po ugryzieniu komara. Gdzieś czytał o maści zmijowej i kto wie. Może drogę przetnie im żmija, również zając i lis.

Idą do pierwszego orlego gniazda. Przodem chłopiec. Sprzątacz nie zna jego imienia. Chłopiec mówił mu nie raz, ale sprzątacz nie pamięta. Nie chce pamiętać. Wystarczy „chłopiec”. Dogadują się.

Kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Zaczekaj – szepcze i pokazuje palcem na koronę sosny. Patyczki i gałązki splecione jak koszyk zwisają w rozwidleniu gałęzi. Gniazdo kołysze się na wietrze. Z drzew kapie roztopiony śnieg.

– Mieszka w nim ktoś? – pyta szeptem Lukas.

– Nie, teraz nie. Samica zaczyna znosić jaja w marcu. Wysiaduje każde przez trzydzieści osiem dni, po których pisklęta się wykluwają. Gdybym ich nie wspierał karmą, połowa z nich by zginęła.

– Dlaczego szepczemy?

– Żeby ich nie wystraszyć. Są w pobliżu. Chodź, to zobaczysz.

Idą jeszcze kawałek. Chłopiec nie ma prawdziwego ubrania. Żeby mu nie było zimno, na weselne ubranie włożył należącą do sprzątacza kurtkę Helly Hansen, przewiązaną sznurem w pasie. Na potykających się stopach ma adidas sprzątacza wypełnione pierzem z poduszki.

Sprzątacznik pokazuje mu gestem, żeby się zatrzymał, a sam opróżnia swoje wiadro na polance.

Lukas mógłby pobiec. Gdzieś musi być jakaś droga. Patrzy na mężczyznę, który podchodzi do paśnika. Zostaje w miejscu. Wiatr przynosi smród mięsa. Oczy łzawią. Ścisną go w żołądku. Chłopiec zaciska zęby i stojąc, czeka na następny sygnał.

– Chodź – mówi sprzątacznik i wpełza pod sosnę. Chłopiec za nim. – Usiądź na mojej kurtce – ciągnie mężczyzna i rozkłada ją na ziemi.

Lukas przyciska do niego nogi, żeby było ciepło.

Ramię sprzątacza wisi w powietrzu nad ich głowami. Pierwszy orzeł ląduje przy mięsie. Ramię obejmuje Lukasa, który wciska się pod pachę sprzątacza.

– Zimno ci? – pyta sprzątacznik, pocierając jego rękę.

– Trochę.

Najpierw jeden orzeł, potem dwa. Trzeci walczy o miejsce w hierarchii.

– Piękne, nie? – szepcze sprzątacznik, podając mu lornetkę.

– Tak – szepcze Lukas. – Chciałbym je narysować. Mógłbyś im zrobić zdjęcie?

Sprzątacznik wyjmując telefon. Obraca nim na różne strony.

– Pokażę ci – szepcze Lukas. – A potem naciśnij tu.

Jak szybko przyszli, tak samo szybko jest już po wszystkim. Orły wzbijają się pod niebo, a oni wracają do chaty.

Sprzątacznik rozpala nowy ogień w piecu. Zrywa papierowe opakowanie z wałka z folią spożywczą i razem z ogryzkiem ołówka podaje Lukasowi. Następnie wyjmując torbę ze słodyczami, odgina brzegi i stawia ją na stole.

– Które lubisz najbardziej? – pyta.

– Te kwaśne – mówi Lukas. – Moja mama jest dobra – ciągnie. – Nie powinna była wychodzić za męża. Dobrze nam było tylko we dwoje.

Sprzątacznalewa sobie trochę whisky do czerpaka.

– Henry jest lepszy, niż myślisz – mówi, a chłopiec podnosi wzrok.

– Henry. A ty go znasz?

Moment. Poczucie wspólnoty. Nieoczekiwane zaufanie.

– Henry jest moim starszym bratem – mówi sprzątacznalewa i natychmiast tego żałuje.

Teraz już nie ma odwrotu. A skoro nie da się cofnąć tych słów, można równie dobrze mówić dalej.

– Można na to spojrzeć jak na bajkę – mówi sprzątacznalewa.

Chłopiec rysuje, a on opowiada. Nalewa sobie jeszcze odrobinę whisky i gromadzi słowa. Nigdy nie wypowiadał ich głośno. Mimo to grały w nim zawsze jak stara płyta.

– Mój brat był silniejszy ode mnie. Od wszystkich. Ze mnie była tylko skóra i kości. Trochę tak jak ty. Mały, chudy i chorowity. Z naszego ojca był istny diabeł. A z matki motyl. *Uciekaj, Joar, uciekaj do lasu*. No i uciekałem. Odważyłem się wrócić po wielu godzinach. Henry siedział na schodkach przed domem. Diabła nie było. Za to nasza matka... nasza matka... Nieważne. Dawne dzieje. Pora na ciebie, powinieneś iść spać.

Chłopiec patrzy na stopy.

– Tak, musisz – mówi sprzątacznalewa.

Zakłada mu opaskę zaciskową wokół kostek.

Chłopiec odwraca się i kładzie sobie poduszkę na głowie.

Płacz tkwi w balach leśnej chaty zbudowanej w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym.

Następnego dnia krajobraz jest cały w bieli. W nocy spadło dwadzieścia centymetrów śniegu i nadal sypie, ale pomiędzy drzewami nisko świeci słońce. Sprzątacznalewa bierze kawę i wychodzi na schodki przed domem. Sika pod drzewem i powoli pozwala sobie wrócić do myśli z nocy.

Chłopak śpi. Zasnął. On w tym czasie nalał sobie resztkę whisky i przejrzał „Gaskassen” z ostatniego tygodnia. Uważnie przeczytał nekrologi i fantazjował o nowym życiu.

Dobrze mu jest. Lepiej niż większości ludzi. A jednak czas podjąć nowe decyzje.

Nikt nie wie, kim jest. Ani Henry, ani nikt inny. Oprócz chłopca.
Sprzątacze wchodzi do środka i budzi go.
Odcina opaskę uciskową i popycha go w stronę drzwi.
Czy dostrzeżę bosa stopy na śniegu?
Nie.
Ramiona, które pokrywają się gęsią skórą na zimnie?
Czy słyszy jego proszący głos?
Nie.
Czy widzi orła, który nurkuje w stronę chłopca i wbija szpony w jego ramiona?
Tak.
I słyszy krzyk. Dziób, który dźga kark chłopca, i krzyk.
Życie za życie.
Strzela.
Ptak spada na ziemię.
Chłopiec krwawi.
Sprzątacze podnosi ciało i wnosi do chaty.
Nie wie, czy chłopiec żyje.
Jednak wszystko, co przedtem wymyślił, zniknęło.
Grzeje wodę.
Przemywa rany i obwiązuje je szarpami ze starego T-shirtu.
Podtyka chłopcu pod nos torebkę ze słodyczami i modli się za niego.
– Boże – mówi – nie jestem mordercą dzieci. Zgódź się, żeby przynajmniej on przeżył.

UWAŻANIE NA LEKCJACH wiedzy o świecie współczesnym naprawdę się może opłacić.

– Przepraszam. – Svala zwraca się do recepcjonistki. – Przygotowujemy w szkole pracę grupową. Chciałabym poprosić o dokumenty dotyczące politycznych decyzji w sprawie farmy wiatrowej. Jeśli dobrze rozumiem, mogą być udostępnione w trybie informacji publicznej.

– Oczywiście – odpowiada dziewczyna za szybą. – Nie tylko ty przyszłaś dzisiaj w tej sprawie. Chwilę temu był tu jakiś dziennikarz ze Sztokholmu. Nie wiem, co w tej dziurze może być ciekawego. Ja się stąd wyprowadzę, kiedy tylko będę mogła. A tu tylko dorabiam. Czy chcesz również korespondencję mailową, czy wystarczą dokumenty z rady gminy?

– Wszystko. Nasz nauczyciel chce, żeby klasa angażowała się w sprawy publiczne. Muszę poprawić sobie ocenę.

– Wygląda na to, że twoim nauczycielem jest Evert Nilsson – mówi dziewczyna z dwuznacznym uśmiechem.

– Zgadła pani. Nie można powiedzieć, żeby sypał dobrymi ocenami.

– Rzeczywiście, ale on jest dobry.

Pewnie tak, w oczach tych słabszych i znudzonych uczniów. Pod warunkiem, że facet zapewni sobie główną rolę. Svala ma dosyć dyskusowania z nim. Zazwyczaj kończy się tak, że każe jej być cicho.

Po dłużącej się półgodzinie spędzonej przez Svalę na lekturze „Svensk Damtidning” dziewczyna wraca z papierową torbą zawierającą dokumenty i lekturę na dłuższy czas.

– Baw się dobrze – mówi – i pozdrów Everta Nilssona.

Svala idzie do biblioteki. Po pewnym wahaniu wysyła esemesa do Lisbeth. *Przygotowuję referat w bibliotece. Wrócę późno.*

Powinna właściwie powiedzieć ciotce wszystko od początku do końca. Im więcej będzie wiedziała, tym trudniej będzie Svali zrobić to, co musi. Jej lista nie jest długa, tylko krótka: 1. Znaleźć Mamamärte. 2. Dorwać Plastpedera.

Przejrzenie zawartości torby zabiera jej całe popołudnie. *Robię to dla ciebie, Marianne*. Plany oddania ziemi do dyspozycji budowniczym jednej z największych na świecie farm wiatrowych liczą sobie wiele lat. Informacje, które mogą okazać się interesujące, Svala odkłada na bok – są to między innymi listy protestacyjne i odwołania od różnych decyzji.

Najlepsze kąski przypadły w gruncie rzeczy nie tyle gminie, ile Gminnym Spółkom, a do nich nie ma dostępu. One podlegają przepisom o spółkach akcyjnych. Ich działalność nie jest objęta zasadami dostępu publicznego, wyjątkiem są jedynie ich sprawozdania roczne. Z całego tego materiału Svala nie rozumie tylko jednego maila z datą 25 października.

To mail od Henry’ego Salo do The Branco Group i ich odpowiedź. *Zegar tyka*.

Wszystko jedno. Svala nie musi wszystkiego rozumieć. Wie najważniejsze: prawo jest po stronie Marianne Lekatt.

Skrytka pocztowa albo bagażowa w przechowalni. Svala idzie na dworzec.

– Mam opróżnić naszą skrytkę, ale zapomniałam numeru – mówi Svala i pokazuje kluczyk osobie, która wygląda na pracownika.

– To nie jest kluczyk do skrytki pocztowej – mówi tamten. – Przynajmniej nie u nas w Gasskas.

– Trudno, dziękuję – mówi Svala i idzie do poczekalni. Szynobus do Boden odjeżdża za chwilę. Wjeżdża inny z Luleå. Nikt w tłumie nie zwraca uwagi na dziewczynkę, która przechodzi od przegródki do przegródki i sprawdza, czy klucz pasuje.

Nikt z wyjątkiem jednego człowieka. Mikaela Blomkvista. A on znów jest myślami przy Lisbeth. Chciałby poznać ją naprawdę. Nie tylko jako osobę, która pojawia się wtedy, gdy on potrzebuje jej pomocy.

– Cześć – zwraca się do Svali. – Zdaje się, że czegoś szukasz. Mogę ci pomóc?

– Nie, ale dziękuję.

– Chyba oboje nosimy torby z tymi samymi dokumentami. Przepraszam, że się wtrącam.

– Będzie pan pisał o farmie wiatrowej? – pyta Svala.

– Tak, a ty?

– Referat do szkoły.

– Przygotowałaś sobie jakiś tytuł?

Okazuje się, że Svala ma ich kilka:

– Niedemokratyczny proces decyzyjny przy sprzedaży praw do udziałów w farmie wiatrowej. Chciwy szef gminy ma się czym pochwalić. Albo co pan sądzi o tym: Morderstwo i szantaż ceną za budowę farmy wiatrowej.

Mikael Blomkvist aż gwizdże.

– Nieźle – mówi. – Chyba będę musiał spojrzeć na to pod innym kątem. Gdybyś miała ochotę wypić coś, a może zjeść, to może przysiadziemy w kawiarni?

Svala się waha. Mógłby jej się przydać, ale jest ryzyko, że to tylko przeciągnie rzecz w czasie, podczas którego będzie musiała siedzieć, słuchając grzecznie wykładu tego dziada.

– Dziękuję, ale nie, spieszę się do domu, znalazłam już to, czego potrzebuję. Może pan wziąć moje notatki – mówi, grzebiąc w swojej torbie.

Kiedy Mikael znika za rogiem koło Seven-Eleven, Svala podchodzi do ostatniego rzędu skrytek bagażowych. Nie wiąże z nimi większych nadziei. Są w większości puste, klucze tkwią w zamkach wszystkich przegródek z wyjątkiem dwóch w głębi. Od razu czuje, że klucz pasuje. Rozgląda się przed otwarciem szafki. Nie ma dziennikarza ani nikogo innego, kto by się nią interesował.

Karton w rodzaju pudełka na buty. Svala popycha go lekko, żeby ocenić ciężar. Nieduży. Wieko przyklejone srebrną taśmą. Dziewczynka podstawia torbę i zsuwa do niej karton. Następnie wychodzi z budynku dworca i podąża w stronę centrum. Na Nygatan zmienia zdanie i idzie w przeciwnym kierunku.

Za nią rusza dziennikarz, tymczasem Svala jest za bardzo zmęczona i głodna, żeby zachować czujność.

Adidasy ślizgają się na błocie. Powinna była włożyć botki zimowe. Jednak zdzieranie zimowych butów przed nadejściem śniegów to jakby latem jeździć na oponach zimowych. Powiedzenie ukute pewnie przez Mamamärte albo inną samotną matkę ze słabością do pasożytujących face-tów i białego wina.

Żołądek domaga się jedzenia, więc Svala myśli o słowach mających pomóc w niemyśleniu o pizzy, której zapach wydostaje się z Buongiorno.

Las. Ziemia. Las. Ziemia.
Ziemia przytrzymuje mnie w dole.
Drzewa wciągają mnie do góry.
Między nimi jest tylko powietrze.
Las. Ziemia. Las. Ziemia.
Żebym mogła oddychać.

Odruchowo poszła w stronę Tjädervägen zamiast do Statt. Może Buongiorno to miejsce, którego należałoby unikać. Svala naciąga kaptur. Wygląda jak każda marznąca nastolatka, jednak widocznie nie dla wszystkich.

– Czekaj! – Poznałaby ten głos, nawet gdyby mówił, stojąc nad jej grobem. Plastpeder.

Svala przyspiesza kroku.

– Cholera jasna, przecież ci mówię, dzieciaku, że masz zaczekać.

Z takim brzuchem i przepalonymi płucami na pewno nie jest sprinterem, ale Svala też nie, zważywszy na śliskie buty i torbę, która wrzyna jej się w dłoń.

Kiedy jest już tuż za nią i słycać odmě syczącą jej w kark, dziewczyna odwraca się.

– Czego chcesz?

– Tylko pogadać.

– Nie – mówi Svala i znów rusza. – Nie mamy o czym. – A może to głupie? Może Plastpeder się wygada, powie coś o Mamamärcie. – O czym mamy gadać?

– Dawno się nie widzieliśmy, chciałem się tylko dowiedzieć, jak się miewasz.

Gdy rzeczywistość prześciga zmyślenie...

– Zdaje się, że się przeprowadziłyście – dodaje.

– Przepraszam, zapomnieliśmy wysłać zawiadomienie o przeprowadzce.

– Svala rusza przed siebie.

On łapie ją mocno za ramię, Svala upuszcza torbę i musi się zatrzymać.

– Twoja matka ukradła mi jedną rzecz. Może wiesz, o co mi chodzi.

– Nie umiem czytać w myślach.

– Twardy dysk. Mój twardy dysk.

Słyszała coś o twardym dysku? Nie. Svala chwyta mocniej torbę.

Tamten wciąż próbuje.

– Twoja matka jest winna pieniądze. Jeśli nie powiesz, gdzie ona jest, będziesz musiała to odpracować. – Formuje lewą rękę w literę O i palcem prawej przeciąga tam i z powrotem.

Svala odwraca głowę.

– Udajesz głupiego czy co? Przecież już wysłałeś za mną swoich mięśniaków na sterydach.

Plastpeder jest autentycznie zdezorientowany. Nie ma pojęcia, o czym ona mówi.

– Jörgen i Buddha – tłumaczy jak komu dobremu i opowiada, do czego ją zmusili i jak pilnowali jej mieszkania.

Wtedy ją puszcza. I całe szczęście. Mikael Blomkvist stoi pod balustradą pizzerii Buongiorno i obserwuje przebieg zdarzeń. Kiedy typek zaczyna ją szarpać, stawia torbę na ziemi i już jest gotów podbiec. Jednak tamten puszcza dziewczynę i zawraca do pizzerii, a Mikael wślizguje się wtedy do środka i zamawia piwo przy barze. Słucha rozmowy, odwrócony tyłem do stołu, gdzie ktoś o czarującym sposobie bycia cieszy wszystkich, bekając głośno po każdym łyku.

– Dzieciak nie wie – mówi Peder Sandberg do siedzącego naprzeciw mężczyzny.

– Mięczak z ciebie – odpowiada tamten. – Trzeba było ją trochę uszkodzić. Tak się skłania dziewczynki do mówienia.

– Tej nie – mamrocze Sandberg. – Ona nie czuje bólu. Możesz jej wyrwać ramię ze stawu, a nawet się nie skrzywi. Wierz mi, bo próbowałem. Właśnie, wspomniała o tobie.

– A, wierzę. Dziewczyny zazwyczaj o mnie mówią.

Jörgen nawet nie zdąży mrugnąć, jak Peder Sandberg łapie go za włosy i wali jego twarzą o pizzę. Krew z nosa i sos pomidorowy mieszają się. Siedząca obok rodzina z dziećmi łapie swoje kurtki i ucieka na ulicę.

– Przejedziemy się – mówi Sandberg do tamtego i popycha go w stronę zaparkowanego przed lokalem bmw z matowym lakierem i przyciemnionymi szybami.

Mikael widzi przez witrynę, jak Sandberg wpycha zakrwawionego typa na tylne siedzenie, a sam wskakuje obok. Mikael robi zdjęcie, które obejmuje połowę numeru rejestracyjnego.

Znasz ich?, esemesuje do Lisbeth.

Jeden to ojczym Svali. Czy ona tam jest?

Nie, przypuszczam, że już wraca do ciebie.

GDY JÖRGEN, A RACZEJ DANIEL PERSSON – w zasadzie tylko jego matka wie, że tak się nazywa – domyśla się, że jadą do Vaukaliden, zaczyna błagać. Najpierw błagać, potem płakać.

– Zamknijże się – mówi Sandberg, z troski o tapicerkę powstrzymuje odruch, żeby walnąć jego twarzą o przednie oparcie. – Nic ci się nie stanie, jeśli tylko zrobisz, co mówię. Zjedź do Maxa, musimy też zabrać Ruska – mówi, szturchając pięścią ramię kierowcy.

Kierowca jest zawsze ten sam i nie ma imienia. Co innego, gdyby spytać Svalę. U niej ma na imię H, charakteryzują go baczki jak u Elvisa i zjeżdżające z tyłka spodnie. Rusek też ma swoją literę: J. Jest małomówny, ma rude włosy i zimą nosi okulary. Pod E jest tylko jedno określenie: tłuścioch.

– Nooo – odzywa się Sandberg, gdy Rusek już wszedł, a samochód zatrzymał się w najwyższym punkcie Vaukaliden. – Zdaje się, że zorganizowaliście sobie akcję na boku.

– Jakie tam na boku – mówi Jörgen i dostaje sójkę pod żebro. – Chcieliśmy się trochę rozerwać, pomyśleliśmy, że dzieciak mógłby załatwić kasę pancerną u Sala. Jej matka ma długi, sam to powiedziałaś. Chcieliśmy swoją działkę, tylko tyle.

– I dlatego napadliście na moją rodzinę. Bez pytania. Tak po prostu. W dodatku na dziecko.

– Kasa była pusta. Oczywiście mieliśmy się podzielić z tobą.

– A gdzie jest Buddha? – pyta Sandberg, przyciskając nóż do szyi Jörgena.

– Zniknął w lesie. Pobiegł za dzieciakiem i zniknął. Czekałem na niego, ale kiedy nie wracał, zwałem. Człowiek nie chce, żeby go zauważyli.

– Morda, geniuszu. Przecież Salo nigdy nie miał pieniędzy.

– Sam mówiłeś – oponuje Jörgen płaczącym głosem – że ma kasę pancerną, więc myśleliśmy...

– Wystarczy – odzywa się Rusek i wyciąga go z auta. W odróżnieniu od Sandberga nigdy nie był nożownikiem. Polega całkowicie na własnym ciele i swojej zasta ²². Bo jakkolwiek mówią na niego, nie jest Rosjaninem, tylko Bośniakiem.

Idą w stronę urwiska zwanego potocznie fińskim, od pewnego pijanego Fina, który spadł tam któregoś roku w latach pięćdziesiątych.

Poniżej urwiska płynie rzeka. W tym momencie jest tak czarna, że jej nie widać. Spadające ciało odbija się od skalnych ścian i wpadnie do wody.

– Powiedziałem ci, jak było, słowo, Peder, do cholery, ja nie chcę umierać, musisz zrozumieć, to była tylko zgrywa. Posłuchaj, przecież ja mam córkę, wiem, że to było złe. Przepraszam. Szczerze. Naprawdę. Przepraszam.

– Morda – drze się Peder Sandberg i mocniej przyciska mu do szyi czubek noża, który już się wbił kawałek w ten świński kark. Jeszcze trochę, a będą mogli upuścić mu krew jak w rzeźni.

Rusek z tego podniecenia oddaje przypadkowy strzał.

– Chcieliśmy się tylko trochę zabawić – szepcze Jörgen i w tym momencie ostatecznie nadużywa i tak niewielkiej cierpliwości Pedera, który się nie waha. Nie uwzględnia faktu, że zna tamtego od pierwszej klasy, że jest ojcem chrzestnym jego córki, zabiera nóż i spycha go z góry.

Pokłady tłuszczu osłaniają Jörgena przed pierwszym uderzeniem o skały. Jego ciało leci przez wilgotne jesienne powietrze, a on ma pełną świadomość wszystkiego, dopóki głową nie walnie w następny występ skalny, co posyła go prosto do nowego życia, tym razem we wcieleniu królika.

Jakiś człowiek na spacerze z psem myśli sobie, że to dziwna pora na polowanie.

Kobieta w domu opieki pyta, czy to Ruscy przyszli.

I w pewnym sensie tak jest.

Gdyby była tu Svala, sięgnęłaby do notesu ukrytego w małpce i narysowała nową kreskę.

E: zmarły.

JEST NOC CZY DZIEŃ? Tego Märta Hirak nie wie. Ani tego, od jak dawna tu jest. Przenieśli ją, to akurat wie. Tutaj nie ma już poduszek ani świec zapachowych. Powietrze jest ciężkie i wilgotne. Jak w piwnicy wykopanej w ziemi.

Ciemność za srebrną taśmą jest całkowita. Parę razy uwolnili jej usta. Na miseczkę zupy albo talerz klusek. Widocznie nie życzą sobie, żeby umarła. Chociaż ona ma wrażenie, że blisko jej do tego. Myślami wędruje do przeszłości, bo nie ma siły tkwić w teraźniejszości. To dotyczy nawet języka. W słowach dawnego języka odnajduje poczucie bezpieczeństwa.

Reny krążą wewnątrz ogrodzenia. Podążają jeden za drugim, dookoła, dookoła, zawsze przeciwnie do ruchu wskazówek zegara.

Cała wieś saamska zebrała się na redyk. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Wszyscy są potrzebni i robota wre. Przed jesienią trzeba oznakować nowe cielaki, u jednych zwierząt trzeba wyleczyć ukąszenia gzów, inne wybrać na rzeź. Letni wypas się skończył, po oznakowaniu zostaną przetransportowane na wschód, żeby się podkarmiły przed prawdziwą zimą.

To pierwszy rok, gdy Märta ma własne łąsko, ale ćwiczyła od dzieciństwa. Dziś ma czternaście lat, wybiera sobie właściwy znak i oblicza odległość. Długość jej ramion, salla, wynosi metr czterdzieści. I to salla przesądza o odległości, na jaką może rzucać.

Zaczyna ostrożnie od jednego cielaka. Pierwszy rzut lassem jest nieudany, następny już tak. Teraz zaczyna się walka. Cielak walczy o wolność, a Märta o to, by go wprowadzić do pułapki.

O ileś takich zmaganiach później, kiedy z wysiłku bolą ją ramiona, siada przy ognisku razem z innymi. Wie, że łąsko to honor przynależny mężczy-

znom. Nie jej. Märta się nie odzywa, ale w środku wyklóca się: ja też chcę, nie jestem gorsza od moich braci. Mam własny znak. Dajcie mi własne stado.

– Nie dość, że jest tak trudno podtrzymywać nasze tradycje, to jeszcze baby się napierają jak jakieś feministki ze Sztokholmu – odzywa się Elias. Jest cztery lata starszy, ale już cieszy się autorytetem. Kobiety mają swoje obowiązki, a mężczyźni swoje. Lasso to sprzęt męski, koniec i kropka.

Później, gdy ognisko prawie wygasło i większość się rozeszła, ojciec odwraca się do niej i szepcze:

– Dobrze sobie dzisiaj radziłaś.

Tato. Co się stało?

Märta otrząsa się z dawnych wspomnień. Bo czymże są, jeśli nie wspomnieniami, do tego starymi?

– Halo, mówię do ciebie – odzywa się Varg. Zrywa jej z ust taśmę razem z płåtami skóry. Märta wykrzywia wargi, próbując je uformować do wypowiedzenia słów.

– Przepraszam, nie słyszałam.

– Pogadamy sobie we dwoje – ciągnie Varg i podnosi ją do pozycji stojącej.

Gdyby tylko mogła widzieć.

– Do tego, żeby rozmawiać, nie potrzebujesz oczu – mówi Varg i kopie ją.

Varg ²³, tak się nazywa? Wilk czyha na reny. Goni za cielakami, tak samo zresztą jak rosomak, ryś czy niedźwiedź. Trzeba do nich strzelać. Märta znajduje w tym niejaką pociechę.

Varg sadza ją na krześle.

Ręce na stół.

Ten odgłos. Stukania noża. Taki znajomy, a jednak.

– Ups! – Märta krzyczy, gdy nóż przebija palec. Przyciąga rękę, wtedy następuje uderzenie w głowę.

Podsuń palce. Jakiś nowy głos. Kobięcy. Dźganie zaczyna się ponownie. Z każdym stuknięciem noża rośnie jej lęk. *Nie w moje ręce!*

– Ups! Znów mi się omsknął. – Märta zmusza się do pozostawienia rąk na stole. Stuk, stuk, stuk.

Otwierają się drzwi. Kiedy nie widzi, wszystkie odgłosy wydają się wzmocnione. Koła, toczą się, może wózek, nie, to fotel inwalidzki.

– Teraz ja to przejmę. I przynieście, do cholery, coś do wytarcia. Nie chcę krwawych strzępów na mojej koszuli. Cześć, Märta – mówi głos, teraz już spokojniej.

– Cześć – wydusza z siebie.

– Podobno masz coś, co nie należy do ciebie.

– Niby co?

– Twardy dysk.

Märta leży z głową na jego ramieniu. Słońce schodzi po nieboskłonie. Pokój wydaje się płonąć żywym ogniem. Ogniem było jego ciało. I jej. On owija sobie jej włosy na palec. Puszczą i zaczyna od nowa. Świat na zewnątrz trwa. Tu w środku go nie ma. Nie ma ani jej, ani Henry’ego. Jest tylko chwilowa przerwa na oddech. Märta wstaje, ubiera się. Wyjmuje coś z kieszeni. Kluczyk. Mogę cię prosić o przysługę? Możesz prosić o wszystko.

Märta rozumie, że nie ma sensu kłamać. To, rzecz jasna, przez tego idiotę Pedera. Ujrzał szansę, żeby się zemścić. Było to do przewidzenia.

– Nie mam go. – Następuje spodziewany cios w kark. Już zaczęła ich poznawać. – Wrzuciłam go do rzeki. I tak nikt nie zna hasła. – Kolejny cios, tym razem mocniejszy.

– Może chcesz herbaty – mówi tamten. Nie odpowiada mu, tylko wyobraża sobie, że jej twarz pokrywa powłoka ochronna. No i jest. Chlust. On się pewnie napawa tym, a więc Märta jęczy, żeby go zadowolić. Bo tę rozkosz daje mu cudzy ból.

– Pewnie jest ciężko nie mieć nóg – odzywa się Märta. – To dziecięce porażenie mózgowe? A może twoja matka przećpała ci jakąś fazę rozwojową. – Strzela w ciemno. Jeśli od razu doprowadzą ją do utraty przytomności, nie będzie mogła odpowiedzieć. Nigdy się nie dowiedzą.

Przeliczyła się, bo on się śmieje.

– Ona jest naprawdę zabawna – mówi. Inni też się śmieją posłusznie. Kobieta ochryple. Trzeba to zapamiętać.

– Zawsze jest wybór – mówi ten na wózku. – W twoim przypadku wygląda to tak, że albo powiesz, gdzie jest ten twardy dysk, albo zabijemy twoją córkę. Swała, chyba tak ma na imię?

Można też nic nie mówić. W tym momencie Märce wydaje się to dobrą strategią.

Teraz jest dzień czy noc? Märta nie wie. Żyje? Nie wie. Henry gładzi ją po plecach. *Zawsze będziemy parą.*

– TERAZ MIESZKAMY TUTAJ, koniec i kropka – oznajmia Lisbeth, bierze sobie colę z minibaru i odkłada dziennik Märty na stolik nocny. – Po powrocie chętnie sobie jeszcze poczytam.

– Ja się tu czuję jak więzień – mówi Svala. – Nawet nie można sobie nic ugotować.

– Możesz wychodzić i wracać, kiedy chcesz, ale wystrzegaj się długowłosych facetów w skórzanych kamizelach. A poza tym co złego jest w tym, że ci dostarczą jedzenie z restauracji?

– Miałabym ochotę zrelaksować się przed telewizorem – ciągnie Svala.
– Nie mogłabyś zostać i obejrzeć ze mną jakiś film?

– Dobrze, tylko się najpierw przelecę. Nie wrócę późno. Na czwórcę idzie *Czas apokalipsy*. Widziałaś go?

– Nie. Spotkasz się znów z tą gliną?

– Obejrzenie tego filmu jest częścią ogólnego wykształcenia. Do zobaczenia – mówi Lisbeth.

Ranger jedzie przez miasto, mrużąc jak kot. Jej oczekiwania mruczą jak tygrys. Lisbeth parkuje przed budynkiem policji. Po dziesięciu minutach dzwoni Jessica i przeprosza.

– Kilkoro kolegów się pochorowało, miałam zupełnie rozbity dzień – tłumaczy i ścisza głos. – Faste postanowił, że sami rozwiążemy sprawę porwania, bez pomocy NOA ²⁴. Robi się, kurde, coraz gorszy. Zleca zadania aspirantowi bez doświadczenia, żeby sam mógł dobrze wypaść w cudzych oczach. Nie robimy żadnych postępów.

– Chętnie pomogę. Pozbieraj swoje rzeczy, czekam na dole.

– Przykro mi, Lisbeth, ale nie da się. Niektórzy mają za sobą potrójnie przedłużony dyżur i muszą się przespać.

– My też będziemy pracować. Jeden ostatni króciutki dyżur, nie pożałujesz.

– O czym to będzie?

– Przejdziemy do tego później.

– Dobra, szefie – mówi Jessica, podając jej papierowy kubek kawy – dokąd jedziemy? Najlepiej, gdybyś powiedziała, że do domu spać.

– Niedługo. Najpierw pojedziemy do tych ze Svavelsjö. Mają otwartą imprezę.

– Do Svavelsjö, zwariowałaś?

– Skoro czytałaś w sieci moją autobiografię, to wiesz, że łączy mnie z nimi wyjątkowa relacja.

– To mi chyba umknęło – mówi Jessica. – Obserwujemy ich i ciągle do nich jeździmy. Na razie wyglądają tylko na zgraję pozerów, którzy wciąż czyszczą swoje motocykle, ale to bardzo kiepski pomysł, żeby jechać do nich bez broni i po cywilnemu.

– No to idź po kławkę, jeśli poczujesz się z nią bezpieczniej. Zaczekam.

– Policjantka na tajnej misji razem z Lisbeth Salander. Gdyby to wyszło na jaw, to w tym samym momencie straciłabym pracę.

– No weź, przecież idziemy tylko na imprezę.

– W takim razie bez broni. Prywatnie. Idiotka, która szuka towarzystwa szumowin w celach badawczych.

– Postoimy tylko przy barze i będziemy ładne. Okej?

– Lubię cię – mówi Jessica. – Może nawet więcej. Chyba jestem w tobie trochę zakochana. – *Włosy. Usta. Nogi Barbie.* – Jednak domyślałam się, że nie bez powodu idziesz na party do mętów.

– Oni mają związki z Salem, w każdym razie pośrednio.

– Na czym to opierasz?

– Na biznesach Sala. Chyba nawet policja musiała dostrzec ten związek, gdy chodzi o porwanie?

– No oczywiście, jednak nie znaleźliśmy nic, co by go łączyło ze Svavelsjö. To nadęty dureń, ale takich jest wielu i nie muszą od razu być kryminalistami.

– Salo też nie musi być kryminalistą, żeby narozrabiać. On chce ratować deal dotyczący farmy wiatrowej. Ludzie ze Svavelsjö przyjmują każde zlecenie. A właśnie, co się dzieje z twoim fantastycznym byłym mężem Henke?

– Jest w psychiatryku. Zadzwoił i groził, że sobie życie odbierze, więc posłaliśmy do niego karetkę. Nie wiedziałam, że jest aż tak źle. Okej, jest zazdrosny, ale żeby umierać?

– To się może każdemu zdarzyć – mówi Lisbeth. – A czasem mogą w tym nawet człowiekowi pomóc.

– On jest w Sunderbyn, a nie w Szwajcarii.

– Widziałaś filmiki na TikToku?

– Skasował je. On nie jest...

– Złym człowiekiem – dopowiada Lisbeth. – Może i nie, jest tylko zazdrosnym durniem, który uważa, że do końca życia powinnaś być sama, żeby jemu nie było trudno. Jeśli to nie jest zło, to już nie wiem, co nim jest.

– Poddaję się – mówi Jessica i ziewa. – Mogłybyśmy iść do łóżka wcześniej.

– Jeden krótki dyżur, a potem pojedziemy do ciebie.

– Albo do ciebie, gdzie teraz mieszkasz?

– W hotelu z dzieciakiem.

– Z dzieciakiem...

Lisbeth mija bramę na górze i parkuje możliwie najbliżej drzwi i najróżniejszych gruchotów, quadów i motocykli.

– Ten twój też jest niezły – zauważa Jessica, klepiąc rangera po masce.

– Człowiek stara się wpasować – odpowiada Lisbeth.

I właśnie to robią. W każdym razie na początku. W skórzanych kurtkach, czarnych lewisach i botkach nie są może odstawione jak tańczące laski ubrane w skóry, które mają być z definicji seksowne, ale wyglądają przynajmniej neutralnie.

Przechodzą przez parkiet obok skórzanych kamizelek i innej hałasty. Jessica potrafiłaby wymienić z pamięci ich imiona, nazwiska i rok urodzenia.

– Tak to jest być gliną w małym mieście – mówi. – Zna się wszystkich łobuzów. I co teraz zamierzasz? – pyta i teraz jest już policjantką Jessicą. – Chyba nie masz innych planów?

Ma? Nie. A, owszem.

– Tylko taki, że mam dość oglądania ich zakazanych mord przed hotelem. Chcą się dostać do Svali. Powinniśmy znaleźć Märte. Tu jej nie ma, bo już sprawdziłam to miejsce, ale może któryś z tych kręcących się tutaj typów zechce puścić farbę, żeby dodać sobie powagi.

Jessica już zaczyna żałować, że się zgodziła przyjechać z Lisbeth. Nie jest prywatną detektywką, tylko zwyczajną policjantką, oby z przyszłością, kiedy Hans Faste przejdzie na emeryturę albo umrze przedwcześnie. W odróżnieniu od Lisbeth ona nie szuka wrażeń. Chciałaby mieć zwyczajne życie i szansę, by być dobrą mamą. Lubi Lisbeth, ciągnie ją do niej jak mącznika do spizarni, ale trudno jej sobie wyobrazić tę kobietę w roli macochy dla swoich dzieci.

– A jeśli chodzi o Fastego – mówi Lisbeth – to są tropy w sprawie Lukasa, o których policja nie wie.

– Tego uprowadzonego chłopca? W takim razie chcę je poznać.

– Oczywiście, jeśli mi pomożesz, to ja pomogę tobie. Tylko musimy się czegoś napić.

– Prowadzisz.

– Tak. – Lisbeth kupuje dwie butelki piwa. – I nie rób min jak policjantka. Jesteśmy na imprezie.

To na pewno przez to zmęczenie, bo powinna była się tego spodziewać. Peder Sandberg.

– Chodźmy stąd – mówi Jessica, ale już jest za późno.

– Jessica Harnesk. Nie myślałem, że cię tutaj spotkam. Przeszłaś na drugą stronę? – Śmieje się głośno z własnych słów i odgarnia włosy z jej twarzy.

– Odwal się – mówi Jessica. – Jeśli nie chcesz trafić zaraz do małpiarni, to lepiej się cofnij.

– Ojej, ale się boję.

– Co to za debil? – pyta Lisbeth, chociaż wie.

– Peder Sandberg – mówi Jessica.

– Jej były były – dopowiada Peder, unosząc do góry butelkę w stronę Jessiki.

– Nigdy nie byliśmy ze sobą.

– Owszem, byliśmy. W łóżku byłaś prawdziwą dzikuską, kto by pomyślał, że zostaniesz policjantką.

Chodź, pójdziemy nad rzekę. Mam dosyć wszystkich. Zimno ci? To masz, weź moją kurtkę.

– Parę dni temu czytałam jedną rzecz – mówi Lisbeth. – Napisaną trochę dziecinnie i niedojrzale, ale bardzo do ciebie pasowała. To chyba nawet było o tobie. Tak – mówi – właśnie tak było. Plastpeder Sandberg, to musi być o tobie.

– Aha. – Sandberg krzyżuje ramiona. – Domyślam się, że autorką jest ta mała diablica. Menda jedna, nie żyłaby dzisiaj, gdyby nie ja.

– Właśnie, na pewno niejedną dobrą rzecz dla niej zrobiłeś, nawet jeśli to było dawno temu. Jednak ta mała diablica, jak ją nazywasz, jest bardzo dobra, gdy chodzi o sporządzanie map. Domyślasz się, co by ci się stało, gdyby policja się dowiedziała. Ups! – Lisbeth zatyka sobie usta ręką. – Zdaje się, że policja już tutaj jest.

Chodź, przebieralnia jest otwarta, wejdziemy tam.

Chyba powinnam iść do domu, mama nie śpi i czeka na mnie.

Twoja stara rozkłada nogi w Svartluten. A ty pewnie nie jesteś dużo lepsza.

Te same ręce i oczy. Inny czas, inne zadanie.

– Uważałbym na waszym miejscu – mówi Peder Sandberg. – Tu jest sporo takich, którzy chętnie zaliczyliby glinę.

– Nudzisz, lepiej wracaj do swoich, żeby imponować chłopaczkom – mówi na to Jessica.

– Może być – odzywa się Lisbeth i wbija mu palec w bark. On patrzy w bok, a potem szybko sięga jej łapą między nogi i popycha w tył.

Dzieje się to nagle. Zważywszy na to, co jej wiadomo o Sandbergu i podobnych mu genetycznych klonach, powinna być przygotowana. Wali głową w prowizoryczną ladę barową z opon i blachy falistej. Teraz chwycił ją za szyję. *Podnieść ramię ponad jego ręce i uderzyć go łokciem w skroń.* Jednak gdy brakuje powietrza, pojawia się panika. Widzenie tunelowe. Chęć poddania się. Za kilka sekund nastąpi utrata przytomności, chociaż do śmierci zostało jeszcze kilka minut.

Lisbeth, jesteś bushi, wojowniczką. Jeśli utraciłaś swoją katanę, to użyj własnego miecza.

Jessica udaje się poluzować jego chwyt, a wtedy Lisbeth układa palec wskazujący i środkowy w sztywne V i wyprowadza mu w oczy perfekcyjny *nihon-nukite*.

I znów pojawia się stary niezawodny i autonomiczny odruch, w który wyposażone jest ciało, aby chronić swoje witalne części. Gdy Sandberg puszcza jej szyję, aby chronić oczy, Lisbeth wyprowadza w górę *ura-zuki*. Sandberg zwija się w pół. Został unieszkodliwiony, przynajmniej chwilowo, wtedy Lisbeth może pozwolić sobie na trochę zabawy. Dłonią ustawioną pod kątem uderza sprężystym *shuto-uchi* w wałki tłuszczu na karku, a Sandberg osuwa się na podłogę, stając się jednym wielkim i kompletnie zdezorientowanym bólem.

– Krav maga – odzywa się policjantka.

– Karate. Nawet nie trzeba zbyt wiele – odpowiada Lisbeth. – Da się unieszkodliwić chama otwartą dłonią, byle celować w odpowiednie miejsce.

Wiem, że chcesz, więc się nie opieraj. Właśnie. Dobrze. Oooo. Ty dziwko cholerna, ale było dobrze, no nie?

– Fascynujące, ale może potrzeba mu jeszcze przypomnienia – mówi Jessica i wymierza mu kopniaka w tyłek, posyłając go na parkiet. Jednak zamiast pozwolić mu lizać rany i podnieść się z upokorzenia, kopie go jeszcze raz, i jeszcze raz. Imprezowicze tworzą wokół nich ryczący krąg. – Zabij, zabij, zabij.

To w końcu Lisbeth odciąga ją od jęczącego cielska Sandberga.

– Nie zabijać, wyłącznie postraszyć. A tam widzimy również wielkiego przywódcę – odzywa się Lisbeth, machając do Sonny’ego. – Ale chyba pora na nas, zanim jego komórki mózgowy zdążą wskoczyć na właściwe miejsce wzdłuż alei wspomnień. Miejmy nadzieję, że przesłanie trafiło tam, gdzie trzeba.

Żyj teraz, patrz w przyszłość, pamiętaj przeszłość.

Właśnie, Sonny Nieminen. Nie zapomnij, co było. Lata w więzieniu. Powstanie i upadek klubu. A przede wszystkim: nie zapomnij Lisbeth Salander.

Sonny zaciska pięści.

To ona. Znowu. To wręcz niemożliwe.

– Jedź – mówi Jessica i uparcie patrzy przed siebie aż do momentu, gdy Lisbeth zatrzymuje się przed jej domem. Wyłącza silnik i czeka, co przyniesie milczenie.

Coś się stało. Co?

Lisbeth ją przytula. Wdycha zapach splątanych włosów. Gładzi jej skrzydlate łopatki.

Przeżyłaś coś, z czym nie umiesz sobie sama poradzić. Jeśli potrafisz nazwać to słowami, będzie to już spore osiągnięcie.

Dzięki, Inge Ågren, jednak nie, są ludzie, którzy rozumieją wyłącznie język przemocy.

– Mów.

Jessica prostuje się na siedzeniu. Naciąga na dłonie rękawy koszulki. Szyby zaparowały od wydychanego powietrza.

– Zgwałcił mnie. I tyle. Lata temu. Na zakończenie roku w dziewiątej klasie. A potem przechwalał się przed każdym, kto chciał tego słuchać, czyli pewnie przed wszystkimi w całym Gasskas.

– A ty?

– Zachowałam się pewnie tak jak większość dziewczyn, milczałam i cierpiałam. Dobrze mi zrobiło, że mogłam mu się odpłacić. Niemal za dobrze. Gdyby nie ty, skopałabym go na śmierć.

– Zawsze możesz dostać pracę u mnie, w razie gdyby cię wywalili. I lepszą płacę.

Jessica kręci głową, otwiera drzwi auta i wpuszcza nocny chłód.

– Nawiasem mówiąc, o co chodziło z tym, co powiedziałaś Sandbergowi o jakimś liście i mapie?

– O nic, skłamałam. Wejść z tobą?

– Nie, zdzwonimy się jakiegoś innego dnia.

Włosy, usta, nogi Barbie otwierają, a potem zamykają drzwi szeregowca, nie obejrzawszy się za siebie.

Chyba się w tobie zakochałam.

Nawzajem.

Przed odjazdem do hotelu Lisbeth odnajduje współrzędne miejsca, gdzie znaleźli busa, i pisze esemesa. Dodaje serduszko, kasuje je, a potem wciska „Wyślij”.

SIEDZĄC NA PODWÓJNYM ŁÓŻKU, czytają głośno dziennik Märty Hirak, którego sporadyczne i krótkie ustępy sięgają dwa tysiące dziesiątego roku.

– Gdzie znalazłaś ten dziennik?

– Klucz – odpowiada Svala i czyta dalej. – To prawie całe moje życie. I mamy. W głowie mi się nie mieści, że ona to wytrzymała.

A jak wytrzymywała matka Lisbeth? Dlaczego nie poprosiła o pomoc, nie zabrała dzieci i się nie wyprowadziła?

– Bała się – mówi Lisbeth. – Strach robi z ludźmi różne rzeczy. Sprawia, że podejmują irracjonalne decyzje, byle tylko przeżyć.

– Chociaż potem to się odbija na ich dzieciach?

Wyprowadzić się, schować, liczyć na ochronę ze strony państwa. I tak by je zawsze znalazł.

– Nawet wtedy.

Niektóre ustępy dotyczą przemocy Pedera Sandberga wobec Svali. Lisbeth usiłuje zachować spokój. Może nie należało powstrzymać Jessiki przed skopaniem go na śmierć.

– Czy myślisz, że to Plastpeder zamordował mojego prawdziwego tatę? – pyta Svala.

Pytanie jest całkiem naturalne. A odpowiedź? Wiele myślała o tym, jak powiedzieć to Svali, a jednak prawda nie chce jej przejść przez usta. Nie może opowiedzieć o śmierci Niedermanna, nie mówiąc jej całej reszty. Dziewczynka ma wokół siebie dostatecznie wielu durniów. Im mniej wie, tym lepiej dla niej samej.

– Nie wiem – mówi. – To było dawno, ale nie wydaje mi się, żeby miało ci go brakować. Był groźnym przestępcą. Peder Sandberg to przy nim kaszka z mleczkiem.

- Nagle okazuje się, że sporo o nim wiesz – zauważa Svala.
 - Pracował dla Zalachenki. Wielu chciało go dopaść.
 - W jakim sensie pracował dla dziadka?
 - Był jego ochroniarzem, można tak to nazwać. A jaką osobą jest Märta?
 - pyta Lisbeth, uciekając od grząskiego tematu.
 - W pewnym sensie taką jak ty. Nieduża i harda, chociaż fajniejsza.
 - Bardzo ci dziękuję!
 - Ty się nigdy nie śmiejesz. Mama prawie ciągle się śmieje. Gdyby chociaż wzięła sobie Henry’ego Salo.
 - Jest stuknięty, chociaż inaczej – zauważa Lisbeth.
 - Ale wciąż kocha mamę.
 - A ty skąd wiesz?
 - Bo mi powiedział. Poszłam do niego do biura.
 - Dlaczego?
- Svala zwleka chwilę z odpowiedzią.
- Wiesz, kto to jest Marianne Lekatt?
 - Kobieta, która nie życzy sobie wiatraków na swojej działce?
 - Właśnie. Akurat byłam u niej, siedziałam w toalecie, kiedy do niej przyszedł i groził.
 - Jak to, groził?
 - Najpierw wykrzykiwał, że jemu i jego rodzinie stanie się coś złego, jeśli ona nie pozwoli na budowę farmy wiatrowej. A kiedy powiedziała, że dobrze mu tak, popchnął ją i uderzyła głową o piec.
 - Co u niej robiłaś?
 - Przyjaźnimy się – odpowiada Svala.
 - A po co poszłaś do Sala?
 - Chciałam, żeby mi powiedział, od czego jest klucz.
 - Wiedział?
 - Nie, i uwierzyłam mu.
 - Mogę zobaczyć filmik?
 - Usunęłam go. Zgodnie z umową.
- Dobra. Usunięty plik zawsze da się odzyskać.*
- Wątpliwe, żeby dziennik Märty mógł się utrzymać jako dowód, chociaż twoja mama chyba w to wierzy. W tej przegrodce bagażowej na pewno nie było nic więcej? Svala?
- Dziewczynka sięga do swojej małpki.
- Masz nóż?

– A czy w morzu pływają rybne paluszki? – mówi w odpowiedzi Lisbeth i sięga do etui leathermana przy pasku.

– Jezu. Poważnie, nie znasz przepisów ustawy z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku?

Ty też nie powinnaś znać.

Svala rozpruwa małąkę i wkłada dłoń.

– Jeśli powiesz komuś o małące, to w życiu się do ciebie więcej nie odezwę – mówi.

– Twardy dysk – stwierdza Lisbeth, oglądając go ze wszystkich stron. – Wiesz, co zawiera?

– Zaniósłam go do sklepu z gramami.

– O cholera. I co?

– Jest na nim konto na kryptowaluty. Ale bez hasła nie da się otworzyć. Próbowałam wszystkiego, co mi przyszło do głowy. Chyba tylko mama je zna. Muszę poczekać, aż wróci – mówi Svala, a potem zamyka się w łazience.

W barze hotelowym za dziesięć?

Okej.

65

– A WIĘC TYLE WIEMY – stwierdza Lisbeth przy piwie z Mikaelem Blomkvistem.

– Czekaj, trzeba to zapisać.

– To chyba męczące, jak człowieka dopada demencja w młodym wieku?

Ja nie muszę niczego zapisywać.

– Przypominaj mi o tym!

– Młoda, młoda, młoda. Demencja, demencja, demencja.

– Od czego zaczynamy?

– Od porwania Lukasa. Czy to on jest celem?

– Jeśli tak, to wtórnym.

Nie bój się. Odnajdziemy cię.

– Zanotowano.

– Teraz otoczenie Sala, na przykład twoja ukochana córka Pernilla, co o niej wiesz?

– Niewiele – przyznaje Mikael.

– Tak myślałam. Najlepiej, jak ja z nią pogadam. Ona mnie lubi.

– Chyba wszyscy cię lubią?

– Tak, tak, a więc Salo – ciągnie Lisbeth i zwleka jeszcze z filmikiem z domu Marianne Lekatt.

– Rozległe znajomości. Trzeba zacząć od środka. Od serca, jak mówi on sam.

– Od gminy.

– Tak, przede wszystkim wszystkie obecne interesy gminne. Dużo ukrywa się w KGB, czyli Gminnych Spółkach, które podlegają przepisom o spółkach i nie mają obowiązku publicznego ujawniania szczegółów dzia-

łalności poza zwyczajnymi sprawozdaniami rocznymi. Ich korespondencja na przykład nie jest oficjalna.

– Założymy się? – mówi Lisbeth.

– Zanotowano.

– Co ci podpowiada przecucie?

– Salo – odpowiada Mikael. – I to nieistniejące przedsiębiorstwo Branca.

Teraz jest okazja, żeby opowiedzieć o Marianne Lekatt. Lisbeth relacjonuje dokładnie, co Svala powiedziała jej o Salu – że być może ktoś mu grozi.

– To ma sens – stwierdza Mikael. – Nawiasem mówiąc, dostałem plik notatek Svali. Powinna pracować w „Gaskassen”. Ona to dopiero ma oko do szczegółu. Chyba najbardziej interesuje ją Marianne Lekatt, ale znalazła też maila od Branca. Wydaje się, że oni się komunikują poprzez jakieś alternatywne urządzenie, a mail został wydrukowany i trafił do archiwum przez pomyłkę.

– I co tam stało? – pyta Lisbeth.

– Zegar tyka.

Dziwnie się zachowuje. Zadaje dziwne pytania ludziom, których spotykam w pracy.

Wydaje się, że się boi.

Nieważne, chcesz zobaczyć basen za budynkiem?

– Czyli wracamy do Branca – mówi Lisbeth. – Tylko wciąż nie rozumiem, jak kawałek ziemi może być aż tak ważny, żeby człowiek był gotów uprowadzić dziecko, byle się do niego dostać.

– To jest całkiem spora nieruchomość – zauważa Mikael. – Przeszło pięćset hektarów.

– No jednak. Z tym Brankiem jest coś dziwnego.

– Sprawuję jakąś tam duchową opiekę nad „Gaskassen” i dałem im zadanie, żeby przyjrzeni się temu, jak działa gmina.

– Pewnie, ale jeśli Hacker Republic nic nie znajdzie, to miejscowi pismacy tym bardziej.

– Prawda, ale możemy zlecić im prostsze zadania, podczas gdy my skupimy się na całościowym obrazie. Spróbuj dowiedzieć się czegoś od policji. Widzę, że masz tam dobry kontakt.

– Co masz na myśli?

– TikTok.

– Nie brzydzisz się babrać w apce dla dzieciaków?

- Najwyraźniej ty też nie.
- Nic ci do tego, co robię prywatnie.
- Rzeczywiście, ale masz kontakt w policji, to skorzystaj z tego.
- W takim razie ty wykorzystaj Fastego. Jesteście na mniej więcej tym samym poziomie – mówi Lisbeth, wstając.
- Czekaj, usiądź jeszcze. Przepraszam, jeśli się zagalopowałem. Musimy dokończyć planowanie strategii.
- Już ją mam w głowie. Złożę małą wizytę u Sala, to potem pewnie ruszy.
- Zanotowano.
- Fiut.
- Również zanotowano.

LIZBETH ZACHODZI JESZCZE do pokoju, żeby sprawdzić, czy dziecko nie jest głodne. Sama mogłaby może... jakąś pizzę... ale okazuje się, że pokój jest pusty. Svala zostawiła jej kartkę.

Będę się uczyć z kumpelą, która mieszka za miastem. Może tam przenocuję. W takim razie zadzwonię.

Podjejrzone, ale dobrze, jeśli to prawda. Lisbeth nigdy nie słyszała od niej o żadnej kumpeli. Przeciwnie, na każde pytanie w odpowiedzi otrzymuje burknięcie.

Wyjmuje laptopa. Nie ma nic nowego od Plague'a, za to sporo z intranetu Miltons. Czyta raport z włamania do danych ministerstwa spraw socjalnych i aż jej się chce śmiać.

Zobacz, Svala, śmieję się!

Dick i Pick inscenizują zamach na sieć, aby przetestować stopień naiwności personelu. Wchodzą tam z torbami serwisowymi i mówią, że przyszli naprawić kilka komputerów, które nawalają. Muszą, rzecz jasna, okazać legitymacje, ale nikt nie sprawdza, kto im dał to zlecenie. I proszę, podano do stołu.

Systematycznie sprawdzają co najmniej dziesięć komputerów, dodają im programy szpiegujące i trochę innych przyjemnostek. Po ukończeniu zadania wychodzą stamtąd ze wszystkimi tajemnicami urzędu, jakby mieli je w pudełeczku. A ponieważ są *good guys*, to zwołują zebranie pracowników i opowiadają, co zrobili. Wszyscy są oczywiście przestraszeni. Co nie przeszkadza, że dwa dni później przychodzi dwóch *bad guys*, którzy mówią, że są z Milton Security. Okazują legitymację, powtarzają mniej więcej tę samą procedurę, a potem mówią uprzejmie do widzenia. Trzy godziny później de Deus otrzymuje pierwszy list z pogrózkami.

Lisbeth stara się skupić na pracy, ale poddaje się. Krąży myślami wokół Sala i Branca.

Cześć, Dragan, czy znasz spółkę Branca, zajmującą się między innymi bezpieczeństwem? Pomyślałam, że może przynajmniej o niej słyszałeś. Pomagam trochę gminie Gasskas.

Cześć, Lisbeth, gdzieś mi dzwoni, tym bardziej że to ma coś wspólnego z zegarkami. Jak wiesz, mam słabość do rolexów. Typowe dla imigrantów, wiem, ale przecież na coś trzeba wydawać pieniądze. Kilka lat temu na aukcji w Nowym Jorku sprzedawano wyjątkowy zegarek Daytona, niegdyś własność Paula Newmana. Tak się złożyło, że byłem tam, podobnie jak człowiek, który go wylicytował. Okazał się Szwedem, Marcus Branco. Sympatyczny. Na wózku inwalidzkim na skutek brania przez matkę talidomidu. Nawet wypiliśmy razem po filiżance herbaty, rozmawiając trochę o bezpieczeństwie danych. Chyba nie wspomniał, czym się zajmuje. Jak widzisz, kaprys, ale sądząc po cenie, około piętnastu milionów dolarów, musiał być niezłą szyczą. Powodzenia zarówno z Brankiem, jak i z dziewczyną. Pozdr. Dragan A.

Lisbeth zastanawia się, czy może powinna sama zhakować telefon Svali, ale postanawia zlecić zadanie Plague'owi. Dziewczyna oszalałaby, gdyby się o tym dowiedziała. Na pewno wrzeszczałaby coś o pogwałceniu jej prawa do prywatności albo jeszcze gorzej, za karę nie odzywałaby się przez parę dni.

Wasp do Plague'a: Potrzebuję pewnego filmu usuniętego z telefonu. 073 435 88 91. Na cito.

A skoro już ma ten numer przed sobą, dzwoni do Svali. Ta nie odbiera.
Przepraszam, jeśli przeszkadzam w nauce. Chciałam tylko powiedzieć, że na kolację będzie pizza. Pycha, nie?

Przenocuję tutaj. Chętnie zjem pizzę jutro.

Już ma spytać, gdzie jest owo tutaj, ale opamiętuje się. Ufa Svali, nie o to chodzi. Dziewczynka nie jest z tych, co próbują bimbru, będą popalać albo prowadzać się ze starszymi chłopakami. Przeciwnie, wydaje się zawsze myśleć o tym, co robi.

W tym momencie Lisbeth odnotowuje, że nie ma małpki, która zawsze siedzi na wezglądzie łóżka, jakby go pilnowała. Lisbeth zagląda do łazienki i do drugiej sypialni. Nie ma małpki i nie ma dziennika.

Boisz się, że ci ukradnę małpkę? Roześmiana buźka.

Ktoś mi pomaga ją naprawić. Jeszcze bardziej roześmiana buźka.

Lisbeth rozluźnia ramiona. Wszystko w porządku. Podłącza się do Plague'a. Tu również nie ma odpowiedzi.

Dzwoni po raz trzeci do Jessiki. Ona też nie odbiera.

Zobaczmy się?

Pracuję.

Cholera. Kwasi się. Lisbeth usiłuje zgadnąć dlaczego. Coś powiedziała, coś zrobiła. W tym momencie przychodzi następny esemes.

Robota na pierwszym miejscu. Zobaczymy się innym razem.

Rzuca telefon na łóżko i idzie pod prysznic. Nie jest to konieczne, ostatni brała zaledwie trzy, cztery dni temu, chodzi raczej o to, by zabić czas.

Plague do Wasp: Filmtime.

Dźwięk jest nie najlepszy. Lisbeth wyciąga swoje sennheisery, żeby przebić się przez szumy. Odczytała tę sytuację dokładnie tak jak dziewczynka: potwierdza się sugestia jakichś gróźb pod adresem Sala i jego rodziny. Ale jest coś jeszcze, czego nie rozumie. Cofa nagranie i odsłuchuje raz za razem.

– DZIEŃ DOBRY, Lisbeth Salander z Milton Security.

– Co mogę dla pani zrobić? – Salo zaprasza, żeby usiadła. On sam kiwa się na krzesło, siedząc za sporym biurkiem. Za jego plecami stoją regały pełne segregatorów. Porządek w papierach jest idealny. Jego garnitur jest wygnieciony. W pokoju zalega zatechła woń potu i przetrawionego alkoholu.

– Jestem ekspertką w dziedzinie bezpieczeństwa danych. W tym momencie pomagam tutejszej policji w zbieraniu informacji dotyczących uprowadzenia waszego syna Lukasa. Mam kilka pytań.

– Proszę bardzo. Napije się pani kawy?

– Nie, dziękuję. Podczas dochodzenia okazało się, że pod adresem pana rodziny są kierowane groźby. W pierwszym rzędzie dotyczą pana.

– Nic mi o tym nie wiadomo – mówi Salo.

– W nawiązaniu do budowy farmy wiatrowej.

– To wielki projekt. Stawka jest wysoka. Z oczywistych względów pojawiają się różnice zdań, byłoby dziwne, gdyby było inaczej, ale groźby? Nie. Powiedziałem już policji wszystko, co wiem. Nie raz. Uprowadzenie chłopca jest zagadką również dla mnie.

– A co pan myśli na ten temat?

Właśnie, co myśli? Obserwuje tę dziwną kobietę siedzącą naprzeciwko. Nie sposób określić jej wieku. Chuda i zabiedzona. Ubrana jak nastolatka, włosy ufarbowane na czarno i kolczyk w nosie. Między czternaście lat a czterdzieści cztery. Jakiś nierzeczywisty wygląd.

66.301252, 20.387050.

19.00. *Masz być sam.*

– Ma pani jakąś legitymację? – pyta Salo.

Lisbeth podaje mu swoją legitymację z Milton Security.

– A, to pani. Słyszałem, że razem z pismakiem bawi się pani w śledztwo.

Salo nalewa sobie szklankę wody z karafki i wrzuca dwie tabletki aspiryny z kofeiną. Ból głowy i zmęczenie tkwią w nim jak wirus. W domu Pernilla bez przerwy płacze. W pracy koledzy zachowują się nerwowo, przekonani, że ich dzieci też znajdują się w strefie ryzyka, co może być prawdą.

– Idźcie na policję – mówi im Salo. – Policja jest od tego, żeby nas chronić.

Salo jest człowiekiem czynu, takim, dzięki któremu rzeczy się dzieją. Rozwiązuje problemy. Teraz jednak chce tylko, żeby to stworzenie sobie poszło, żeby mógł zamknąć drzwi na klucz i pójść na kanapę z flaszką. Niestety, dzień się jeszcze nie skończył. *Masz być sam.*

– Coś jeszcze? – pyta. – Mam sprawy do załatwienia.

Lisbeth wyjmuje swój telefon. Wystarczy kilka sekund, żeby zrozumiał, co tam jest. To dopiero diable. Nawet dziecku nie można zaufać.

– Był pan u Marianne Lekatt.

– Tak, poszedłem porozmawiać.

– Dziwny sposób rozmowy. Jak dla mnie to pan jej raczej groził. – Lisbeth pogłaska nagranie.

– Proszę przestać, to brzmi gorzej niż w rzeczywistości.

– Rozumiem, w gruncie rzeczy nie obchodzi mnie, jak pan wykręca ramię właścicielce działki, żeby sprzedała tę działkę pod budowę farmy wiatrowej.

– Udostępniła – poprawia ją Salo. – Nie sprzedają, tylko udostępniają, za co im zapłacą paręset tysięcy koron rocznie. Za nic.

– Dziękuję za tę informację, ale mnie interesuje zupełnie co innego – mówi Lisbeth, zbliżając do niego swój telefon. *Chcę mnie dopaść. Musisz udostępnić tę ziemię. Zrób to dla mnie.*

– A więc – mówi Lisbeth – albo mi pan opowie całą tę historię, albo policja będzie miała wieczór filmowy.

Salo wstaje i okrąża pokój. Staje przy oknie. Poziom wody w rzece jest wysoki. Ta myśl go uspokaja. Takie to łatwe. Pojechać do Storforsen, zrobić krok poza skałę i połączyć się z wodną masą.

– Chodzi o pana syna – mówi Lisbeth. – Nie chce pan, żeby go znaleziono?

Czy chce? Przede wszystkim chce odzyskać dawną Pernillę zamiast wraku, jakim jest dzisiaj. Nie słuchać oskarżeń, że to wszystko jego wina. Cholernie ładny początek małżeństwa!

– Oczywiście, że chcę, ale muszę działać po swojemu.

– Czyli zawrzeć deal z porywaczami.

– Jak mówiłem, nie wiem, kim są. Niech pani zrobi z tym filmem, co pani chce.

– Ostatnie pytanie i już idę. Dlaczego pani Lekatt miałyby to zrobić ze względu na pana?

– Bo jest moją matką – odpowiada Salo.

SALO JESZCZE RAZ – co najmniej trzeci – sprawdza współrzędne i wyjeżdża z budynku parkingowego. Szosa jest pusta, jeśli nie liczyć paru jadących z przeciwka ciężarówek transportujących drzewo do Karlsborg albo Piteå. Mija jezioro Kallak i zjeżdża w lewo w stronę Kåbdalis.

Sprawdził na mapie, miejsce nie jest mu nieznane. Zdarza mu się, żeby wrzuciwszy w domu strzelbę do kufra, przyjechać tu i ustrzelić cietrzewia dziobiącego kamyczki na żwirówce.

Samochód stoi w głębi na zawrotce leśnej drogi. Czarny transporter. Salo staje obok i opuszcza szybę.

– Chcieliście się spotkać, to jestem. Czego chcecie?

– Wysiadaj.

Nieznany głos. W ustach czuje lepkość, nogi mu się chwieją. Salo bynajmniej nie jest niski, ale ten człowiek jest o co najmniej głowę wyższy. Czarne ubranie, twarz zakryta. Jakiś absurd. Typ jak z Grupy Wagnera w małym bezpiecznym Gasskas. Gdzie ludzie zostawiają klucz w zamku i wieczorami nie muszą oglądać się za siebie. Jak, u diabła, mogło do tego dojść?

– Chyba nie podszedłeś do sprawy w sposób poważny – odzywa się tamten.

– Zrobiłem, co mogłem – odpowiada Salo. – Gdzie chłopiec?

– Jaki chłopiec?

Salo dyszy. Puls mu przyspieszył, głos się łamie. Lukas.

– Pytanie, co mamy z tobą zrobić? Skoro nie udało ci się przekonać właścicieli działek, nie mamy z ciebie żadnego pożytku – mówi tamten, chwytając go za kark. – Ale ponieważ dość porządne z nas chłopaki, to pomyśleliśmy, że będziesz mógł dokonać pewnego nowego wyboru. – Ciągnie go

do tylnych drzwi transportera, z którego wysiadła jeszcze jedna osoba. Ubranie jest to samo i tylko oczy mówią coś o niej. *Przesuń go*. Kobieta kieruje latarkę na jego twarz i otwiera drzwi.

Oślepiiony światłem Salo w pierwszej chwili nie wie, na co patrzy. Klatka? Pies?

– *Voilà* – mówi mężczyzna. – Przywitaj się ze swoją znajomą.

Salo odwraca się i wymiotuje.

– Faj, co za nieprzyjemny sposób witania się z dawną miłością – mówi mężczyzna, popychając Salo w stronę klatki. Ciało się nie porusza. Jej twarz to krwawa masa, jakby zanurzyli głowę w gotującej się wodzie. Mimo to poznaje. Wydobywa się z niego szloch. Usiłuje wepchnąć dłoń przez kratę, żeby dosięgnąć jej dłoni.

Tylko nie Märta, jego Märta.

– Jak widzisz, Romeo, byliśmy uprzejmi zachować ją przy życiu. Wprawdzie niewiele tego życia w niej zostało, ale zawsze. Może pamiętasz, jak sam powiedziałaś, że możemy zrobić z nią, co chcemy, no to zrobiliśmy – mówi mężczyzna i rechocze. – Człowiek już rozumie, dlaczego tak bardzo ją lubisz.

Sobota. Ojciec wraca do domu. Henry i Joar wypatrują go. Chowają się w garażu. Ojciec wyskakuje. Henry unosi młotek.

Wydając ryk, odtrąca kobietę i udaje mu się uderzyć mężczyznę. Jeszcze raz i znów. Nie wie, w co trafia. Śmiech kobiety jest paskudny jak listopadowy poranek w Murjek. A potem zapada ciemność.

Dużo później, sam nie wie, po jakim czasie, Salo otwiera drzwi auta i znów wymiotuje. Transportera nie ma. Minusowa temperatura zamieniła parę na szybach w lód. Salo skrobie szybę i płacze.

Zamiast wrócić do Gasskas, jedzie teraz dalej w stronę Storforsen, ale przed hotelem zjeżdża do rzeki. Biegnie po pomostach i ślizga się po kamieniach, aby dotrzeć do najdalej wysuniętego punktu skalnego. Przełazi przez poręcz i patrzy w dół na rwące wody.

Boże, już ze sobą rozmawialiśmy. Chcesz, żebym żył i zajął się tym rozgardiaszem, ale nie mam już siły. Słyszysz? Nie mam siły. Najpierw Lukas, potem Märta. Mnie też dopadną.

Jak stałem się tym, kim jestem? Chciałem tylko zyskać trochę uznania, nie rozumiesz? Wszystko, co robię, jest dla dobra mojej okolicy, rodziny i koła łowieckiego, ale nikt tego nie dostrzega. I dlatego, Boże, wystarczy już tego dobrego.

Dzwonek.

Boże, zadzwoń kiedy indziej. Salo traci wątek. Sięga do komórki. Pernilla.

– Gdzie jesteś? – pyta.

– Przy bystrzu.

– Co tam robisz?

– Mam zamiar skoczyć.

– Henry, odejdz stamtąd. Cofnij się. Teraz.

– Nie, za późno. Na wszystko jest za późno. Przykro mi, Pillan, to nie twoja wina.

– Najpierw Lukas, teraz ty. Zdajesz sobie sprawę, jaki to egoizm?

– Tak, ale jest jak jest.

– Nie, tak nie wolno.

Była wściekła i wylała złość na Mikaela. A przecież głupia nie jest, chociaż wszyscy zakładają, że jest tylko dobra i miła. Niezawodna. Zawsze gotowa pomóc.

To, że Henry tak myśli, jest tragiczne, ale w tej sytuacji również korzystne. Nie stara się z niczym nadmiernie przed nią ukrywać. A Pernilla sprawdza jego biurko. Robi kopie. Opróżnia kieszenie z wizytówek i numerów telefonu. Sprawdza jego prywatne maile, kiedy zdarzy mu się przysnąć na kanapie, zapomniawszy się przedtem wylogować.

Jeśli Henry umrze, Lukas nigdy nie wróci.

Pernilla biegnie do samochodu, rusza z piskiem opon i jedzie do Storforssen. To co najmniej pół godziny drogi samochodem. Śnieg wali z nieba. Albo jeszcze gorzej.

Mówi do niego. Cokolwiek. Nieważne. Czasem jej odpowiada.

– Jesteś? Henry?

– Tak.

– A pamiętasz, jak się poznaliśmy?

– Tak.

– To opowiadaj, jak to było, kiedy się poznaliśmy?

– Byłaś na trasie koncertowej z chórem. Siedziałem wśród publiczności.

– Mów dalej, co było potem? – Teraz krzyczy, okala ją huk wodospadu. Śnieg utrudnia jej marsz. A musi zdążyć.

– Byłaś taka piękna – mówi Salo. – I dobra.

– Kurde, wcale nie jestem dobra – wrzeszczy Pernilla. – Jestem zwyczajna.

– Nie krzycz – przekrzykuje huk. Teraz przełazi przez poręcz i stara się nie patrzeć w dół.

– Jestem tu za tobą.

– Nie, nie rozumiesz.

– Może i nie, ale jeśli skoczysz, to ja też skoczę.

– Masz Lukasa. On żyje.

– Skąd wiesz?

– Ktoś mi powiedział. Kiedy bawiłem się w Pana Boga i zamieniłem jedno życie na inne.

– Ktoś, czyli kto, do cholery?

Henry się poddaje. Widocznie dziś to nie ten dzień.

– Cofnij się! – krzyczy do niej. – Ja też idę.

Przełazi przez poręcz. Chce ją objąć i żeby ona jego objęła. Dygocą oboje od wilgoci i zimna. Kiedy nie ma adrenaliny, skały robią się śliskie, a ciemność nieprzebyta, czarna. Salo chce opowiedzieć jej o wszystkim. Podzielić się swoim strachem. Uzyskać poczucie bezpieczeństwa.

Grzeją się w samochodzie Pernilli, trzymając dłonie przy kratce wentylacyjnej. Salo odzyskuje wierzchnią skorupę, obrazy znikają.

– Słyszałam was. Dzwoniłeś do niej.

– Do kogo?

– Do Märty Hirak, widziałam jej numer i czytałam twoje esemesy.

Ciało. Krew. Klatka.

– Märta była pomyłką, jednorazowym skokiem w bok. Pewnego dnia zjawiała się u mnie z kluczem. Wypiliśmy kilka kieliszków i zdarzyło się...

– Stop! Wystarczy. – *Już ja cię dopadnę, draniu, możesz być tego pewien.*

Ból głowy puścił. Mówienie prawdy wpływa na spokój duszy. Po raz pierwszy od miesiąca Henry czuje coś w rodzaju rozluźnienia.

– Odzyskamy Lukasa – mówi, nakrywając ręką jej dłoń.

Pernilla cofa ją i wrzuca bieg.

– Będziesz dziś nocować w domu?

– A chcesz tego? – pyta, wysiadając.

Ledwo zdąża zamknąć drzwi auta, gdy ona odjeżdża.

SVALA WYSIADŁA Z AUTOBUSU w Harads. Teraz kieruje się do hotelu na drzewach.

– Dzień dobry – mówi – mój tata zarezerwował The Seventh Room. Na nazwisko Peder Sandberg. Tata przyjedzie nieco później.

– Witamy – odpowiada recepcjonista i sprawdza rezerwację. – Zgadza się. Dwie noce. Mam poczekać z opłatą do jego przyjazdu?

Chwila wahania. To kuszące, byłoby jednak niemądre. Nie powinna ryzykować, że personel zacznie sprawdzać.

– Nie, tata dał mi pieniądze – mówi i kładzie na kontuarze dwadzieścia trzy tysiące koron.

Była już tutaj, wtedy weszła od tyłu, przez las. Wtopiła się między turystów i szła z nimi od domku do domku, dowiadując się mnóstwa rzeczy o architektach, oświetleniu, a zwłaszcza położeniu tych domków na drzewach.

Dwadzieścia trzy tysiące koron to prawie połowa jej oszczędności w małpce. The Seventh Room jest największy, umieszczony na wysokości dziesięciu metrów między sosnami i uformowany w literę U. Między dwoma ramionami, w których mieszczą się sypialnie, jest rozpięta gruba siatka, coś w rodzaju wiszącego tarasu. Svala otwiera drzwi balkonowe i wychodzi, balansując, na siatkę, kładzie się na brzuchu i spogląda na świat poniżej. Ma czas. Będzie ciemno.

Pół godziny przed wyznaczonym spotkaniem z Plastpederem wraca ścieżką do recepcji i oddaje jeden klucz.

– Ja się już muszę wymeldować – mówi – ale tata zostanie do jutra. Udało mi się dostać bilet na mecz. Tata podrzuci mnie do Gasskas i zamelduje się później.

Peder Sandberg stara się za bardzo nie wychylać. Co nie znaczy, że po głowie nie chodzą mu złe myśli. Przeciwnie. Fantazjuje o zemście. Nie umie przejść do porządku nad tym upokorzeniem. On na czworakach, a ta pizda policyjna go kopie. Zwłaszcza ten pierwszy kopniak w tyłek jest dla niego nie do przejścia. A na myśl o Karate Kid robi mu się po prostu niedobrze. Najgorzej jednak, kiedy przypomni sobie tamtych. Ludzi ze Svavelsjö, jak stają w kole i śmieją się z niego. Nie tylko wtedy. Również teraz, potem i na zawsze.

Po paru dniach nie bolą go już jaja, za to ma coś z żebrami. Chyba złamane. Nie może kasłać. Śmiech i tak mu nie grozi. Sięga po glocka, chwytając go oburącz i wyobraża sobie grad pocisków rozrywających im ciała. Ramiona, nogi i tułowia. Ostatnie pociski roznoszą mózg po całych ścianach. Od razu mu lepiej.

Jest tak zaprzątnięty myślami o zemście, że prawie zapomniał o zadaniu, które ma do wykonania.

Właściwie to zasługujesz tylko na to, żeby sprzątać toaletę, ale dostaniesz jeszcze jedną szansę. Złap tę dziewczynę, jak jej tam. Svalę. Właśnie. Zmusz do oddania twardego dysku i usuń ją.

Masz na myśli, że mam ją załatwić, pyta, chcąc mieć pewność, że zrozumiał polecenie.

Właśnie, mówi Sonny, pod warunkiem że dostałeś twardego dysku. Zresztą rób, co chcesz, byleby zniknęła. Od tego zaczniemy. Po dzieciaku dostaniesz poważniejsze zlecenie, ale o tym potem.

Wolałby załatwić te policyjne pizdy. Nie tyle dba o dzieciaka, ile zostało mu jeszcze trochę przyzwoitości.

Mam info o twojej matce, zobaczymy się?

17 w Buongiorno?, pisze Svala.

OK.

Idiota.

Svala wpada do pizzerii już około trzeciej.

– Svala, dawno cię nie widziałem, jak się masz, głodna jesteś?

– Dziękuję, jadłam dopiero co. Możesz to oddać Pederowi? – wkłada kartkę do ręki pobrudzonej mąką.

– Jasne. – Piekarz pyta o mamę.

– No właśnie – mówi Svala i zaczyna jej się spieszyć.

Zazwyczaj nie odczuwa tego tak mocno, potrafi niejedno przełknąć. Może chodzi o samo miejsce. Widziała, jak mama siedziała tam roze-

śmiana. Albo jak były tam razem, ona z Mamamärtą.
To wszystko jego wina. A za winy trzeba płacić.

Peder Sandberg nie jest głupi. We własnym mniemaniu nawet cholernie sprytny. Wjeżdża na leśną drogę za hotelem, zamyka auto, kluczyk kładzie na przedniej oponie, żeby go przypadkiem nie zgubić, a potem idzie do domków na drzewach.

Hotel jest sławny na świecie. Nie tylko dlatego, że Justin Bieber i inne zera chcą się tu bawić w ptaszki. Również poszukiwani w całym kraju szpiedzy chowali się tu przed Säpo. Peder Sandberg zapisuje sobie w pamięci takie rzeczy. Pewnego dnia on też będzie sławny. Już był na dobrej drodze.

Pizda policyjna. Uspokój się. Przyjdzie na nią czas. W przyszłym tygodniu spotkanie z Brankiem. Rzecz jasna, poza wiedzą Sonny'ego, ale od podwójnej kanapki jeszcze nikt nie umarł. Potrzebujemy kogoś takiego jak ty. No chyba. Kto by nie potrzebował.

The Seventh Room znajduje się na skraju. Wygoogłował to dla pewności. Głupi dzieciak. Nie mogło być lepiej. Sami w pokoju hotelowym. Wprawdzie nie ma zamiaru załatwiać jej na miejscu. To by było głupie. Jednak w ciemnościach nikt nie zauważy, kiedy stamtąd odjadą.

Svala patrzy na zegarek. Za pięć ósma. Włącza maszynkę do kawy i wysypuje do miseczki paczkę ciasteczek z marmoladą. Ostatni raz sprawdza wszystko.

Cześć, Amineh, czytałam o tobie. Miałaś trzynaście lat, kiedy uciekłaś od swojej rodziny i zostałaś peszmergą. Ja też mam trzynaście lat. Nie uciekam od rodziny, to oni uciekają ode mnie. Dziś wieczorem spotykam się z moim ojczymem, który jest uosobieniem nienawiści do kobiet i gwałtu na prawach człowieka. Mam nadzieję, że potrafię być równie odważna jak ty.

Cześć, Svala, dziękuję za list. Czytałam go i było mi przykro. Żadna trzynastolatka nie powinna być w sytuacji, kiedy musi walczyć tak jak

ty. Według prawa jesteś dzieckiem. Jednak rozumiem cię i wiem, że w niektórych sytuacjach nie ma wyboru. Uważaj na siebie. Amineh.

Czy Peder Sandberg ma wybór?

Oczywiście. Tak jak gorączkowo stara się być możliwie najgorszy, tak mógłby być najlepszy. Człowiek zawsze może wybrać między różnymi wyjściami. Najłatwiej sięgnąć do tych destrukcyjnych, bo nie wymagają porozumienia. Wojownik albo myśliwy, który w nas tkwi, gdy obiektem jest zwierzę, to funkcja odziedziczona w genach, podczas gdy bezwarunkowa miłość, altruizm i ogólnie człowieczeństwo są nabyte, a zatem wymagają więcej wysiłku.

A więc jak ma dojść do dogłębnych zmian w społeczeństwie? Musimy zacząć od skorumpowanych polityków, orędowników globalizacji, wielokulturowości i masowej imigracji. Podlegają im systemy polityczne i aparat państwa, a w partiach politycznych mają wielu pomagierów, których należy wyeliminować. Tak, przyjaciele, wyeliminować. Nikt się nawet nie zbliża do tej najważniejszej kwestii. Jak Ziemia ma przetrwać?

Cześć, Marcus, widziałem twoją prelekcję na TED. Bardzo inspirująca. Masz jakąś organizację, do której można by wstąpić? A może polecisz jakieś filmy?

Peder, miej oczy otwarte. Jest nas wielu podobnie myślących. Właśnie się organizujemy, żeby przeniknąć do społeczeństwa. Wkrótce przyjdzie nasz czas. Marcus.

Wchodzenie po schodach stawia go z miejsca w niekorzystnym położeniu, jednak wejść musi. Do dziecka, które cieszy się na spotkanie ze swoim ojczymem. Nie ma nic do stracenia. Fakt, musi to przyznać, fajnie będzie znów się spotkać z tą dziwaczką. Ma nierówno pod sufitem, ale kto nie ma? Cokolwiek by o niej powiedzieć, jeśli jest taka, jak mówi Märta, to wyjdzie

mu naprzeciw. Bez walki i zawracania głowy. Śmierć nie musi być skomplikowana.

Czy tak, Marcus?!

Właśnie, Peder, niektórzy osobnicy nie powinni żyć.

Pukanie do drzwi. Klamka w dół. Tętno przyspiesza. To oczywiste, że on czegoś chce.

– Dawno się nie widzieliśmy – mówi i rozgląda się. – Niezła miejscówka. Okradłaś jakiegoś emeryta?

– Oszczędzałam. Chcesz kawy?

– Bardzo chętnie. – Plastpeder rozdziela ciasteczko na pół i najpierw zlizuje marmoladę.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – stwierdza i uśmiecha się, odsłaniając szczeliny między zębami. – Matka cię niejednego nauczyła.

– Właśnie. – Svala otwiera dziennik. – Chciałabym ci coś przeczytać.

– Jasne, byle nie Biblię.

Biblię Mamamärty.

Czwarty marca 2016. Powstał spór ze sprzedawcą w Kalix. Peder chce, żebym z nim pojechała. Kiedy pytam po co, mówi, że nauczę się czegoś nowego. Przyjeżdżamy do jakiegoś mieszkania. Jest wieczór. Otwiera nam chłopiec, pięć lat, może sześć. Peder siada w kuchni, rozmawia z ojcem, czyli sprzedawcą. Ja z chłopcem oglądamy program dla dzieci. Wybucho awantura. Chłopiec się boi. Zamykam go w sypialni, żeby nie słuchał. Płacze.

– Co to za gównno? – pyta Peder.

– Czekał – mówi Svala i czyta dalej.

Peder przywiązuje sprzedawcę do krzesła w kuchni i zaczyna od góry. Odcina mu płatek ucha. Potem drugi. Mężczyzna krzyczy, prosi o litość, przyrzeka, że zapłaci i tak dalej. Chłopiec też krzyczy. Proszę

Pedera, żeby przestał. On mówi okej i wyjmuje broń. Celuje do mnie, podając nóż, i mówi, że albo będę cięta dalej, albo mnie zastrzeli. Wybieram to drugie, ale on nie daje rady tego zrobić. Wychodzimy z mieszkania. Późnym wieczorem napada na Svalę. Noc spędzamy na pogotowiu.

Svala zamyka dziennik.

– Dwieście stron – mówi – skopiowanych w bibliotece i ukrytych w bezpiecznym miejscu.

– Czego chcesz? – pyta Peder.

– A jak myślisz?

– Pieniędzy. Ile?

– Nie chcę twoich wstrętnych pieniędzy, chcę wiedzieć, gdzie jest mama. Jeśli mi nie powiesz, ten dziennik trafi na policję. Zwłaszcza jeśli mnie zabijesz. Wtedy już nie będziesz miał odwrotu.

Już zauważyła, że Peder ma broń, co samo w sobie nie jest niczym wyjątkowym. Svala musi tylko wyprzedzać go o krok. Peder nie jest żadnym strategiem, kieruje nim złość.

W dodatku jest tchórzem i nie cierpi wysokości. Boi się nawet wyjść na balkon.

– Dziennik to żaden dowód – odpowiada. – Ktokolwiek mógłby to napisać.

– Mam więcej dowodów – mówi Svala i jest to prawda. Małpka skrywa wiele tajemnic. Chodzi tylko o to, aby odkryć karty we właściwym momencie.

Sandberg śmieje się i mierzy w nią z pistoletu.

– Zrobimy sobie małą przejażdżkę we dwoje. Najpierw po twardego dyska, a potem dla ciebie będzie już po zabawie.

– Musiałbyś mnie wpierw złapać – mówi Svala i szybko wychodzi na siatkę. Przećwiczyła to i wie, jak balansować ruchy. Wie, że Plastpeder się zawaha, stając w drzwiach. Wyjmuje komórkę i kieruje na niego kamerkę. *Powiedz cheese, wstręciuchu.* Błysk zaskakuje go w idealnej pozycji z bronią, szalonym spojrzeniem i całą resztą. Wysłane.

– Głupio byś zrobił, strzelając do mnie tutaj – mówi. – Ludzie usłyszą. W dziupli obok mieszkają francuscy turyści. Jeśli uda ci się mnie złapać, to obiecuję, że pojedę z tobą dobrowolnie.

Ziemia faluje pod nim, gdy robi błąd, spoglądając w dół. Nienawidzi jej i całej tej sytuacji. Okazał się mięczakiem i oto jest kara. Pił kawę i słuchał bajek, zamiast ją od razu usunąć. Mógłby zastrzelić ją tu i teraz, ale w ciemności i przy tej kołyszącej się sieci byłoby ryzyko, że spudłuje. Żaden z niego snajper. Woli załatwiać ludzi z bliska. Tłumik został na łóżku w domu, a strzał będzie słychać w całym pieprzonym Harads. Robi kilka kroków w jej stronę, sieć okazuje się sztywniejsza, niż myślał. Ha, ha, pewnie myślała, że się nie odważy.

Svala przesuwa się po łuku. Trzyma się jak najbliżej bryły domku i kieruje do przeciwnych drzwi prowadzących do drugiego skrzydła apartamentu. Plastpeder spróbuje przeciąć jej drogę. W każdym razie Svala na to liczy. A jeśli tego nie zrobi? Jej jedynym planem B jest zdjęcie, które właśnie wysłała do Lisbeth, ale prowadząca tu droga jest pełna zakrętów, a Gasskas jest o co najmniej pół godziny jazdy stąd. Svala przystaje. Peder jest teraz blisko. Dziewczynka jest gotowa.

Zyskaj na czasie. Wytrąć go z równowagi.

– Jeśli mi powiesz, gdzie jest mama, dostaniesz i dziennik, i kopie.

Jakby akurat wiedział, gdzie ta dziwka się podziewa. Wie tylko, że coś szykowała, ale dzięki niemu nic z tego nie wyszło.

– Pewnie chciała być z tymi poważnymi gośćmi, ale nie wyszło – mówi.

– A ci goście to kto, palanty z MC?

Zaśmiałyby się, gdy żebra go tak nie bolały.

– Przestań zawracać głowę. Wiesz, że cię złapię. Wejdziemy do pokoju, wrócimy do miasta i załatwimy to. Właściwie nic do ciebie nie mam, to tylko robota. Załatwię to szybko i bezboleśnie.

– Ale skoro już tu jesteś i masz mnie zastrzelić, to mógłbyś się zachować i mi powiedzieć. Przecież i tak nie dam rady powtórzyć nikomu.

Uparta diablica. Zupełnie jak matka.

– Wierz mi albo nie, ale ja nie wiem, jak się nazywają.

– Ani gdzie są?

– Gdzieś, gdzie nikt by ich nie szukał – mówi Plastpeder. – Powinna była trzymać się mnie. – Robi krok do tyłu, potem następny.

Cholera. Pomyśl. Wykorzystaj jego słabość. Rozzłość go.

– Mama była z Henrym Salo – mówi Svala.

– Stare dzieje.

– Mam na myśli w czasach, jak byliście małżeństwem. Oszukiwała cię. Spała z nim, jak się tylko nadarzyła okazja.

Dobrze. Znów zrobił krok w jej stronę.

– Zawsze wiedziałam – ciągnie Svala. – Często sobie z tego żartujemy. Jaki jesteś tępy, że nie zwróciłeś uwagi na pierścionek od niego. Märta & Henry na zawsze. Wszyscy wiedzą, że oni są ze sobą. Jak widać, wszyscy oprócz ciebie. – Peder przesuwają się wzdłuż ściany tak samo jak ona. Ten sapiący oddech zaledwie kilka metrów od niej. Cholera, trzeba wyciągnąć go na środek.

Peder podnosi pistolet. Złość versus rozsądek. Już nie ma odwrotu.

Svala biegnie do drzwi. Zgodnie z jej oczekiwaniem Peder stara się przeciąć jej drogę. Svala już ma pokonać ostatnie metry dzielące ją od drzwi, gdy jej ręka się osuwa i dziewczynka traci równowagę.

Peder łapie ją za włosy i podnosi. Wciska jej pistolet w kark. Właśnie ma ją wepchnąć do środka, gdy Svala wymierza mu łokciem kuksańca w żebra. Ból przeszywa go jak błyskawica. Mózg się gotuje. Łapie ją za ramię i wykręca jak podczas zabaw w dzieciństwie.

Boli?

Nie!

A teraz?

Nie!

Może teraz?

Bach, powieź w jej ramieniu puszcza z hukiem. Oboje zastygają na moment.

Mae geri. Frontalne kopnięcie, to pierwsze, czego uczy się początkujący karateka, a w odpowiednim położeniu jedno z najskuteczniejszych. Jeśli wykona się je we właściwy sposób. Ugiąć kolano, wyprostować nogę, siłę kopnięcia skupić na powierzchni trafienia i niech biodra zrobią resztę w mocnym ruchu w przód.

Jeszcze raz. Teraz lepiej. Pokój hotelowy to ich dojo. Poduszki to mitzar.

Masz wrodzony talent, mówi Lisbeth, zawiązuje jej w talii pasek od szlafroka i składa przed nią ukłon.

Jednoręka lalka Svala Hirak wykorzystuje siłę odśrodkową, ładuje *mae geri* i celuje w tę część ciała, której nazwa brzmi tak, jakby chodziło o grecki hotel wczasowy: *solar plexus*, splot słoneczny. Ostatnia podróż słoneczna Pedera prowadzi szerokim łukiem ponad szklaną balustradą wokół siatki.

Stukilowe cielsko spadające z dziesięciu metrów nie krzyczy. Łąduje grzecznie na kamieniu i łamie kark.

No fear. Jesteś wojowniczką. Nie myśl. Rób tylko to, co musisz.

Ramię nie boli. Pod tym względem jej choroba jest dla niej korzystna. Dopiero z czasem pojawią się schorzenia stawów i zanik mięśni. Tyle że w tym momencie ramię jest nie do użytku. Lewe.

Svala wsuwa dziennik do plecaka, klucz do pokoju czyści płynem do zmywania i wyciera, to samo robi z uchwytem maszynki do kawy. Gasi światło i zamyka drzwi. Staje i przez moment nasłuchuje. W lesie panuje cisza. Szybko zbiega po krętych schodkach.

Przez sporą część swego trzynastoletniego życia Svala rozmyślała nad różnymi sposobami unikania Plastpedera. A teraz on leży unieszkodliwiony i usunięty z niego na zawsze. Svala nie czuje ani radości, ani smutku. To była konieczność.

Powinien był zadowolić się dziennikiem. Jak ja cię teraz znajdę, Mamamärto?

Jeśli nikt nie zechce stanąć pod samym The Seventh Room, ciało zostanie odkryte najwcześniej jutro. A gdyby jednak postanowił tu przyjść jakiś uparty turysta? Svala usiłuje podnieść jedną nogę Plastpedera, ale uzmysławia sobie, że jedną ręką nie da rady go przesunąć. Spod brzucha wystaje mu pistolet. Dziewczynka wyjmuje magazynek i części pistoletu również chowa do plecaka. Wyjmuje kartę-klucz, przyciska ją parę razy do jego bezwładnych palców i wtyka mu do kieszeni kurtki.

Trzask złamanej gałązki. Svala przystaje i wstrzymuje oddech. Krok. Cholera. Jeśli ją teraz odkryją, to ma przechłapanie. Kroki się oddalają. Wracają. Dziewczynka kładzie się na ziemię i czołga w przeciwnym kierunku. Byle dotrzeć na skraj lasu, to będzie bezpieczna.

Odzywa się jakiś szept:

– Svala, jesteś?

Lisbeth. Svala podnosi się i wciąga ciotkę w mrok pod domkiem na drzewie.

– Uważaj, żebyś się nie potknęła o tę kupę gówna – mówi.

– Wygląda na martwego – stwierdza Lisbeth, a Svala kiwa głową. – Pewna jesteś? – Ponowne kiwnięcie.

Obie wojowniczkki wślizgują się w ciemność lasu.

Po krótkiej wizycie na pogotowiu i ustawieniu barku Svala zdążyła jeszcze na trzecią tercję meczu hokejowego. Trzy jeden dla Gasskas przeciw Björklöven.

Za dwadzieścia jedenasta kładzie się do łóżka z małpką. Komórka służy jej jako linijka, gdy tworzy nową kolumnę pod literą Z.
Z jak *zmarły*.

SALO IDZIE DO SIEBIE NA GÓRĘ. Kładzie się na kanapie i próbuje zaprowadzić porządek w głowie.

Powinien myśleć o Brancu i wyprzedzać go o krok. Zwykle działa w ten sposób. A jednak tym razem myśli o dziewczynce. O niej i o Märście. O tym, że życie mogło wyglądać inaczej.

Najwięcej myśli o Marianne Lekatt. To przez tę dziewczynkę.

To bardzo dobra osoba.

Kiedy ojciec pracuje, matka tańczy na stole. Odżywa, śmieje się, dba o synów. Zbierają grzyby i jagody. Pomagają sobie nawzajem przy zwierzętach, toczą wspólną walkę z biedą, która ciągle czai się na progu.

Dlaczego zapomniał o tym, co było dobre? Bo wtedy łatwiej znieść zdradę.

Ona też była ofiarą.

Jednak porzuciła ich. Wkroczyła we własny świat, zostawiając ich na zewnątrz.

Człowiek, który nie potrafi wybaczyć, gorzknieje.

Przemądrzałe dziewczynisko. Salo wstaje, wkłada wysokie buty i po raz pierwszy, odkąd się tu przeprowadził, idzie ścieżką w stronę skały.

Zapomniał, jaki może być las.

Las jest miejscem, gdzie poluje, miejscem walki z mniej lub bardziej kłopotliwą roślinnością. Nagle staje się świadom innych rzeczy. Samotnej sosny, która wyrasta ze skalnej szczeliny i z trudem wyciąga sękaty ramiona do światła. Mrowiska w kształcie głowy cukru. Bagna zwyczajnego, które jest wciąż zielone i pachnie, kiedy go dotknąć.

Las rozwija się przed nim po kawałku. Mówi, że wszystko przetrwa, byle zostawić go w spokoju. Las daje temu, kto go widzi.

Myśli o złu okalającym jego życie zostają wymazane. Ścieżka gdzieś zanika i krok za krokiem wypiera inne myśli, nie ma na nie miejsca pod śliskimi butami.

Zamiast obejść skałę dookoła, co byłoby najprostsze, wchodzi na szczyt i siada w miejscu, gdzie zawsze siadywał z Joarem. Jak orły mające oko na gospodarstwo i mieszkających tam ludzi. Wystarczyło zrobić kilka kroków, żeby wiedzieć, czy już mogą wracać do domu, czy nie.

Branco chce budować na skale. Tam jest najwyżej i najwięcej wiatru. Na skale należącej do niego i Joara.

Wilgoć przenika tkaninę spodni, gdy Henry schodzi stromą, chociaż krótszą ścieżką do domu. Zmierzcha się. Temperatura spada poniżej zera. Nie świeci się żadna lampa. Z komina nie unosi się dym.

Kiedy w końcu zebrał się na odwagę, aby spotkać się z nią jak człowiek, to jej nie ma. Cholera.

Wchodzi po schodkach. Chwyta za klamkę. Otwarte.

Słowo „halo” jest jak odruch z dzieciństwa. Jeśli pada odpowiedź, można spokojnie wchodzić.

Nikt nie odpowiada. Henry zdejmuje buty, wieszka kurtkę na haczyku. Zapala lampę w przedpokoju i uchyla drzwi do kuchni.

Pierwsze, co dostrzega, to nogi. Wyglądają, jakby się zaplątały o szczebelkowe krzesło.

– Mamo – mówi. Zapomniane słowo.

Mama, będąca już poza zasięgiem działania pierwszej pomocy, leży wyciągnięta na szmacianym chodniczku, który Salo pamięta z dzieciństwa. Na błękitnie rozlała się czerwień.

Henry siada obok. Odwraca do siebie jej twarz, czy to, co zostało po strzale, który trafił w czoło i spowodował – oby – natychmiastową śmierć Marianne Lekatt.

Salo dowleka się do zlewu, opiera o spizarnię i usiłuje wymyślić, co zrobić. Telefon na policję byłby najbardziej oczywisty. Nie miał nic wspólnego z jej śmiercią. A jednak nie czuje się niewinny. Nie ma znaczenia, kto to zrobił. Zagrał, ryzykując jej życie, a teraz ona jest martwa. To jego wina.

GDZIEŚ, GDZIE NIKT by nie szukał...

Lisbeth zagląda do dziewczynki, która jeszcze śpi. Późno się wczoraj położyła. Lisbeth w końcu wyciągnęła z niej całą historię. *Gdzieś, gdzie nikt by nie szukał...* Plan szantażu i rozdarta sieć.

Ta część relacji Svali budzi u niej pewne wątpliwości. To dziwne, żeby luksusowy hotel nie pilnował bezpieczeństwa, ale niech tam. Czasem jest łatwiej żyć z półprawdą. Odejście Pедера Sandberga z tego padoku to naprawdę żadna strata.

Gdzieś, gdzie nikt by nie szukał...

To zdanie nie daje jej spokoju przez całą drogę do biblioteki.

Mikael Blomkvist nie jest sam. Lisbeth widzi z daleka, co to za jedna. Glina. Miasteczko wydaje się ich pełne. I rzeczywiście: Birna Guðmundurdóttir wyciąga do niej rękę.

– Policja kryminalna – mówi. – Mikael mówi, że próbujecie wybadać, kto stoi za porwaniem.

– Między innymi – odpowiada Lisbeth.

– Nie dosłyszałam nazwiska – mówi tamta.

– Nie podałam. – Lisbeth nie ma czasu na znajome Blomkvista. Przynosi sobie kubek kawy z automatu i pyta bibliotekarza o salę z mapami.

– Zaczekaj, Lisbeth – odzywa się Mikael. – Nie moglibyśmy jeszcze raz omówić całość? Chciałbym dodać parę rzeczy.

– Zna pani jakiegoś Marcusa Branco? – pyta Lisbeth policjantkę.

– Nie. Wiemy, że jedna ze spółek działających w sprawie farmy wiatrowej nosi nazwę Branco, ale nie słyszałam o żadnym Marcusie.

– Dlaczego pytasz? – chce wiedzieć Mikael.

– Dostałam jakąś kiepską odpowiedź od Armanskiego.

– Żadnych nowych wiadomości? – pyta.

Nic takiego, czego powinna słuchać panienska z policji.

– Idę do sali kartograficznej. Możesz przyjść, jak z nią skończysz.

Lisbeth zaczyna od początku, czyli od zwyczajnej mapy ewidencyjnej terenu w skali 1 : 10 000. Budynki, drogi, jeziora i tak dalej. W całej gminie jest mnóstwo lokalnych dróg prowadzących do pojedynczych domów, często położonych nad jakimś jeziorem. Fizyczne zbadanie każdego domu jest niemożliwością. Trzeba zacząć od innego końca.

Zamiast iść po następny rodzaj mapy, Lisbeth prosi o pióro i kartkę.

Gdzie nikt by nie szukał?

Kanały ściekowe

Opuszczone domy

Zamknięte kopalnie

Strych urzędu gminy

Piwnica w siedzibie policji

I tu koniec. Jednak jest zima. Lisbeth skreśla wszystko z wyjątkiem dwóch ostatnich miejsc. Potem skreśla te również, ale dopisuje opuszczone domy.

Opuszczony dom nie musi być odłączonym od ogrzewania budynkiem mieszkalnym.

Magazyn

Garaż

Zakład przemysłowy

Gryząc koniec ołówka, Lisbeth stara się rozumować w sposób konstruktywny. Gmina jest najmniejsza w regionie pod względem powierzchni. Jednak dostatecznie duża, żeby ludzi zaginionych nigdy nie odnajdywano. Przynajmniej zmarłych. Choćby siódmkę wymienionych w dzienniku Märty. Zamierzała zwrócić na nich uwagę Blomkvista. Śmiech tej kobiety słychać aż tutaj. Czy ona nie wie, że w bibliotece należy zachować ciszę?

Lisbeth sprawdza zarówno „Expressen”, jak i „Gaskassen”. W Harads nie znaleziono żadnego zmarłego mężczyzny. Jeszcze. Bystra dziewczynka, zapłaciła za dwa noclegi. Ktokolwiek dał zlecenie Sandbergowi na Svagę, będzie teraz tym bardziej zmotywowany. Dzieciak jest w niebezpieczeństwie. Czy wystarczyłoby oddać im twardy dysk? Lisbeth już przekopowała plik na swój laptop. Bez hasła dysk jest wart tyle, co złom. Co właściwie powinno znaczyć – jeśli Lisbeth rozumuje poprawnie – że temu, kto ma Märte, nie udało się uzyskać od niej tego hasła. Pytanie, czy ona jeszcze żyje.

A poza tym Lisbeth nie cierpi na nadmiar pomysłów. Zgniatą papier i zaczyna obojętnie wertować inne mapy. Sama nie wie, czego szuka. A czego na mapach nie ma?

– Przepraszam – mówi, zwracając się do starszego mężczyzny, który siedzi o kilka krzeseł dalej. – Istnieją mapy opisujące wszystko, począwszy od liczby ludności po różnice poziomów terenu, domy, fabryki, szpitale i tak dalej. A czy jest coś, co nigdy nie trafia na taką mapę?

– To dopiero pytanie, muszę się zastanowić.

Lisbeth zerka w stronę Mikaela, który siedzi pochylony nad swoim smartfonem. Tymczasem ona korzysta z okazji i jeszcze raz sprawdza wiadomości z Harads. Nie ma nic, chociaż dochodzi już pierwsza.

Chciałaby wrócić do domu. Otworzyć drzwi kluczem i zamknąć się przed światem. Usiąść w oknie, patrzeć na niekończący się strumień aut na moście przy Slussen i jednocześnie poczuć, jak tłuszcz z pizzy ścieka jej po brodzie.

– Hm – odzywa się mężczyzna. – Pytała pani o mapy. Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to instalacje wojskowe, bunkry i temu podobne. Nawet nieczynnych budowli wojskowych nie umieszcza się na mapach, o ile mi wiadomo.

– A są takie w Gasskas? – pyta Lisbeth.

– Zważywszy na bliskość zarówno Boden, jak i Älvsbyn, tu i ówdzie powinno być tego trochę.

– Ale nic konkretnego?

– Mam jakieś wspomnienie z dzieciństwa o znajomym moich rodziców, który kupił gospodarstwo leśne i przy okazji dostał mu się bunkier, ale nie pamiętam, gdzie to było.

Lisbeth rozkłada znów mapę ewidencyjną.

– Proszę spróbować – mówi. – Skoro było gospodarstwo, to pewnie prowadziła tam droga?

– Niekoniecznie. Niektóre wsie, zwłaszcza z niewieloma mieszkańcami, uzyskały drogi dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych. Były oczywiście ścieżki i leśne dukty dla pojazdów konnych.

Przesuwa palcem po mapie i mruczając pod nosem, wymienia nazwy.

– Wydaje mi się, że to musiało być gdzieś w tym rejonie – mówi, zakreślając prawie całą gminę.

Czuje, że kończy jej się cierpliwość. Kolejny dzień bez postępów.

– No dobrze, a gdyby pan miał zgadywać. Nie musi się zgadzać, ale gdyby miał pan strzelać?

– Tu – mówi, zostawiając pośrodku pustkowiecia brązowy odcisk palca pobrudzonego snusem.

Po wyjściu mężczyzny, gdy bibliotekarz patrzy w inną stronę, Lisbeth składa mapę i chowa za pazuchą.

– Lecę – mówi do Mikaela, który zamienił już smartfon na komputer.

– Wiedziałaś, że Marianne Lekatt jest biologiczną matką Sala?

– Tak, mówił mi.

– To wiadomości też czytałaś?

– Nie, o co chodzi?

– Znalaziono ją zastrzeloną na podłodze w kuchni.

– Kto znalazł? – pyta Lisbeth. A jednak ten dzień coś znaczy.

– Henry Salo.

WIADOMOŚĆ PRZYCHODZI W NOCY. On czyta ją rano.

Sprzątnij obiekt.

Chłopiec śpi. W ostatnich dniach głównie śpi. Sprzątaczu zagląda do niego. Teraz udaje mu się wmusić dziecku trochę wody, ale nie jedzenia.

Rany po ataku orła nie chcą się goić – i cóż w tym dziwnego? Pokaleczył mu dziobem głowę. Złapał go szponami i usiłował podnieść. Orzeł bielika potrafi pochwycić uciekającego cielaka renifera. Zgodnie z porządkiem świata drapieźników chłopiec zapewne nie powinien przeżyć.

Zamiast jak zwykle ugotować sobie kawy, sprzątaczu wychodzi przed dom. Śnieg zaległ. Październik przeszedł w listopad. Zostało ćwierć beczki mięsa. Ostatnia wyżerka.

Jest wyż. Z ziemi podrywa się przestraszony cietrzew. Trzeba podjąć jakąś decyzję.

Odgłosy wydawane przez bielika są zagadkowe. Z książek ornitologicznych wynika, że ten gatunek się prawie nie odzywa poza okresem wysiadywania jaj, gdy kwili głośno i przeraźliwie jak dzięcioł czarny.

Orły sprzątacza kwilą na widok mięsa rozrzuconego na karmniku. Wyjątkowo dużo, wołają, wystarczy dla wszystkich!

Raz, dwa, trzy. Orły wylądowały. A mężczyzna, zamiast zostać w ukryciu, jak to zwykle robi, wraca do chaty i sprząta.

Zaciera własne ślady. I roni łzy. Sprząta ze świadomością, że bez dokarmiania zginie co najmniej połowa orłów. Sprzątając, rozmyśla też o dwóch latach spędzonych w tej chacie. O ludziach, co się tu pojawili, a odeszli już jako orle pisklęta, które wykluły się i kilkanaście tygodni później zerwały do pierwszego niezdarnego lotu.

Ale nie chłopiec.

Nawet dla takich ludzi jak sprzątacze istnieją wyjątki.
Decyzja została podjęta. Chłopiec potrzebuje leczenia. Lukas.
Istnieje tylko jeden człowiek, do którego może się zwrócić. To Henry Bark. Albo Henry Salo, jak się teraz nazywa.
Głos. *Starszy brat*. W jego wymowie trudno było odróżnić s od f, odkąd mu zęby przednie... *Obyś się smażył w piekle, staruchu jeden*.

- Mam coś dla ciebie, coś ważnego – mówi do niego jakiś głos.
- Kto mówi? Halo.
- Joar – odzywa się w końcu tamten. – Zaproponuj miejsce spotkania.
- Co takiego masz dla mnie? – pyta Salo.
- Zobaczysz. Zaproponuj jakieś miejsce.
- Salo odkłada na chwilę telefon. To może być pułapka. Waży za i przeciw. Dalsze życie bez Joara czy szansa, by znów poczuć się całością.
- Skąd mam wiedzieć, że to naprawdę ty, Joar?
- Masz naczyniaka między łopatkami.
- Co mógłby zauważyć każdy. Henry Salo nie wstydzi się swojego ciała.
- Nasz koń nazywał się Pontus, a szczeniak, którego stary przejechał na traktorze, wabił się Finn.
- Między Waikijaur a Kvikkjokk jest chata – odpowiada Salo. – Prześlę współrzędne.
- Już tam jadę.
- Do zobaczenia.
- Tylko przyjeźdź sam, bo inaczej pożałujesz. Nieważne: brat czy nie brat.

Sprzątacze wiedział od początku, czyli od przybycia do chaty, że przyjdzie jakiś koniec. Tak samo jak doszedł do pewnego końca w Afganistanie. W Syrii. W Mali.

Chłopiec został załadowany. Chata się pali. Reszta: kości, czaszki, DNA. Kto wie?

Sprzątacze przychodzi i odchodzi. Przez pewien czas utrzymuje czystość w społeczeństwie, a potem rusza dalej do brudniejszych miejsc.

Chłopiec leży zawinięty w drewnianej skrzyni. Ktoś nazwałby ją trumną. Sprzątacze ciągnie ją po śniegu przez kilka kilometrów, by dotrzeć do quada. Pojazd jest ośnieżony. Lepszy byłby samochód czy nawet skuter śnieżny,

ale przynajmniej jest wóz, a opony są wyposażone w łańcuchy. Skórą renifera, na której zamierzał siedzieć, okrywa chłopca, na to jeszcze pokrywa. Łączy ze sobą części tego ekwipażu, przywiązuje skrzynię i wyjeżdża na szosę.

Po dwudziestu paru kilometrach przystaje na mijance i dolewa benzyny.

Luzuje taśmy mocujące i uchyla wieko skrzyni. Chłopiec śpi, bo chyba śpi? Jego twarz jest nieruchoma. *Halo. Obudź się. Nie chciałem zrobić ci nic złego. Wykonywałem tylko rozkazy.* Chłopiec porusza się lekko. Otwiera oczy i zamyka je ponownie. Płatki śniegu topią się na jego twarzy. Sprzątaacz wyciera mu policzki, zamyka wieko i jedzie dalej.

Wieczór przechodzi w noc. Ogniska się dopalają. Ludzie siedzą blisko siebie. Patrzy na nich kolejno przez lornetkę. Podobno to rebelianci. On widzi kobiety, dzieci i starców. Żadnych młodych mężczyzn.

Jakaś pomyłka? Błąd dowódcy?

Rytm nadaje pojedynczy bęben. Dźwięki kory, afrykańskiej harfy, wyznaczają kurs na wieś. Ogień maszynowy jest bezosobowy. Rozchodzi się szeroko. Nikt nie wie, kto do kogo strzela. Krótco po tym wycofują się. Przesypiają kilka godzin. Wracają następnego ranka. Lufą karabinu szturcha zwłoki kobiety, które opadają na bok. Pod nią widzi szeroko otwarte oczy. Młode spojrzenie dziewczyny. Te oczy się nie boją. Zastrzel mnie, mówią. Zastrzel mnie teraz.

– Stay dead – odzywa się Joar. – Stay dead.

W ŻYCIU HENRY'EGO SALO panuje chaos. Jak w pogodzie. Instytut meteorologii wydał ostrzeżenie przed burzą. Istnieje ryzyko, że droga do Kvikkjokk będzie zaśnieżona. Salo stara się jechać jak najszybciej. Już w Jokkmokk są zaspasy, ale nie ma wyboru. W każdym razie nie jedzie elektrykiem. Zostało mu prawie sto dziesięć kilometrów. Pół baku. Po raz trzeci dzwoni do Pernilli.

Abonent nie może teraz odebrać, ale zostaw... Salo rzuca telefon na siedzenie i włącza radio.

– Brytyjska spółka wydobywcza Mimer dostała od rządu zielone światło dla swoich planów uruchomienia kopalni odkrywkowej niedaleko na zachód od zamkniętej kopalni Gasskas.

Decyzja zapadła wbrew zdecydowanym i powszechnym protestom miejscowej ludności i ruchu ochrony środowiska. Swoje stanowisko w sprawie przedstawiło również UNESCO, według którego powstanie kopalni oznacza pogwałcenie praw rdzennej ludności Saamów. Rządowa decyzja jest o tyle wyjątkowa, że administracja prowincji Norrbotten wcześniej odrzuciła wnioski brytyjskiej firmy.

Urząd górniczy i rząd postanowiły zatem zignorować tę decyzję. Jak uzasadnia to minister gospodarki Sven-Åke Nordlund?

– Szwecja i świat potrzebują nowych bezpiecznych kopalń, żeby zapewnić sobie dostęp do rzadkich metali niezbędnych między innymi przy produkcji akumulatorów do samochodów elektrycznych. Przystawienie na zielony przemysł to jedna z najważniejszych zmian zachodzących dziś w naszym społeczeństwie. Rząd jest zdania, że kopalnie są naszym bogactwem. Mimer zgodził się na warunki, które są wręcz wyjątkowe i gwaran-

tują, że wydobyć nie uderzy w ważną gałąź gospodarki, jaką na północy jest hodowla reniferów.

Aktywistka klimatyczna Greta Thunberg napisała na Twitterze, że decyzja rządu to wstyd dla Szwecji, oznacza bowiem pogwałcenie prawa motywowane rasizmem...

W tym momencie Salo wyłącza radio.

Lapońce i ekofaszyści, gdziekolwiek spojrzeć. Czy oni nie mogą zrozumieć, że jemu chodzi o dobro gminy?

Telefon dzwoni. Ten sam numer. Głos. *Młodszy brat*. Niski. Ciemnowłose.

– Skręcam teraz koło Vaikijaur. – W słuchawce słychać wycie wiatru. – Daleko mam jeszcze?

– Czterdzieści kilometrów do Björknäs, tam skręcisz w prawo na Nautijaur. – Połączenie zostaje zerwane.

Joar miał dziewięć lat, kiedy zostali rozdzieleni. Dziś ma trzydzieści dziewięć. Pytanie, co się wydarzyło przez te lata.

Salo zmusza się, żeby pomyśleć o terażniejszości, i znów pojawia się Branco. Czas mu się skończył. Na początek wzięli Märtę, potem Lukasa, kto będzie następny? Pewnie Pernilla, a na końcu on sam. Dzwoni do niej. Chce usłyszeć jej głos, chociaż ona go w tym momencie nienawidzi. W najgorszym razie może to być ostatni raz. Cóż. Trzydzieści lat bez kontaktu z Joarem, który dziś może być kimkolwiek.

– Narozrabiałeś, to teraz zrób z tym porządek. Nie jestem w stanie tu zostać – mówi Pernilla.

– Dokąd jedziesz?

– Pojadę z Olofssonem do... – Salo nie słyszy, dokąd jadą, już wyprzedza rozwój wydarzeń. Szczegóły, słowa, pozdrowienia, aluzje. Jak, do cholery, mógł być tak ślepy?

– Ty i Olofsson – mówi.

– Wstydziliś się. – Pernilla płacze. – Chcę tylko odzyskać Lukasa.

Kurwa, tylko nie płacz. Salo już nie ma siły.

– Trochę stary dla ciebie, nie?

– Idiota pieprzony – mówi Pernilla i się rozłącza.

Ostatni dziesięciokilometrowy odcinek pokonuje, pełnąc autem przez zaspę. Przełączając światła z długich na mijania i z powrotem. Wycieraczki

zmagają się z mokrym śniegiem. Co pewien czas trzeba się zatrzymać i zbijać z szyby kawałki lodu. O podjechaniu pod sam dom można zapomnieć. Ślady quada już zostały zasypane przez śnieg. Ostatnie metry Henry przemierza, brnąc przez zasy sięgające mu do pasa. Z okna chaty sączy się słabe światło.

GDZIEŚ POŚRODKU PUSTKOWIA, na odludziu prawie pozbawionym dróg, za to pełnym lasów, jezior, potoków i skał, siedzi na wózku mężczyzna. Odczuwa zadowolenie, bo zdążył wiele zrobić tego dnia. Nauczył lalkę nowych sztuczek. Wypił herbatę z Märtą Hirak. Teraz zerka ponownie na zegarek. Robi to znacznie częściej, niż trzeba. Tak bywa, kiedy ma się ręce, ale nie ma nóg. Chyba że ze względu na szczególną proweniencję tego zegarka. Mężczyzna nie jest nawet praworęczny, ale założenie zegarka na prawy przegub wydawałoby się niewłaściwe. Paul Newman nigdy by tego nie zrobił.

Wkrótce dołączą do niego pozostali. Mężczyzna zatrzymuje się jeszcze przez chwilę i rozkoszuje ciszą. Otwiera butelki szampana, poprawia ustawienie talerzy z kanapeczkami i szykuje przemówienie.

Wieczorem w Orlim Gnieździe odbędzie się przyjęcie z okazji jubileuszu. Dwadzieścia pięć lat, to dopiero. Chciałby świętować również inne rzeczy, ale jeszcze przyjdzie na to czas, jest tego pewien. Niektóre przeszkody zostały już wyeliminowane. Inne czekają na swoją kolej.

Odszykowali się. Uroczyście kiwają głowami Marcusowi, aby następnie zasiąść przy półokrągłym marmurowym stole, który dla uświetnienia wieczoru został nakryty obrusem.

– Już jako dzieci mieliśmy wizję – mówi Branco i robi sztuczną pauzę. – Chcieliśmy zarabiać pieniądze. I chcieliśmy zobaczyć świat. Przeszliśmy razem przez ogień i wojny. Niektórzy z was dosłownie. To cena za to, co mamy dziś. Ciągle pamiętam tamten magiczny wieczór w Nikozji. Taras na dachu, jedzenie, wina i łagodne nocne powietrze. Tam zdefiniowaliśmy, kim chcemy być i jak tego dopiąć. Dotarliśmy wtedy do rozstaju dróg, przyszedł moment, w którym należało postawić kropkę zamykającą to, co

było, i spojrzeć w przód. Działalność spółek Branco przyniosła od tamtej pory wiele sukcesów. Nieruchomości, kopalnie, bezpieczeństwo i rozrywka to solidna kombinacja. A jednak nigdy na tym nie poprzestaliśmy, zawsze podążaliśmy dalej. Pytaliście, dlaczego kierujemy się na północ, skoro reszta naszej działalności jest rozrzucona po świecie, a ja odpowiedziałem: „Wracamy do naszych korzeni”.

Varg, Järv, Björn, Ulf i Lo ²⁵. Wszyscy z wyjątkiem Lo znają się, od kiedy mieli po dziesięć lat. Robili biznesy, odkąd się tylko nauczyli obliczać procent. Oszczędzali, inwestowali, rozwijali się. Są do siebie niepodobni i jednocześnie podobni. Varg to prawdziwy wojownik. Järv jest małomówny i być może najinteligentniejszy z nich wszystkich. Björn pasjonuje się techniką. Ulf jest fetyszystą broni. I wreszcie Lo. Branco zatrzymuje na niej spojrzenie. Wierniejszej kobiety nigdy nie spotka. Aż szkoda, że nie będzie służyć żadnemu mężczyźnie. Oprócz niego, rzecz jasna. Ani nie urodzi dziecka.

„Rak”, to pierwsze, co mówi w odpowiedzi na pytanie, dlaczego wybiera inne życie. Życie z nimi. „Moja matka, ciotka i siostra. Wtedy kazałam sobie wyciąć wszystko. Dwadzieścia cztery lata i nienadająca się do użytku jako kobieta, przynajmniej w powszechnym mniemaniu. Jednak ja tego nie widzę w ten sposób. Nie mam w środku tykającego zegara biologicznego. Moim życiem nie sterują hormony. Mam wolność, której nie znają inne kobiety”.

Lo nie jest wśród nich jedyną osobą bezpłodną. W geście solidarności wszyscy poddali się sterylizacji. Dzieci czy rodzina po prostu nie mieszczą się w ich stylu życia.

– Chciałbym jak zwykle rozpocząć ten wieczór od prelekcji – mówi Marcus. – Prelekcji o przyszłości, można powiedzieć.

Varg chrząka.

– Przepraszam – mówi – ale czy można wziąć sobie kanapkę? Jestem dosyć głodny.

Gdyby Branco nie znał Varga, rozgniewałby się. Varg może nie ma całkiem równo pod sufitem, ale zyskuje dzięki uporowi. No i lojalności, rzecz jasna. Posiada również pewną cechę, której brakuje pozostałym: empatię. I dlatego jest jedynym z rycerzy, któremu Branco zwierza się w pewnej drobnej kwestii. Tej dotyczącej zagłady Ziemi.

Branco, podobnie jak wszyscy wielcy ludzie, odczuwa potrzebę ujęcia swoich idei na piśmie. Tyle że bez czytelników i publiczności. Dlatego spo-

tykają się czasem tylko we dwóch. Marcus czyta głośno, a Varg z tym swoim nielotnym umysłem kwestionuje każde najmniejsze słowo. Kiedy w końcu zrozumie, nie ma odwrotu. Staje po stronie Marcusa. Mimo że nazywa go zarówno Hitlerem, jak i członkiem partii zielonych.

– Zarówno partia zielonych, jak i Greta Thunberg mają w gruncie rzeczy rację – mówi Branco. – Człowiek jest na najlepszej drodze do zniszczenia Ziemi, która warunkuje jego życie. Jeśli Ziemia ma uniknąć zagłady, to nie ma dróg na skróty. Zagrożenie klimatu nie jest wymysłem naukowców ani dziewczynek szukających zainteresowania, tylko rzeczywistością. Człowiek i jego potrzeby ciepła, pożywienia, środków lokomocji i wygody stanowią największe zagrożenie dla Ziemi i paradoksalnie dla niego samego. Te słowa mogą się wydawać brutalne – mówi – ale jeśli Ziemia ma przetrwać, duża część ludzkości musi umrzeć. Ujmując rzecz w miękkiej prozie polityków, brzmiałoby to mniej więcej w ten sposób. – Branco sięga do swojej ulubionej tablicy demonstracyjnej i ujmuje kij do wskazywania.

1. Obecnie żyjące płodne pokolenia są ostatnie. Ludzie muszą przestać się rozmnażać, dopóki Ziemia nie odzyska równowagi.
2. Firmy wspierające paliwa kopalne i przekraczające dopuszczalne limity emisji powinny być karane finansowo i zamykane.
3. Wszystkie pojazdy przyczyniające się do emisji węglowodorów powyżej granicy 0 zostaną zakazane.
4. Dozwolona będzie jedynie produkcja energii neutralnej dla klimatu.
5. Jeśli wymagane będzie użycie siły, żeby świat zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, to należy takiej siły użyć.

– Wchodzimy do polityki? – pyta ze zdumieniem Järv. – Myślałem, że nienawidzisz polityków.

– Owszem, zgadza się, ale jak wiecie, dziś wieją inne wiatry. Ludzie mają dość cackania się. I w tym dopatruję się jakiegoś otwarcia.

Na liście Marcusa znajduje się więcej punktów. Na przykład kara śmierci. Natomiast nie planuje zostać nowym Kim Dzong Unem. Nie skupia uwagi na samym sobie. Woli działać w ukryciu, jak zawsze. Fakt, że nie posiada nóg, nie ma tu nic do rzeczy. Ten brak go wzmocnił psychicznie.

Jest urodzonym liderem. Dobry lider nie potrzebuje podziwu, tylko posłuchu.

W świecie Hitlera byłby jednym z pierwszych w kolejce do gazu. Potworek bez nóg. Bezwartościowy kaleka. Untermensch.

– Ale oczywiście nie przyszliśmy tu jedynie po to, żeby rozmawiać o przyjemnościach, mamy również jeść i pić! A więc *skål* za resztę życia – mówi Branco, wznosząc kieliszek. – Będzie wspaniałe!

Ulf zmienia Björna. Ktoś musi pilnować pozycji. Przez monitory sali konferencyjnej mają widok tylko na najbliższe otoczenie. Na wypadek jakiejś wizyty z zewnątrz, co się jeszcze nie zdarzyło.

Ze sterowni znajdującej się na półpiętrze można natomiast obserwować obraz z różnych kamer. Znajdują się w bunkrze, w pomieszczeniach mieszkalnych z wyjątkiem prywatnego apartamentu Marcusa, w sali recepcyjnej, w celach i na ogrodzonym terenie wielkości paru tysięcy hektarów.

Jednak zamiast postępować zgodnie z regulaminem, Ulf przejdzie się do cel. Dziwka Hirał już mu się sprzykrzyła. Narkomani są jacyś nieświeży. W dodatku wygląda bardziej na martwą niż żywą. Ulf nie rozumie, dlaczego Marcus upiera się, żeby ją jeszcze trzymać.

– Bawi mnie – mówi. – I ani razu nie płakała.

Za to lalka jest apetyczna jak ciastko z kremem kawowym, zakazany owoc egzotyczny o mince niewinnego dziecka i jędrnym ciałku.

Zwykle zatrzymuje obraz, gdy leży sama na pryczy i płacze. Budzi w nim czułość, chciałby ją objąć. Pogłaskać po gładkiej czarnej skórze i szeptać jej do ucha uspokajające słowa. Zdarza się, że schodzi do niej tylko po to, by porozmawiać. Przy okazji zmienia jej prześcieradła, żeby przedłużyć tę chwilę.

– Nie śpisz? – pyta szeptem przez wizjer. Dziewczyna się nie rusza. Teraz głośniej: – Nie śpisz?

Nareszcie, czekała.

Odwraca się i patrzy na niego.

– Czego chcesz?

– Mogę wejść? – pyta, upewnia się, że nikt inny nie zabłądził do ciemniejszych części bunkra, wybiera kod i otwiera drzwi. – Zimno ci? – Siada obok niej.

Spokojnie, będziesz miała tylko jedną szansę.

– Zawsze byłeś dla mnie miły – odzywa się dziewczyna. – Nie to, co tamci.

– Oni właściwie nie są źli – przekonuje Ulf – tylko po prostu wykonują swoją robotę.

– Najgorsza jest ta kobieta – mówi Sophia.

– Twarda z niej sztuka.

– Ale nie ty. – Pochyla się do niego.

Przez pierwsze dni boi się za bardzo, żeby myśleć. Potwór, bo nie wie, jak miałyby go inaczej nazwać, czerpie rozkosz z jej podporządkowania, jednak tylko do pewnego stopnia. Pragnie ognia i gorąca. Sophia podąża za nim, reaguje na najmniejszą aluzję. Zadowala go. A po jego wyjściu wkłada sobie palce do gardła.

Przeżyłaś jako jedyna z twojej rodziny. Jesteś świadkiem. Twoja odpowiedzialność polega na tym, aby nie umrzeć.

Wie, że potwór znudzi się nią prędzej czy później. Gdy jeden z tamtych, ten siedzący teraz na jej łóżku, zaczyna krążyć wokół jej celi, Sophia dostrzega w tym szansę.

– Jak masz na imię? – pyta.

– Moje imię znaczy wilk – odpowiada Ulf.

A więc Sophia nazywa go Lupus. Lupus przynosi jej jedzenie. Sophia bawi się w syndrom sztokholmski. On na szczęście boi się posunąć za daleko. Potwór na pewno potrafi być potworem na wiele sposobów. W swoim podnieceniu Ulf zapomina kiedyś zabrać tacę.

Lupus przysuwa się bliżej. Obejmuje ramieniem. Chwyta jej dłoń i kładzie sobie na kroczu. Dziewczyna pieści go przez spodnie, rozpina rozporek i mówi mu, by je ściągnął, tak żeby miała lepszy dostęp, drugą ręką maca pod materacem, przyciąga mu członek do brzucha, on jęczy z rozkoszy. Sophia pociąga jeszcze parę razy, Ulf zamyka oczy. Podczas ostatniego, intensywnego ruchu, zaraz przed szczytowaniem, dziewczyna chwyta widelec i wbija w mosznę, wyciąga i wbija jeszcze raz, i jeszcze raz. W szyję, w oko, a w końcu w serce, jeśli on je ma. Ale to jeszcze za mało. Canis Lupus może mieć więcej niż jedno życie. A więc przyciska mu poduszkę do twarzy. Patrzy, jak jego nogi drgają po raz ostatni. Wyjmuje nóż z pochwy u jego pasa. Upewnia się jeszcze, że jest ostry, potem wymyka się przez

drzwi celi, które on z praktycznych względów zostawił uchylone, żeby móc szybko wyjść.

 Nie przyszło mu do głowy, że dziewczyna spróbuje uciec od jego czulej obecności.

PRZED CHATĄ STOI CAN-AM Z PRZYCZEPKĄ. Są ledwo widoczne ślady butów i czegoś, co było wleczone po schodkach.

Salo nie jest wielbicielem broni palnej. Wprawdzie wszystkie jesienne weekendy wypełnia polowaniem, a jednak ledwo potrafi podać nazwę swojej strzelby. Tym bardziej nie przyszłoby mu na myśl, by załatwić sobie osobistą broń. W tym momencie tego żałuje.

Życie składa się z mnóstwa paradoksów. Na przykład takich, że w jednej chwili chce się umrzeć, aby już w następnej chcieć żyć. Przede wszystkim jednak chciałby o swoim odejściu decydować sam. Nie ginąć jak jakiś ćpun w Brancolandzie ani we własnej chacie weekendowej.

Ze środka bije ciepło. Ogień trzeszczy, łagodne światło lamp naftowych pada na stół w kuchni, a przy stole siedzi mężczyzna, który wygląda mniej więcej jak on sam. Oprócz tego, że nie zaczesał włosów do tyłu jak księżę Daniel.

Sprzątacz wstaje. Splata dłonie, jakby nie wiedział, co ma z nimi zrobić, i Salo się uspokaja. Rozpina parkę, rzuca czapkę na wieszak, robi pięć kroków przez kuchnię i obejmuje brata.

Uciekaj, Joar, uciekaj.

Ja już nie chcę uciekać. Musimy go zabić.

Auto ojca wjeżdża na podwórko. Czeka ją w garażu. Joar unosi młotek. Wydaje okrzyk bitewny... i potyka się o własne sznurowadła.

Jak długo obejmuje? Sam nie wie. W końcu Joar uwalnia się z objęć Henry'ego. Siada znów na krześle, a Henry naprzeciwko.

– Opowiadaj – odzywa się Henry i Joar opowiada.

– Opowiadaj – mówi Joar i Henry opowiada.

Dwaj bracia. Dwa życia.

– Powiedziałaś przez telefon, że masz coś, czego ja chcę.
– To zależy – mówi Joar i kiwa głową w stronę izby obok.
Zdjął wieko ze skrzyni, odwinął skórę renifera. Chłopiec się nie rusza, gdy Joar odgarnia mu włosy z czoła.
– Jezu, przecież to Lukas! Jak, do cholery...? To ty go miałeś przez ten cały czas? Przecież musiałeś wiedzieć, kim jest.
– Nie od początku. Jestem tylko sprzątaczem – odpowiada Joar.
– Dziwna ta firma sprzątająca, w której pracujesz.
– On żyje, ale być może już niedługo. Orzeł uznał go za zdobycz.
– Orzeł? Coś ty, do cholery, zrobił?
– Nie ja, orzeł bielik. Możesz zabrać chłopca, ale jest jeden warunek. Dwa warunki. Björkberget. Cokolwiek będzie chciał Branco, masz odmówić. Rozumiesz? Nie dostanie naszej góry. Matka ma prawo zrobić, co chce.
– Czyli nie wiesz – odzywa się Henry.
– Czego nie wiem?
– Matka nie żyje. Dziedziczysz Hultet.
Wspomnienia przelatują jak błyskawice. Trzydzieści lat to kawał czasu. A czasem to nic.
– Branco przeforsuje swój projekt – mówi Henry. – Lukas to tylko początek. Ty dziedziczysz, ale jeśli nie dasz zgody na ich plany, to też trafisz na listę.
Ja mam swoją własną listę.
Lukas kręci się, pojękuje i otwiera oczy. Wyciąga rękę do Joara i prosi o wodę. Świeży śnieg topi się w czerpaku. Chłopiec pije i zasypia ponownie.
Pernilla nigdy by mu nie wybaczyła.
– Później porozmawiamy – mówi Henry. – On musi trafić do szpitala.
I co ja tam powiem, że znalazłem go w jakiejś skrzyni?
Joar chwyta go za ramię.
– Jeszcze jedno. Nigdy się ze mną nie spotkałeś. Kiedy stąd odjadę, to już się więcej nie zobaczymy.
– W takim razie musisz zająć się Brankiem – mówi Henry. – Przynajmniej tyle powinienesz zrobić.
Joar patrzy na brata tymi samymi smutnymi oczami chłopca, co kiedyś.
– Branco nie istnieje. Nie ma go. Nie rozumiesz?

Jeden brat odjeżdża w nieznane. Drugi w stronę szpitala w Sunderbyn.
W kominku Tulikivi płonie skrzynia. Chłopiec bredzi w gorączce. Jego
mama wypłakuje się w czyichś objęciach.

Henry, czy ty się nigdy nie boisz?

Nie, bo to i tak nic nie da.

Następnym razem go zabijemy.

Tak jest. Śpij już.

CHOCIAŻ POPOŁUDNIE PRZECHODZI już w wieczór, Lisbeth postanawia wsiąść do samochodu i rozejrzeć się po północno-wschodnim rejonie gminy Gaskas.

– Ja też chcę jechać z tobą – mówi Svala. – To moja mama zaginęła.

– Masz klasówkę. I nie zapomnij spakować kostiumu gimnastycznego.

Uśmiecha się do własnych słów. Taka zabawa w rodzica może być fajna. Potem mama kwoka zostawia jej parę setek, żeby sobie zamówiła jedzenie z dostawą.

Włącza lokalną radiostację i znów się uśmiecha. Nie, nie uśmiecha, ale śmieje się w głos.

– Trzydziestopięcioletni mężczyzna został dziś znaleziony martwy w Tree Hotel w Harads. Według szefa wydziału przestępczości kryminalnej Hansa Fastego policja prowadzi czynności pod kątem wypadku. Mężczyzna prawdopodobnie wypadł przez balustradę, runął z wysokości około dziesięciu metrów i zmarł wskutek urazów.

Nieco mniej zabawnie robi jej się po esemesie od Svali.

Dzwoniła twoja dziewczyna. Zadawała mi mnóstwo pytań o Plastpedera.

Krótko potem dziewczyna zgłasza się również do Lisbeth. Minęło trochę czasu od ostatniej rozmowy. Lisbeth nie chce się już dzwonić do niej, bo odpowiedź jest zawsze ta sama: „Sorry, mam robotę”.

– Rozmawiałam przed chwilą ze Svalą. Przypuszczam, że słyszałaś, że Peder Sandberg nie żyje.

– *Bless his filthy soul* ²⁶ – odpowiada Lisbeth.

– I oczywiście nie wiesz nic na ten temat?

– Nic ponad to, że spuściła mu łomot pewna ruda kobieta z nogami jak u Barbie.

– Odpuść – mówi Jessica.

Wieczór wśród ludzi ze Svavelsjö ciągle nad nią wisi w postaci nieustającego poczucia dyskomfortu. Nawet nie dlatego, że Sandberg dostał manto, ale z powodu wspomnień, które on lubieżnie chciał w niej obudzić. Gwałt, potem wstyd, ciąża i aborcja. Żal, że piętnastolatka musiała sobie radzić z tym sama. *Twoja matka rozkłada nogi w Svartluten*. Chciała skopać go na śmierć. Skopać ten uśmieszek, który prześladował ją przez całe życie. Podobnie jak słowa, których nie dało się zapomnieć, bo z niektórymi słowami tak jest.

– Czy Svala ma z tym coś wspólnego? – pyta Jessica. – Według ludzi z hotelu w tym pokoju zameldowała się nastolatka i zapłaciła gotówką.

– Svala była na meczu hokejowym. Odebrałam ją stamtąd. A poza tym Sandberg miał chyba dość wrogów wśród swoich?

– Absolutnie, ale znaleźliśmy coś w jego kieszeni kurtki. Dziennik, chyba pisała go Märta Hirak.

Ty sprytny dzieciaku, niedługo nie będę mogła cię już niczego nauczyć.

– Szkoda, że w ten upadek zostają zamieszane inne osoby. Dosłownie.

– No właśnie. A ty co porabiasz? Masz ochotę się spotkać? – pyta Jessica.

Lisbeth rozłożyła na kolanach mapę z biblioteki i wpatruje się w brązowy odcisk palca, który wydaje się znajdować na środku jakichś błot. To strzał w ciemno, ale od czegoś musi zacząć.

– *Sorry* – mówi. – Pracuję. – *Jedwabiste włosy, nogi jak u Barbie*. – Ale możemy się dzwonić później.

Poczucie samotności jest wielkie jak to pustkowie. Las na przemian z mokradłami i jeziorami, ale żadnej zabudowy i prawie nie ma dróg. Lisbeth nie wie, czego szuka ani od czego zacząć. Wszystko, co ma, to wspomnienie z dzieciństwa starego człowieka.

Zarząd fortyfikacji wojskowych powinien wiedzieć. Jeśli sprzedali nieruchomość w latach pięćdziesiątych, musi się ona znajdować w ich rejestrze. Sprawdzę i się odezwę.

Mikael Blomkvist. Na razie się nie odezwał.

Kto to jest ta glina, z którą się zadaje Blomkvist?

Chodzi ci o Birnę? Jasne włosy, pogodna, ładna?

Czyli zupełnie inna od Lisbeth.

Wjeżdża do jakiejś przydrożnej zatoczki i znów sprawdza mapę. Ten stary mózg to źle zapamiętać.

W oczekiwaniu na Birnę – Lisbeth tego nie zmyśliła – Mikael Blomkvist siada w jakimś kącie w Buongiorno, gdzie wypija piwo. Kiedy Birna esemesuje, że spóźni się pół godziny, Mikael ponownie sięga do współrzędnych, które przysłał mu IB. Tych, które wskazują dom Henry’ego Salo i Pernilli. Kilka miesięcy przed tym, jak się tam wprowadzili. Wybiera numer Lisbeth.

– Cześć, co robisz?

Kurde, że też nagle wszyscy chcą wiedzieć, co ona robi.

– Rozglądam się. Robi się ciemno.

– Ta mapa, którą pokazał ci ten stary. Możesz zrobić jej zdjęcie?

– Mogę, bo co?

– Odezwę się później, tylko mi prześlij, dobrze?

– A ty co robisz? – pyta Lisbeth, ale wtedy Mikaelowi się spieszy.

– Zdzwonimy się, nie zapomnij wysłać.

Kilka sekund później przychodzi zdjęcie pomiętej mapy z plamką na środku pustkowie.

Mikael powiększa ten rejon na Google Maps. Sprawdza rejon i czuje, że ma rację. Dzwoni do Lisbeth, która odrzuca połączenie. Dzwoni ponownie, ale w tym momencie przychodzi Birna.

Świeżo umyte złote loki kołyszą się jej na plecach.

Uśmiech jest jak bulgoczące gorące źródło. Cholernie ładna.

Jednak Mikael nie może przestać myśleć o Lisbeth, która jest jej przeciwieństwem i najbardziej srogą osobą, jaką zna. Jeśli Birna jest źródłem, to Lisbeth jest wulkanem. Gorąca jak lawa. I twarda jak skała.

– Przepraszam – mówi Mikael. – Muszę najpierw wykonać telefon.

SOPHIA KONARÉ usiłuje zorientować się w sytuacji. Przystaje przed celą drugiej kobiety, ale zdaje sobie sprawę, że nie zdoła otworzyć jej drzwi. Spotykały się, chociaż nigdy ze sobą nie rozmawiały. Sophia w drodze do potwora, a tamta po powrocie.

Światło, dzień. Sypialnia potwora ma jakieś okna, ale żeby się tam dostać, musiałyby przejść przez wszystkie inne pomieszczenia. Biurowe, albo trudno określić jakie. Ludzie chodzą, dzwonią, siedzą przy komputerach i wydają się pracować jak wszędzie indziej.

Cele znajdują się z boku, tyle Sophia wie. Zabierają ją stamtąd zwykle pod wieczór. Czasem zostaje całą noc. Nie śpi, leżąc obok śpiącego cielska potwora. Nie chodzi nawet o to, że on nie ma nóg. W Mali jest mnóstwo ludzi pozbawionych kończyn. Idzie raczej o świadomość tego, co się dzieje w jego chorym umyśle. On jest naukowcem. Ona królikiem.

Po znalezieniu ujścia dla żądz w podbrzuszu potwór chce rozmawiać. Mówić. Układa się z głową na jej ramieniu, a jego słowa wypełniają mrok jeszcze większym mrokiem. Wiele mówi o czasie, który wkrótce się skończy, i o tym, że świat potrzebuje się zjednoczyć pod jednym wspólnym przywódcą.

– Widzisz, lalka – mówi – dorastamy, wierząc, że jesteśmy trybikami w wielkiej maszynerii. Że wszyscy mamy jakieś znaczenie, niezależnie od tego, kim jesteśmy albo jak wyglądamy. A to nieprawda. Stosując różne medykamenty, technikę, sztukę lekarską, manipulując genami i tak dalej, pozbawiamy naturę właściwych jej procesów selekcji. Na Ziemi pomieści się tylko ograniczona liczba ludzi. Powstaje pytanie, którzy mają pozostać przy życiu, a którzy nie.

Być może Sophia to właśnie zrobiła. Pomogła Ziemi usunąć część ludzkości, która niczego nie wnosi.

W jednej z cel leży martwy mężczyzna. Jeśli zostanie odkryty, zanim ona się stąd wydostanie, to też będzie martwa. *Moja rodzina*, tak potwór mówi na tamtych. *Prawda, lalka? Przyznasz, rodzina jest najważniejsza.*

Sophia się zatrzymuje. Słyszy prowadzone żywo rozmowy, jak to na imprezie. Podchodzi bliżej krok po kroku. Dostrzega ich, wychyla się i liczy. Wszyscy z wyjątkiem jednego.

Dzieli ją od nich tylko szyba. Musi przejść obok, najlepiej niezauważenie. Dalej są schody i winda. Jeśli będzie jej sprzyjać szczęście, dowiedzie ją na górę, gdzie wolność. Jeśli nie będzie, czeka ją powrót do piekła.

Varg wstaje i kieruje się ku szklanym drzwiom. Teraz to jego kolej, żeby zmienić Ulfa. Rzuca okiem na ekran z obrazem z zewnątrz. Zauważa, że stado reniferów znów zakłóca czujniki. Trzeba zrobić porządek z techniką. Znieczuliło ich poczucie bezpieczeństwa wynikające z tego, że przez dwa lata nic się nie wydarzyło. Trzeba będzie to poruszyć podczas porannego zebrania. Naciska kławkę, ale jeszcze się odwraca, rzucając na tamtych spojrzenie pełne czułości. Buzuje w nim szampan. Nigdy nie było tak, że to oni razem przeciw światu. Raczej przeciwnie.

Sophia wycofuje się do najdalszego ciemnego końca korytarza. Minął odpowiedni moment. Teraz pozostaje jej tylko zejście w dół do tuneli i robi jej się zimno na samą myśl. A co potem?

Bez wierzchniego okrycia i butów? Przeciwno zimnu panującemu na dworze ma na sobie tylko krótką dziewczęcą koszulkę nocną w misie. Tak chce ją widzieć potwór. Jako niewinną masę mięśniową ubraną w koszulkę z misiami.

Drugiego dnia zabrali ją na zwiedzanie pod ziemią. Straciła orientację już po trzecim zakręcie, co prawdopodobnie było ich celem. Wszędzie nowe drzwi, schody, sale, drabiny i tunele.

Nawet jeśli uda jej się dostać na dół, to raczej nie trafi do wyjścia. Musi zaryzykować. Gdy drzwi windy się zamykają, przemyka przed szklanymi drzwiami jak kreseczka w kąciuku oka Lo. Szarpnięciem otwiera drzwi pożarowe i po kamiennych schodach pędzi na górę, aż staje przed dwójgiem drzwi. Przeczucie mówi: prawe. A wybiera lewe. Schodami w dół,

przeskakując po dwa stopnie, i nagle między nią a wolnością jest tylko pancerna blacha. Jedno naciśnięcie drzwi i już jest na dworze.

Biegnie. Ziemia była goła, kiedy ją ostatnio widziała, teraz śnieg sięga łydek. Koszula nocna powiewa jej wokół ud. Sophia potyka się, wstaje. Szuka osłony pod drzewami jak gnu, które zgubiło stado.

Mózg mówi jej: „Połóż się i zaśnij”. Sophia biegnie dalej. Tak jak zawsze biegała, czyli boso, szybko, mając wyraźny cel przed sobą.

Lisbeth Salander już ma zawrócić z powrotem do Gasskas, kiedy dostrzega jakiś błysk kilka metrów w głąb nieużywanej drogi dla ciągników. Opuszcza szybę, wyjmuje ze schowka lornetkę i nastawia ostrość na dolną część sosny, aby następnie przesunąć celownik lunetowy do góry, wzdłuż pnia. Kamera. Kurde, kamera umieszczona tak, by zminimalizować ryzyko odkrycia. Gdyby nie zaobserwowała wiewiórki, przemieszczającej się szybko przez koronę drzewa, nigdy by jej nie zauważyła. Skoro jest jedna kamera, musi być ich więcej.

Lisbeth próbuje rozumować strategicznie. Jeśli kamery są rozmieszczone wzdłuż drogi dla ciągników, to jeszcze nie została dostrzeżona. Ale jeśli jest również kamera przy zatoczce parkingowej, to przepadła. Lepiej nie ryzykować. Wrzuca bieg i przejeżdża dwa kilometry do następnej zatoczki.

Nie ma tu żadnej drogi dla traktorów ani ścieżki, według której mogłaby się orientować. W dodatku jest prawie ciemno. Wieczór rozświetla jedynie księżyc i śnieg. Może lepiej wrócić tu, kiedy znów będzie widno? Lisbeth robi to, co wszyscy Norrlandczycy, czyli kładzie kluczyk na przedniej oponie, następnie zapala sobie czołówkę, przeskakuje przez rów, rozcina siatkę ochronną dla zwierzyny, czy cokolwiek to jest, i wchodzi między drzewa.

Dwa kilometry przez las. Śnieg nie jest bardzo głęboki. Stwardniał, ale nie na tyle, by zamarznąć, i co pewien czas Lisbeth się zapada. Pot spływa jej po plecach. Pragnienie gasi śniegiem. Według mapy powinna wkrótce dotrzeć do mokradeł. Oby zamarzniętych. Co pewien czas przystaje i nasłuchuje.

Varg zauważa, że Ulfa nie ma przy panelu kontrolnym. A to oszust jeden, lata do toalety podczas swojej zmiany. No cóż, każdego może nagle przycisnąć. Za osiem sekund, gdy będzie *update* obrazu z cel i innych pomiesz-

czeń, włączy się alarm, co spowoduje automatycznie blokadę wszystkich dróg wyjścia.

Varg powiększa obraz z celi lalki. W pierwszym momencie wszystko wygląda jak zwykle. Potem dostrzega dłoń. Uruchamia krótkofalówkę łączącą salę konferencyjną ze sterownią, potem ogólny alarm, który zamyka automatycznie zamki w drzwiach prowadzących na zewnątrz. Teraz trzeba odcisku palca, żeby się wydostać. *Dlaczego, cholera, nie jest to stałe rozwiązanie?*

– Nie ma lalki. Możliwy intruz. Ulf prawdopodobnie nie żyje. Uzbrójcie się i rozejdźcie. Ja zajmę się terenem na zewnątrz.

Są w stanie zagrożenia, jednak Varg odczuwa podniecenie. Życie w bunkrze wydaje mu się monotonne i dość nudne, a on jest żołnierzem. *Universal soldier*, którego dotychczasowa urozmaicona służba w różnych wojennych epicentrach zamieniła się w powtarzalną pracę biurową.

Zamęt nie omija nawet Märty. Ktoś szarpnięciem otwiera drzwi, ściąga z niej koc i równie szybko wychodzi. Märta jest za słaba, żeby z powrotem naciągnąć koc, ale jej myśli są jasne jak woda w potoku przy Njakaure.

Dranie jedne. Przyszedł na was czas, zawsze przychodzi. Czy nie tak mówiłeś, kaleko? No to masz swoją Apokalipsę. Teraz!

Sophia już sama nie wie, dokąd idzie. Siły jej się kończą, zimno wkrada się do jej świadomości, spowalnia kroki i myśli. Z początku słyszała tylko skrzypienie gałęzi na wietrze. Teraz słyszy inny odgłos, i to coraz wyraźniej. Kroki. Sapanie. Sygnał komórki i czyjś głos. *Antylopy gnu poruszają się w stadach. Przed atakami chroni je ich liczba. Samotne zwierzę szybko staje się zdobyczą.*

Varg idzie po jej śladach. Znajdzie ją. Bosą i bez ubrania. Nawet uciekające, ścigane zwierzę nie może biec bez końca. Nagle ślady rozdzielają się, a raczej krzyżują. Już nie jest sama. Varg przykuca, żeby się przyjrzeć. Ślad butów i ślad bosych stóp.

Nie ma polowania bez myśliwego. Lisbeth podąża kawałek za śladami. Zaszywa się za jakimś drzewem i czeka.

– Ciociu, muszę ci coś powiedzieć. – Dziewczyna siada w łóżku. Małpka siedzi obok. – Wiesz, kiedy wtedy włamałam się do Sala.

– No i?

– Skłamałam. Kiedy stamtąd wyszłam, samochód jednak był. F goił mnie przez las. Strzelał do mnie. To było tak, że albo on, albo ja.

– Nie martw się, zajmą się nim kruki.

Lisbeth Kruk Salander.

Trupa nie znalazła, trafiła za to na narzędzie zbrodni, czyli gałąź z zaschniętą krwią. Zabiera ją do samochodu z zamiarem wyrzucenia jej w jakimś innym miejscu. I wtedy oczywiście dzwoni ten irytujący Blomkvist, więc gałąź zostaje w bagażniku. Teraz służy jej jako podpórka na śniegu. Wkrótce znów posłuży jako broń. We wszystkim jest jakiś sens.

Z miejsca, gdzie stoi, dostrzega nagle jakiś ruch. Prawdopodobnie mężczyzna. Posuwa się do przodu. Przystaje, kuca, dłonią przesuwając po śladach, podnosi się i znów rusza.

Jeszcze trochę, jeszcze trochę, teraz! Uderzenie w kark rzuca go twarzą w śnieg. *Pomyśleć, że ktoś cię kiedyś urodził i może nawet karmił piersią.*

Lisbeth nie nadała z reakcją, gdy jemu udaje się odwrócić i podstawić jej nogę. Teraz to ona leży nosem w śniegu, a jemu udało się wstać. Gałąź leży poza jej zasięgiem.

– Wstawaj – mówi mężczyzna, celując do niej z pistoletu. Lisbeth klęka i podnosi rękę.

To dziecko czy karlica?

– Ktoś ty?

– Spacerowałam tu – odpowiada Lisbeth.

– Na pewno – mówi on ze śmiechem. – A kawałek dalej leży lalka i zamarza przez ciebie. Dobra robota!

– Mogę wstać? – pyta. Nie ma co się stawiać. Musi znaleźć nową okazję, i to szybko.

– Właśnie miałem to zaproponować. Przejdziemy się kawałek we dwoje. Przecież lubisz spacerować.

Wracają po jego śladach. Ona pierwsza. Nagły niespodziewany atak z jej strony mógłby wyprostować sytuację. Trzeba sprawić, żeby znalazł się bliżej niej. Lisbeth zwalnia kroku, księżyc podąża za nimi przez gałęzie drzew.

– *Shit!* – Lisbeth potyka się na jakiejś nierówności.

– Cholera jasna! – On podciąga ją za ramię.

Jaki džentelmen. Dzięki, Branco, że wytresowałeś swoje małpy.

Lisbeth robi zwrot i za pomocą *shuto-uke* udaje jej się wybić mu z ręki pistolet. On reaguje dokładnie tak, jak przewidziała, czyli usiłując zamknąć jej ręce w uścisku.

Uważaj, Lisbeth. Karate jest dobre, ale w walce wręcz krav maga jest outstanding.

Zwinnie jak łasica wywija się z jego uścisku i nagle jest już za nim.

Przytrzymując we właściwy sposób, jedną ręką szyję od przodu, a drugą zaciśniętą pięścią na karku, odcinasz dopływ tlenu. W każdym razie chwilowo.

*Dzięki za odpowiedź, Jessica, ale nie sięgam tak wysoko. Zamiast tego robi wykop *migi ashi*, celując w staw kolanowy, jednocześnie posyła mu cios łokciem *yoko empi* prosto w skroń.*

Staw łamie się z przyjemnym trzaskiem. Jeśli facet nie ma w gaciach więcej broni, to jest wyłączony z użytku, przynajmniej na razie. Lisbeth zabiera jego rewolwer i wraca biegiem wzdłuż śladu bosych stóp.

Śnieg jest dziwnie miłosierny. Robi się ciepły jak leśne jezioro, w którym zwykle się kąpią latem. Choć zawsze marzyła o morzu, pływa nago w jezioro. Jest i Fatma, również Amina, mama, braciszek. A tata? Tamtym razem się schował. Czy przyszedłeś mnie uratować?

Lisbeth przerzuca sobie dziewczynę przez ramię. *Lalka. Odpokutujecie za tę lalkę.* Niesie ją jak cielaka na rzeź. Mają tylko jedną szansę. Bo jeśli jest jeden wróg, to na pewno jest ich więcej. *Auto. Byle nie dotarli jeszcze do auta.* Co pewien czas musi zdjąć dziewczynę i chwycić na nowo. Księżyc świeci na dach samochodu. Lisbeth przeciska się z dziewczyną przez dziurę w ogrodzeniu. Żadnego Branca tam nie ma.

MYŚLI HENRY'EGO SALO są niezgłębione, ale pierwszy odruch jest naturalny. Dzwoni do Pernilli. *Abonent nie może odebrać...* Skręca go zazdrość. *Olofsson, ty ścierwo, ty obleśny staruchu.*

Na tylnym siedzeniu leży jej syn, wciąż zawinięty w skórę renifera. Salo nie wie, czy nie wiezie trupa, nie wie też, dokąd ma jechać. Najkrótsza droga wiedzie do szpitala w Gällivare. Jednak kiedy wyjeżdża na E45, okazuje się, że trasa na północ jest wciąż nieodśnieżona. Pług zawrócił przy Vaikijaur i pojechał z powrotem w stronę Jokkmokk. Widać jeszcze ślad po jadącym w tamtą stronę quadzie. Salo boi się ryzykować, niech będzie Sunderbyn na południe od Boden.

Albo? Pytanie brzmi, co się stanie, kiedy Branco dowie się, że chłopiec został uwolniony – na kogo wtedy padnie? Na Märtę, rzecz jasna... Już raz przehandlował jej życie za życie Lukasa. Czy pora dokonać odwrotnej zamiany? Salo nie jest cyniczny, jest praktyczny. Dopóki Branco nie wie, że chłopiec został odnaleziony, sytuacja pozostaje bez zmian.

Wszyscy szukają chłopca. Pismak, to stworzenie, z którym on się zadaje, policja, media... Mikael jest nieprzekupny, tyle Salo już pojął. Może policja choć raz zrobiłaby coś pożytecznego.

- Policja Gasskas, Birna Guðmundurdottir.
- Mówi Henry Salo.
- Henry, czy coś się stało?

Tak jak się umówili, spotykają się w szpitalu. Chłopiec żyje. Z jego matką wciąż nie można się skontaktować.

- Żeby wyłączyć telefon, jak jej dziecko zginęło? Kto to słyszał?
- Napiszę do niej na Messengerze. Chcesz kawy? – stawia na blacie kubki z kawą, potem sięga po notes i pióro. – Mów, jak go znalazłeś?

– Dostałem telefon. Nie wiem, kto dzwonił. Kiedy przyjechałem do chaty, chłopiec leżał w łóżku. Było nawet napalone. Ale nikogo poza Lukaszem nie było. A śnieg i wiatr zawiąły wszystkie ślady.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś od razu po pogotowie i policję?

Salo jest przygotowany. Musi jej coś rzucić, żeby zrozumiała powagę sytuacji.

– Cała nasza rodzina jest zagrożona. Jeśli wyda się, że chłopiec został odnaleziony, następnym celem stanie się prawdopodobnie Pernilla. – *Na co, nawiasem mówiąc, zasłużyła.*

– Albo ty – mówi Birna. – Innymi słowy, wiesz, kto stoi za uprowadzeniem Lukasa. – Birna stara się zachować spokój. *On wie. Cały czas wiedział. Milczał, żeby ocalić własną skórę. Co za łajza.*

Wydaje się rzeczywiście żaloszny, gdy opierając się na łokciach, siedzi ze zwieszoną głową. Nie poprawia jego sytuacji to, że według niego Märta Hirak znajduje się w rękach tych samych ludzi.

– Czyli Lukas został porwany w związku z planami budowy farmy wiatrowej? A potem również Märta Hirak. I mimo to nie powiedziałaś policji, co wiesz.

– Chyba rozumiesz, że grozili jeszcze innymi rzeczami, jeśli pójde na policję. Myślałem, że uda mi się to wszystko rozwikłać, z właścicielami ziemi i politykami.

– O co chodzi z właścicielami ziemi?

– Gdyby się tylko zgodzili udostępnić swoje działki, nic by się nie wydarzyło. – *A jednak, Salo malutki. Farma wiatrowa to tylko początek. Potrzebujemy również wiernego współpracownika na przyszłość.*

– Co czyni z ciebie głównego podejrzanego w sprawie zabójstwa Marianne Lekatt.

– Mnie? – Henry prostuje się na krześle. – Przecież to idiotyczne. To ja ją znalazłem. Ona była moją biologiczną matką.

– Innymi słowy, wiele za tym przemawia. Chyba rozumiesz, że musisz jechać ze mną na komendę. Wezwałam już posiłki. A czekając, możesz się też zastanowić, jak wytłumaczysz wpłatę sześciuset tysięcy koron na twoje konto bankowe.

Jednak najpierw pojawia się Pernilla w towarzystwie Olofssona. Salo zaciska pięści, a Pernilla nawet na niego nie spojrzy. Olofsson klepie jakąś wymówkę i wchodzi za Pernillą do pokoju Lukasa.

– Moja żona – mówi Salo do Birny.

– Trudno o lepszą. Powinieneś pójść porozmawiać z nią.
Salo wchodzi, Olofsson wychodzi.

– Jak, kurde, mogło do tego dojść? – pyta. – Musiałaś się zejść akurat z nim?

– Nic nie wiesz. Nie odzywaj się – mówi Pernilla, cała skupiona na synku. Na jego główce całej w lokach. Bezpiecznym jak niewinne dziecko.

– Henry, dziękuję, że znalazłeś Lukasa – mówi Salo.

Pernilla odwraca się, wstaje, podchodzi do niego, nabiera ślinę i pluje mu prosto w twarz.

– Przehandlowałeś jedno życie na drugie, tak to ująłeś? Jakbyś był jakimś pieprzonym bogiem.

W tym momencie dziecko siada na łóżku.

– Cześć, mamó, gdzie dziadek?

LISBETH PAKUJE DZIEWCZYNYĘ na przednie siedzenie, przejeżdża tak kilka kilometrów i dopiero wtedy nie boi się zatrzymać. Wkłada jej własne buty zimowe, owija kurtką puchową i kocem, potem włącza ogrzewanie na całego. Po wypiciu kilku łyków zwietrzałej coli dziewczyna dochodzi do siebie na tyle, żeby móc szeptać. Lisbeth stara się jej nie pospieszać, gdy z trudem wypowiada słowa, którymi opisuje dziwne miejsce.

– Zaczekaj – mówi Lisbeth i dzwoni do Mikaela Blomkvista. Ten nie odbiera. Po chwili wahania telefonuje do Svali przez głośnomówiący. Nikt nie umie trzymać buzi na kłódkę tak jak ona.

– Cześć, masz coś do pisania?

– A gdzie jesteś?

– O tym później.

Głos uprowadzonej dziewczyny jest słaby i ochrypły.

– To wygląda jak labirynt bez okien. Wyjątkiem jest tylko sypialnia potwora, gdzie są okienka w suficie.

– W jakim sensie jest potworem?

– Jest zły. A jego ciało... wygląda jak u dziwnego zwierzęcia. Nie ma nóg, same stopy, które wyrastają z tułowia. – W tym momencie szlocha, przez chwilę poddaje się łzom. – Ale... między nogami... – I znów płacze.

– Zgwałcił cię – dopowiada Lisbeth, a dziewczyna kiwa głową.

Lisbeth domyśliła się, kto to jest. Czytała o niej. Sophia Konaré z ośrodka dla uchodźców. Powinna ją objąć, pocieszyć, powiedzieć, że wie, bo też tego doświadczyła, ale czas temu nie sprzyja. Dziewczyna potrzebuje lekarza, a Lisbeth ma sprawy do załatwienia.

– Spokojnie – mówi. – Napij się jeszcze coli. Jak poczujesz, że możesz mówić, to chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o tej budowli. Mówi-

łaś, że jest podziemna. Czy to bunkier?

– Z celami i korytarzami łączącymi różne pomieszczenia. Tak mi się wydaje.

– Ile jest tam osób?

– Wraz z potworem sześć, eee... pięć.

– Kim była szósta osoba?

Sophia w pierwszej chwili nie chce odpowiedzieć. W końcu mówi:

– Człowiek, który stał się moją drogą ucieczki.

– Jak myślisz, co to za ludzie?

Stay dead, stay dead.

Głowa dziewczyny leci w bok. Chce jej się spać. *Ci sami mężczyźni co zawsze. Co jedną ręką ratują, a drugą zabijają.*

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Mówiłaś o celach, widziałaś tam kogoś jeszcze?

– Kobietę – mówi Sophia ledwo słyszalnym głosem. – Białą, ciemnowłosą. Nie wiem, czy jeszcze żyje.

– Miała na imię Märta? – pyta Svala i niemal krzyczy. – Może przynajmniej wiesz, jak miała na imię?

– Nie wiem – mówi dziewczyna. – Po prostu nie wiem.

– Widzimy się niedługo – mówi Lisbeth i się rozłącza.

Po następnych dwudziestu paru kilometrach zajeżdżają przed szpital Sunderby. Dziewczyna ledwo daje się obudzić. Prostuje się niechętnie i bąka coś o tamtej kobiecie.

– Przepraszam, przepraszam.

– To nie twoja wina – mówi Lisbeth. *Skurwysyny.* – Zrobimy wszystko, żeby ją znaleźć, ale żeby niczego nie zepsuć, musimy się trzymać tej samej wersji. Okej? – *Dopadniemy was. Wszystkich po kolei.*

– Okej. – Dziewczyna niechętnie ściąga kurtkę i botki. Wysuwa się z auta na południowym parkingu szpitalnym i chwiejąc się, idzie do wejścia.

„INSTYTUT METEOROLOGII wydał ostrzeżenie w związku z trudnymi warunkami atmosferycznymi w większej części środkowej Laponii. Ośrodek burzowy, który wczoraj dotarł do łańcucha górskiego, przesuwa się obecnie w kierunku wschodnim. W związku z silnym wiatrem w połączeniu z gwałtownymi opadami śniegu apeluje się do ludności o niewyjeżdżanie na drogi bez potrzeby.

Na koniec naszego porannego programu posłuchamy raz jeszcze wypowiedzi Hansa Fastego z wydziału przestępczości kryminalnej policji w Gaskas o odnalezieniu osiemnastoletniej dziewczyny z Mali, która w połowie października zaginęła z ośrodka uchodźców Fridhem.

– Przebieg wydarzeń wyglądał następująco. Dziewczynę idącą drogą między Murjek a Kirtik dostrzega kierowca samochodu. Dziewczyna jest bosa i nie ma wierzchniego okrycia.

Policja już wcześniej prowadziła jej poszukiwania. Jak do tej pory wygląda na to, że dziewczyna oddaliła się z własnej woli. Miała spędzić ten czas z pewnym rówieśnikiem z Gällivare. Policja prosi o kontakt nieznanego kierowcę auta, który znalazł dziewczynę i odwiózł ją do szpitala w Sunderbyn”.

Lisbeth wyłącza radio. Dobrze. Teraz policja może zacząć poszukiwania po niewłaściwej stronie granicy gminy albo ich zaniechać. Prędzej czy później podrzuci im się jakieś kaski, lecz w obecnej sytuacji nie może ryzykować, że policja wparuje do Branca, marnując szansę wydostania Märty żywej. Wysyła wiadomość do Jessiki Harnesk. *Pilnujcie Sophii. Odezwe się.*

Odpowiedź przychodzi natychmiast: *To jest sprawa policyjna. Gdzie jesteś? Co się stało?*

Nie tylko Lisbeth wysłuchiwała radiowego dziennika z wypowiedzią Hansa Fastego. Zrobił to również Marcus Branco.

Rycerze zebrali się na minutę ciszy. Varg na szczęście ma twardy łeb i wyjdzie z tego. Chociaż ze złamanym stawem kolanowym stanowi dla nich raczej problem.

Stypa po Ulfie polega na wypiciu herbaty z prowincji Fujian i omówieniu ostatnich wydarzeń.

Z obrazu kamer znajdujących się na zewnątrz wynika tylko jedno odchylenie, ale najprawdopodobniej spowodowane przez reny. Wiedzą, którą lalka przemieszczała się przez las, natomiast nie wiedzą, kim była osoba, która z nią współpracowała.

– To nie może być przypadek – mówi Järv, rozglądając się. – Czy możliwe, żeby skłoniła Ulfa do zaangażowania kogoś z zewnątrz?

– Ulfa? Dlaczego akurat jego? – pyta Marcus.

– Miał obsesję na jej punkcie, zakochał się.

– Zakochał się? – dziwi się Branco. – Co za żenada.

Przypadek, Branco. Kto jak nie ty zrozumie rolę przypadku? Nie urodziłeś się w 1961 roku, jak większość osób urodzonych z wadami kończyn po zażywaniu przez ich ciężarne matki leku sprzedawanego w Szwecji pod nazwą neurosedyn. Nie, urodziłeś się w 1987 z matki Brazylijki, cierpiącej na niedobór odporności.

Już w 1965 roku neurosedyn, ale pod nazwą talidomid, zostaje w Brazylii ponownie dopuszczony ze względu na swoje właściwości immunomodulujące i antyangiogenetyczne. Twoja matka kupuje ten lek na czarnym rynku. Zachodzi w ciążę i rodzi ciebie. Dziecko bez nóg, z nienaturalnie długimi ramionami i penisem, którego rozmiar w proporcji do reszty ciała można porównać do konia. Nic dziwnego, że lalka nazywa cię potworem.

– Wprowadzamy zarządzanie kryzysowe – mówi Marcus. – Wiecie, o co chodzi.

– Co z dziwką? – pyta Lo.

– Żyje jeszcze?

– Tak, ale wstrzymajcie się przez chwilę – woła Järv. – Najpierw musicie coś zobaczyć.

UPROWADZONY CHŁOPIEC ZOSTAŁ ODNALEZIONY

Chłopczyk uprowadzony przez zbrojnych mężczyzn podczas wesela w barze Raimos w Storforsen został odnaleziony w chacie w pobliżu Kvikkjokk.

Według niepotwierdzonych oficjalnie informacji chłopca odnalazł jego ojczym, burmistrz Gasskas Henry Salo. Miejscowa policja odmawia komentarzy, powołując się na dobro rodziny. „Gaskassen”, jako jedyna gazeta, otrzymała jednak wypowiedź szefa wydziału przestępstw kryminalnych, Hansa Fastego.

– Prowadziliśmy szeroko zakrojone działania śledcze, które doprowadziły do pozytywnego przełomu. Nie mogę wchodzić w szczegóły poza słowami uznania dla moich wspaniałych współpracowników.

– Zdecydowaliście się nie współpracować z NOA, tylko rozwiązać tę sprawę, polegając na własnych zasobach kadrowych. Czy to dowód, że nawet nieduża jednostka policji może mieć poważne osiągnięcia?

– Zdecydowanie tak – mówi nam Hans Faste. – W tym przypadku przesądziła nasza znajomość miejscowych uwarunkowań w połączeniu z doświadczeniem.

– Skontaktujcie się z dostawcą – mówi Branco. – Dopilnujcie, żeby odnalazł sprzątacza. – Monotonnym głosem wydaje rozkazy. Dotyczą Sala i jego żony. Następnie odjeżdża w stronę windy, zjeżdża nią na dół i potem dalej do cel. Albo do „hotelu”, jak sami nazywają tę część. Wybiera kod, wjeżdża i zamyka drzwi za sobą. Nie zamierza powtarzać błędu Ulfa.

Koc jej się zsunął. Branco podnosi go i przewiesza przez oparcie swego fotela.

Czy ona żyje? Sięga po swoje narzędzie, ramię ze szponem, przypominające chwytak, którego uliczni sprzątacze używają do zbierania śmieci. Podnosi jej dłoń.

– Paskudnie to wygląda – mówi. – Opryszczka chyba się rozsiała. Wkrótce będziemy musieli uznać cię za niezdolną do życia. Ale wiedz jedno, Märto: według moich kryteriów klasyfikowania świata, o których mówiłem ci podczas moich małych prelekcji, miałaś całkiem duże szanse na przeżycie. Jesteś biedna, nie masz samochodu, nie stać cię, żeby jeść mięso i tak dalej. To znaczy, że w minimalnym tylko stopniu naruszasz

zasoby Ziemi. A poza tym dziękuję ci, Märto, że byłaś tak dobrą słuchaczką.

Okrywa ją kocem i klepie ją lekko po nodze w geście pożegnania.

KILKA PÓŻNOJESIENNYCH TYGODNI w Gasskas. Są jak bajka albo jak mit powtarzany tyle razy, że nieprawdopodobne staje się prawdą. Jak opowieści przy ognisku snute przez myśliwych albo wędkarzy.

Jedne osoby grają tu pierwszoplanowe role, jak Henry Salo, Marcus Branco czy Mikael Blomkvist. Inne, jak Sonny Nieminen, Jessica Harnesk i Peder Sandberg, spełniają jakieś funkcje, nie zabierając zbyt wiele miejsca w tej opowieści. Są tylko ludźmi, ale w tle też mają jakąś historię, która uczyniła ich tymi, kim są.

Lisbeth Salander i Svala Hirak żyły równolegle przez trzynaście lat, nie wiedząc nic o sobie. Posuwały się powoli wytyczonymi trasami w stronę krzyżyka, czyli przecięcia się ich dróg. Pytanie, czy opowieść tutaj się skończy, czy też krzyżyk jest tylko początkiem?

W prapoczątkach cywilizacji malowanie się było domeną mężczyzn. Wojownicy robili to dla kamuflażu, chyba że malowali się krwią, ziemią i popiołem, ażeby wyrazić przynależność do swego plemienia.

W pokoju na najwyższym piętrze Stadshotellet, hotelu miejskiego potocznie zwanego Statt, trzynastoletnia dziewczynka szykuje się do ostatniej bitwy. Otwiera laptop i do wyszukiwarki wpisuje *Lisbeth Salander + makijaż + tutorial*. Zaczyna od twarzy. Pokrywa ją warstwą białego pudru, potem przechodzi do oczu. Rozciera na powiekach węgiel i zarówno na górnej, jak i dolnej rysuje kajalem mocne kreski. Na koniec maluje wargi na czarno. Na włosy, które są beznadziejnie białe i proste, nie może wiele poradzić. Przekłucia też ma tu i ówdzie. Obwiązuje czoło czarną chustką i przegląda się w lustrze. To nie ona. I nie Lisbeth. To one obie naraz.

Kilka pięter niżej Lisbeth siedzi przy stoliku barowym i ogląda plany.

Nie do końca bez pomocy Mikaela Blomkvista, okej. Znalazł nieruchomości, którą Zarząd Fortyfikacji sprzedał w 1951 roku Andersowi Johanssonowi. Dwa tysiące hektarów lasu, głównie sosnowego i świerkowego. Potem się zacięło i bunkier znalazła dopiero, gdy sama zabrała się do zgłębiania tajnych pomieszczeń wojskowych.

Niby jest pośpiech, jednak wejście do tego, co, jak zakłada, jest bunkrem Branca, wymaga planowania. Jeśli informacje Sophii zgadzają się ze stanem faktycznym, Branco ma wokół siebie cztery osoby po przeszkoleniu wojskowym, które nie tylko dysponują bronią palną, ale są prawdopodobnie w dobrej formie fizycznej. Minus jedna osoba, która po spotkaniu w lesie nie bardzo może chodzić.

Konstrukcja bunkra jest bardzo dziwna. Budowany etapami począwszy od roku 1910 na skale silnie wychylonej od frontu i płaskiej z tyłu. Idealny fort dla lubiącego dyskrecję biznesmena prowadzącego podejrzaną działalność, cokolwiek to jest. Hacker Republic nie zdołał jeszcze wdrzeć się do spółki od tyłu, ale to tylko kwestia czasu. Przynajmniej to musi oddać The Branco Group, że może służyć za przykład bezpieczeństwa danych. Chyba że...?

Ta myśl nie daje jej spokoju, chociaż starała się odepchnąć ją od siebie. Plague. Coś tu się nie zgadza. Teraz widzi to wyraźnie. Branco nie powinien stanowić dla niego problemu. Takiego permanentnego. Wszyscy ludzie gdzieś są – podobnie jak firmy, tajna policja, osoby o nowej tożsamości i tak dalej. Prędzej czy później pozostawiają jakiś ślad. Branco nie stanowi wyjątku. W dodatku nie stara się nie zwracać na siebie uwagi. Akurat Plague powinien umieć go znaleźć.

Na razie Lisbeth zadowala się wysłaniem do niego wiadomości.

Wasp do Plague'a: Wszystko w porządku?

Plague do Wasp: Może to trochę z innej paki, ale znaleźliśmy pewne otwarcie na temat Branca. Wydaje się, że kilka lat temu był zamieszany w skandal ze skażeniem środowiska wokół pewnej kopalni w Patagonii.

Lisbeth zrezygnowana opuszcza ręce i wraca do rzeczywistości. Z planów wynika, że do bunkra są dwa wejścia. Do nich doszło prawdopodobnie jeszcze jedno, prowadzące do nowocześniejszej części mieszkalnej, mające według Sophii zamek na linie papilarne.

Zapisuje sobie w komórce mapy w postaci zdjęć, wypija colę i wjeżdża windą na siódme piętro.

Przez sekundę, ale nie dłużej, myśli: *Camilla*. A potem: *Ja*. I dopiero wtedy dogania ją terazniejszość, a Svala staje się zwyczajną nastolatką, która zaszalała z przyborami do makijażu.

– Nie, nie jedziesz – mówi.

– Właśnie że tak. To moja sprawa, żeby przywieźć Mamamärte do domu. Poza tym jestem ci potrzebna jako kierowca.

– Myślałam, że ten temat został już zamknięty – mówi Lisbeth tonem pierdoły.

– Od wczoraj spadło trzydzieści centymetrów śniegu. Będziemy potrzebowały skutera śnieżnego.

– Ja będę potrzebowała skutera, nie my.

– Czyli wybierasz się na turystyczną przejażdżkę po szlakach w Kåbdalis, tak?

– Nie, ale według instrukcji trzeba po prostu gazować.

– Przepraszam, zapomniałam, że jesteś ze Sztokholmu. Powodzenia na świeżym puchu – mówi Svala, ściąga sweter ze skórzanymi łatami na łokciach i idzie do łazienki.

– Czekał, co to jest?

– Smoki są fajne, ale tygrysy są jeszcze fajniejsze.

Lisbeth przypomina sobie, dlaczego nigdy nie chciała mieć dzieci.

– Co to za gad, który robi dziecku tatuaż bez zgody rodziców?

– Pewnie żaden, ale napisałaś mi bardzo ładne zaświadczenie.

- PAMIĘTA MNIE PAN? To ja kupiłam od pana rangera.
- Jak mógłbym zapomnieć?
- Wiem, że nie chce pan sprzedać żony, ale potrzebuję pożyczyć od pana skuter.
- Mowy nie ma – pada odpowiedź. – W weekend napada więcej świeżego puchu.
- Co oni wciąż pieprzą o tym puchu?*
- Rozumiem, że to dla pana trudne, ale dobrze zapłacę. Pięć tysięcy za dobę. Okej?
- Pięć tysięcy? – Mężczyzna się śmieje. – To jednak przesada. Wystarczy trzy tysiące. Ale tylko na dobę.
- I ani minuty dłużej, ale musi mi go pan przywieźć. Ranger nie ma tyle pary.
- No tak, matka nim jeździła – mówi tamten ponurym tonem.
- Lisbeth szuka jakichś słów pocieszenia, żeby poprawić nastrój.
- Za to kolor ma ładny.
- Gdybyś nie powiedziała, że jesteś komputerowcem, to myślałabym, że jesteś psycholożką – mówi Svala, siadając na skuterze. – Fajny jest taki summit. Miałam już dość tego starego bearcata, którego miał Plastpeder. Cholernie dziaderski.
- Nie klnij. – Lisbeth ma w końcu szansę się odgryźć.

Im bliżej są miejsca spotkania, tym bardziej się robią milczące. Mikael Blomkvist przysłał kilka esemesów, podobnie jak Jessica Harnesk. Ich sens jest ten sam: nie rób nic pochopnie, daj działać policji.

Lisbeth zastanawia się, czy i co wie Jessica. Czy Sophia coś powiedziała? Chyba nie. Blomkvist? Możliwe. On ma skłonność do wcinania się, gdzie nie trzeba, chociaż Lisbeth przyznaje, że czasem się to przydawało.

Na koniec kontaktuje się z Plagiem. Na wszelki wypadek.

– Wyślij info do Blomkvista – pisze. – Ten sam adres co poprzednio. –
I prawdopodobnie ten sam login.

Przyjeżdża i odjeżdża facet od rangera i skutera.

Znajdują się na parkingu prawie dziesięć kilometrów od bunkra.

W Orlim Gnieździe odbywa się jedno zebranie kryzysowe po drugim. Tym razem Branco nie jest pewien co do następnego posunięcia. Pojawiają się przeciwności, których nie przewidzieli, nie składa mu się to wszystko. Chodzi już nie o farmę wiatrową i Sala, ale o zagrożenie z zewnątrz dla całego koncernu Branca. Odkryli kilka poważnych prób złamania ich systemu, na szczęście odpartych. I chociaż żadne z nich dotąd nie powiedziało mu nic wprost, to czuje, że według nich to jego wina. *Laski. Powinien był dać sobie z nimi spokój. Zwłaszcza z tą ostatnią.*

Co prowadzi do następnego punktu: ucieczka lalki.

Na temat samej ucieczki nie ma co się rozwodzić poza stwierdzeniem dotyczącym czynnika ludzkiego, który jest kapryśny i nieobliczalny, a w przypadku Sophii Konaré także desperacki (w oczach Branca to również wyraz jej niewdzięczności). A dalej? Varg, żałosny był ten jego powrót, kiedy przypełzył jak zwierzę.

Branco czuje, że zbliża się do sedna sprawy: kobiety w lesie. Karateki. Niby niedużej, a bestii na „spacerze”. Kim ona jest, u diabła? I nie tylko to: kto ją przysłał?

– Wszystkie informacje zostały zabezpieczone i skasowane – informuje Järv ze sterowni. – Pozostaje trywialny problem: dziwka. Powiedz, że możemy się jej teraz pozbyć.

– *bassai dai* – mówi Lisbeth, patrząc na Svalę.

– *Breaking into the castle.*

Już widziała to spojrzenie. I wolała się na nim nie zatrzymywać. Jest w nim wszystko, o czym chciałyby zapomnieć. Zala, Niedermann, Camilla. Dziwnie jasnoniebieskie oczy, prawie przezroczyście. Zawsze gotowe na przemoc i Svala nie jest tu wyjątkiem. Mocne czarne kreski podkreślają chłód tego spojrzenia, ale również mrok, w którym – jak czuje Lisbeth – żyje Svala. Jak oni wszyscy. W przeciwnym razie nigdy by nie wylądowali w tym kotłowisku.

– Nie da się zmienić kolei losu, można jedynie wybrać, po której stronie się pójdzie – mówi Svala.

Lisbeth opuszcza przednią szybę i ustawia lusterko. Wkłada rękę do wewnętrznej kieszeni, potem odrobiną krwi, ziemi i popiołu maluje twarz, na której pojawia się wizerunek wojownika.

– Teraz wyglądasz jak Noomi Rapace – mówi Svala.

– A kto to jest?

– Nieważne – odpowiada Svala, odmawiając przyjęcia puszki coli.

– Mogę ci coś doradzić, w razie gdybyś się musiała bić?

Dziewczynka kiwa głową.

– Będziesz miała tylko jedną szansę. Uczyłam cię, że karateka nigdy nie uderza pierwszy. To prawda. Karate to przede wszystkim obrona. Ale w walce... – Ręce dziewczyny są chude jak ćwierć kilo spaghetti. Ma wrodzony talent i pas... od szlafroka. – Pamiętaj, że przeciwnik jest najslabszy w momencie, kiedy atakuje. *Sen no Sen*. Jesteś wojowniczką, Svala. Nie żołnierką. Wojowniczką. *Bushi*. A dziś jesteś kierowcą – dodaje na wszelki wypadek. – Będziesz siedziała w tym lesie, dopóki nie wyjdę. Rozumiesz?

Svala przytyka czoło do czoła Lisbeth.

– Jesteś w porządku – mówi. – Dziwna, ale w porządku. A skoro już tu siedzimy i nie wiadomo, czy to przeżyjemy, mogłabyś mi odpowiedzieć na parę pytań?

– Jasne.

– Jak zginął mój dziadek?

– Został zastrzelony.

– Przez ciebie?

– Nie, przez policję.

– A Camilla?

– Samobójstwo.

Ostatnie pytanie wisi w powietrzu.

– Musimy się zbierać – mówi Lisbeth.

– Zabiłaś go? – pyta Svala.

– W pewnym sensie.

W pewnym sensie.

WYRUSZAJĄ, GDY NAD GASSKAS zapada wieczór, osłaniając tych, którzy polują w ciemności.

Plan polega na tym, żeby dostać się do środka od strony północnego zachodu. Silna zamieć ogranicza widoczność, ale przecież to działa w obie strony. Wicher przykrywa odgłos silnika. Nie będzie ich słychać, nawet gdy podjadą całkiem blisko.

Lisbeth podejrzewa, że istnieje jeszcze wjazd, który nie został ujęty na mapie. Taki, z którego Branco osobiście korzysta, żeby wjechać do bunkra i z niego wyjechać. Powinny go unikać, jeśli Plague nie zdołał wyłączyć nadzoru z kamer. Spytała go o to, ale nie odpowiedział.

Skuter meandruje skokowo między drzewami. Rzeczywiście, jak mówiła dziewczynka, to nie jest zabawa dla początkujących. Aby lepiej widzieć, Svala stoi na skuterze, opierając się jednym kolaniem na siedzisku. Balansuje ciałem, kiedy trzeba, i jako doświadczonej kierującej udaje jej się unikać zagrzebania płóz w śniegu. Pokonują kilometr za kilometrem. Mapa w pamięci Lisbeth nie jest idealna, ale innej nie mają. Kilkaset metrów do przypuszczalnego celu Svala wyłącza silnik. Lisbeth patrzy na wyświetlacz telefonu, poza numerem 112 nie ma zasięgu. Muszą przekrzykiwać burzę, żeby się ze sobą porozumiewać.

– W sakwie są rakiety śnieżne! – krzyczy Svala. Lisbeth przyczepia ramię do swoich butów i zsuwa się ze skutera.

Svala ściąga rękawiczkę, wsuwa rękę za pazuchę i wyjmuje pistolet ocalony z lasu, po czym podaje go Lisbeth.

– Wiesz, jak się tym posługiwać? – pyta.

Ten dzieciak nie przestaje mnie zaskakiwać.

– Może lepiej sama go zatrzymaj?

– Nie potrzeba, mam swój. Plastpedera. Najwyższy czas, żeby był z niego jakiś pożytek.

Jesteś jeszcze, Mamamärto? Już cię nie wyczuwam.

Patrzą na siebie. Kciuki w górę. Krok po kroku Lisbeth znika między drzewami, kierując się do bunkra. Swała liczy do stu, następnie odwraca skuter i zatacza szeroki krąg, żeby zbliżyć się do tego miejsca od przeciwnej strony.

Przepraszam, ciociu Lisbeth, ale chodzi o moją Mamamärtę. Nie będę tu siedzieć i czekać jak posłuszne dziecko.

Nie liczyłam na to.

Pierwsza przeszkoda polega na dostaniu się do środka. Po przestudiowaniu udostępnionych przez Zarząd Fortyfikacji zdjęć bardziej znanych budowli wojskowych wokół Boden, zwanych rygłem północnym, Lisbeth dochodzi do wniosku, że wystarczą mocne cęgi, chociaż lepszy byłby dynamit.

Według mapy główny budynek znajduje się prawie kilometr od wejścia, które jest jej celem. Porywisty wiatr wokół wzniesienia zwał śnieg ze skały. Lisbeth zdejmuje rakiety śnieżne, przywiązuje je do plecaka i rusza.

Zejście do bunkra jest ledwo widoczne. Drzwi wyglądają raczej jak kłapa. W dodatku jest tam tylko gruba kłódka. Najpierw próbuje ją otworzyć za pomocą narzędzi ze swojego leathermana, zamek jest na kod i otwiera się mechanicznie. Ale na pewno nie pod presją czasu. Szczypce muszą trochę powalczyć, w końcu jednak przecinają metal.

Załatwiłabym ci to. Przecież wiesz, że jestem dobra z liczb.

Trzymaj się z daleka.

Co znajduje się w bunkrze zbudowanym przeszło sto lat temu? Pomieszczenia napełnione wodą? Jakieś resztki telegrafów, piętrowe prycze, materiały opatrunkowe? Zawalone korytarze? Nie wiadomo, jaką funkcję spełniały. Podobnie jak niektóre inne budowle obronne również ta nie figuruje nigdzie oficjalnie. Nawet w wojskowych archiwach. Jest tylko numer. H9.

Lisbeth ustawia czołówkę pod odpowiednim kątem i próbuje stworzyć sobie wyobrażenie tego, co ją czeka. Opuszcza się w dół, dociska za sobą kłapę i od razu pojawia się uczucie lęku. Odgłosy na zewnątrz, wycie wiatru, trzask łamanych gałęzi – wszystko to nagle cichnie. Żadne dźwięki nie docierają do środka ani nie wydostają się na zewnątrz.

Spokój. Oddychaj. Spokój. Lisbeth świeci po ścianach, jak może najdalej. Pomieszczenie jest puste, jeśli nie liczyć zardzewiałej łopaty z odłamanym trzonkiem i przestarzałego pieca grzewczego w jednym z rogów. Podąża za rurami pod sufitem. Wydaje się, że woda stała tu całkiem wysoko. Lisbeth zdejmuje rękawiczkę. Wilgoć klei się do palców. Woń pleśni drażni gardło.

Przejdźcie przez korytarz. Jest ryzyko, że będą zablokowane drzwi przeciwpożarowe.

Przed nią światło, za nią ciemność. Krok za krokiem. Przystaje. Nasłuchuje. Otwiera drzwi prowadzące na korytarz i idzie dalej.

Po jednej stronie zawalona ceglana ściana. Kolejne kamienie puszczają, gdy Lisbeth chwieje się i musi przytrzymać się dłonią. Pojawia się przełożony odruch, by zawrócić, bieć z powrotem i wypełznąć na świat, a potem udać w drogę do domu. *Zrób to, Lisbeth, nie musisz być superbohaterką. Wracaj, daj policji zrobić swoje.* Kusi ją ten głos. A jednak ten sam głos skłania ją, by wzięła się w garść. Nie będzie jej ustawiał agendy żaden pieprzony terapeuta. Przyszła tutaj, bo sprawa jest pilna. Märta Hirak może już jest martwa, ale jeśli nie... jeśli nie jest martwa, to Lisbeth jest jej jedyną szansą.

Trzy pomieszczenia jedno po drugim. Szacowana wielkość to sto na dwieście metrów. Ich status nieznany.

Drzwi przeciwpożarowe okazują się odporne, ale poddają się. Lisbeth znajduje się w środkowej sali. Czołówka mruga, gaśnie i znów ożywa. Temperatura powinna wynosić około pięciu stopni. Jak w kopalni albo ziemnej piwniczce. Zaciekawienie przez jakiś czas góruje nad lękiem. Wilgoć wychodzi nawet tutaj z naturalnej powierzchni skalnej. Pomieszczenie jest wielkości hangaru lotniczego. Krok za krokiem. Jest już prawie po drugiej stronie, gdy przystaje i znów nasłuchuje. Ciemności towarzyszą własne odgłosy: bicie serca, oddechu i pulsu.

Skomplikowany oddział środkowy o różnych poziomach, schodach i pomieszczeniach połączonych licznymi korytarzami. Wybierz jedną stronę i trzymaj się jej.

Po omacku przesuwa dłońmi po fugach. Przyciska się do czegoś, co powinno być otworem prowadzącym dalej. Kurde, drzwi są zamurowane, musi wrócić do jednego z bocznych pomieszczeń i poszukać nowych drzwi. Czołówka znów mruga. Bez światła będzie po niej.

Wyłącza ją, żeby oszczędzać baterię. Znowu jest bliska paniki, gdy nagle rejestruje głosy. Chyba dochodzą z góry. Przez wentylację albo megafon. Nie słyszy, co mówią, niemniej są to głosy. A więc musi być blisko.

Ene due rike fake. Prawy czy lewy hangar. Lewy. Na środku drzwi. Mieszkali tutaj ludzie. Żołnierze. Oficerowie. Przez całe tygodnie i miesiące nie widzieli światła dnia, podobnie jak ci, co to zbudowali. Rok za rokiem w pyle, wilgoci, osuwiskach i piekle.

Masz szczęście, Lisbeth. Po prostu idź dalej.

Następne drzwi otwierają się łatwo, jak nasmarowane. Trochę za łatwo. Sączy się tam światło, uświadamiając bezlik możliwości. A dalej? Priorytetem jest znalezienie Märty Hirak. Powoli, bezgłośnie Lisbeth porusza się w stronę głosów i światła, kiedy to światło nagle gaśnie, a głosy milkną.

Próbuje włączyć czołówkę. Nic z tego. Zdejmuje ją i potrząsa nią. Dalej nic. Nie włącza latarki w komórce, woli przypomnieć sobie wygląd schodów. W połowie też powinno być jakieś osuwisko. Jak tam było, dziesięć stopni w górę? Szuka po omacku. Kaleczy dłoń o gwóźdź. Tak się nie da. Sięga po komórkę. Wiadomości od trojga z jej pięciorga kontaktów. Widocznie w którymś momencie złapała zasięg, ale w tej chwili zdecydowanie go nie ma. Żaden maszt telefoniczny nie sięga grobu. Latarką komórki szybko omiata schody, decyduje się na strategię i dalej idzie po omacku aż do najwyższego schodka.

Za tymi drzwiami są pomieszczenia różnej wielkości. Według Sophii łącznikiem z częścią mieszkalną jest winda.

Jeśli ktoś stoi po drugiej stronie drzwi, to przepadła. Uchyła je. Pusto.

Znowu włącza komórkę na sekundę, podczas której udaje jej się dostrzec cele. *Hotel*. Nowoczesne drzwi z wizjerami. Cele toną w białym świetle. Pierwsza pusta. Następna też. W trzeciej widzi zgięte w pół ciało mężczyzny z poduszką na głowie. *Twój ratunek, Sophia*. W czwartej i ostatniej celi leży pod kocem kobieta. Märta Hirak. Lisbeth nie potrafi ocenić, śpi czy... Znowu słychać głosy. Teraz wyraźniej. *Raportować. Destruować. Hasło Tinguvalla*. Dalej kilka słów, których głębsze znaczenie dobrze rozumie. *Program węszący. SQL. Exploit. Spoofing. Przepelnienie bufora*.

Lisbeth idzie w stronę głosów. Jeśli ma wpaść, to przynajmniej usłyszy, co mówią.

- Wszystko gotowe. Odjazd dwudziesta pierwsza.
- O kurwa, widzieliście, co nam tu kot zaciągnął? Co to, mysz?
- Podobna raczej do przebierańca z Halloween. *Trick or treat?*

– Aua, spadaj.

Svala.

Lisbeth już się nie waha, wyciąga pistolet, uchyla drzwi, żeby się zorientować w sytuacji, a kiedy obecni zwracają się w jej stronę, otwiera je kopnięciem i mierzy do nich.

Dwie osoby. Kobieta i mężczyzna. Nigdy dotąd ich nie widziała.

– Puść dziewczynę – mówi, a Svala cofa się w jej stronę. – Dalej – syczy do Svali – przez te drzwi.

Kobieta na razie jest bierna. Mężczyzna zbliża się powoli do Lisbeth.

– Sam się o to prosisz. – Lisbeth strzela tuż obok niego. – Następnym razem trafię.

– Okej, okej. – Mężczyzna podnosi ręce do góry.

– Wyjdźcie – mówi Lisbeth. – Liczę do trzech. Raz, dwa... – Nagle robi się piekło. Znikąd pojawia się ktoś trzeci. W pierwszej chwili wydaje jej się, że to Branco, ponieważ siedzi na wózku inwalidzkim. Sunie do niej na tym wózku z jak największą szybkością, jednocześnie ostrzeliwując się, ale nie trafiając.

Chłodny umysł i skupienie. Wstrzymaj oddech, cel, pal.

Mężczyzna krzyczy głośno, gdy zostaje trafiony w bark, traci panowanie nad wózkiem, wpada na ścianę, ale odzyskuje je i jedzie w stronę wind. Zostaje tylko kobieta. *Nieuzbrojona, szkoda, co, suko?*

Lisbeth cofa się i w końcu dociera do tych samych drzwi, przez które weszła.

– Nie idź za mną – mówi.

– Bez obaw. I tak zginiecie tam jak szczury. – Kobieta odwraca się i znika, kierując się w tę samą stronę, co tamci. Pojawia się zapach dymu. W momencie, gdy Lisbeth zamyka drzwi do korytarza z celami, następuje wybuch w sali konferencyjnej.

Dym zaczyna się już przesączać przez szparę pod drzwiami. Trzeba wyjść z bunkra, i to natychmiast. Pierwsza cela jest otwarta. Svala trzyma mamę w objęciach. Głaszcze po głowie.

– Żyje? – pyta Lisbeth, a Svala kiwa głową. – Musimy ją zostawić, inaczej wszystkie zginiemy.

– Nie zostawię jej tutaj – mówi Svala i kaszle.

Dym gęstnieje coraz szybciej. Lisbeth chwyta ją za kurtkę i ściąga z łóżka. W tym momencie pada światło.

– Poświeć komórką! – krzyczy Lisbeth i zawija Märtę Hirak w koc.

– Rozładowała się – odkrzykuje Svala.

Po raz drugi tej doby Lisbeth zarzuca sobie na ramię kobietę, aby ratować ją przed Brankiem. Ją, Svalę i siebie.

– Trzymaj się mojej kurtki. – Instrukcje Lisbeth są krótkie i zdecydowane. – Wyjmij moją komórkę z zewnętrznej kieszeni plecaka i poświeć.

Ledwo widać światło przez dym. Docierają do następnych drzwi. Märta Hirak uderza głową o framugę. Dym ciągnie się za nimi jak ogon.

– Na środku schodów jest zapadlisko. Trzymaj się lewej strony. – A może to była prawa? A dalej, dalej jednak było w prawo. Dobrze pamiętała. Jeszcze kilka metrów i mogą zamknąć za sobą drzwi przeciwpożarowe. Nad nimi rozlega się kolejna eksplozja. Muszą się wydostać.

– Potrzymaj mamę – mówi Lisbeth. Dziewczynka trzyma ją, szepcze do niej coś, zarzuca ją sobie na ramię i obiera kurs przez jaskinię. Ćwierć kilo ramion jak spaghetti na żeberkach renifera. Dwieście metrów przy ledwo tłącym się świetle. *Tajemnice sił specjalnych, możecie je sobie schować.*

W środkowych drzwiach, przed wejściem do zawałonego korytarza, znów się zmieniają.

– Już niedaleko do wyjścia. – Dziewczyna sapie i potyka się dokładnie tak samo jak przedtem Lisbeth, łapie równowagę, chwytając się ściany, i powoduje kolejny zawał. Najpierw jest to tylko kilka kamieni, potem następne i kolejne. Lisbeth instynktownie popycha dziewczynkę przed sobą i przerzuca przez zawalisko na drugą stronę. Kilka sekund później cała ściana rozlatuje się jak domek z kart.

– Mało brakowało – mówi Svala, świecąc na miejsce, gdzie ledwo uszły śmierci.

Przy kłapie, tej samej, przez którą się przedtem dostała do środka, Lisbeth zestawia Märte. Macha zdrętwiałymi rękami, a potem napiera barkiem na kłapę. Nic się nie dzieje. Nabiera powietrza i naciska ze wszystkich sił. Kłapa nie drgnie nawet na milimetr.

Zapach spalenizny przenika ubranie. Lisbeth nie wie, może ogień jest coraz bliżej. Ktoś zamknął kłapę od zewnątrz. Ktoś tam się śmieje, kobieta, przytyka usta do zamka i krzyczy głośno, żeby ją usłyszały.

– Palcie się, szczury, wkrótce pochłonie was ogień piekielny.

– Ale nie bez was – odkrzykuje Svala. – Znajdziemy was. Gdziekolwiek będziecie, dopadniemy was. Pamiętajcie, wy... sukinsyny – kończy cicho.

Lisbeth opada na kamienną podłogę. Opiera się o wilgotną ścianę z plamami pleśni i usiłuje myśleć. Mogłyby spróbować strzelać do zamka w kłapie. Byłoby to prawdopodobnie bez sensu. Poprzeczna belka jest z żelaza. Ryzyko wynikające z odrzutu broni wydaje się większe niż spodziewana korzyść.

Zwraca się do Svali:

– Jak, do cholery, dostałaś się do środka? Do celi to jeszcze rozumiem, bo zamek był na szyfr, ale drzwi zewnętrzne? Sophia mówiła, że otwierają się na odcisk linii papilarnych.

Svala kaszle i kaszle, nie może przestać.

Lisbeth klepie ją w plecy.

– To nie pomoże – sapie Svala – mam astmę. Zostawiłam inhalator w hotelu. – Oddycha ciężko, zrzuca plecak i grzebie w swoich rzeczach. Jedynych, które kiedyś należały tylko do niej. Wyjmuje laptopa i małpkę.

– Otwórz małpkę – mówi do Lisbeth i obejmuje ramieniem mamę.

Lisbeth rozpruwa nożem małpkę i zawartość wyrzuca na kolana. Na końcu wypada granat.

– Serio, Svala, gdzie to znalazłaś?

– Dostałam go od Mamamärty wiele lat temu. – Patrzy na mamę. Naciąga jej na ramię koc. – I nadal chcę wiedzieć, w jaki sposób umarł mój tata.

– Okej – mówi Lisbeth twardym głosem. – Twój tata, mój brat przyrodni, był prawdziwym skurwysynem. Robił wszystko, co mu kazał twój dziadek. Groził, ściągał haracze i mordował. Podobnie jak ty nie czuł bólu. Kiedy buchnął pieniądze ludziom ze Svavelsjö, posunął się za daleko. W tym czasie polował na mnie. Również na zlecenie Zalachenki. Rozumiesz, jaka to chora sytuacja, kiedy mój własny ojciec zleca mojemu bratu, żeby mnie zabił? A więc zastawiłam pułapkę. Wdepnął w nią, chociaż równie dobrze mogłam to być ja. Żeby skończyć z tym raz na zawsze, zadzwoniłam do Sonny'ego Nieminena. I to jego banda zabiła twojego tatę, nie ja.

– Mogłaś mi to powiedzieć od razu.

– A to co? – Lisbeth podnosi do góry pudełko papierosów. – Niedobrze jest palić, kiedy się ma astmę.

Potrząsa pudełkiem, ale zamiast papierosów wypada z niego palec. Lisbeth aż się wzdryga z obrzydzenia. Skóra na palcu jest szara, prawie biała. Poza miejscem odcięcia, gdzie wystaje kość.

– To palec Ulfa, w ten sposób dostałam się do środka – wyjaśnia Svala. – Dostałam go od Sophii. Pewnie nie wiedziałaś, ale znamy się. Ona czyta, tak jak ja. Pojechałam autobusem do niej do szpitala w Sunderbyn. Kto się oprze niewinnej trzynastolatce? Nawet twoja panienka z policji nie.

Może czas do niej zadzwonić.

Lisbeth chowa do plecaka wszystko oprócz granatu i palca.

– Wiesz, jak działa granat? – pyta Lisbeth.

Svala kręci głową.

– Pewnie trzeba to wygooglować – mówi i następnie czyta głośno.

– Granat ręczny, miotany siłą mięśni żołnierza. Granaty ręczne mogą być różnego typu, ale ukształtowane klasycznie służą do zwalczania wroga znajdującego się w niewielkiej odległości. Często używane są również granaty hukowo-błyskowe (dymne), powodujące chwilową lub trwałą zasłonę dymną.

– Dymu mamy już i tak dość.

– Używając konwencjonalnego granatu ręcznego, należy chwycić go, przytrzymując zapalnik czasowy, w chwili rzucenia odpada łyżka, zwalniając sprężynę iglicy zapalnika. Iglica uderza w spłonkę, powodując zapalenie ścieżki prochowej, wybuch jest opóźniony o kilka sekund przeznaczonych na ukrycie się rzucającego granat.

– Okej, to ja będę rzucać tym granatem – mówi Lisbeth.

– Masz tylko trzy sekundy, żeby odbiec po wyciągnięciu zawlecзки.

Wspólnie podnoszą Märtę i zabierają wiotkie ciało jak najdalej od miejsca, gdzie wybuchnie granat. Może już jest za późno.

– Granat musi się znaleźć w pobliżu celu, w przeciwnym razie nie zadziała – mówi Svala głosem, który walczy o tlen.

– Wiem – odpowiada Lisbeth i zatrzymuje spojrzenie dziewczynki. – Gdybyśmy się miały już nie zobaczyć...

– Zrób to w końcu. Lepiej być rozerwaną na kawałki niż spalić się żywcem.

Ścisnąć ogon łyżki, wyciągnąć zawleczkę, odliczyć trzy sekundy, rzucić, uciekać. Lisbeth pada na Svalę, osłaniając ją swoim ciałem jak tarczą. Odgłos eksplozji w pustej jaskini, fala uderzeniowa i skalne odłamki uderzają w nie jak kij bejsbolowy. Jeszcze jeden, ostatni wstrząs skały. Potem zapada cisza.

Na ziemię opadają lekkie płatki śniegu. Księżyc wędruje po nieboskłonie. Jakiś śmigłowiec podlatuje pod niebo. Orle gniazdo pali się aż do spodu, którym jest lita skała. Dziewczynka staje na drżących nogach. Wyczołguje się przez wysadzoną ścianę. Chwyta w ramiona mamę bez życia, siada na śniegu i odgarnia włosy z jej twarzy.

– Mamo, jesteśmy już bezpieczne. Wydostałyśmy się. Czytałam twój dziennik. Plastpeder nie żyje, a jeśli tylko przypomnisz sobie hasło do twardego dysku, będziemy mogły się stąd ulotnić. We dwie, ty i ja, fajnie, co?

Mamamärta otwiera oczy. Właściwie tylko szparki otoczone opuchlizną, ale widać w nich spojrzenie. To spojrzenie coś mówi. Podobnie jak wargi, które układają się w jakieś słowo.

– Nie słyszę – mówi Svala, przyciągając bliżej mamę. – Powiedz to jeszcze raz.

Jaskółka – svala – może lecieć z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Svala siedzi nieruchomo, trzymając Mamamärte w objęciach. Jej ostatnie tchnienia są skokowe. Oddalają się jak uciekające stado reniferów.

Lisbeth Salander obejmuje ramieniem Svalę. Siedzą tak do chwili, gdy od strony szosy dobiegają ich syreny policyjne.

– NO TAK – MÓWI MIKAEL BLOMKVIST, trzymając przed sobą świeży numer „Gaskassen”. – Pewnie nie liczyliście na coś takiego, kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy. Szczerze mówiąc, ja też nie.

Termos z kawą krąży wśród obecnych w redakcji. Jan Stenberg syci się pochwałami, jak cukrem na bułeczce cynamonowej.

– Przecież mówiłem, że „Gaskassen” jest co najmniej równie dobry jak media ogólnokrajowe, gdy chodzi o wynajdywanie ciekawych newsów, a tu masz dowód.

Zamieszczone na pierwszej stronie zdjęcia portretowe osób, które zidentyfikowano na podstawie DNA pobranego z kostnych szczątków po uczcie sprzątacza dla orłów, przypominają galerię kryminalistów. Sprzątacz powiedziałby pewnie, że większość z nich zasłużyła na swoje miejsce w stercie odpadków, ale przecież nikt nie zna jego tożsamości ani funkcji, jaką pełnił. Dlatego nie jest cytowany w artykule.

Natomiast również sprzątacz czyta gazetę. Przerzuca strony, aż trafia na imię chłopca. Lukas. Żyje. Ma się dobrze. *Nie, no nie było tak źle i nie musiał się bać. Pojadali słodycze i podglądali orły.* No pewnie. Jedyna populacja orła bielika w głębi kraju. Wystarczyło zadzwonić do Towarzystwa Ochrony Przyrody, a znaleźliby chatę. Chatę, ale nie sprzątacza. Opis sporządzony przez chłopca mógłby wskazywać na jakiegokolwiek myśliwego w średnim wieku. Starszego pana w wieku taty Henry’ego. Zielona czapka. Pomarańczowy sweter. Czy znał go przedtem albo poznał jego imię? Nie. Oprócz Lukasa gazeta cytuje też Henry’ego Salo, jego dramatyczną relację z chaty w Kvikkjokk, burzy śnieżnej i jazdy samochodem do Sunderbyn.

Czy wie, kto zostawił tam chłopca? Nie.

Nie powinien, a jednak nie potrafi się oprzeć. Joar jedzie w stronę jeziora Njakaure, otwiera szlaban i stawia quada w głębi lasu. Zarzuca strzelbę na ramię, przyczepia sobie deski z Tegsnäs i na nich pokonuje ostatnie kilometry.

To piękny dzień. Kilka stopni poniżej zera. Śnieg lśni jak na pocztówce. Sprzątacznik otwiera plecak, wyjmując z niego plastikową torbę i opróżnia ją na ziemię, a potem chowa się pod tę samą sosnę co zawsze.

Zazwyczaj trwa to minutę, dwie. Mija piętnaście minut i sprzątacznik daje za wygraną. Coś jest nie tak. Ani jednego orła w polu widzenia.

Zostawia mięso. Przynajmniej lisy albo kruki się ucieszą. Sprzątacznik odwraca narty i odpychając się kijkami, kieruje się do gniazda. Już z daleka widzi, że coś jest nie tak. Prastare sosny, które z dumą nosiły gniazdo w swoich koronach, leżą okorowane na ziemi. Z gniazda zostały tylko urwane kawałki splecionych gałązek. *Do cholery, przecież to rezerwat.*

Sprzątacznik rozgląda się po raz ostatni, robi pełny obrót w miejscu i rusza z powrotem po własnych śladach. Jego myśli też zmierzają w przód. Nigdy nie wspominać, nigdy nie tęsknić.

Mikael Blomkvist zatrzymuje się przy zdjęciu pierwszym z lewej. Malin Bengtsson, córka IB. Mogliby zrobić z tego coś większego, gdyby tylko mieli więcej czasu. Choćby współrzędne z jej komórki, które po przedstawieniu dwóch cyfr trafiły do Branca zamiast do Henry'ego Salo. Trzeba dać sobie na wstrzymanie. Mikael czuje, że trafi się jeszcze niejedna okazja do zawarcia znajomości z Brankiem. *Nie będziesz mogła oprzeć się tej opowieści, Eriko Berger.*

– A reszta? – pyta Mikael w prywatnej rozmowie ze Stenbergiem. – Łapówki, energia wiatrowa, podejrzenie o szantaż i tak dalej? Myślisz, że czytelnicy „Gaskassen” nie są ciekawi biznesów swego burmistrza?

– Przecież nie został za nic skazany – mówi Stenberg. – Można by sądzić, że chcesz wsadzić własnego zięcia. Henry jest trochę niekonwencjonalny, ale nie możemy pisać, opierając się na domysłach.

– No tak, bo jak by to wyglądało. – Mikael wkłada skórzaną kurtkę na marynarkę i patrzy na zegarek. Pociąg do Sztokholmu odchodzi za parę godzin. Najpierw ma się spotkać w Statt z Lisbeth na ostatnie wspólne piwo.

– Dziś środa – mówi, zwracając się do Stenberga. – Pozdrów facetów z łoży. Może się jeszcze spotkamy.

– I na czym teraz stoimy? – pyta Mikael. Podaje Lisbeth colę, sam wypija łyk piwa.

– Co masz na myśli?

– Raczej nie skończyliśmy z Brankiem, prawda? Czytałem wiadomość od Plague’a.

– Skoro mowa o Plague’u – zaczyna Lisbeth, ale zmienia zdanie. To nie sprawa Mikaela. Jeśli jest tu choćby cień wątpliwości, musi je sama wyjaśnić. – Na tę chwilę skończyłam z Brankiem – oznajmia. – Wciąż mi dzwoni w uszach.

– Moglibyśmy omówić to wszystko jeszcze jeden ostatni raz?

– Nie, nie mam siły. Właśnie, a jak ci poszło z tą Islandką?

– Chyba tak jak zwykle. Przecież wracam dziś do domu. Może się będziemy widywać w Sztokholmie. A co z tobą?

– Gliny to nie dla mnie. Niewłaściwa strona drogi.

– W sensie?

– Jeden dzieciak kiedyś tak powiedział. Nie da się zmienić drogi, można najwyżej pójść drugą stroną.

Rozmowa płynie opornie, jak śmieci unoszące się na Gangesie. Jeśli w którymś momencie otworzyło się jakieś okienko, to jest już definitywnie zamknięte.

– A dzieciak... Co z nią będzie?

Jadą po raz ostatni do Hiraków. Na tylnym siedzeniu małpka siedzi obok plecaka ze skromnym dobytkiem Svali. Dziewczynka obejmuje mocno Mamamärtę i babcię.

Laura stoi w kojcu z psami. Per-Henrik właśnie wjeżdża skuterem od strony lasu. Elias jest pewnie zajęty gdzieś swoimi sprawami.

Lisbeth wyłącza silnik.

– Nie zmieniałaś zdania?

– W sprawie Sztokholmu? Sama nie wiem, ale muszę gdzieś zacząć. Przyjadę na ferie wielkanocne.

– I dopiero wtedy, kurwa, spróbujesz dobrej pizzy. I nie zapomnij karate, Svala-san.

– Nie zapomnę, pod warunkiem że przestaniesz kłąć.

Laura zamyka kojec z psami i kieruje się do samochodu. Per-Henrik wjeżdża poślizgiem na podwórze. Elias pojawia się na fińskich sankach.

– Pojadę już – mówi Lisbeth.

– Jeszcze nie. Najpierw musisz wziąć udział w pogrzebie.

Brną przez śnieg, który wpada do butów, aż na sam szczyt Björkberget.

Przed nimi rozpościera się kraina bez początku i bez końca. Tu i ówdzie z kominów unosi się dym.

– Biedna Marianne Lekatt – mówi Svala, wysypując prochy babci w stronę jej domu.

– Ktoś tam jednak pali w piecu – zauważa Elias. – Może będziemy mieli nowych sąsiadów.

Urnę Mamamärty Svala zostawia sobie na koniec. Długo trzyma ją w objęciach, wreszcie odkręca wieko i pozwala wiatrowi rozrzucić prochy, jak mu się podoba. – *Leć, Eadni – mówi. Leć szybko jak jaskółka. Unoś się jak orzeł bielik nad ziemią. Moja ty Eadnimärto.*

Cześć, Lisbeth, mam nadzieję, że u ciebie wszystko dobrze. Chciałem tylko życzyć ci wesołych świąt, Mikael.

Dzięki, do zobaczenia. Kiedyś.

Ja chętnie, a co robisz jutro?

Don't push your luck.

Życie jest krótkie, Loch Ness, godz. 19.

OK, dickhead.

* * *

Bo owszem, tak właśnie jest. Życie jest osobliwym darem. Zwłaszcza kiedy dar pochodzi prosto od Mikołaja z Rovaniemi. Svala podaje awizo, w zamian dostaje paczkę, wchodzi do pizzerii Buongiorno, gdzie zamawia vegetarianę z dodatkowym serem i colę.

Powoli ściąga sznurek. Zeskubuje taśmę klejącą, ściąga papier i trzyma książkę w dłoniach niczym skarb.

Svala H.

AAMULLA TULI YÖ [27](#)

Cholera, teraz będę musiała się jeszcze nauczyć fińskiego.

Przypisy końcowe

- [1] Imię Svala znaczy po szwedzku jaskółka (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Svavelsjö – jezioro siarki (Apokalipsa św. Jana 20,10).
- [3] Säpo – Säkerhetspolisen, Policja Bezpieczeństwa.
- [4] HD – Harley-Davidson.
- [5] Statt – Stadshotellet, czyli Hotel Miejski.
- [6] PPA – ang. Power Purchase Agreement, umowa o zakupie energii zawarta przez sprzedającego, tj. producenta energii, i jej konsumenta albo dystrybutora.
- [7] GW – Leif Gustav Willy Persson, znany szwedzki kryminolog i pisarz.
- [8] Książę Daniel – mąż szwedzkiej następczyni tronu księżniczki Wiktorii.
- [9] Perkele Rövaniemi – perkele to fińskie przekleństwo oznaczające diabła; Rövaniemi – gra słów, röv po szwedzku znaczy dupa.
- [10] HA – Hells Angels, międzynarodowy klub motocyklowy, według władz amerykańskich organizacja przestępcza.
- [11] Palt – rodzaj pulpetów ziemniaczanych.
- [12] SD – Sverigedemokraterna, partia Szwedzcy Demokraci.
- [13] Tytuł książki wydanej w 2001 roku: Szwedzcy Demokraci, ruch narodowy.
- [14] Svartlut – nazwa wymyślona przez autorkę, słowo to oznacza czarny ług, produkt uboczny przy produkcji celulozy, i sugeruje, że chodzi o poprzemysłową, złą do życia okolicę.
- [15] Kommunala Gasskasbolagen – Gminne Spółki Gasskas.
- [16] Wolne kościoły – protestanckie organizacje religijne niezależne od kościoła ewangelicko-augsburskiego, który do 2000 roku miał status kościoła państwowego.
- [17] Moderaci – członkowie partii Moderaterna, czyli umiarkowanej prawicy.
- [18] Jan Emanuel – biznesmen, polityk i celebryta.
- [19] Järvafältet – osławiony teren pod Sztokholmem, gdzie odbywa się nielegalny handel narkotykami.
- [20] Rinkeby – podmiejska dzielnica Sztokholmu zamieszкана w większości przez imigrantów.
- [21] Nawiązanie do szwedzkiego powiedzenia: Kiedy diabeł się starzeje, robi się pobożny.
- [22] Zasta – z serbs. zastava, broń, używana w szwedzkim świecie przestępczym i pochodząca z dawnej Jugosławii.
- [23] Varg – szw. wilk.
- [24] NOA – Nationella Operativa Avdelningen, Narodowy Wydział Operacyjny.
- [25] Varg, Järv, Björn, Ulf i Lo – imiona czy też pseudonimy, które znaczą wilk, rosomak, niedźwiedź, wilk i ryś.
- [26] Bless his filthy soul – ang. Panie, świeć nad jego wstrętną duszą.
- [27] Aamulla tuli yö – fiń. Rano nadeszła noc.